

JACEK
HUGO-BADER
SKUCHA



JACEK
HUGO-BADER
SKUCHA



1. ĆWIARA (w przygotowaniu)
2. SKUCHA
3. REFLUKS (w planie)

Redakcja: Justyna Wodzisławska
Korekta: Danuta Sabała, Teresa Kruszona
Projekt graficzny okładki: Marta Ignerska
Skład i przygotowanie do druku: Elżbieta Wastkowska
Koordynacja projektu: Katarzyna Kubicka

WYDAWCY:
AGORA SA
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa

CZARNE
ul. Wołowiec 11, 38-307 Sękowa

© by Agora SA, 2016
© by Jacek Hugo-Bader, 2016

Wszelkie prawa zastrzeżone
Warszawa 2016
ISBN: 978-83-268-1848-6 (epub), 978-83-268-1849-3 (mobi)



Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!
Polska Izba Książki

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej



SPIS TREŚCI

ROZBIEG

OSOBY DRAMATU

CZĘŚĆ I. Kolumbowie. Roczniak 50

KREDENS. Pierwsza tajemnica dziecięca

WANNA. Druga tajemnica dziecięca

MACIEK. Dzieci jakiejś wojny

MARYŚKA. Kuchnia całkiem ciemna

EWA. Nigdy tu nie wracaj

MAREK. Sto gramów spryskiwacza

TOMEK. Stołowa nerwica wegetatywna

LUSTRO. Trzecia tajemnica dziecięca

ŁÓŻKO. Czwarta tajemnica dziecięca

JANEK. Dziko wybuchowy plan

HALINA. Opowiem ci o Mietku

HALINA. Jeszcze o moim Mietku

PIECZĘĆ. Piąta tajemnica dziecięca

MACIEK. Miejska żegluga pijacka

CHEMIA. Podziemny bunkier Ewy H.

CZĘŚĆ II. Siedem lat w trumnie

FABRYKA. W grudniu wieczorową porą

PAŁAC. Partyzantka z wyciętego lasu

KOMORA. Mnóstwo trefnego badziewia

KOSZARY. Stan cokolwiek nieostry

CHEMIA. Podziemne życie Marka H.

DWÓR. Indiańskie dziargi na twarzy

PAŁAC. Konspirator prawie doskonały
OBÓZ. Najebany jak Polak
GABINET. Poniżej stanu zerowego
KAWIARNIA. Pierwsza tajemnica młodzieńcza
PAŁAC. Druga tajemnica młodzieńcza
PIWNICA. Ofiary muszą być
SZKOŁA. Oficerowie średniego szczebla
BUNKIER. Dostawy broni do Polski
SKRYTKA. Opowiem wam o Mietku
TRUMNA. Trzecia tajemnica młodzieńcza
FABRYKA. Świętej pamięci zamęt
KOLUMBOWIE. Czwarta tajemnica młodzieńcza

CZĘŚĆ III. Początek świata szwoleżerów

POCZĄTEK. Strzępy, drobne ochłapy
DRYBLING. Pierwsza tajemnica zgredowska
CHEMIA. Naziemne życie Marka H.
CHEMIA. Podziemne życie Ewy H.
UMIERANIE. Uliczna szarża pancerna
SPADANIE. Nielot z fabryki namiotów
TUŁACZKA. Bydlęcy kamień żółciowy
ROZWÓJ. Sześć strasznych lat
WYBACZANIE. Opowiem ci o Marku
GRZANIE. Jeszcze raz o Marku
TUŁACZKA. Ważne, żeby szarpało
SYNCHRONIZACJA. Córka ryżego czarnoksiężnika
SZUKANIE. Spadł, wsiąkł, przepadł
GRZEŹNIĘCIE. Jeden sznaps za drugim
SKUCHA. Strasznie modne słowo
ŻĄDANIE. Ostra kosa na armaty
MISTYFIKACJA. Cholerne prawo cytatu

ŻEGLOWANIE. Wszystko o moim ojcu
KOLPORTAŻ. Żelazna klamra opowieści
KOLPORTAŻ. Nadlatuje eskadra heinkli
SKUCHA. Tkliwość cokolwiek palpacyjna
NARASTANIE. Dwadzieścia dziewięć nazwisk
WAROWANIE. Wszystko o moim ojcu
BRANIE. Przepuklina kresy białej
WAŻENIE. Efekt okrętu podwodnego
UMIERANIE. Modlitwa świętego Franciszka
SZAFOWANIE. Piąta kość śródreżcza
KOCHANIE. Cios prosto w ślepią
ANGLEZOWANIE. Cios prosto w kolano
CHEMIA. Naziemne życie Ewy H.
ĆPANIE. Wszystko o mojej matce
DUMA. Sztuka pięknego wstawania
WSTYD. Stos suchych badyli
DYMANIE. Syn czarnego miasta
SZCZEKANIE. Kiedyś byłem psem
ŚLUBOWANIE. Druga tajemnica zgredowska
ŚPIEWANIE. Trzecia tajemnica zgredowska
LECZENIE. Postać cokolwiek fikcyjna
ZLEPIANIE. Wszystko o mojej matce

ZAKOŃCZENIE 2015

ZAKOŃCZENIE 2016

PRZYPISY

A-cie

Nie ma powodu, aby dobrze opowiedziana historia przypominała rzeczywistość. [To] rzeczywistość ze wszystkich sił stara się przypominać dobrze opowiedzianą historię.

Izaak Babel^[1]

ROZBIEG

Ta książka od głupiego, mało poetyckiego słoika, niestety, musi się zacząć. Żeby to jeszcze jaki światowy, zakręcany twist był, ale gdzie tam – zwyczajny, archaiczny wek litrowy z gumą i sprężyną na szklanym wieczku.

Gdzieś w drugiej połowie lat osiemdziesiątych Piotrek łamie nogę na nartach, wzywa mnie więc do swojego domu w podwarszawskim Brwinowie, każe czekać do zapadnięcia ciemności i razem ze mną kuśtyka do ogrodu za domem. Ma gips do pachwiny, więc mnie daje szpadel, pokazuje miejsce i każe kopać. Dwa sztychy pod powierzchnią natrafiam na ten wek, a w nim złożona kartka. Najważniejszy chyba kawałek papieru, jaki w życiu miałem w ręku, wszystkie kontakty, namiary, hasła i odzewy nielecho skomplikowanej siatki kolportażowej największej w Warszawie organizacji podziemnej, kilkadziesiąt nazwisk, adresów, numerów telefonów spisanych w trzech kolumnach: punkty, ludzie, rezerwa w ludziach. To lokale, do których trafiają drukowane przez nas podziemne gazety, kolporterzy, którzy je noszą po całym mieście, i ludzie z rezerwy, do których w razie potrzeby, w razie jakiej wsympy można się zwrócić o każdą pomoc. Piotrek jest szefem tego bałaganu, a przez tę nogę razem ze słoikiem przekazuje mi swoje obowiązki. Przepisuję kartkę na cieniutką jak bibułka przebitkę, żeby łatwo można było ją zjeść, a oryginał palę.

Mam tę rozpiskę do dzisiaj. Punkt T61 to ogromna przedwojenna kamienica na ulicy Cieszkowskiego 1/3 na warszawskim Żoliborzu. Teraz jestem tam pierwszy raz w życiu, bo wcześniej nie było potrzeby. Naciskam dzwonek, otwiera starsza, nieznajoma, dystyngowana pani.

– Ja po mleko dla bliźniaków – wypalam dla żartu hasłem zapisanym na moim karteluszk, a jej nawet powieka nie drgnęła. Nie zwięziła źrenicy, brwi nie unosi zdziwionej, nie krzyczy „laboga!” Zupełnie jakby na mnie czekała.

– Po mleko zawsze przychodził Waldek – wita mnie bezbłędnie odzewem, którego nie miała w użyciu dwadzieścia sześć albo i trzydzieści parę lat. Jakby stan wojenny skończył się wczoraj! Albo ciągle trwał.

I przerzucamy się w drzwiach ochami, śmiechem, powitaniem, zachwytem, szybkimi, rwanymi jak serie z pepeszy opowieściami, kto i co. Że kolportaż, karteluszek, hasła, T61, konspiracja, kto ona, a kto ja, że reporterską archeologię uprawiam, bo książka, portret pokolenia bym chciał, dwadzieścia pięć lat w dziale reportażu „Gazety Wyb...” A jej grzbiet wygina się nagle w pałąk jak kocicy z małymi, co obcego psa zobaczyła, twarz się zmienia raptem, tężeje, brwi ściągają, wykrzywiają usta, a w oczach pojawia się pogarda.

Tak, pogarda. I bez jednego już słowa wypycha mnie rękoma za próg, za drzwi, na klatkę.

Żeby rękoma chociaż! Ale łokciami to robi, jak ci, co w publicznych kiblach brzydzą się dotykać klamek.

8 stycznia 2015 roku

OSOBY DRAMATU

Ewa Hołuszko „Hardy” – założycielka i pierwsza szefowa Międzyzakładowego Komitetu Koordynacyjnego NSZZ „Solidarność”, którą wszyscy znaliśmy jako Marka.

Maciek Zalewski „Maciej Lewin” – założyciel i drugi szef MKK, redaktor należącej do organizacji gazety „Wola”, który w wolnej Polsce zostaje prezydenckim ministrem i to jest dopiero początek kłopotów.

Ewa Choromańska „Celina” – założycielka i trzecia szefowa MKK, która była i jest naszą nadworną lekarką.

Michał Boni „Tomek”, „Tomasz Litwin” – drugi redaktor naczelny gazety „Wola”, którego dopadła bezpieka, a w wolnej Polsce nieraz bywa ministrem.

Rysiek Satel – szef poligrafii MKK, który był konspiratorem doskonałym.

Marek Latos „Gruby” – pierwszy szef kolportażu MKK, który jest wiecznym tułaczem bez swojego miejsca na ziemi.

Piotrek Stańczak – drugi szef kolportażu MKK, który w wolnej Polsce uczy się latać i to jest dopiero początek kłopotów.

Fred R. „Tolek” – szef transportu MKK, kolporter, drukarz, który nie chce ze mną gadać.

Maryśka Kołnierzak – członkini prezydium MKK, która wychowywała się na najgorszej warszawskiej ulicy.

Tomek Dangel „Grzybowski” – członek prezydium MKK, który w wolnej Polsce zakłada hospicjum dla dzieci.

Janek Mojka „Klinga” – członek prezydium MKK, który jest najbardziej wyrywny i zawzięty, ciągle wymyśla swoje nowe wojny.

Zyta Rywkin, która jest najdziwniejsza ze wszystkich, trzygłowa jakby, tajemnicza. Pierwszy kieliszek w życiu wypija na zebraniu kolporterów i to jest dopiero początek kłopotów.

Andrzej A. „Rudobrody” – drukarz, kolporter, który śmiertelnie się obraził i też od kilku lat nie chce ze mną gadać.

Marian Kobylecki „Mietek”, który był żołnierzem batalionu „Zośka”

Ewa Galster, która jest jak wiedźma, bo w branży duchowej w jej rodzinie są wielkie tradycje.

Chór konspiratorów – Andrzej Firląg, Hanka Kulesza, Maryśka Trenda, Stasio Karasiński „Adam”, Tomek Domżał „Michał”, Iza Gocman „Biała”, Romek Sałaciński „Waldek”

Chór rodzinny – Halina Fauter-Kobylecka, Tatiana Latos, Marcin Kobylecki, Marcin Makowski, Antek Rywkin, Anka Satel i Dorota, córka Ewy Choromańskiej.

CZĘŚĆ I

Kolumbowie. Rocznik 50

Bunt i pokojowa walka „Solidarności” to jedyne, obok wielkopolskiego, polskie powstanie, które kończy się zwycięstwem.

Tylko opisać tego nie potrafimy. Mija dwadzieścia pięć, dwadzieścia sześć lat, a tu nic! Kolumbowie rocznik 20 przegrali drugą wojnę światową, a u mnie w domu do dzisiaj półki uginają się od książek Bartelskiego, Bartoszewskiego, Bratnego, Białoszewskiego, Borowskiego... Żeby wymienić tylko tych na literę B. A Andrzej Wajda kręci *Pokolenie* o chłopakach z AL, *Kanał* o chłopakach z AK, a wreszcie *Popiół i diament*, wielkie epitafium miłosne dla tego pokolenia. Oni wszyscy opowiadają o swojej klęsce, katastrofie, śmierci całej generacji. W okresie najgłębszej, najbardziej opresyjnej komuny lat czterdziestych i pięćdziesiątych, kiedy w więzieniach mordowani są ludzie, powstaje mitologia.

A solidarnościowi konspiratorzy, chociaż zwycięzcy, to jacyś niepisani.

Czy dlatego, że nie jechali po krawędzi życia i zamiast przelewać krew, kręcili korbami od powielaczy? Czy w Polsce bez ofiar nie może być mitologii?

Chciałbym się zmierzyć z tym paradoksem, opowiedzieć, jak się żyje działaczom, bojownikom podziemia demokratycznego w Polsce, którą sobie wywalczyli. Co dzisiaj robią Kolumbowie rocznik 50, dzieci tamtych Kolumbów, jak się urządzili, jak się wiedzie moim kolegom z partyzantki w wolnym wreszcie kraju?

Najważniejsze, że prawie wszyscy tu są.

Nikt tam nie został. Wyjeżdżają Maciek, Michał zwany „Tomkiem” i Tomek zwany „Michałem”. Maryśka dwa lata pracuje w Nowym Jorku.

Piotrek pomieszkuje w Australii, „Pikador” we Francji, „Gruby” Marek mówi przed wyjazdem do Niemiec, że wróci, kiedy zdechnie komuna. Żegnamy go więc na zawsze. Dotrzymuje słowa. Dziewczyny i chłopaki z Międzyzakładowego Komitetu Koordynacyjnego – podziemnej struktury solidarnościowej z lat osiemdziesiątych. Jak im się wiedzie w kraju, o który walczyli?

Powyższy akapit piszę prawie dwadzieścia jeden lat temu i do dzisiaj nie zmieniam nawet jednego przecinka. To początek bardzo obszernego reportażu, którym chcę uczcić piątą rocznicę wolnej Polski, ale zupełnie mi się nie udaje. Siódmą wersję tekstu rwę w złości na drobne kawałki i pożeram. Wtedy jeszcze w naszej redakcji artykuły oddawało się przełożonym wydrukowane na papierze. A te życiorysy ciągle wychodziły mi jakoś byle jakie, mało brawurowe, niefotogeniczne.

Jeśli tak będzie i tym razem, to wybaczenie – może jednak warto wiedzieć, kto robił tę naszą rewolucję. Musicie to wiedzieć.

Z tym pożarciem to, rzecz jasna, figura stylistyczna, ale dobrze pamiętam, że przy rwaniu pomagam sobie zębami. Wersje od jeden do sześć do dzisiaj leżą w moim pokoju do pracy w tekturowej teczce z tasiemkami, na której zielonym flamastrem piszę słowo FIRMA, bo tak nazywamy wtedy swoją organizację. Większość kartek dla oszczędności papieru zadrukowanych jest z obu stron, ale jedna zamasyście przekreślona jest długopisem, żeby szefowa wiedziała, z której strony czytać.

Teczka od 1994 roku leży więc na podorędziu. I pęcznieje. Bo ciągle zbieram, coś tam dorzucam, notuję, śledzę, zapamiętuję, układam w głowie, ciągle wymyślam, mam oko na tych moich towarzyszy, jakiś kontakt urywany... To najdłużej pisany tekst w moim życiu. I pewnie nigdy bym się do niego nie zabrał, bo boję się tego tematu jak ognia, jak niespodziewanej albo przewlekłej śmierci, gdyby nie to, że mieliśmy dwudziestą piątą rocznicę powstania III RP, prezydent przypina mi

krzyż, a ja przy tej okazji słyszę słowa znanej krytyk i kurator sztuki Andy Rottenberg, że w Polsce z wolności najmniej korzystają ludzie, którzy o nią walczyli.

Nie pamiętam, czy Anda mówi publicznie, czy prywatnie, czy jesteśmy trzeźwi, czy na bani, ale pamiętam, że ślubuję sobie wreszcie o tym napisać, i nie tylko do gazety, ale książkę napisać o dawnych konspiratorach, o moich koleżankach i kolegach z miejskiej partyzantki. Tych moich najbliższych, siostrach i braciach, ukochanych...

Są jeszcze: Rysiek, „Waldek”, Janka „Kosiarka”, „Bratowa”, Dorotka, „Rudobrody”, Fred zwany „Tolkiem”, Stasio zwany „Adamem”, Andrzej Kamać, czyli „Kudłaty”, szalona Ewa, Iza „Biała”, „Cichy”, Hanka, Andrzej... Są też Gosia, Ania i jej siostra Grażynka – kolporterki pracujące w warszawskich szpitalach, oraz szefowa Firmy „Celina”, która nosi takie krótkie kiecki i ma takie nogi, że można zwariować! Są też „Hardy” i „Klinga”, ale wszyscy mówią do nich po imieniu, bo cholernie śmieszne wydają nam się te nadęte ksywy, i jest „Mietek”, który był żołnierzem legendarnego Batalionu „Zośka” – cudownym, symbolicznym łącznikiem między pokoleniami polskich Kolumbów, konspiratorów.

Ci, co wyjechali za granicę – wrócili, co do jednego. Nawet „Gruby” Marek, tak jak obiecał, ale nie daje rady i po paru latach jako jedyny znowu ucieka. Tym razem do Anglii, podobno na zawsze, ale go odnajduję i odwiedzam.

Opowiem tylko o tych rewolucjonistach, których wtedy znałem osobiście. Imię, nazwisko, wiek, zawód i ksywa – nie wszyscy ją mieli. Niektórzy posługiwali się wyłącznie imieniem. W użytku było żargonowe słowo „ksywa”. Pseudonimy mieli ci z tamtej wojny, na której można było zginąć. Ta wojna jest jaruzelska. Pokraczna, niepoważna, pszenno-buraczana, bimbrowo-salcesonowa, kiszkowata, bez szabel, lanc, stenów, pancerfaustów, wyroków śmierci. Podły czas. Więc w tym, co napiszę, nie znajdziecie nawet odrobiny patosu. Volkswagen

„garbus”, którym wożę z drukarni nakład naszej gazety, czasami wozi przednią albo tylną ćwiartkę świniaka na rodzinne potrzeby, a papier i farbę, a nawet ogromne drukarskie maszyny przeważnie zwyczajnie kradniemy. Na tych samych maszynach, z których schodzą płomienne manifesty, drukarze gałgany dorabiają sobie drukowaniem fałszywych kartek na mięso, a potem opylają je pewnie gdzieś na boku. Kiedy rodzą się moje dzieci, dowody wdzięczności dla lekarzy, którzy je przyjmują, nie składają się z banknotów, tylko z lewych kartek, tyle że na benzynę. Na potrzeby organizacji gromadzę ją ukradkiem w beczkach w piwnicy sąsiedniego bloku. Wcale się nie przejmuję, że to może pieprznąć. W głowie powtarzam sobie pogoworkę ruskich generałów: są ofiary w ludziach, trudno – muszą być i w sprzęcie.

Jedni koledzy w wolnej Polsce błyszczą w polityce, inni robią fortuny, jeszcze inni nie mają co jeść – piszę przed dwudziestu z górą laty. Wielu robi mniej lub bardziej czyste interesy. Parę osób idzie na emerytury, parę – do kryminału. Raz – za coś, raz – za nic. Parę osób już wie, że zmarnowało życie, zmitrężyli, przebarłoczyli dwadzieścia sześć lat, paru chłopaków i parę dziewczyn uważa, że walka o wolność dopiero się zaczyna. Kilkoro kolegów umiera, kilkoro się rozpija, kilkoro rozwodzi, a kilkoro leczy depresję. Niektórzy robili w życiu rzeczy straszne.

– Największym grzechem tej książki byłaby litość – mówi Maciek, nim siadam do pisania, a on to, być może, nasz największy skarb. Prawdziwy organizacyjny fenomen, intelektualny Everest, językowy malarz, cudotwórca, do tego wyrywny jak jaki szajbus. – Ale jeszcze większym grzechem by było, gdybyś nie spróbował zrozumieć. Ty piszesz o nas, o żywych ludziach, do tego niesamowicie pokancerowanych rewolucjonistach, kolegach z wojny. To straszna odpowiedzialność!

Maciek to współtwórca Firmy i największa obok stoczni strata naszej transformacji – w tym sensie, że ich nie mamy, straciliśmy, nie

uratowaliśmy. O niebyciu Maćka będzie w trzeciej części książki, bo na razie o tym się boję.

To od kogo zacząć?

Może od Michała „Tomasza”, jego serdecznego przyjaciela, który w naszej gazecie podpisuje się jako Tomasz Litwin.

KREDENS.

Pierwsza tajemnica dziecięca

- Wszystko, co przez kawał swojego życia robiłem, było ucieczką.
- Przed czym? – pytam.
- Przed wstydem.
- Jakim wstydem?
- Bycia gorszym – on na to.

Prawdziwe nazwisko Michał Boni. Roczniak 1954. Kulturoznawca z doktoratem, zastępca Jacka Kuronia w Ministerstwie Pracy i Polityki Socjalnej na początku polskiej transformacji, potem wieloletni minister różnych resortów, wreszcie poseł do Parlamentu Europejskiego. Niezbyt wysoki, ruchliwy, nadzwyczajnie aktywny, ofiarny, pracowity. Nasze potajemne poniedziałkowe spotkania prezydium MKK, na które nie przyszedł, uważałem za stracone. Zawsze warto było zamilknąć, kiedy otwierał usta. Mówił mądrze, dobrze, rozsądnie, nigdy się nie zacierzował – intelektualnie brawurowy, erudyta. Był naszym liderem i drugim redaktorem naczelnym wydawanej przez nas gazety „Wola”

Ale mógł też wypić, pośmiać się i powygłupiać. I nawet twarz miał zawsze cholernie ruchliwą, miniastą, pełną grymasów, chwilowych bruzd, zmarszczek, niekontrolowanych mrugnięć oczami, tików, ruchów tektonicznych skóry.

Rozmowa z nim, przebywanie w pobliżu sprawiają przyjemność, ale nie jest to ten rodzaj rozleniwiającej przyjemności jak z sąsiedztwa basenu kąpielowego w modnym kurorcie – raczej nerwowe sąsiedztwo automatu do gry w kasynie. Które zmusza do ciągłego skupienia, napięcia, koncentracji.

Wszędobyłski typ. W wiecznym biegu jak pies rasy beagle. Mały, słodki, nadaktywny prymus, którego wszędzie pełno, więc paniuńcie go uwielbiają, a z każdym facetem ma raczej pod górkę, bo właściwie nie sposób nauczyć nygusa posłuszeństwa, ale który jest jednak cholernie przydatny, pomocny, pożyteczny, jak to pies gończy. Niewyrośnięty pointer jeden, mądraliński.

I tak od samego urodzenia.

Od wszystkich ojcowych powrotów po pracy do domu. Kiedy w głowie domowników kotłuje się jedno zasadnicze pytanie: czy ojciec zje, czy nie zje obiadu? Wielkie, fundamentalne pytanie czteroosobowej rodziny z bloku przy ulicy Niekłańskiej w Warszawie, projekt, szkielec i budulec każdego dnia, i wlepione w ojca przerażone oczy obu synów, i wewnętrzny dygot matki. Jeśli ojciec odstawi swoją urzędniczą teczkę, umyje ręce i usiądzie do stołu, to dobrze. Ale może najpierw podejść do kredensu w kuchni, w którym zawsze stoi flaszka wódki, a przy niej dropsy, i wykonać ten charakterystyczny ruch z uniesioną ręką i głową odrzucaną do tyłu. Kiedy Michał myśli o ojcu, zawsze widzi go przed tym kredensem.

– Po takim wstępie dopiero siada do obiadu – opowiada Michał. – Ale już nie tak mu smakuje, nie za dobre jest, za chłodne, za gorące, za słone, a biedna mama sama nie wie, czy podawać drugie... Wybuch awantura, a on te pół literka od tej szesnastej trzydzieści czy siedemnastej do jakiejś dwudziestej wolno rozpracowuje.

– Był domowym pijakiem.

– Domowym – potwierdza Michał. – Nigdy nie pił na mieście.

– Dlaczego dropsy? – Mnie dręczy zupełnie inna sprawa. – W kredensie.

– Pije i zagryza miętowymi dropsami.

– A w domu po co?

– Chuj go wie! – mówi Michał, ale widzę, że coraz trudniej jest mu

o tym opowiadać, i to nie tylko dlatego, że przez całe życie nie rozwikłał zagadki tych głupich miętusów. – Przez lata nienawidziłem go z całego serca, ale już z tym nie mam problemu. Jakies dwa-trzy lata temu wewnątrz mu wybaczyłem. Nasze dusze są w komitywie. Był bardzo biedny.

– Zrobił w domu piekło.

– Tak. Piekło nieustającego napięcia, nie do wytrzymania. Nieustający strach, co będzie dzisiaj wieczora. Usiądzie do stołu czy stanie przy kredensie? Będzie awantura, będą krzyki, wyzwiska?

– O co się awantuował?

– No, o nic! Że jedzenie niedobre. Albo że coś mu upadło, omsknęło się, a wszyscy napięci jak diabli, to eksplozja musi nastąpić. Jak u Czechowa: strzelba wisi, to kiedyś jak nic wystrzeli. Ale chociaż nie zawsze strzelała, napięcie zawsze było niesłychane. Ono było tak samo koszmarne bolesne, niszczące, demolujące nasze psychiki jak same awantury, a to wszystko przekładało się na wzorce zachowań, na przykład takie, że wstydziłem się zaprosić kolegów do domu. Ani ja, ani mój brat nigdy tego nie robiliśmy. Wstydziliśmy się ojca...

Michał sładzi zimną kawę. Dwie łyżki do małej filiżanki. Miesza długo, jakby grał na czas. Ręce opadają bezradnie, ale po drodze przypadkowo nurkują w kieszeniach marynarki.

– Coś tak zamilkł? – pytam go cicho po długiej przerwie.

WANNA. Druga tajemnica dziecięca

Przewalamy perfekcyjnie poukładane dwupokojowe mieszkanie Michała na Starej Ochoce. Otwieramy kolejne kartonowe pudła z Ikei, które zwykle kupują ludzie, którzy nie cierpią wyrzucać, ludzie z ogromem zadrukowanego papieru w domu. Znajdujemy stary elementarz Falskiego, na którym obaj uczyliśmy się czytać i zapisywać papier, pachnącą mydłem maszynkę do golenia Michałowego ojca i jego skórzaną kosmetyczkę podróżną z krokodyla z napisem EXTRA ŁÓDŹ. Jest nawet obroża Odysa.

Bo jego ukochanym psem nie był jakiś narwany beagle, tylko poważny, wielki, czarny wilczur, owczarek niemiecki, który do dzisiaj uśmiecha się z komputerowej tapety Michała.

– Czujesz? Dziewięć lat nie żyje, a obroża jeszcze pachnie – cieszy się Michał i podsuwa mi obrożę Odysa pod nos.

– Ja w piwnicy od pięciu lat ukrywam przed żoną posłanie mojego łapy. Czasami z drugim psem chodzimy sobie tam powęszyc.

– Odys miał trzynaście lat i poważną dysplazję.

To wada wrodzona stawu biodrowego, na którą bardzo często chorują rasowe owczarki, psom ubywa mocy, siły w nogach, cierpią, kuleją, a wreszcie tracą czucie i dochodzi do całkowitego niedowładu. A u Michała w domu żona, dwie córki, a on, w odróżnieniu od Odysa, niezbyt ogromny, do tego trzecie piętro bez windy. Zwyczajnie nie dawał rady go nosić, zrobił więc wybieg na balkonie, wysypał żwir jak w kuwecie dla kotów, psisko męczyło się kilka dni, ale przywykło, bo co miało zrobić... Pożył jeszcze kilka miesięcy.

Na koniec zeszli się wszyscy w domu. Potem przysłała pani doktor, zrobiła zastrzyk, oni sobie popłakali, zamknęli Odysowi oczy i zawieźli na psi cmentarz do Konika Nowego pod Warszawą. Ale to znacznie późniejsze czasy, o których będzie na końcu tej książki. Na razie przewalamy mieszkanie Michała i szukamy jego dzienników, które pisał przed laty.

Chodzi nam o historię z września 1965 roku. Michał ma 11 lat, a jego matka bez żadnego kontaktu ze światem leży od wielu dni na łożku twarzą do ściany. Co jakiś czas przychodzą do niej wojenne zmory, mówi, że czuje gaz.

– To jest moje pierwsze doświadczenie z jej chorobą psychiczną – mówi Michał.

– Dzisiaj byśmy wiedzieli, że to depresja.

– Tak. Pierwszy raz próbuje popełnić samobójstwo i na wiele miesięcy trafia do zakładu psychiatrycznego w Drewnicy, a kilka lat później, 10 czerwca 1972 roku...

– Skąd tak dokładnie pamiętasz datę?!

– Bo to moje osiemnaste urodziny.

Wraca wieczorem do domu po winku z kolegami. Wyjmuje klucz, otwiera, nikt się nie pokazuje w korytarzu, to leci przez wszystkie pokoje, kuchnię, przez okno spogląda na chodnik pod blokiem, wpada do łazienki... A tam wanna pełna krwi.

Krew ma ogromną moc barwienia, niewiele trzeba, żeby wannę z gorącą wodą zamienić w buchającą parą wannę pełną krwi. Upaprane kafelki, zlew, podłoga. Czyta kartkę: mama podcięła sobie żyły, jedziemy do szpitala. Pisane ręką ojca. Uratowali, ale znowu szpital wiele miesięcy.

– A ja oprócz tego, że wstydzę się ojca alkoholika, to straszliwie wstydzę się choroby matki – opowiada Michał. – Jak mnie pytają w szkole, dlaczego nie była na zebraniu, mówię, że leży w szpitalu

na serce. Dorastałem jako dziecko alkoholika z przejmującym wstydem, od którego musiałem uciec za wszelką cenę. Więc wszystko, co przez kawał życia robiłem, było właśnie tym. Tą ucieczką. Żeby nie być gorszy od innych! Miałem świetne wyniki w liceum, byłem aktywny, „społecznie użyteczny”, jak wtedy mówiło się o ludziach, potem studia, znowu jak burza, zostaję na uniwersytecie i nikt od lat nie pyta, i nie sprawdza, i nie patrzy, czy portki mam pocerowane, czy mam pieniądze, czy nie jestem głodny, czy ojciec aby nie pijak... A ja ciągle i tak uciekam do przodu, bo chcę być lepszy.

– Ucieczka, która napędza życiowo.

– Ale od tego nie można uciec! – cichutko krzyczy Michał. – Minęło czterdzieści pięć lat, a ja ze szczegółami pamiętam, jak mi Marysia Klonowska dała kosza na szkolnej wycieczce po pierwszej klasie liceum! Uwierzysz?! Przez większość swojego życia pamiętam tylko przykre, złe doświadczenia, złe rzeczy, które mnie spotkały. Pamiętam nawet, że ta Marysia wybrała Mariusza Ciesielskiego, że to było 2 czerwca 1970 roku wieczorem, pamiętam, jak pachniał i szumiał wtedy las, pamiętam to straszne uczucie przegranej. Uwierzysz?! Wariat jakiś! A ja cierpiałem i demonstrowałem to cierpienie na każdym kroku, obnosiłem je po całej szkole jak sztandar na procesji, a wszystko po to, żeby mi współczuli, żeby się litowali. Bo wtedy cię widzą. A problem dziecka alkoholika polega na tym, że ono przychodzi do pijanego ojca i mówi: „Tata, nie pij”, a ten nie słyszy, nie zwraca na nie uwagi, nie widzi go nawet. Dziecko alkoholika nie umie wydobyć swojego istnienia.

– A więc go nie ma.

– Tak. A jemu się wydaje jeszcze, że wszyscy inni także patrzą na niego, jakby nie istniał, jakby go nie było. Typowy problem DA, czyli dziecka alkoholika, i DDA – dorosłego dziecka alkoholika. Gdyby zrobić badania psychologiczne celebrytów, którzy mają nieodpartą potrzebę pokazywania całego siebie z najdrobniejszymi szczegółami,

że na przykład pobiła mnie żona, teść pożyczył, ale nie oddał, a ja mam nowe implanty bicepsów i pośladków, toby się okazało, że to wszystko są DDA, psychiki uzależnień.

– Politycy też mają niepoahamowaną potrzebę występowania, pokazywania się, brylowania.

– Bo im bardziej cię nie ma, tym bardziej się starasz, żeby zaistnieć.

MACIEK. Dzieci jakiejś wojny

– Mój ojciec Sylwester Zalewski miał ośmiu braci – opowiada Maciej Zalewski, rocznik 1956, poseł pierwszej kadencji i minister w kancelarii prezydenta Lecha Wałęsy na początku polskich przemian. – Ale tylko trzech przeżyło okupację.

Ich ojca Niemcy zamordowali i spalili w Auschwitz, do którego trafił za pokątny handel ciuchami; matka, czyli babcia Maćka, zginęła od radzieckiej bomby podczas wyzwalania spod hitlerowskiej okupacji. To była bardzo zacna, majątna, kupiecka rodzina z Lipna na ziemi dobrzyńskiej, która została wcielona do III Rzeszy, więc rodzina z innymi Polakami została wygnana do Generalnej Guberni. Po wojnie Maćkowy ojciec trafia do zakonnego sierocińca we Włocławku, gdzie kończy liceum, stryj Klimek zostaje strażakiem w Świnoujściu, a stryj Kazik próbuje prysnąć na Zachód, ale go łapią w Czechosłowacji, oddają naszym, a ci pakują go na trzy lata do roboczych batalionów i kopalni węgla na Śląsku. To specjalne, karne formacje żołnierzy górników dla wszystkich wrogów klasowych i ich dzieci, którym władza ludowa kompletnie nie ufa i za nic w świecie nie dałaby im broni do ręki. Przez tę formację do 1956 roku przewija się dwieście tysięcy chłopaków, którzy ryją węgiel na Śląsku. Trzy tysiące z nich ryją w Sudetach uran na potrzeby radzieckiego programu atomowego, co prawie wszyscy przypłacają życiem. Do dzisiaj żyje tylko trzech z nich.

Mój ojciec ma dwadzieścia jeden lat, kiedy na trzydzieści miesięcy trafia do tej niewolniczej pracy ponad siły. Bo jest synem dziedzica z Rozlazłowa Szlacheckiego pod Sochaczewem, dziedzica, który mało,

że jest oficerem carskiej armii, to potem walczy jeszcze z bolszewikami jako żołnierz Wojska Polskiego. Najbardziej wredna kombinacja z możliwych.

A rodzinę matki Maćka Zalewskiego Niemcy także wyrywają z korzeniami. Choćby dlatego, że tuż przed wojną oddali trzynaście koni pociągowych na potrzeby Wojska Polskiego. To potem żandarmi dają im piętnaście minut na spakowanie, wszyscy na furmankę i won do GG, tym bardziej że Kutno, w którym mieszkają, także zostaje wcielone do Rzeszy. To również bardzo zająca, majątna i szanowana w mieście rodzina, tyle że rzeźników. Dziadek Maćka jest miejscowym królem wieprzowej rąbki, szpondra, łopatki i wołowej pręgi. Wojnę spędzają w nędznej chłopskiej chałupie na Podlasiu, w okolicy, w której poluje się na Żydów, bo to niedaleko Treblinki, a gdy przewala się front, ginie druga babka Maćka. Wracają do Kutna, ale już nie podnoszą się z upadku, nie dają rady przetrwać nacjonalizacji majątku i szykan młodej władzy ludowej.

Dzieci obu rodzin poznają się podczas studiów na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Matka Maćka jest na psychologii, ojciec – na filozofii, po której dostaje propozycję pracy w wydawnictwie Stowarzyszenia „PAX”, świeckiej organizacji katolickiej, która bardzo długo i paskudnie kolaboruje z komunistami. Dla wojennego sieroty, który mieszka w akademiku, to propozycja nie do odrzucenia, bo w pakiecie jest trzypokojowe mieszkanie w Warszawie. Pracuje w PAX-ie całe życie, najpierw jako prosty redaktor, by po doktoracie, w latach siedemdziesiątych, być już szefem tego bardzo dobrego, wydającego wartościowe książki wydawnictwa. Kończy jednak znowu jako prosty redaktor, bo po 13 grudnia 1981 roku władza przeprowadza czystkę w stowarzyszeniu, które przed stanem wojennym popiera „Solidarność”.

– Rodzice to straszliwie pokiereszowane dzieci wojny – opowiada

Maciek. – Mama jest do tego zapiekłą przeciwniczką systemu komunistycznego, i tak z nami rozmawia, tak wychowuje synów.

MARYŚKA.

Kuchnia całkiem ciemna

Prawie wszyscy rodzice dziewczyn i chłopaków z Firmy są pokancerowanymi dziećmi jakiejś wojny.

Albo ciała mają poharatane, albo w głowach. Domy, gospodarstwa, warsztaty – życie całe w gruzach.

Ale o tym w ogóle miało nie być. Pierwotnie *Skucha* miała być dużo mniejszą, skromniutką, jednoczęściową książką rozpoczynającą się od opowieści, która teraz otwiera część drugą. Planowałem twardo trzymać się głównego tematu, zatem pytania, jak się żyje w wolnej Polsce ludziom, którzy o nią walczyli. Ale jak opowiadać o kimś, kogo nie znamy, nie rozumiemy, nie pojmujemy życiowych wyborów, których dokonał, słowem – skąd przyszedł?

Muszę się zatem cofnąć w czasie.

Ojciec Maryśki Kołnierzak na przykład, Tadeusz, wychodzi do roboty na noc, bo jest kolejarzem, zatem robotniczym arystokratą z robotniczej Woli, zawiadowcą stacji Warszawa-Czyste, rano wraca, a domu nie ma. Szczęściem jego kobita też wychodzi rano z damską torebką po zakupy, też wraca, a tam jej mąż przy tej kupie gruzu. Jest 1 września 1939 roku. Pierwszy nalot na Warszawę, pierwsza bomba prosto w ich dach. Tak jak stoją, w letnich ciuchach, idą w miasto. Trochę się tułają, ale gdy Niemcy zaczynają tworzyć getto dla Żydów, zwalnia się mieszkanie na ulicy Brzeskiej 17a pod sześćdziesiątym, na Pradze, zatem w miejscu o zasłuzenie najgorszej opinii w stolicy. Tam pięć lat po wojnie rodzi się Maryśka.

A jeszcze kilka lat później w ich kamienicy zostaje założona świetlica

Towarzystwa Przyjaciół Dzieci, z jednym z pierwszych telewizorów na ich legendarnej ulicy. Świetlicę prowadzi pani Dębska, która każdego wieczora bierze odbiornik na plecy i niesie do swojego domu na noc, więc telewizora nie kradną, ktoś podpala za to świetlicę i nic nie daje się uratować, więc dzieciaki jak stały wcześniej w bramach całe dnie, tak znowu stoją.

– Tam uczyłam się solidarności! – krzyczy Maryśka z kuchni. – Szemrane towarzystwo, złodziej na złodzieju, ale mieszkanie można było zostawiać otwarte, i nawet pilnowali przed obcymi, a sami kraść chodzili na dziesiątą ulicę! I nigdy nie bałam się tam łązić po nocy. Herbatę chcesz w szklance czy w kubku?

– Lepiej w kubku.

– A gdybyś jaką pracę miał na oku, to ja cię błagam, biorę cokolwiek, bo już nie daję rady, emerycka nędza taka, bo dział windykacji z banku...

– Maryś! – przerywam jej. – Ten rozdział jest o korzeniach, rodzicach, o tym, skąd przyszliśmy...

– Dobra, już dobra, ale wiesz, ja nawet sprzątanie wezmę.

Ale jak ma wziąć, jak ledwo się rusza? Duża taka. Sześćdziesiąt pięć lat i jeszcze jej przepuklina brzuszna wylazła.

Ma dwa lata, kiedy do ich mieszkania na Brzeskiej wpada dozorca o nazwisku Dodas, który od września 1939 roku jąka się tak, że trudno go zrozumieć.

– Pa-pa-pa-pani Tu-tu-turkowska! – krzyczy do matki Marysi. – Me-me-męża su-su-su-smutni zabrali!

W dawnej Warszawie „smutni” to tajniacy. Ojca dziewczynki zabierają spod ich kamienicy, kiedy wychodzi do pracy, i ślad po nim ginie. Był żołnierzem AK o pseudonimie „Lopek”, walczył w powstaniu warszawskim, jego brat Franek został zamordowany w Katyniu, a drugi brat Staszek ma na ścianie w domu portret Stalina, więc ojciec Maryśki nie chce go znać.

Wraca do rodziny po roku, ale jest zupełnie sparaliżowany. Tak go tłucli na UB, aż uszkodzili kręgosłup. Już nigdy nie pracuje. Leży trochę w szpitalu, a potem w domu.

– Postępowy paraliż szedł – mówi Marycha. – Reszta życia w łóżku, mama przypala mu papierosy, ja karmię... I pije.

– To jak kupuje wódkę? Jak pije? Nalewa?

– Nie wiem. Miałam siedem lat, jak umarł, ale pamiętam, że ciągle pije. I leży cztery lata.

– Skąd wódka?

– Przecież tam w każdej bramie tym handlują, w co drugiej chałupie melina. Mogli mu przynosić. Ale pieniędzy też nie ma. Siostra od szesnastego roku życia pracuje jako goniec, a mama dorywczo na Bazarze Różyckiego.

Maryśka jest w Firmie przedstawicielką Domu Słowa Polskiego, największej warszawskiej drukarni, gdzie jest pracownikiem administracji w wydziale gazetowym. Kradnie na potrzeby organizacji papier, farby drukarskie i blachy do matryc offsetowych, bierze udział w poniedziałkowych prezydiach MKK, na których zbierają się przedstawiciele warszawskich dzielnic i największych zakładów przynależnych do ich struktury.

W połowie lat sześćdziesiątych przenosi się z matką z kamienicy na Brzeskiej do ogromnego bloku z ciemnymi kuchniami na Broniewskiego. W Firmie jej mieszkanie jest przede wszystkim adresem, meliną, lokalem, punktem, gdzie spływają gazety, ukrywają się poszukiwani przez bezpiekę ludzie, gdzie odbywają się dziesiątki spotkań, ale i wtedy, i teraz nie ma w tej biednej chałupie czegoś, na czym można by na dłużej zawiesić oko, poza zbiorem kilkudziesięciu małych zegarków na baterijki w kształcie ptaszka, aniołka, egipskiej piramidy, wieży Eiffla i poza plastikową Matką Boską z Częstochowy, albo raczej butelką w kształcie Matki Boskiej, niebieskiego koloru,

której trzeba odkręcić koronę, żeby się napić.

– To na święconą wodę przecież! – strofuje mnie gospodyni. – Jak ksiądz chodzi po kolędzie, to zawsze mam co dać do kropidła. Bo jestem bardzo religijna, a człowiek w chorobie, nawet z taką głupią przepukliną jak moja, to jeszcze bardziej bliżej Boga. Mam ślub kościelny, ale tylko trzy lata jesteśmy razem, bo to nie jest jakaś wielka miłość. Dwadzieścia cztery lata mam, jak się rozwodzę, bo ja nie mam studiów, ale wychowanie z domu mam, ojciec rodowity warszawiak, z inteligentkiej rodziny, a ten mój Zbyszek to zwykły szofer. On tylko „Tygrysy” czyta. Pamiętasz te książki?

– W kioskach się kupowało. Broszurki kieszonkowe o wojnie z paszczą tygrysa na okładce.

– Od tamtej pory nic. Żadnego chłopa.

EWA. Nigdy tu nie wracaj

Ewa w mowie i ruchach szybka, ostra i wyrywna jak doberman. Dziewczyna sprężynowa, rocznik 1945. Sucha, żylasta i postrzelona. Tak ją zapamiętałem, ale za nic w świecie nie mogę sobie przypomnieć, gdzie mieszka, poza tym, że w Pyrach, na obrzeżu Warszawy.

Muszę szukać niewielkiego dworu z XVII wieku, w którym od pokoleń mieszka jej rodzina. Pomaga mi inna Ewa, Choromańska, zwana „Celiną”, szefowa Firmy z tamtych lat, która też nie zna adresu, ale umie trafić na oko.

Jednak nie jest łatwo. Nie poznajemy ani trzystupięćdziesięcioletniego domu, który jakoś urósł o całą kondygnację, ani gospodyni, która tak bardzo nie jest gibka ani wiotka, ani podobna do siebie, czego jednak należało się spodziewać po tylu latach, że prosimy o telefon albo adres poprzedniej właścicielki.

– Ależ to ja jestem! – woła Ewa Galster. – Gdzieżbym naszego domu się pozbyła?! To jedyne, co nam zostało.

Zostało z dużego majątku rodziny od zawsze związanej z warszawskim Mokotowem. Dwór w Pyrach, na przedłużeniu ulicy Puławskiej, głównej arterii dzielnicy, to folwark, w którym ich rodzina spędza wakacje. Cała reszta zostaje im odebrana w 1945 roku dekretem prezydenta Bolesława Bieruta albo później. Piekarnia na ulicy Sandomierskiej, gdzie wypiekany jest bardzo znany w stolicy chleb sandomierski, jest ostatnią w Warszawie, którą władza zabiera poprzednim właścicielom. Rozgrywa się to w 1958 roku. Obie ich dawne kamienice stoją na tej ulicy do dzisiaj i Ewa od dwudziestu lat

bezszykownie stara się je odzyskać.

– Pech polega na tym, że ta pod numerem 23 na rogu Rakowieckiej jest vis-à-vis ubecji. – Ewa mówi o kompleksie gmachów MSW, a konkretnie Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, gdzie przed laty mieściła się komunistyczna poprzedniczka tej służby. – To oni zabrali kamienicę, bo musieli gdzieś mieszkać, i nawet nie pozwolili wziąć ze sobą żadnych rzeczy, kiedy nas wyganiali. Trzymają budynek w swoich łapach do dzisiaj, skarb państwa sprzedaje go ubeckiej spółdzielni mieszkaniowej Wspólnymi Siłami, więc teraz z nimi bezszykownie walczę na korespondencję, i czy w ratuszu siedzi ten, czy inny chuj, jest tak samo, żadnej odpowiedzi, żadnej reprzywatyzacji, rekompensaty, zadośćuczynienia. Mówią, że nie mają z czego oddać, a w tej kamienicy pod 23 prezeska spółdzielni ma dwa lokale, w żadnym nie mieszka, wynajmuje, zarabia, to ja pytam: jakim prawem?! Dlaczego ona, a nie ja? Dlaczego nikt mnie nie wspiera, nie jest po mojej stronie? Przecież to rażąca niesprawiedliwość!

– Co na to twoi synowie? – pytam.

– Maciek ma firmę budowlaną i zachrzania od świtu do nocy, a Bartek jest dyrektorem szkoły społecznej i też zachrzania od świtu do nocy.

Ojciec Ewy w czasie okupacji siedział w więzieniu na Pawiaku, bo odmówił podpisania folkslisty. Był pastorem w protestanckiej parafii w Iwicznej za Pyrami w stronę Piaseczna, a większość jego wiernych podpisała listę narodowościową, bo mieli niemieckie korzenie.

Ewa dobrze nie wie, czy obie jej starsze siostry zostają aresztowane z tego samego powodu co ojciec, czy wpadają w uliczną obławę podczas łapanki. Razem trafiają do żeńskiego obozu koncentracyjnego Ravensbrück, razem cudem przeżywają, a gdy chcą ruszyć w drogę powrotną do domu, dostają od ojca wiadomość: „Za nic w świecie tutaj nie wracajcie!” Osiedlają się więc w Szwecji, a ich ojciec porzuca swoją luterańską parafię, pracę duchownego i odchodzi z Kościoła, a potem

zakłada własne wydawnictwo, ale na początku lat sześćdziesiątych traci je razem z ostatnią piekarnią, która jest jeszcze w rękach rodziny.

Przez lata, przez dziesięciolecia żyją ze sprzedawanego kawałek po kawałku mająteczku w Pyrach, który na szczęście jest tak mały, że nawet władza ludowa nie może im go zabrać, bo ma zaledwie kilkanaście hektarów, więc nie podlega reformie rolnej z 1944 roku. Wuj kawalerzysta hoduje konie, ojciec Ewy uczy w szkole greki i łaciny, matka – fizyki, brat Ewy wykłada na Uniwersytecie Warszawskim filologię rosyjską, ale go wyrzucają w 1968 roku, chociaż to nie on, tylko jego profesor jest Żydem, do tego bezpartyjnym. Brat pisze potem książki biograficzne o największych pisarzach i poetach rosyjskich i tak wspólnymi siłami rodziny radzą sobie jakoś we wrogiej rzeczywistości socjalistycznej.

Ostatni spłachetek z ich ogromnego niegdyś majątku Ewa sprzedaje już w wolnej Polsce. To koński maneż, za który Ewka podciąga dom o jedno piętro.

– Wydawało mi się, że to fajny pomysł, bo byłam młoda, synowie rośli i tylko patrzeć, jak sami mieli mieć dzieci – mówi Ewa. – Teraz sobie policzyłam, ile to razy ja muszę wlecieć tam po coś na górę. To jest co najmniej trzydzieści razy! Trzy-dzie-ści! Wyobrażasz sobie? Baba siedemdziesiąt lat codziennie wtrynia się po schodach na taras widokowy Pałacu Kultury! I z powrotem.

MAREK.

Sto gramów spryskiwacza

Rodzice Marka Latosa, którego w Firmie nazywali „Grubym”, jakby z przeciwnego bieguna społecznej galaktyki. Pani Janina jest pielęgniarką, jej mąż Jerzy – hutnikiem z wydziału W47, czyli tak zwanej zimnej taśmy. Mieszkają w bloku na warszawskim Wrzecionie, wielkim osiedlu, które Huta Warszawa wybudowała dla swoich pracowników.

Marka nazywają „Grubym”, ale wcale nie jest gruby, upasiony, otyły, tylko duży, potężny, mięsny i zwalisty – wielkie chłopisko po prostu. Do wybuchu stanu wojennego pracuje w Mennicy, gdzie jest sekretarzem Komisji Zakładowej „Solidarności”. Dzięki tej pracy poznaje i bardzo się zaprzyjaźnia z Ewą Galster, córką pastora i szefową związku w Stołecznych Zakładach Winiarsko-Spożywczych „Warsowin”, produkujących tanie wina owocowe, pitne miody, konfitury i dżemy. Zakłady Ewy i Marka sąsiadują ze sobą przez ulicę Żelazną na warszawskiej Woli, a ich coraz bardziej gorąca, namiętna nawet, znajomość najbujniej rozkwita po 13 grudnia 1981 roku, kiedy oboje zostają wyrzuceni z pracy.

Tylko Markowi udaje się znaleźć inną robotę. Idzie do Huty Warszawa, na wydział walcowni W46, który sąsiaduje z wydziałem jego ojca.

– Ale ja nigdy nie miałem z nim żadnej więzi – Marek obojętnie krzywi usta.

– Nie bawi się z tobą, kiedy jesteś mały?

– Co ty! Nie pamiętam, żeby wziął mnie kiedy na barana. On ma swoje pianino i codziennie przez cały wieczór napierdala na nim

od powrotu z pracy. Tylko to go interesuje.

– Żartujesz! Hutnik posuwa na pianinie?

– Nawet Chopina. Z nut, ale to było żałosne, bo on samouk. U nas bardzo długo nie ma telewizora, ale wujek zmienia sobie na nowy, to stary oddaje nam i ojciec dla odmiany zostaje fanem telewizji. Wraca z pracy, włącza, zasiada i nie rusza się aż do hymnu. Nawet pianino idzie w odstawkę. To on jest winien śmierci Wieśka, mojego brata. Ojciec ma totalnie w dupie, że czternastoletni gnój zaczyna się szlajać, wsiąka, wpada, wpierdala się w takie rozmemłane, artystyczne towarzystwo. Nic, tylko włączy się po knajpach, nocnych klubach i pije, a organizm młody, to bardzo szybko wciąga się w gorzałę. To ja z matką, chociaż mam tylko osiemnaście lat, jeżdżę go szukać, wywlekać z melin, walczyć o dzieciaka, ale to nic nie daje i Wiesiek wreszcie wynosi się na dobre.

– Prochy też były? – pytam.

– Pewnie tak. I denaturat, inne wynalazki, i wreszcie Wiesiek doprowadza się do takiego stanu, że za sto gramów spryskiwacza do szyb zrobi wszystko. Brudny, zasyfiony, zarzygany, zawszony, zasrany... Straszny. Opuchnięty menel od dykty, degenerat chory na wszystkie choroby świata.

Mieszka z kumplem, który ma rentę inwalidzką i tylko ona utrzymuje ich przy życiu. W domu brat pojawia się na święta Bożego Narodzenia, ale nie po to, żeby pogrzać się przy domowym ognisku, żeby poczuć rodzinne ciepło, pokosztować miłości, bo tej nie ma tam na zbyciu. Wiesiek przychodzi, żeby od rodziców dostać dwadzieścia złotych pod choinkę. Nawet od ojca, który jako rodzic abdykował przed wielu laty, kiedy chłopcy mieli po dziesięć, dwanaście lat i z kolegami podwędzili samochód, rozbili go, więc ojciec chciał ich sprać, ale sam za takie metody wychowawcze dostał od żony po twarzy. Chłopcy wiedzą, że jakiegokolwiek draństwa by się dopuścili, matka będzie broniła ich do upadłego.

Któregoś roku Wiesiek nie pojawia się w domu bardzo długo. Znika gdzieś na dobre, zapada się w nicość, pod ziemię, w czarną dziurę, że nawet jego jedyny, serdeczny kumpel nie umie znaleźć go na żadnej z melin, więc rozpoczyna wędrówkę po szpitalach. I odnajduje zamrożonego w kostnicy.

Karetka pogotowia zabrała go nieprzytomnego i bez dokumentów z przystanku autobusowego, zawieźli go do szpitala, gdzie po kilku godzinach chłopak umarł.

– Fatalnie trafia – opowiada „Gruby” Marek. – Bo to bardzo długi majowy weekend, więc lekarze totalnie mają w dupie takiego zasyfionego menela z przystanku. Umarł sobie, to go wpierdalają gdzieś do kąta i zamrażają na miesiąc. Docieram tam w dniu, kiedy mają go pochować. Już jest tabliczka z datą śmierci i literami NN, a w kącie państwowa trumna, tyle że on był mojego wzrostu, a trumna najwyżej jak ta... – Marka dusi coś w gardle, więc oczami pokazuje lodówkę, która mnie sięga najwyżej do brody. Rozmawiamy w jego tymczasowej, londyńskiej kuchni.

– To musieliby mu głowę uciąć i wsadzić pod pachę – oceniam.

– Pytam grabarzy, jak oni chcą go tam, kurwa, wpakować, a oni: „Spokojnie, mistrzu, się zmieści”. Nogi by mu połamali i jakoś do środka upchali, ale jak się rodzina znalazła, to dopłacamy, dają nam nową trumnę, golą, myją, ubierają, sramto, owamto... Wiesiek zapił się po prostu, zachlał, chociaż w akcie zgonu napisane jest, że zapalenie płuc.

TOMEK.

Stołowa nerwica wegetatywna

Był więc ojciec kolejarz, luterański pastor, hutnik, redaktor, matka od psychologii, fizyki, gospodyni domowa, a teraz będzie najprawdziwsza księżniczka, bo matka Tomasza Dangela z domu jest Drucka-Lubecka, także sierota wojenna, bo jej ojca, Konstantego, dowódcę Wileńskiej Brygady Kawalerii i więźnia Starobielska, Sowieci mordują na wiosnę 1940 roku w Bykowni na Ukrainie. Całą wojnę światową dziewczyna spędza w ich majątku w Mszanie Dolnej, a gdy komuniści wszystko im zabierają, przenosi się do Warszawy. Tam poznaje Tomkowego ojca, Jana Dangela, pseudonim „Smoleński”, który razem z majorem Janem Włodarkiewiczem i rotmistrzem Witoldem Pileckim zakładają w czasie okupacji Tajną Armię Polski, która nim jeszcze połączy się z AK, ma poważną wyspę i ojciec Tomka trafia do Konzentrationslager Auschwitz. Potem są KL Dachau i KL Sachsenhausen, gdzie jest ofiarą pseudomedycznych doświadczeń z gruźlicą. W ostatniej fazie wojny organizuje ucieczkę z obozu, ratując życie pięćdziesięciu towarzyszom, których doprowadza do Polski. Do Warszawy dociera w obozowym pasiaku.

To jedyny mężczyzna w rodzinie Tomasza, który przeżył wojnę, chociaż jako pierwszy, na samym początku okupacji, trafił do obozu.

– Niesłychanie twardy człowiek – mówi jego syn. – Bardzo wymagający. Jako nastolatek nie mam z nim dobrego kontaktu.

– Cierpi na syndrom pola walki – bardziej stwierdzam, niż pytam.

– Raczej syndrom więźnia obozu koncentracyjnego. Kiedy zasypia przy włączonym świetle, a tak było w obozowych barakach, to gdy je

ktoś z domowników wyłącza, ojciec budzi się natychmiast. Nie było wolno też mówić u nas w domu po niemiecku i za nic w świecie nie włoży piżamy w paski, a ma dwa metry wzrostu, niełatwo znaleźć coś w tym rozmiarze, więc piżamy z gładkiego materiału szyte są na zamówienie. Pamiętam jeszcze, że zawsze ma przy sobie małą ikonę, która należała do zamordowanego ukraińskiego współwięźnia.

Tomek dziedziczy po ojcu nadzwyczajny wzrost. Taki rozmiar to poważny mankament dla konspiratora, bo rzuca się w oczy, ale ja tylko dzięki temu jakoś go pamiętam, bo w latach osiemdziesiątych nie mamy ze sobą do czynienia, niczego razem nie robimy. Jak przez mgłę przypominam sobie suchego drągała, który w Firmie jest przedstawicielem Centrum Zdrowia Dziecka.

– Z mojego dzieciństwa pamiętam, że jak siadałem z ojcem do stołu, to od razu zaczynał boleć mnie brzuch – wspomina Tomek. – Bo wiedziałem, że niczego nie będzie można zostawić, żadnych ziemniaków nawet, chleba, a u nas nie było tak, że każdy sam nakładał na talerz. Dostajesz swoją porcję i trzeba zjeść. Nic nie wolno wyrzucić. Nabawiłem się najprawdziwszej nerwicy związanej z jedzeniem.

– Ludzie po takich przejściach chyba mają prawo mieć trudny charakter.

– Przeżył głód, więc szanuje jedzenie. Jest twardy. Nie dał się złamać ani Niemcom, ani komunistom i zachował wiarę w Boga. To on kieruje mnie do harcerstwa, które mnie kształtuje. Ojciec umiera z głodu i wyniszczenia. Ma raka przełyku, a ja dwadzieścia lat wtedy. I nie żegnam się z nim. Długo muszę potem nad tym pracować.

– Psy ojciec lubi?

– Bardzo! Ma jamnika, którego trzeba było oddać, kiedy się urodziłem, bo gotów był mnie zagryźć z zazdrości o ojca.

Nie bez powodu akurat w tym momencie zadaję to pytanie od czapy. Opowieść Tomka przypomina mi historię z domu Piotra Stasińskiego,

w którym także nie było wolno zostawiać niczego na talerzu. Piotrek jest zastępcą redaktora naczelnego w „Gazecie Wyborczej”, moim przełożonym, a w czasach podziemia działa w Firmie, jest dziennikarzem i jednym z założycieli naszej gazety „Wola”. Pojawi się jeszcze w opowieściach innych ludzi, ale nie ma go w spisie osób dramatu na początku książki, nie może być moim bohaterem, bo w tamtych czasach nigdy się nie spotkaliśmy.

Ojciec Piotrka przez trzy i pół roku codziennie umiera w Auschwitz, do którego trafia za słuchanie radia. Ma na ramieniu wytatuowany numer 20761 i też przeprowadzają na nim eksperymenty, tyle że z tyfusem. W niezwyklej, bardzo poruszającej opowieści o ojcu opublikowanej w „Wyborczej” jego drugi syn Maciek pisze o zakonserwowanym na zawsze panicznym strachu przed psami, nawet tymi najmniejszymi, który bierze się ze wspomnień o szczutych przez esesmanów ogromnych dogach, które jednym kłapnięciem paszczy wyrywały więźniom pośladki.

A Tomek Dangel, rocznik 1954, uważa, że na starość coraz bardziej robi się podobny do swojego ojca. Jest anestezjologiem, twórcą i lekarzem pierwszego w Polsce domowego hospicjum dla dzieci, którego filozofia sprowadza się do tego, że każdy, a szczególnie mały człowiek, nie powinien umierać w zimnym szpitalu wśród obcych, tylko w ciepłe swojego domu, w swoim łóżku, otoczony czułą opieką i miłością bliskich osób.

– W liceum przeczytałem książkę Adama Majewskiego *Wojna, ludzie i medycyna*, chirurga, który przeszedł cały szlak bojowy z generałem Andersem podczas II wojny, i pod wpływem tej lektury postanowiłem zostać lekarzem, bo ta praca pozwalała w PRL-u uczciwie i sensownie żyć i nie musieć kolaborować z komunistami.

Chodzi do elitarnego w owym czasie Liceum imienia Reytana, jest instruktorem w jeszcze bardziej elitarniej drużynie harcerskiej zwanej

Czarną Jędynką 208. Szczepu imienia Batalionu „Parasol” Potem współpracuje z opozycyjnym Komitetem Obrony Robotników.

– Po raz pierwszy odważyłem się na nielegalną działalność i ryzyko – mówi.

Potem Tomek zakłada rodzinę, na świat przychodzi dziecko i jakby świat cały rodzi się na nowo, bo wybuchają „Solidarność”, a u Tomka na odwrót – rozpada się małżeństwo i wszystko wokół niego gwałtownie umiera. Zostaje zupełnie sam, bez żony, dziecka, z poczuciem totalnej klęski. Jeszcze starczy mu energii, żeby założyć „Solidarność” w Centrum Zdrowia Dziecka, gdzie pracuje.

– Jestem zagubiony, zdesperowany i poza Kościołem. – Powiniennem napisać to zdanie z wykrzyknikiem, ale on nigdy nie mówi głośno. – I zaczynam schodzić na złą drogę.

– Wóda?

– Nie. Radykalizm. Wybuchają stan wojenny, więc myślę, że po 13 grudnia powstanie państwo podziemne z konspiracyjnym systemem sądowniczym, z wyrokami i karami dla zdrajców. Teraz ci powiem coś, co nie nadaje się do druku.

– Spróbuj – bąkam i rozglądam się po jego surowym gabinecie z kartką TOMEK na drzwiach, w którym nie można spojrzeć przez okno, bo jest zamontowane wysoko w dachu. Kilka książek Korczaka, słowników medycznych, podręczników anestezjologii pediatrii i dotyczących leczenia bólu. Na ścianie dyplom za drugie miejsce w zawodach Weterani Warszawy w triathlonie, z pływackich Mistrzostw Polski Lekarzy Dębica 2013 i za najlepszy debiut rodzinny w sporcie lekarskim 2009. – Spróbuj – poganiam Tomka, a oczu nie mogę oderwać od plakatu z filmu Charliego Chaplina *Brzdąc*, który ociepla wszystko.

– Nie można skutecznie uprawiać polityki, zdobywać i utrzymywać władzy, nie zabijając ludzi. Tak wtedy myślę. Pacyfizm, choć zgodny z Ewangelią, jest sprzeczny z polską tradycją niepodległościową. To mój

dylemat. Nie można odzyskać wolności bez walki i ofiar, a na początku stanu wojennego dostaję kartę mobilizacyjną. Jestem oficerem rezerwy, lekarzem, a w środku coś mi mówi, że jak dadzą mi broń, to z niej skorzystam.

– I kropniesz jakiegoś czerwonego łobuza – podpowiadam.

– Ale bez wyroku sądu zabijać nie wolno. Postanawiam, że do wojska nie pójdę.

LUSTRO.

Trzecia tajemnica dziecięca

Trzecia i czwarta tajemnica dziecięca Michała Boniego powinny znaleźć się odpowiednio w drugiej i trzeciej części tej książki, bo tak wynika z jej układu, który przecież sam wymyśliłem, i z chronologii wydarzeń raz przedzielonej wypadkami roku 1981, a drugi raz wypadkami roku 1989. Pozostawię je jednak tutaj, bo historie, o których opowiadają, w mojej ocenie bardziej dotyczą dzieciństwa mojego bohatera niż jego lat dojrzałych.

– Kiedy w twoim życiu pojawia się polityka? – pytam więc Michała.

– W marcu sześćdziesiątego ósmego roku. Mam czternaście lat. Mój brat studiuje wtedy elektronikę na politechnice i bardzo dużo opowiada mi o studenckim buncie przeciwko komunistom, który wybucha na warszawskich uczelniach, więc zaczynam wydawać swoją własną jednokartkową gazetkę „Explicite” z komentarzami do wydarzeń politycznych, ale też domowych, o tym na przykład, jak to nasz ojciec bardzo jest tym wszystkim przerażony.

– Opozycyjna gazeta?

– Silnie. Wobec towarzysza „Wiesława”, partii komunistycznej, ojca, który do niej należy, i wobec wszystkiego. Na pudełku od zapalek rysuję dwie szpulki i klawisze, żeby mieć jakiś sprzęt, magnetofon...

– Dyktafon raczej.

– Tak, i przeprowadzam z ojcem kilka wywiadów, a po stłumieniu studenckiego buntu zostaję sprawozdawcą sportowym i kiedy z chłopakami gramy na podwórku w kolarski Wyścig Pokoju, ja czasem komentuję zawody z wozu transmisyjnego.

– Gracie kapslami?

– Jeszcze nie. Najpierw nożami. Rysuje się trasę na udeptanej ziemi podwórka i na stojaka trzeba w nią trafić nożem, posuwając się tak krok za krokiem do mety. Tam, gdzie tor się zwęża, trudniej trafić i jest lotna albo górską premia. Jak spudłujesz, jest skucha i wracasz na start.

Kapsle wchodzi później. Kiedy ja mam czternaście lat, błyskawicznie wypierają noże z tras Wyścigu Pokoju. Teraz już każdy może zagrać, największy nawet patałach, bo łatwiej znaleźć kapsel, niż matce podebrać nóż z kuchni albo bratu harcerską finkę. Do kapsli w środek wkładamy namalowane flamastrami na papierku flagi państw, ale żeby takie piony były cięższe i lepiej trzymały się drogi, wypełniamy je stearyną, którą od biedy można żuć jak gumę. Czasami gramy na drewnianej ramie piaskownicy, a kiedy parę lat później na wszystkich podwórkach w okolicy kładą asfalt, zwycięża nowoczesność i tory rysujemy białą kredą albo czerwoną cegłą. Ale w 1968 roku oranżada ma jeszcze sprężynową zapinkę z ceramicznym korkiem i gumką.

– Twój ojciec leczy się kiedyś? – pytam Michała.

– Nigdy – on na to. – Miewa czasem przerwę, jeden miesiąc albo dwa, i wtedy nie przy kredensie go widuję, tylko leżącego w łóżku i oglądającego telewizję. W lusterku. No bo ile można wytrzymać na jednym boku? To się obraca, ale telewizor zostaje tam, gdzie był. Alkoholicy mają różne swoje...

Michał bardzo długo szuka w głowie odpowiedniego słowa, co nieczęsto się zdarza, bo ma do wyboru przeogromny asortyment rzeczowników, przymiotników, partykuł... Mówi bardzo ładnie, ale bez żadnego szaleństwa, brawury, słowa znaczą dokładnie to, co przewidują słowniki, w każdym zdaniu ułożone jak na jego biurku albo w chałupie... W chałupie – on by tak nie powiedział o swoim domu, mieszkaniu, na milę słyhać, że ostatnio częściej układa wystąpienia niż

eseje i nowele.

– Alkoholicy mają różne swoje... – jeszcze raz bierze rozbieg.

– Zajoby.

– Tak. – Uśmiecha się gorzko. – A ja mam takie szczęście, że zawsze kiedy u nas zaczynają się jakieś rodzinne dramaty, mojego starszego brata nie ma. W 1984 roku jest już w Stanach, dokąd prysnął przez Afrykę z kontraktu, a ja z pierwszą żoną Anną w wielkanocny poniedziałek jedziemy odwiedzić rodziców, ojciec leży nieprzytomny w łóżku, jest południe, w powietrzu zapach alkoholu. Mama mówi, że ojciec rano wstał, podszedł do kredensu, napił się i przewrócił. Do tej pory to, że nie wezwała pogotowia, nie daje mi...

Milczy nieskończenie długo. Płacze do środka.

– Ona chciała, żeby ojciec umarł – mówi cicho Michał.

– Ale zawlokła go do łóżka.

– Tak. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Bardzo ją kochałem. A po ojca wreszcie przyjeżdża pogotowie. Miał wylew, umiera dwa dni później w szpitalu. Trochę wcześniej zdążyłem go ogolić. Żyletka, pędzel, maszynka... Jak to w tamtych czasach.

– Poczuliście ulgę?

– Mama na pewno – mówi. – On cały czas był nieznośny, pieklił się, kiedyś uderzył mamę laską, ona upadła i złamała zebro. Alkoholik tworzy piekło, ale kompletnie nie zdaje sobie z tego sprawy.

ŁÓŻKO.

Czwarta tajemnica dziecięca

Matka Michała mieszka sama w bloku na ulicy Niekańskiej, którą znają wszyscy rodzice z tej gorszej, prawobrzeżnej części Warszawy, bo jest tam wielki szpital dziecięcy z bardzo zasłużonym dla chłopackiej społeczności oddziałem urazowym. Michał wraz z drugą żoną Barbarą i dwiema córkami mieszka po drugiej, lepszej stronie Wisły, na Puławskiej, a obie ich córki na urazówkę, chirurgię i pediatrię bliżej mają do szpitala dziecięcego przy ulicy Litewskiej. Michał i Barbara od dawna namawiają matkę, żeby sprzedać oba mieszkania, kupić za to coś większego i zamieszkać razem, ale starsza pani woli na swoich śmieciach, aż niespodziewanie 19 lipca, podczas wspólnego niedzielnego obiadu, wyraża zgodę.

Michał dzwoni do niej codziennie, ale we wtorek 21 lipca posiedzenie Rady Ministrów wlecze się w nieskończoność, więc pierwszy telefon wykonuje po południu. Mama nie odbiera. Po godzinie także, i jeszcze po następnej, więc Michał dzwoni do sąsiadki, ona wali w drzwi, ale nikt nie otwiera, to wieczorem Michał wsiada w samochód i jedzie, ale boi się sam, czuje coś złego, prosi więc kolegę z pracy, żeby mu towarzyszył. Obaj są wiceministrami w resorcie pracy i polityki socjalnej, jest rok 1993.

Michał opiera łokieć o lewe kolano i zawiesza głowę na dłoni.

- Mama siedziała na łóżku w takiej pozycji – mówi.
- Na Chrystusa Frasobliwego.
- Tak umarła.
- W pozycji siedzącej?! – dziwię się.

– Tak.

– Umarli wiotczeją.

– Ona od szóstej rano tak była. O szóstej rano umarła.

– Skąd wiesz?

– Lekarz tak stwierdził. Mniej więcej. Mówił, że skoro była w takiej pozycji, to musiało to być spokojne. Na serce umarła. Nagle, jak wstawała z łóżka. Ciach, i serce stanęło. Była w nocnej koszuli, miała siedemdziesiąt trzy lata, rocznik dziewiętnasty. Jej brat zginął 2 sierpnia w powstaniu warszawskim.

– To tak jak stryjek Maćka Zalewskiego, Jerzyk – mówię. – Tego samego nawet dnia.

– Jego oddział przebijał się lasami do stolicy, ale ich dopadli, wyłukli albo wyłapali, potem pogipsowali im usta, przez Milanówek przewieźli do Podkowy Leśnej i rozstrzelali. Siedemdziesiąt trzy lata to średni wiek u mnie w rodzinie, nie jesteśmy długowieczni, ale nie boję się śmierci i nawet otwieram nowy rozdział w życiu. Żenię się. Czuję się młody, energiczny, spełniony życiowo. Udało mi się wiele rzeczy.

I znowu muszę sprowadzić myśli Michała na ziemię, bo się zapada w sobie. Wraca więc, wyciąga rękę z kieszeni, a w garści różaniec. I nie żaden watykański, pyszny souvenir z drogocennych kamuszków, tylko zwykła pierwszokomunijna pamiątka z drewnianych paciorków.

– Zawsze go mam przy sobie – mówi. – Nie muszę nawet odmawiać, bo sam dotyk sprawia, że na chwilę odlatuję, a potem mam wrażenie, że inaczej patrzę na świat, sprawy, wszystko jest bardziej wyraźne, zaczynam dostrzegać barwy, urodę, niuanse, piękno ludzi. Taki metafizyczny, medytacyjny element w środku trudnego dnia.

– A jak zmieniasz marynarkę?

– Muszę pamiętać i przekładać.

– Nie lepiej mieć kilka? – kombinuję.

– Nie. Ja bardzo przywiązuję się do rzeczy, przedmiotów. A ten

różaniec jest bardzo szczególny, jest jeden i jedyny. Służy mi, kiedy potrzebuję wzmocnienia, przyływu energii, muszę szybko się skoncentrować przed nowym zadaniem, ale jeszcze bardziej przydaje się w trudnych sytuacjach, podczas kryzysów, negocjacji ze związkowcami, w sporach, na posiedzeniach Rady Ministrów. Wtedy ręka do kieszeni i biorę się w garść.

JANEK.

Dziko wybuchowy plan

Pokojową rewolucję „Solidarności” przeprowadzili Kolumbowie rocznik 50. To była ich wojna. Prawie wszyscy urodzili się między 1950 a 1960 rokiem, rodzice prawie wszystkich byli poharataniymi dziećmi wojny, ale było też w Firmie kilka osób starszych, które same były dziećmi czasu burz. Maryśka Trenda urodziła się 6 września 1939 roku podczas strasznego bombardowania Lublina, kiedy miasto było jeszcze w polskich rękach, Hania Kulesza dobrze pamięta ucieczkę z Wołynia przed wstępującymi od wschodu bolszewikami, a Mietek Kobylecki 1944 rok i powstanie warszawskie.

Janek Mojka zwany „Klingą” jest jednym z tych, o których się mówi, że młodo jak na swoje lata wyglądają. Powiedziałbym nawet, że Janek stanowczo przesadza. Jest medycznym fenomenem. Urodził się, kiedy Adolf Hitler miał przed sobą jeszcze półtora roku życia, jest więc jednym ze starszych w Firmie, a wygląda zawsze, jakby był jednym z najmłodszych. Do dzisiaj tak ma. Na oko nikt nie daje mu więcej jak pięć dych.

Na rozmowę o swojej pracy nie daje się naciągnąć. Bo to nuda, normalka, zbrojarze, betoniarze, wykopy, fundamenty... Zwyczajny, brudny zapieprz w fufajce i gumofilcach przy mieszkaniówce w warszawskim Śródmieściu i na Mokotowie. Dają mu sprzęt, dokumentację, materiały i się rządzi, buduje. W dzieciństwie to dopiero było pięknie, bajkowo, cud-malina, jak na przykład kumplowi dał parę garści czubków od naboju karabinowych, które świetnie nadawały się na groty strzał do łuków, a ten, głupi, postanawia wytopić z nich

ołowiany rdzeń i kładzie wszystko na gorącej kuchni, i wtedy się okazuje, że kilka z nich to zakazane konwencjami międzynarodowymi pociski wybuchające. Rozpoczyna się wściekła, bezładna strzelanina. Jedna kula trafia w gołą żarówkę pod sufitem, druga w Matkę Boską Częstochowską na ścianie, inna w patelkę od zasmażki i potem rykoszetem w czajnik, woda się leje, dusi ogień, popiół wybucha na całą kuchnię...

Janek pochodzi z miasta, które w czasie ostatniej wielkiej wojny było stolicą świętokrzyskich partyzantów. Tam w każdym domu mieszka jakiś były partyzant albo jego syn, brat, siostrzeniec, na każdym strychu, w każdym tapczanie albo bieliźniarce jest ukryta broń. Albo zakopana w ogródku. Wszędzie w okolicy poniewierają się porzucona amunicja i niewypały, hełmy, manierki, kłamry od pasów, przebogata wojskowa galanteria, przez bardzo wiele lat po wojnie w lesie łatwiej zebrać koszyk naboju niż grzybów. Założonych przez Niemców w czasie okupacji magazynów z amunicją nie udaje się Wehrmachtowi przed wycofaniem wysadzić, więc jeszcze wiele dziesięcioleci miejscowi chłopacy do zabawy mieli tylko wojenne badziewie – jedno z najbardziej typowych zjawisk w dziejach ludzkości. Przez czyje dzieciństwo albo młodość przewalił się jaki front, albo kto wychował się przy polu bitwy, zaraża się namiętnością do tego, co po tym zostawało, nabiera wprawy, umiejętności, swobody w posługiwaniu się. Janek ma dwanaście lat, kiedy zdobywa karabin, amunicja leży wszędzie, sztukę wyrywania czubków z naboju za pomocą obcęgu zna niemal od urodzenia.

Do rozbicia amunicji armatniej potrzebny jest już młotek.

– Łuskę można odstawić na złom albo sprzedać komuś do chałupy, bo jest moda na takie mosiężne wypucowane wazy – opowiada Janek, a oczy świecą mu się jak pochodnie. – Potem bierze się puszkę po dużej konserwie, sypie do niej trocin, leje ropę i na tym układa

pocisk. Paliwo dostarcza Lutek Jarzyna, bo na jego podwórku jest baza traktorowa Ośrodka Transportu Leśnego.

Potem to podpalają i całą bandą dają nogę z lasu. Siadają w rowie przed domem.

– Taka osiemdziesiątka ósemka od „tygrysa” grzeje się ze dwadzieścia minut, zanim pierdolnie – zachwyca się Janek. – A jak już walnie, z chałupy wylatuje ojciec i: „Janek!!!” „Jestem!” „No, bo już myślałem, że to ty.” Zawsze ja jestem najbardziej podejrzany.

A jak już ma tego mauzera, ten swój karabin, amunicji wszędzie od cholery, to trzeba jakiś użytek z tego zrobić, jakichś partyzantów zorganizować.

Tak w końcu lat pięćdziesiątych powstaje jego oddział bez nazwy. Każdy z chłopaków coś przynosi, jeden bagnet, inny lornetkę, ładownice, pasy, granaty, elementy mundurów, środek transportu w postaci pierwszej w mieście kolarki, a z hełmów szkopskich to tu każdy pies łańcuchowy żre na co dzień. Hełm ma każdy chłopak z bandy. Potem są niemiecki walther P38, ruski nagan, a czechosłowacką slavię kaliber 6,35 Janek kupuje na raty za sto siedemdziesiąt złotych od kolegi Witusia Sztolca, z którym mieszka w internacie technikum budowlanego.

– Piękny pistolecik, nowiutki, gdzieś w domu chowany – zachwyca się Janek, a ręce same śmigają mu na niewidocznym suwadle, ryglu, kurku, pudełkowym magazynku, jak dobremu pianiście, któremu wcale nie jest potrzebna klawiatura, żeby w powietrzu i wyobraźni zagrać suitę na fortepianie. – Tylko amunicji nie mamy do tego cacka, bo kompletnie nietypowa, więc pistolecik jest tylko do zabawy w rozbieraną, do ćwiczenia moich chłopaków. Jestem dowódcą.

– Czym się zajmujecie?

– Chodzeniem po lasach i strzelaniem, a wieczorami chodzimy po ulicach i drzemy mordy, że komunie się nie damy. Gdyby to była

wojna, tobyśmy byli wspaniałym oddziałem. Krzysiek Walczak, Lutek Jarzyna, Bronek i Henio Seretowie, ja, mój brat Franek... Przewinęło się jedenastu chłopaków.

I na oko nawet tacy sami jak chłopaki z lat prawdziwej, wojennej partyzantki, nawet tak samo staromodnie ubrani, prowincjonalnie, trochę wsiowo, w beretach, płaszczach, marynarkach... Żadni tam warszawscy bikiniarze, ale lubią robić sobie zdjęcia. Janek ma cały album fotografii z leśnych ćwiczeń, musztry, inscenizowanych rozstrzelań... Magazyn amunicji mają na miejskim cmentarzu. Dzisiaj to kamienna pustynia, ale w latach sześćdziesiątych jest jak puszczański matecznik pełen starych drzew, akacjowych chaszczy, kołtunów czarnego bzu i dzikiej róży.

– Skrytkę mamy w kwaterze z pierwszej wojny światowej z rzędami żelaznych krzyży z napisami RUSS. KRIEGER, gdzie wszyscy, co przyszli na cmentarz odwiedzić swoich bliskich, chodzą się odlać i robić kupę – mówi Janek.

I ze śmiechem opowiada, jak w 1961 roku bezpieka rozbija jego oddział partyzancki, co mogło przecież skończyć się tragicznie.

Mojego ojca za takie same zabawy z bronią wsadzili do kryminału, chcieli mu przyładować ćwiarę, jak w polskich zakładach karnych mówi się o wyroku dwudziestu pięciu lat więzienia. Był prawie w tym samym wieku co Janek, tyle że mojego ojca złapali trzy lata po wojnie, a Janka – szesnaście. Z każdym rokiem komunistyczny reżim miał coraz mniej kłów.

Partyzanci Janka wpadają przez swojego dowódcę, który z internatu pisze do brata list, jak na zimę zakonserwować i ukryć w lesie ich karabin. Boi się, że list przejmą rodzice, więc pisze do brata na adres jego szkoły.

– Zwijają mnie w gabinecie dyrektora mojej szkoły, który wzywa mnie do siebie z lekcji – opowiada Janek.

– Tłuką?

– Nie. Żaden z nas nie dostaje nawet wyroku, bo żaden nie jest pełnoletni. My nawet nie powylatywaliliśmy ze szkół. Prawie wszyscy chłopcy trzymają się bardzo dzielnie, nie sypią, więc nie wszystkich nawet zgarniają. I tracimy tylko karabin.

– Co z pistoletami? – pytam.

– Nie bądź taki ciekawski – Janek na to. – Przetruwały.

– Macie jakieś plany bojowe?

– Jasne. Bardzo wybuchowe. Pociskami od „tygrysów” chcemy wysadzić pomnik wdzięczności wobec wyzwolicielskiej Armii Radzieckiej, który stoi na głównym placu miasta przed magistratem. Bezpieka obchodzi się z nami bardzo łaskawie, bo nie poznaje tego planu, poza tym to bardzo małe miasteczko, cztery tysiące mieszkańców wtedy, jedna szkoła, jedno przedszkole, jeden kościół i z pięć sklepów. Tutaj ubek nie jest anonimowy, tutaj go wszyscy znają, z jego synem chodzę do klasy, z jego babą kobity spotykają się w piekarni, w warzywniaku. Skurwysyństwa nie może uprawiać do końca.

Poza tym to od zawsze superprawicowe miasto z rondem Narodowych Sił Zbrojnych, miasto zadziorne, niepokorne i, jak pamiętamy, całkiem nieźle uzbrojone. Każdy tutejszy ubek to wie, zna ojców wszystkich chłopaków, ich partyzanckie rodowody. Więc się miarkuje.

– Naszą sprawę prowadzi kapitan Marian Topolski, szef powiatowej bezpieki – opowiada Jan Mojka. – Jego gęba wydawała mi się znajoma. Musiałem go znać. Teraz leży na miejscowym cmentarzu, ale nie pod krzyżem. I żadne tam prośby o modlitwę, „Jezu, ufam Tobie!” Nic kompletnie. A nasz oddział po jakimś czasie się odradza i po staremu w naszym lesie spędzamy wszystkie niedziele, święta, ferie zimowe i wakacje.

HALINA. Opowiem ci o Mietku

Nigdy nie daruję sobie, że przez dwadzieścia z hakiem lat znajomości nie znalazłem wolnego tygodnia, nie posadziłem Mietka w fotelu, nie usiadłem naprzeciwko i nie nagrałem jego opowieści. Reporter, który obsesyjnie wszystko nagrywa, nie zrobił czegoś tak oczywistego, ważnego, a przecież to jeden z najbardziej niezwykłych ludzi, jakich poznałem w życiu.

Wydawało mi się, że Mietek jest wieczny, nieśmiertelny, że nie ma gwałtu, bo zawsze zdążę. Umarł, kiedy byłem na najdalszym koniuszku eurazjatyckiego kontynentu. Nie zdążyłem nawet na jego pogrzeb. Wiem, że była orkiestra, kompania honorowa grzmotnęła salwą, i jak go znam, zgaduję, że wcale mu się to nie podobało, bo pompy, patosu i gadania o sobie nie cierpiał jak niczego na świecie.

Miał w sobie coś nienachalnie zniewalającego, co sprawiało, że prawie każdy czuł na wyrost, że jest ulepiony z tej samej gliny. Sam byłem tego niemal pewien. Nosił w swojej klatce żeber bardzo szlachetną odmianę nieprzyzwoicie nierasowej psiej duszy. Do tego miał naturę włóczęgi, koczownika, zhipisiałego mieszańca, który nawet łyżeczki energii nie zainwestuje po to, żeby zagospodarować, jakoś ogarnąć obozowisko, swój barłóg, posłanie. To typ kundla, co nawet nie musi mieć budy, bo bardziej ceni wolność niż wygodę, a jak buda jest, to nie po to, żeby ją z kimś dzielić, raczej, żeby mieć gdzie znosić fanty, łupy, trofea, ogryzione kości, żeby mieć co zagracać, zaburdelić z kretesem.

Mietek Kobylecki, rocznik 1925, jeden z Kolumbów, żołnierz

legendarnego Batalionu „Zośka”. W zasadzie jego imię powinienem pisać w cudzysłowie, bo oficjalnie jest Marianem, a jego okupacyjny pseudonim, i drugie imię zarazem, wchodzi do codziennego użytku. Albo odwrotnie – użytkowe imię zostaje pseudonimem. Tak samo jest z jego starszym o rok bratem Janem Kobyleckim, który na zawsze zostaje Wieśkiem.

Niewiele jest kobiet w stolicy, które by miały tyle szczęścia co ich matka. Oddaje Armii Krajowej dwóch synów, którzy walczą w formacji dywersji potrzaskanej w wielkiej wojnie światowej jak żadna inna, chłopaki odnoszą rany, zdobywają Krzyże Walecznych, trafiają do niewoli, a po wojnie obaj wracają do matki, ojca i do rodzinnego domu na ulicy Kasprowicza na Bielanach, z którego wyruszyli na wojnę. Dom ocalał, bo ten rejon nie zostaje opanowany przez powstańców, nie toczą się tam walki, Mietek i Wiesiek ocaleli, bo 1 sierpnia nie docierają na Wolę, gdzie zbiera się ich Batalion „Zośka”. Na długo przed godziną „W” zatrzymują ich walki, które chłopaki ze Zgrupowania „Żniwiarz” toczą z Niemcami w okolicach placu Wilsona na Żoliborzu. Bracia Kobyleccy dołączają do nich i zostają z nimi do końca powstania. W tym zgrupowaniu ginie więcej niż połowa żołnierzy, u „Zośki” – znacznie więcej niż trzy czwarte.

Matka chłopaków sprawia, że trzymają się razem przez całe życie. Są jak zrośnięci – i zawsze blisko niej. Nawet w czasie powstania urywają się z oddziału, żeby odwiedzić matkę, w czymś jej pomóc, zmienić bieliznę, przespać noc w łóżku, przemyć się i rano wrócić na wojnę. Opowieści o dzieleniu się ostatnim okruczem chleba w ich przypadku nie są żadną metaforą. Mietek do obozu jenieckiego po powstaniu dociera pierwszy, a kiedy przywożą tam także wygłodniałego Wieśka, brat oddaje mu cały chleb, który ma. Czyta się tę opowieść o chlebie jak najbardziej płaczliwe, tandetne *romantico*, literaturę dla niewiast zakupioną w kiosku Ruchu, ale nic na to nie poradzę, że to

najprawdziwsza historia, którą chłopaki opowiadają przy każdej wódce. Takie historie wiążą ludzkie losy silniej niż stalowe liny. Więc nigdy się nie rozstają. Wiesiek spokojny, nieco poważniejszy, Mietek – pistolet, pędziwiatr. Nikt nigdy nie słyszy, żeby chłopacy się kłócili, spierali, nie zgadzali ze sobą, a gdy po wojnie wielu ich kolegów zostaje na Zachodzie, dla nich obu jest jasne, że muszą wrócić. Do matki. Być może, że ona tak kazała listownie, i już.

Halina Fauter-Kobylecka studiuje na Uniwersytecie Warszawskim historię sztuki, jej ojciec jest urzędnikiem, dostaje propozycję pracy w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego, odmawia i może to by się pani Halinie upiekło, ale zjawia się Mietek w szykownym angielskim *battle dresse*, za którym wszystkie dziewczęta na wydziale przewracają oczami.

– I nic, tylko *hello girls!* na całe gardło, *how are you, my darling...*
– Pani Halina nawet dzisiaj dostaje wypieków, kiedy to wspomina. – Do mnie tak przyłazi! Chłopak z AK, z powstania, no to jak mam nie wylecieć ze studiów?

– Wszyscy chłopcy mają takie mundury?

– Ci, co wracają z Zachodu. Boże, jak oni pięknie wyglądają. Dziewczyny mdleją po prostu z zachwyty. A mój Miecio dziwnie jeszcze poobrączkowany, cały w amuletach, w miedzianych obręczach na rękach i nogach, bo w jego obozie było dużo Hindusów, jakichś Gurkhów, sikhów z brytyjskiego wojska, i oni doszczętnie mi go zdeprawowali w tej niewoli. Przywozi też bardzo dziwną rzeźbę, wielki łeb drewniany wystrugany w belce, który zawiesza nad łóżkiem, i zawsze kiedy się kochamy, to ta kłoda wali się na nas z łoskotem. A ile ma pięknych drobiazgow, czapek, szalików, kąpielówek...

Aż trudno sobie wyobrazić. Strach po prostu. Idą nad Wisłę, rozkładają koc na trawie, pompują piłkę do siatkówki, w butelce kompot z rabarbaru... A wokół same szkielety, zgłiszcza, martwe

wspomnienie miasta, kraina smutnych matek i wdów, a wszystkie oczy wlepione w zgrabny tyłek Mietka. W jego gacie. Kto przeżył, zbiera cegły, cement, piach i buduje jakiś dom, komórkę, dach nad głową, a bracia Kobyleccy budują żaglówkę, na której w 1947 roku zdobywają złoty medal w mistrzostwach Warszawy.

– Fajne czasy – wzdycha pani Halina.

– Fajne? Miasto pełne duchów, groby na każdym podwórku...

– Ale tak bardzo chce się żyć, tyle wokół energii, siły! Kto żyw, patrzy do przodu, uczy się, kocha, co chwila trzeba stawać w ogonku i: podaj cegłę, podaj cegłę, podaj... Furkami jeździ się do centrum, na plac Inwalidów z Bielan idzie na piechotę, nigdzie nie jest daleko, nic nie jest trudne. Lubię te czasy zaraz powojenne, kiedy wszyscy równo nic nie mamy.

Ale Mietek i Halina mają skuter, ślicznego peugeocika, którym objeżdżają pół Polski.

Dziki pęd, marynarka rozpięta, we włosach wiatr, bo kaski nie są w użytku, więc dusza śpiewa, ryczy, wyje z zachwytu, do tego wyborne towarzyszo do wybitki i do wypitki, żagle, siatkówka i tańce, bo przy każdym spotkaniu nóżką kręci się w takt muzyki.

– I narty koniecznie! – zapala się pani Halina. – Bo bez gór w zimie to w ogóle nie ma życia. Forsy mamy tyle, że nie da się jej przejeść, to siedzimy w Bukowinie i trenujemy na Kasprowym Wierchu. Mietek jeździ bajecznie, jest zawodnikiem sekcji narciarskiej Spójni Warszawa, ale nie ma nawet swojego sprzętu. Zawsze pożycza, abnegat jeden. Jest wspaniały, cudownie się go kocha, poza tym, że o nic nie dba, nic nie jest mu potrzebne. Ani mieszkanie, ani narty, ani ubranie, ani dyplom...

Więc studiuje dziesięć lat. Zaczyna z bratem zaraz po powrocie z niewoli. Na Politechnikę Warszawską przyjmuje ich profesor Józef Zawadzki, ojciec „Zośki”, który był patronem ich batalionu. Profesor jak może opiekuje się chłopakami z AK, a szczególnie tymi z Grup

Szturmowych, z „Zośki”, garstką gówniarzy, którzy przetrwali, ale wolą brylować po mieście w *battle dress*, a nawet z pistoletami w kieszeniach, niż budować życie, brać się do roboty, nauki. Komuniści wcale nie chcą ich widzieć na uczelniach, więc profesor robi nabory na specjalnych zasadach, organizuje dla nich dodatkowe egzaminy, przyjmuje jako wolnych słuchaczy, aż wszyscy jakoś wreszcie dostają indeksy.

Po studiach Mietek pracuje w Instytucie Elektrotechniki w podwarszawskim Międzyzlesiu, ale zaledwie jako laborant, bo ciągle nie broni dyplomu, który ma napisany od wielu lat i leży w szufladzie. Prowadzi bardzo trudne badania, testuje nowe maszyny, skomplikowane silniki na potrzeby przemysłu, na zamówienie firm krajowych i zagranicznych. To wszystko sprawia, że jak na PRL-owskie warunki zarabia wprost bajecznie, szczególnie kiedy szef instytutu zmusza go wreszcie, żeby obronił pracę magisterską, i Mietek zostaje adiunktem.

– Przeżyliśmy wiele przeszczęśliwych lat. – Pani Halina wzdycha na swój ulubiony temat. – Wcale nie spieszymy się ze ślubem. Są pieniądze, samochód, skuter, dom, w którym odbywają się ciągłe balangi, więc nawet te jego dziwactwa daje się wytrzymać. Idziemy raz na bal do instytutu z okazji jakiejś tam rocznicy, więc szyję sobie suknię wieczorową, Mietkowi, który broni się jak tygrys, kupuję czarny garnitur, ale butów za żadne skarby kupić nie pozwala i wkłada pionierki, w których chodzi okrągły rok. Pan sobie wyobraża?! Zapowiadają inżyniera Kobyleckiego z małżonką, wchodzi piękna para, garnitur, krawat, biała koszula i pionierki, w których oderwała się podeszwa. I klapie nią, szura po parkiecie cały wieczór. Poza tym jest duszą towarzystwa, lubi słuchać, opowiadać. Byle nie o powstaniu.

HALINA. Jeszcze o moim Mietku

Byle nie o tym, jak przeskakuje barykadę przy Hali Marymonckiej, a tam nos w nos drobniutki niemiecki żołnierzyk z pistoletem maszynowym. Mietek ma dokładnie taki sam, przepiękny MP40 kaliber 9, obiekt westchnień wszystkich chłopaków, niesłusznie nazywany czasem w okupowanej Polsce schmeisserem, bo nie Hugo Schmeisser go skonstruował.

Obaj to zaskoczone dzieciuchy, obaj niegotowi do strzału, obaj mają pistolety zawieszane na pasku przez ramię. Obaj wahają się ułamek sekundy i rozpoczyna się pojedynek jak na Dzikim Zachodzie, jak starcie Pata Garretta i Billy'ego Kida z klasycznego westernu, który za trzydzieści lat obejrzy tylko jeden z nich.

Stoją dwa kroki od siebie, mogliby okładać się kolbami, pięściami, obelgami, ale jednocześnie chwytają za broń, jednocześnie odbezpieczają, naciągają zamek, spust, skowycząca długa seria...

– Jednego jedynego Niemca Mietek zabija i trafia na chłopaczka, co ma zaledwie trzy–cztery lata więcej od niego – opowiada pani Halina, przyszła żona Mietka. – Ot, i całe powstanie mojego Miecia.

– Kiedyś popiliśmy z grupą kolporterów i nam o tym opowiadał – wspominał. – Mietek zabiera mu potem broń, oporządzenie, spogląda w twarz, w oczy, przy wyjmowaniu dokumentów z kieszeni dotyka ciepłego, jakby żywego człowieka. Może nawet ubabrał sobie ręce.

– Gówniarz taki ten Niemiec, a już ojciec trójki małych dzieci. Oni też musieli szybko żyć, szybko kochać, żenić się, płodzić dzieci, bo też wiedzieli, że niewiele dostali czasu. W portfelu tamtego żołnierza są

zdjęcia rodziców, żony, dzieci i ich listy, które Mietek być może czyta. Okropna rzecz odebrać komuś ojca. Do końca życia nie może sobie tego darować.

I do końca życia nosi odłamki wbite w czaszkę, a w pachwinie pocisk, który cudem omijając ważne organy, przewierca go na wylot i utyka w jego ciele na zawsze.

– Ma ciągłe migreny, chandry, kładzie się na łóżku twarzą do ściany i palcem skrobie tynk – opowiada Halina Fauter-Kobylecka. – Mówi się zawsze, że to od odłamków w głowie.

– E tam... Dzisiaj mówiłoby się, że to depresja.

– Bo poza tym obaj bracia są nadzwyczajnie zdrowymi ludźmi. Przez dwadzieścia lat, jak byliśmy razem, Mietek choruje tylko jeden raz, na anginę. I uwielbia seks. Seks jest bodaj najważniejszy, więc żyjemy wspaniale, nie wiedząc nic o świecie bożym, aż rodzi się Marcin i Mietek się obraża.

– Obraża?

– Tak. Nie przychodzi nawet do szpitala spojrzeć na syna. Lekarka z porodówki dzwoni do moich rodziców, z którymi mieszkamy, żeby go tu przysłali koniecznie, bo matka płacze. A jak wracam do domu, obrażony mi oznajmia, że w ten oto sposób został odsunięty na plan drugi. Bo on uwielbia się bawić, kochać, ma kota na punkcie kobiet, a dziecko w tym wszystkim przeszkadza. Nie interesuje się synem, nie bawi z nim, a jak przychodzą wakacje, to ja muszę gdzieś jechać, a on potem do nas wpada, ale po dwóch, trzech dniach daje nogę. Zero zainteresowania! A ja, głupia, godzę się na to. Na wszystko się godzę, rozpieszczam.

– Długo tak?

– Osiem lat. Aż rozbija się na naszym skuterze. Leży poturbowany w domu, dzwoni telefon, jakaś pani prosi Mietka, ale nim się dotarabanił do słuchawki, ona skarży się, że nie dostała paszportu

na rejs do Francji. Tak do mnie dociera, że mój kochany mąż płynie wokół Europy, że będzie miał załogantkę i to nie będę ja. I płynie, ale kartki przysyła już tylko do syna. Na mnie jest obrażony. Tak dowiaduję się o Joli, o której w jego instytucie wszyscy od dawna wiedzą.

Po rozwodzie Mietek nie wprowadza się jednak do Joli ani ona do niego. Pani Halina jest zdania, że dlatego, żeby nie robić przykrości matce, która jest bardzo przeciwna temu związkowi. Mietek wraca do rodzinnego domu na Kasprowicza, gdzie brat pomaga mu urządzić piękne mieszkanie na strychu. Tylko szesnaście z osiemdziesięciu trzech lat swojego życia nie spędza z nim pod jednym dachem.

– Gdyby Mietek tylko chciał, mógłby mieć i tę swoją Jolę, i nie rozwalać rodziny, zostać przy dziecku, żonie. Ale nie chciał. Bardzo go kochałam i święta nie byłam, ale dopiero jak się rozwiedliśmy. Bardzo jestem ze swojego życia zadowolona, miałam w nim wszystko, nawet przepięknego powstańca warszawskiego w *battle dress*.

PIECZEĆ.

Piąta tajemnica dziecięca

Szło o Tadeusza Gajcego, poetę czasu wojny, żołnierza Armii Krajowej, który poległ w powstaniu warszawskim. Miał niemal tyle samo lat co Mietek wtedy.

Licealna polonistka Maćka Zalewskiego chodziła z Gajcym na tajne komplety i była w nim rozkochana – tak jak Maciek, a na warszawskim Marymoncie rusza budowa nowego osiedla, więc trzeba zburzyć dom poety, żeby zrobić miejsce pod szare bloki z wielkiej płyty.

– To jest moja pierwsza akcja społeczna w życiu – mówi Maciek. – Matka Gajcego jeszcze wtedy tam mieszka.

Chłopak rozwiesza w szkole plakaty, rozdaje własnoręcznie napisane ulotki, robi raban na mikroskopijną, szkolną skalę, więc pani od polskiego jest bardzo wzruszona.

Maciek jest dobrym uczniem, z niektórych przedmiotów – znakomitym. Maturę zdaje po angielsku, bo to XXXIII Liceum Ogólnokształcące imienia Mikołaja Kopernika pod patronatem UNESCO, chłopak dojrzewa więc w środowisku bananowej młodzieży.

Michał Boni jest już na trzecim roku polonistyki na Uniwersytecie Warszawskim, kiedy Maciek dostaje się na jego wydział. Bardzo szybko znajduje pretekst, żeby zbliżyć się do starszego kolegi, bo już wtedy Michał jest kimś, kto przyciąga ludzi jak magnes. W bibliotece na ulicy Koszykowej Maciek podchodzi do niego i prosi, żeby najprościej jak się da, najlepiej w dwóch zdaniach, wyjaśnił mu różnicę między synchronią a diachronią.

Michał uwija się w tych dwóch, może trzech zdaniach, i od razu jest

jasne, że nadają na tej samej częstotliwości, łączy ich podobna wrażliwość, skłonność do buntu, niezwykła bliskość intelektualna, a potem jest wspólne pisanie referatów, czytanie swoich tekstów. Chodzą razem na piwo, dziewczyny, do kina. Czasem mówią o nich Kastor i Polluks, bo tacy nierozłączni jak bliźniacy albo jak Wołodyjowski i Ketling od Sienkiewicza i filmu Hoffmana.

Dzisiaj Maciek jest zdania, że Michał żywił się energią ludzi, których przyciągał, potrzebował ich, by żyć.

W 1979 roku, kiedy Maciek kończy studia, Michał jest już asystentem, a jego narzeczona Anna zakochuje się w koledze Pawle, który także studiuje na polonistyce. Przez serce Michała przewala się tsunami, szaleje wprost z miłości, walczy, rozpacza, hamletyzuje, a raczej ketlinguje teatralnie, coraz bardziej pogrążając się w otchłań, piekło DDA. Znowu porzucony, odepchnięty, zdradzony, przeoczony, niewidoczny. Zwierza się przyjacielowi, a ten ciągnie go do kina, żeby oderwać mu głowę od złych myśli. W kinie Światowid na placu Inwalidów grają *Potop*, który widzieli już chyba wszyscy Polacy, więc na sali są tylko oni dwaj, a kiedy Małgorzata Braunek szepcze w kościele, że niegodna ran Olbrychskiego całować – obaj w ryk.

– Tacy klasyczni, romantyczni faceci, młodzienci z kompleksami – wzrusza się wspomnieniami Michał.

– Obaj?! Maciek też? – Dziwię się, bo wiem, o kim mowa.

– Jasne, on w tym czasie to gejzer kompleksów.

Gejzer – ale powiedział... Czy kompleksy mogą być erupcją, tryskać, przestraszać, wybuchać w niebo? Być czymś, czego nie sposób nie zauważyć? Gejzer robi wszystko, żeby go widzieli, bezczelnie puszy się swoją mocą, gardzi słabeuszami, wygłupia się, świruje, strzela arogancko w niebo wrzącymi fontannami, a kompleksy to coś zapadniętego w sobie, wklęsłego, jakby dziura, otchłań, krater, przepaść, od biedy wąwóz, coś, w co można się zapaść, runąć, stoczyć, zlecieć, schować

przed światem i udawać, że mnie nie ma.

– Zawsze mi się wydawało, że to wojownik – polemizuję więc. – Hektor częstochowski, a nie jakiś...

– Gejzer, ci mówię, kompleksów – upiera się Michał. – Ale musiał z nimi coś zrobić, to został Hektorem, bojownikiem, zdobywcą niewieścich serc.

– Płaczecie metaforycznie czy prawdziwie?

– Najprawdziwiej na świecie, solidarnie, po męsku, łzy ciekną nam po twarzy. Wszystko przez te baby, co nas rzucają, a na koniec i tak muszą całować nasze rany. Cały polski etos męski z tego się składa.

Drugie ważne wspomnienie o Maćku to ich wyjazd w góry z tuzinem chłopaków z Koła Polonistów UW. Schronisko, łóżka piętrowe, sala zbiorowa, o dwudziestej drugiej gaszą światła. Maciek leży nad Michałem i choć wszyscy zmordowani, zaczyna opowiadać *Pata Garretta i Billy'ego Kida*, legendarny western Sama Peckinpaha z 1973 roku.

– Jak on to opowiada! – zachwyca się Michał. – Każdy detal, ujęcie, każdego bohatera, rytm narracji, muzykę Boba Dylana... Po prostu genialnie. Wszystko, co trzeba z tego filmu zrozumieć, niezwykle relacje między mężczyznami, między mężczyznami a kobietami i zdradę jednego mężczyzny wobec drugiego, kwituje w kilku, kilkunastu celnych, żelaznych, mądrych słowach. Mam każdą scenę w oczach, a piosenki Dylana w uszach, wiele razy później ten film oglądam, ale pamiętam go z opowieści Maćka. W życiu nikt nie opowiadał mi czegoś tak fenomenalnie.

A za rok obaj są już asystentami w Katedrze Kultury Polskiej Uniwersytetu Warszawskiego. Kierownictwo uczelni zwołuje społeczność akademicką na pochód pierwszomajowy, oczywiście oni nie należą do partii, ale idą, nawet dla jaj biorą po czerwonej fladze do rąk.

– Miesiąc później, w czerwcu 1979 roku, na placu Zwycięstwa jest

pierwsza msza papieska w Polsce. I ja z Maćkiem, razem, obok siebie, we dwóch...

A zaraz po śmierci Edwarda Stachury chłopaki przez trzy dni bez przerwy piją wódę w jego bloku na mała eleganckim Grochowie, gdzie poeta rznął sobie żyły, a wreszcie się powiesił.

– Coś mi się te opowieści nie składają do kupy... – grymaszę.

– Bo taki jest nasz związek. Gdyby się ładnie wiązało, toby było za proste. A u nas wszystko było nieoczywiste, niejednoznaczne, aż wreszcie stajemy przeciwko sobie.

– Jak szeryf Pat Garrett i Billy the Kid.

– Jako przeciwnicy.

– Ale nim to się stało, Michał Boni i Maciej Zalewski są świadkami na swoich ślubach, a po jakiejś flasce pieczętują nawet braterstwo krwi.

– Tej krwi nie pamiętam – unosi brew Michał.

– Dwadzieścia lat temu pamiętałeś. Tyś opowiadał, a ja zapisałem.

MACIEK. Miejska żegluga pijacka

– Bardzo często zasiadamy z naszym kombem w Domu Przyjaźni Polsko-Radzieckiej na ulicy Foksal – opowiada Maciej Zalewski, rocznik 1956. – To niby trefne miejsce, ale mają świetny bufet, bo zawsze podają gruzińską wodę mineralną Borżomi, a my mamy tam ułożone panny, które serwują nam także ruską wódkę Stoliczną albo Moskiewską, ale też w butelkach po Borżomi, bo w Domu Przyjaźni jest zakaz picia mocnych trunków. Tak więc wodę popijamy wodą. Świetny lokal. Okupowany przez wraże siły.

Maciek jest mistrzem Polski kolokwializmów. Pięknych, krwistych i dosadnych. Potrafi kląć z fasonem i finezją, że nawet szarytek bosych by nie raziło, a gdy biorę go za łeb i wlokę przez tematy, które go boją, potrafi meandrować długo i zawile, że nic nie rozumiesz. Albo zerwie się z miejsca i pójdzie do toalety, albo wysypać popiół z popielniczki, albo zmienić płytę. Zna wiele sposobów. A płyty w jego rozkosznym, wypełnionym książkami gabinecie winylowe oczywiście, muzyka z nich zupełnie inna, miękka, łatwo, aksamitnie wchodząca w uszy, nawet kiedy puszcza najbardziej dzikie kawałki Jimiego Hendrixa. Bo między cyfrowym a analogowym nośnikiem różnica taka jak między kawą rozpuszczalną a tą z ekspresu albo jak między ciepłą a zimną wódką – efekt niby ten sam, tak samo szarpie czterdziestoprocentową mocą, ale przyjemność jednak nie ta sama.

– To nasze kombo to ludzie z polonistyki i filozofii Uniwersytetu Warszawskiego, skupieni wokół naszego profesora, który czasem ponieważ się z nami po różnych spelunach. Jedną z naszych

ulubionych jest Bistro pod nową Żłotą Kaczką w wieżowcu na końcu ulicy Tamka, którą my nazywamy U Furmanów. Tam jest tylko jedna potrawa, całkiem dobre zresztą cynaderki w sosie, których już nigdzie nie robią.

– Znam. W szkolnej stołówce dawali nam co najmniej raz w tygodniu, aż po ośmiu latach podstawówki polubiłem.

– A to świetna zakąska, do tego wódka oczywiście. Chodzimy też do baru po skosie od kina Skarpa na Kopernika i do Mazovii, która potem nazywa się Bazar i robi się bardzo napuszona, cała w czerwonych pluszach. Tam zawsze jest winiak luksusowy z kolei, bo w różnych knajpach różne trunki królują.

– Kurde, Maciek! Ale mnie się to nie zgadza z etosem tamtego pokolenia. Bo bieda była. A wy jesteście studentami albo pracownikami uniwersytetu, to psie pieniądze macie, pewnie z piętnaście, siedemnaście dolarów na miesiąc. Ja jako młodzieńki nauczyciel historii w podstawówce dostaję dwanaście. Po knajpach latają taryfiarze, cinkciarze, prywatna inicjatywa, jak się mówi o rzemieślnikach, mikroskopijnych przedsiębiorcach i budylniarzach, czyli producentach goździków, gerber i anemonów. Artyści, którzy załapali się na estradowe chałtury, też tam bywają.

– Mój ojciec jest dyrektorem, ale wydawnictwa, a nie huty, to się nie przelewa. Mamy małego fiata, w bloku trzydziestoseściometrowe mieszkanie dla pięciu osób, od rodziców dostaję tygodniówkę, bo wtedy młodzież nie dorabia, tym bardziej że ja mam mało czasu, bo dużo czytam, ciągle przesiaduję w kinie. Kilku kolegów po nocach pracuje w zajezdniach przy myciu autobusów, a ja od drugiego roku publikuję i już nie dostaję forsy od rodziców. Po studiach moje honoraria to druga asystencka pensja, za wydrukowany tekst dostaję odpowiednik obecnych kilku stówek.

– Na co idą? – pytam Maćka Zalewskiego.

– Prawie w całości na życie towarzyskie. Redakcja „Literatury” jest przy Ministerstwie Sprawiedliwości na ulicy Koszykowej, więc po wypłacie od razu idzie się na drugą stronę ulicy, gdzie w narożnej kamienicy jest świetny bufet, który dzisiaj nazywa się Prowansja, a wtedy jakoś inaczej. Tam zawsze jest winiak klubowy i połowa honorarium leci na ten pierwszy bal ze wszystkimi, którzy tego dnia dostają pieniądze za swoje teksty. A kiedy odnawiam kontakty z chłopakami z Powiśla, skąd jestem, w ramach pijaństwa żeglugowego wpadamy do klubu Kamieniołomy, który ma zupełnie inną, mniej szemraną legendę niż Kongresowa z marmurowymi fontannami i klientelą z półświatka.

– Jasne. W latach sześćdziesiątych w Kamieniołomach bryluje Hłasko, bywa Komeda, przed swoim polskim koncertem imprezują Rolling Stonesi.

– Bo na tak zwany Ściek jesteśmy za gówniarze. To klub filmowców w dawnej kotłowni, gdzie króluje elyta – Maciek specjalnie podmienia samogłoskę, żeby wyszło szyderczo. – Mogliśmy tam czasem wpaść, ale żeby komuś w łeb, kurwa, dać, jak się coś nie podoba, bo agresji jest wtedy dużo więcej niż dzisiaj. Na tych taksiarzy, milicjantów, wszystkich, co się stawiają. W młodości ciągle się bijemy. Ja na przykład w sprawach dwóch moich młodszych braci i żeby wykorzystać przewagę, bo zawsze jestem największy. Tyle co teraz – mam już w siódmej klasie. Moi koledzy z podstawówki pierwsze wyroki poprawczaka dostają w piątej klasie. Po dwanaście lat mają! Są bohaterami rocznika, a jeden z nich, z którym ciągle się tłukę w temacie moich braci, zostanie ulubionym ochroniarzem prezydenta wolnej Polski.

– Wychodzi na ludzi.

– Jakimś cudem.

– Za co wywalają cię z podstawówki? – pytam ministra z początków

polskiej transformacji.

– Za kumpla Henia z najgorszej lumpowskiej rodziny na Powiślu, który ma przydomek „Żyrafa”, bo tak właśnie wygląda. Łobuzujemy wtedy strasznie, a ja dodaję do tego Powiśla odrobinę inteligenckiej finezji, i któregoś dnia wzywa mnie dyrektor, a to stary działacz partyjny, zakapior bez nogi, którą stracił w komunistycznej partyzantce. Facet zagina na mnie parol, bo prowadzę z nim regularną wojnę, dokuczam, rozwalam lekcje. Mówi, że ukradłem ze szkolnej biblioteki komplet Encyklopedii PWN, trzynaście tomów w granatowym płótnie.

– Całkiem niezły wtedy kapitał, jakby opylić na bazarze – oceniam.

– Jakiś kutas donosi mu, że ukradł Zalewski, i tyle. Zostaję zawieszony, ale to Henio Zalewski zapierdolił. On się nie przyznaje, ja też nie, więc dyrektor wylewa Zalewskiego Maćka. To najczarniejsze chwile w moim życiu. Kiedy za trzydzieści prawie lat, w wolnej Polsce, oskarżą mnie o te wszystkie straszne rzeczy, poczuję się dokładnie tak samo.

CHEMIA.

Podziemny bunkier Ewy H.

– Ile tam jeszcze zostało? Dopiero pół worka zeszło? Jezusie Nazareński. Rzygać mi się chce. I uwiera wenflon. Poproś pielęgniarkę, żeby ustawiła tę chemię na wolniejsze kapanie.

Wiesz, dzisiaj też przed wyjściem sprawdzałam skrzynkę na listy i znowu nic, chociaż wszyscy znajomi już dostali zaproszenia na uroczystości 4 czerwca. Ci, co pamiętają, kto to jest Hołuszko, boją się zaproponować, przypominać o mnie. Parszywiec jestem, dziwoląg i odmieniec, co ośmiela się poprawiać Pana Boga.

– **Prezydent przypiął ci Krzyż Oficerski. I widziałem na zdjęciu, że pocałował przy tym w rękę.**

– Prezydent odznaczał Ewę Hołuszko, twórcę największej warszawskiej organizacji podziemnej w stanie wojennym. Myślę, że jego ekipa nie powiedziała mu wszystkiego. Muszą przecież wiedzieć, że założyciel organizacji nazywał się inaczej. Miałam straszną ochotę wygarnąć mu wszystko przy okazji.

– **A niby co? To nie jego wina, że od trzech lat mieszkasz w podziemnym bunkrze, że zamiast podłogi masz ułożone na piasku deski, zamiast łóżka drewniane palety na ceglach, a zamiast kibla – wiadro.**

– To nie bunkier, tylko fundament, a w zasadzie stercząca z ziemi piwnica nieukończonego domu. Dach z niebieskiej folii rozwijam nad nią tylko na zimę, bo przecieka. A z tym wiadrem już chyba do końca życia będę biegała wylewać do dołu. W 2007 roku podłączenie do kanalizacji ma kosztować trzy tysiące dwieście. Zbieram, zbieram,

a jak mam tyle co trzeba, okazuje się, że cena podskoczyła do sześciu tysięcy sześciuset. Za co?! Za kawałek rury z ulicy do mojej studzienki! Sama bym to zrobiła w dwa dni, ale trzeba mieć uprawnienia. To szukam innego fachowca, ale ten mówi aż dziesięć. Rozpacz! Więc wracam do tego za sześć sześćset, a on, że obecna cena to piętnaście tysięcy osiemset. Skąd mam wziąć tyle?

– **Masz cztery fakultety.**

– A za półtora tysiąca na miesiąc przepisuję słupki z cyferkami dla firm ubezpieczeniowych. Do tego to tylko praca w nocy. Ja się czuję jak pajac, bo zbieram latami na tę kanalizację, nie dojadam, a cena ciągle mi ucieka. To ma być mój kraj?! Normalnie głoduję, żeby zakopać kawałek rury. Powinnam jeść jak człowiek, bo jestem śmiertelnie chora, a dzisiaj na obiad miałam kartofle ze szczypiorem. A najgorsze, że boję się chodzić po swojej ulicy, boję się ludzi. Zaczepiają, wyzywają, okradają, a policja wszystko umarza. Kiedyś miejscowe menele wdarły mi się do środka, młotami rozwaliły komputery, a furtkę ukradły na złom. Widzisz, jaką twierdzę zrobiłam ze swojego bunkra? Kraty w oknach, a wszędzie wkoło postawiłam kamery na podczerwień, żeby nawet w nocy widzieć, jak się szykują do szturm, i złapać za siekierę, co zawsze ją mam pod ręką. To ich trochę odstrasza, bo wiedzą, że obraz jest zapisywany cyfrowo i jakby co, będzie dowód dla policji. Kiedyś opowiedziałam dzielnicowemu, jaką mam wojenną przeszłość, i kazałam pogadać z menelami, że na stałe mam siekierę za drzwiami.

– **Pogadał?**

– Chyba tak, bo od tego czasu drzwi nie forsują. A wszystkie nieszczęścia stąd, że Pan Bóg sobie ze mnie zażartował. Cokolwiek okrutnie. Bo nie tylko z menelami mam na pieńku. Straciłam wszystkich przyjaciół, znajomych, a nawet rodzinę. A wiesz, ilu takich jak ja wykończyła polska psychiatria, bo fałszywie uznała ich za schizofreników? A przecież nie ma niczego niezwykłego w naszym

umyśle. Boję się tej rozmowy z tobą, bo po niej to już żadnego życia nie będę miała na ulicy, ale idę na całego z imieniem i nazwiskiem. Trzeba wreszcie zrobić coś z tym krajem. Biorę rozbieg i przebijam głową mur, pokażę, że tacy ludzie jak ja naprawdę istnieją i nie ma niczego niezwykłego w naszym umyśle. Gdyby to schorzenie można było wykryć zaraz po urodzeniu, to dla takiego dziecka lepiej by było, żeby je zrzucili ze skały, jak w Sparcie. Albo komora gazowa.

– **Co ty wygadujesz?...**

– Nie masz pojęcia, jak straszne jest moje życie. Nowotwór powiedział mi, że jestem przed śmiercią, że zginę. A jeśli nie opowiem o sobie, ze mną zginie kawał historii Polski.

Zmęczyłam się. Opowiem ci o moim Białymstoku. Pochodzę stamtąd. Ojciec ma niesamowitą smykałkę do handlu. Po ostatniej wojnie światowej otwiera budkę z wyrobami futrzarskimi i galanterią. Paski, rajstopy, guziki. Sprzedaje babcia, a my przenosimy się do Anina pod Warszawą. Mój *Heimat* został jednak tam. Warszawa to obca ziemia.

– **Do dzisiaj?**

– Tak. Od pierwszej klasy w szkole świetnie mi idzie, ale z WF-u jestem największą lebiegą w klasie. Gra w piłkę z chłopakami to udręka, a do tego w okresie dojrzewania pojawiają się u mnie piersi. Myślałam, że przez to, że przy kości ze mnie dzieciak. Nawet przez podkoszulek widać, a po WF-ie jeszcze trzeba się rozebrać. Strasznie się ze mnie śmieją, dokuczają, przezywają, ale dzięki temu wiem, jak się bić. Żadnej obelgi nie odpuszczam i od razu skaczę do oczu. Do dzisiaj tak mi zostało. Całą szkołę symuluję jakieś choroby, żeby wyłudzać od lekarzy zwolnienia z wychowania fizycznego.

– **Żaden nie zwraca uwagi na te piersi?**

– Żaden. Wiele osób ma zaburzenia hormonalne i takie piersi. Martwi mnie wtedy jednak, że stanowczo wolę towarzystwo dziewcząt. Więc trzeba z tym walczyć, kupuję ciężarki, wieszam drążek, robię skocznię

i bieżnię wokół domu. Ćwiczę, biegam, dźwigam, miotam. Walczę ze swoimi inklinacjami. Jako religijnego dzieciaka straszliwie mnie one przerażają. To dla mnie ogromny grzech! Raz jeden próbuję coś tam matce wydukać, ale ona mówi, że spowiedź mi pomoże. W życiu! Jak to księdzu z siebie wydusić?

– **Myślisz, że lepiej na siłę okazywać męskość.**

– Masz rację. A w trzeciej klasie, a więc musi to być rok sześćdziesiąty, matka pierwszy raz prowadzi mnie na Dworzec Wileński, wręcza walizę i każe zawieźć babci do Białegostoku. W środku pełno luksusowego dobra do naszej budy z galanterią, a wtedy jeszcze, piętnaście lat po wojnie, milicja i tajniacy sprawdzają ludziom bagaże na dworcach.

– **Dziecko nie wzbudza podejrzeń. Mały spekulant.**

– Komuna jest nieznośna. Tępi prywaciarzy, jak może. Ojciec ciężko od tego choruje. Dostaje rozstroju nerwowego, budka upada, oszczędności topnieją i dochodzi do tego, że nie ma co jeść. Jest tak źle, że w liceum przyznają mi stypendium socjalne. Zdaję śpiewająco na fizykę na Uniwersytecie Warszawskim, ale po drugim roku jest jasne, że jak najszybciej muszę uniezależnić się finansowo i pryskać z domu. Ojciec jest już nie do wytrzymania. To jakaś straszna psychoza nerwowa. Przenoszę się na politechnikę, na Wydział Elektryczny, bo w PRL-u inżynier dobrze zarabia, i chociaż ja z Warszawy, udaje mi się załatwić akademik. Mieszkam w Bratniaku na placu Narutowicza, w pokoju na parterze, to się u mnie waletuje, bo łatwo wejść przez okno. Przyjmuję wszystkich rozbitków, a najczęściej moją jedyną ukochaną siostrę. Ona też nawiewa z domu. Przed ojcem, który umiera w 1975 roku. Rok po moim ślubie z Elżbietą.

– **Ulga?**

– Jako głęboko wierzącemu człowiekowi głupio mi tak myśleć. Rozstajemy się poróżnieni, w gniewie. Ojciec umiera zresztą w wykopie, w którym jest teraz mój bunkier. Dokładnie w tym miejscu,

gdzie stoi stół, przy którym jadam. Nabrał kredytów i obok starego chce budować nowy dom, ale wciąga go hazard i pożerają długi. Bardzo długo leży w dole i umiera. Zupełnie sam. Bardzo nieszczęśliwy człowiek. Pocałowałam go dopiero wtedy, kiedy był w trumnie. I mi ulżyło.

A za pierwszej „Solidarności” w 1980 roku zaczynam pracować w Instytucie Meteorologii. Dostaję temat na doktorat o wilgotności gruntu, ale kompletnie mnie to nie obchodzi, bo jednocześnie jestem szefem Biura Interwencji Regionalnej Komisji Wykonawczej „Solidarności” i członkiem zarządu Regionu Mazowsze. Bardzo często nawet na noc nie wracam do domu, bo tyle jest roboty, a właśnie rodzi mi się drugi syn. Potem jest jeszcze wyjazd na pierwszy zjazd związku do Gdańska.

– To jak wszystkim delegatom łódzkie włóknarki musiały ci dać ten legendarny biały ręcznik frotté z wielkim napisem SOLIDARNOŚĆ.

– Jasne, ale został u siostry w domu, a ja nie mam tam teraz wstępu. Potem Biuro Interwencji przejmują inni, a ja zaczynam organizować związek w MSW, wojsku i wszędzie tam, gdzie komuniści uważają, że to ich teren. Dasz wiarę, że prawie udało mi się założyć „Solidarność” w KC PZPR? Zgłasza się osiem osób, a do założenia koła potrzeba dziesięciu. To kucharki i sprzątaczk, ale jednak pracownice KC. Kiedy w listopadzie 1981 roku w Wyższej Oficerskiej Szkole Pożarniczej wybucha strajk, od razu się tam zjawiam, bo strażacy podlegają pod MSW. Komendant szkoły jest moim zakładnikiem, a w piwnicy ogromny magazyn broni. Stawiam tam podwójną wartę i mówię chłopcom, że mają tam stać aż do końca, aż gliny wpadną i ich zwiną. Strasznie się boję jakieś prowokacji, strzelaniny. Potem dołącza do mnie Seweryn Jaworski, wiceprzewodniczący Regionu Mazowsze, „Gruby” Marek, wtedy jeszcze po prostu Marek Latos, i Jurek Popiełuszko, kapelan Huty Warszawa.

– **Równe księżysko.**

– Ale fajtłapa. Marek Latos przerzuca go do nas przez płot, bo próbuje sam, ale się zawiesza. On też nie lubił WF-u. W telewizji nazywają nas „ekstremistycznym elementem »Solidarności«”, a potem milicja ze śmigłowców spuszcza na dach szkoły desant i rozbijają nas w drobny mak. Wszystkich aresztują, ale puszczają, bo Lechu Wałęsa grozi strajkiem generalnym.

– **Dlaczego się nie bronicie? Macie armatki wodne, strażackie toporki, hełmy... Czerwoni testują, czy „Solidarność” będzie stawiać opór. Może gdybyście się postawili, w stanie wojennym trudniej by im poszło?**

– To są dzieciaki. Studenci. Co innego górnicy, stoczniowcy... A jakby mi któregoś chłopaka odstrzelili? Rzeczywiście, dwa tygodnie później wybucha stan wojenny. Rano 13 grudnia całuję obu synków i wychodzę z domu. Jeden ma sześć lat, drugi sześć miesięcy.

– **Kiedy wracasz?**

– Za półtora roku.

A konkretnie siedem lat, pięć miesięcy i dwadzieścia trzy dni od wprowadzenia stanu wojennego 13 grudnia 1981 roku do częściowo wolnych wyborów z udziałem „Solidarności” 4 czerwca 1989 roku. Tyle trwa ich wojna. Znacznie dłużej niż druga światowa.

Więc nikt już dzisiaj nie pamięta, jaka to okazja. Sylwester czy firmowa Wigilia? Na pewno zima, gdzieś połowa lat osiemdziesiątych. Chłopaki przynoszą wódkę, a każda z dziewczyn coś do jedzenia. Ustalają tylko między sobą, co która, żeby nie było jak na którymś firmowym jajeczku wielkanocnym, kiedy na stole stanęło sześć sałatek kartoflanych – *sechs Kartoffelsalaten mit Mayonnaise!* – do tego jaja w majonezie posypane siekanym szczypiorkiem i trzy sałatki jarzynowe. Też z majonezem, które wtedy od kartoflanych różnią się tylko mniejszą zawartością ziemniaków i tym, że mają groszek z puszki, ale nie zawsze

mają, bo niełatwo dostać, więc ich odmienność polega na nazwie i przybraniu z nieśmiertelnej polskiej natki.

Jaja można kupić świeże, chłodnicze oraz wapniaki, które są przechowywane w wapnie. Nikt nie może zrozumieć, dlaczego jaja, których także brakuje w sklepach, więc można je wszystkie sprzedać na pniu, są konserwowane, przez co robią się paskudne, i dopiero takie rzucają do sklepów. Chłodnicze i wapniaki zwyczajnie śmierdzą, więc nie nadają się ani do smażenia, ani do sałatek, ani nawet do święconki na twardo – bo to potem trzeba zjeść. Od biedy można ich użyć tylko do pieczenia.

Wszyscy zgodnie uważają, że jeśli mają współpracować, razem działać, walczyć, to muszą się dobrze poznać, polubić, nabrać do siebie zaufania, pokochać nawet. Bo to może potrwać. Na firmowe jajeczka, śledzie i sylwestry przychodzą ze swoimi żonami, mężami, narzeczonymi, co jest kompletnie niezgodne z konspiracyjnym bhp. I jeszcze te wrzaski, chóralne śpiewy: „Ułani, ułani, malowane dzieci...”, „Raduje się serce, raduje się dusza, kiedy »Solidarność« na Moskali rusza”, „Nie chcemy komuny, nie chcemy i już, nie chcemy ni sierpa, ni młota”..

– Z jakich części składa się wojskowa dzida bojowa?! – przekrzykuje nagle muzykę „Gruby” Marek.

Wszyscy oczywiście wiedzą, bo to kpina z Ludowego Wojska Polskiego, z którym prowadzą wojnę.

– Wojskowa dzida bojowa składa się z przeddzidia, śróddzidia i zadzidia! – wrzeszczą na całe gardło.

– Z czego więc się składa przeddzidzie wojskowej dzidy bojowej!?

– Przeddzidzie wojskowej dzidy bojowej składa się z przedprzeddzidia, śródprzeddzidia i zapředdzidia!

– A śróddzidzie wojskowej dzidy bojowej z czego się składa, za-sra-na bry-ga-do!?

– Z przedśróddzidia, śródśróddzidia i zaśróddzidia, panie majorze!

Marek chce jeszcze zapytać o budowę zadzidzia, ale entuzjazm do krzyków flaczeje, chłopaki wypijają po lufce (w obiegu są wtedy szklaneczki zwane angielkami) i zaczynają fantazjować o przyszłości, kiedy komuna wreszcie padnie na pysk i zdechnie.

– Zobaczysz, damy cię na ministra obrony za te wrzaski – mówi któryś do Marka.

– Co ty?! – protestuje Rysiek. – Z takim głosem na marszałka Sejmu. A „Celinę” na ministra zdrowia, bo doktorka.

– Sam se idź na ministra zdrowia! Mogę być premierem. Michała dam do kultury, Freda na ministra transportu, bo taksiarz, a Maćka na szefa od więzień, bo już siedział, to się chłopak zna na tym fachu. Do Jacka też będziemy mówili kiedyś „panie ministrze”

– Tej już wódki nie dawajcie – Jacek Kuroń, który czasami wpada do nich w gościnę pogadać i pobalować, macha ręką, jakby się opędział od żółtego gza bydlęcego, zwanego bydleniem, a po łacinie *hypodermą bovis*.

Na tej samej zasadzie Janek zostaje ministrem budownictwa, Piotrek ministrem od sportu, a Maryśka od opieki społecznej. A Staszek ma być wojewodą wołyńskim, ale na razie nic o tym nie wie, bo usypia w fotelu.

– Stasiu, śpisz?! – ktoś szarpie go za ramię.

– Nie. Powieki sobie oglądam.

Staszek jest robotniczym liderem z fabryki telewizorów w Piasecznie pod Warszawą, ale i on, jak każdy tego wieczora, dostaje coś i jest kupa śmiechu, chociaż nie wiedzą, że dla wielu z nich jest to chwila, która zaważy na reszcie ich życia, a co najmniej na trzydziestu kilku kolejnych latach. Tych najważniejszych, co przypadają na całą dojrzałość człowieka między młodością a starością.

Są wśród nich tacy, co wierzą w te wygłupy.

Bo niby dlaczego nie? Po każdej wojnie przecież tak było. Zwycięzcy

brali absolutnie wszystko.

CZEŚĆ II

Siedem lat w trumnie

FABRYKA.

W grudniu wieczorową porą

13 grudnia 1981 roku jest niedziela, więc pierwsze zebranie studentów i pracowników ze środowiska polonistów Uniwersytetu Warszawskiego rozpoczyna się dopiero następnego dnia rano w prywatnym mieszkaniu na warszawskim Powiślu, ale to inteligenckie głędzenie nie do wytrzymania, wielogodzinne bicie piany, które nie ma szansy zakończyć się żadną decyzją, postanowieniem, czymś konkretnym.

– Ja spierdalam – szepcze Maciek Zalewski do kumpla stojącego obok, wkłada swoją ukochaną kurtkę US Army, dopija zimną herbatę i tramwajem linii 26 jedzie na warszawską robociarską Wolę, gdzie są zakłady Spółdzielni Pracy „Skala” produkujące cyrkle, temperówki, ekierki, bo to jedyna fabryka, w której Maciek kogoś zna.

Wchodzi do środka, a tam zupełny spokój, strajku nie ma, nie ma też znajomego, więc łązi bez celu, aż łapie go patrol straży przemysłowej w towarzystwie kilku żołnierzy, bo zakład, jak wszystkie, został zmilitaryzowany. Młody asystent z Katedry Kultury Polskiej kręci, że idzie do kadr, bo chce się zatrudnić, bo ma po dziurki w nosie pracy na uczelni, więc go prowadzą do prześlicznej panny Basi z działu personalnego, której oszukiwać nie ma już sensu. Maciek mówi jej wprost, że jest delegatem uniwersytetu i musi się spotkać z Ryśkiem Matulką, zastępcą przewodniczącego „Solidarności” w fabryce.

Ma szczęście – trafia na jego dziewczynę.

Umawiają się na wieczór na przystanku tramwajowym na placu Dzierżyńskiego, który do lat pięćdziesiątych był placem Bankowym. Basia przyprawia Ryśka, a ten opowiada, że zebrał już siedem małych

zakładów, jakąś fabrykę widelców, mleczarnię, zajezdnię tramwajową, do tego Zakłady Wytwórcze Lamp Elektrycznych imienia Róży Luksemburg i nieistniejącą dzisiaj nawet fizycznie Fabrykę Wytwarzania Precyzyjnych imienia generała Karola Świerczewskiego. Maciek jest zachwycony, mówi, że przejmuję dowodzenie, że dobrze by było mieć jakąś nazwę, na przykład Międzyzakładowy Komitet Koordynacyjny, MKK w skrócie, że na uniwersytecie będą robić im gazetę i że już następnego dnia, 15 grudnia, da mu pierwszy numer.

I to się udaje. Gazeta nazywa się „Biuletyn Informacyjny Wola”, bo ma trafiać na Wolę, jest przepisywana przez kalkę na cienkich przebitkach pakowanych do maszyny do pisania po dziesięć kartek, więc pierwsze egzemplarze są poprzecinane czcionkami na wylot, a ostatnie prawie nieczytelne. Ogólny nakład – sto sztuk. Wszyscy na wydziale polonistyki, którzy mają dostęp do maszyn, biorą udział w pisaniu lub przepisywaniu, a największy Małgosia z Zakładu Literatury XIX Wieku, do której Maćka od dwóch lat nad wyraz ciągnie, ale ona nie ma jeszcze zrozumienia dla jego uczuć. Chłopak, jak to on, nie daje za wygraną i już za dwa tygodnie na balandze sylwestrowej u Michała Boniego prosi ją o rękę. Nim jednak do tego dochodzi, któregoś dnia w połowie grudnia wieczorową porą na mieście robi się bardzo niespokojnie, pojawia się mnóstwo wojskowych patroli, samochody pancerne, kolumny milicyjnych bud, a na ulicach władza rozpędza demonstrację zwołaną przez „Solidarność”, zanim jeszcze wprowadzony został stan wojenny, co by znaczyło, że jest 17 grudnia. Maciek wpada do jakiejś knajpy przy Prokuraturze Apelacyjnej, żeby przeczekać gwałtowne zamieszanie, które wybucha na Krakowskim Przedmieściu przed uniwersytetem, i wprowadzić symboliczne sto gramów, jak mawiają Rosjanie, bo cholerny mróz.

Ale fatalnie trafia, bo to kawiarnia Telimena, a jedyne, co tam mają z procentami, to likier kawowy curaçao, słodkie i tak gęste paskudztwo,

że nie chce wypływać z kieliszka. Jeszcze pół biedy, kiedy napitek podają w płytkich szklankach, ale Maciek dostaje w wąskim kieliszku od wina, siedzi więc zły jak osa, bo połowa jego procentów na szklanych ściankach, do tego od środka, a w oddali, na drugim końcu sali, przez kłęby dymu z papierosów dostrzega Andrzeja Urbańskiego, starego kumpla z Instytutu Książki i Czytelnictwa w Bibliotece Narodowej, w którym Andrzej jest szefem Komisji Zakładowej „Solidarności”. Wyraźnie ma ten sam likierowy problem co Maciek, ale jest w nieco lepszej sytuacji, bo od swojego towarzysza, który zamówił herbatę z mlekiem, pożycza łyżeczkę. W Polsce biała herbata z jakiegoś powodu nazywa się bawarką i od pokoleń zalecana jest kobietom w okresie laktacji, tyle że towarzysz Urbańskiego piersią nie karmi, nie jest nawet kobietą, nazywa się Piotr Stasiński i jest adiunktem w Instytucie Badań Literackich Polskiej Akademii Nauk, a dlaczego wybrał taki dziwny trunek, do dzisiaj nie wiadomo.

Wiadomo, że mężczyźni bardzo szybko dogadują się, że Andrzej z Piotrkim mają prawdziwą gazetę, która nazywa się „Wola”, a więc dokładnie tak, jak przepisywany na maszynach biuletyn Maćka. Bo „wola” zgodnie ze staropolskim znaczeniem to nic innego jak wolność, do tego potęga ducha, charakteru, siła woli. Pierwszy numer jest już szykowany, ale nie bardzo mają co z nim zrobić, Zalewski natomiast ma wciąż rozrastającą się strukturę zakładową, a więc możliwości kolportażu.

Łączą siły. Umawiają się, że Andrzej będzie obsługiwał w Firmie inteligentów, a Maciek robotli. Tak lubią mówić.

Część nakładu pierwszego numeru „Woli” Maciek zawozi do „Grubego” Marka, pierwszego szefa kolportażu, którego wprawdzie wyrzucają z pracy w Mennicy, ale ma ojca w ogromnej i bardzo ważnej Hucie Warszawa. 457 egzemplarzy nakładu zabiera Piotrek Stasiński i 27 stycznia następnego roku na Krakowskim Przedmieściu pakuje się

z nimi prosto w łapy wojskowego patrolu. Jako pierwszy w Firmie, do tego za pierwszy numer gazety, dostaje wyrok i pakują go do kryminału, a kiedy jego ojciec, więzień numer 20761, umiera na raka, domownicy oszukują go, że syn nie wpada z odwiedzinami, bo musiał pilnie wyjechać służbowo w ważnych sprawach.

Już w trzecim numerze „Woli” z 4 lutego 1982 roku redakcja zamieszcza uchwałę programową MKK, bo lepiej jest werbować ludzi, myślą sobie, kiedy jest do czego, niż tak w ogóle. Autorem tekstu jest Maciek Zalewski, który swoje późniejsze artykuły podpisuje jako Maciej Lewin. „Zadaniem »Solidarności« na czas trwania stanu wojennego jest niedopuszczenie do dezorganizacji i rozbicia związku” – pisze w pierwszych słowach.

W dobrych okresach Firma drukuje i wpuszcza do sieci kolportażu dziesięć tysięcy egzemplarzy gazety tygodniowo. Dziesięć tysięcy to jest dwadzieścia tysięcy kartek A4, to czterdzieści ryz papieru ksero, a więc sto kilogramów „Woli”

PAŁAC. Partyzantka z wyciętego lasu

Nadzwyczajnie dużo ludzi tego dnia i tej nocy jest w Polsce na imprezach. To domówki, ale wtedy nie używa się tego modnego dzisiaj słowa. „Prywatki” to też niedobre słowo, bo prywatki to raczej tylko młodzieżowe spotkania. Dorośli potrzebują chodzić na coś konkretnego nawet z nazwy, do znajomych, przyjaciół, na imieniny, na kolację albo posiedzieć, bo na kielicha czy wódkę to tylko do knajpy, a jeśli ma być z tańcami, to idzie się raczej na dyskotekę niż do klubu, a stare zgredy – na dancing. Jeśli tańce odbywają się w domu, trzeba użyć uniwersalnego słowa „impreza”, jeśli w zakładzie pracy, w szkole, na wczasach – „potańcówka” albo „zabawa”.

Wigilia 13 grudnia to sobota. Ewa Choromańska z mężem Włodkiem wracają z balangi grubo po północy, pod dobrą datą i na piechotę, bo z Mokotowa, parę ulic od ich Odolańskiej.

(Na Ewę radzę uważać także dlatego, że na cztery główne bohaterki tej książki aż trzy noszą to imię).

Oboje z mężem są lekarzami chirurgami ze Szpitala Kolejowego w podwarszawskim Międzylesiu, a Ewa dodatkowo szefuje szpitalnianej Komisji Zakładowej „Solidarności”, działa w radykalnej jak na owe czasy Konfederacji Polski Niepodległej.

– Bo miałam piórko w dupie – mówi poetycko. – Potrzebowałam obalać komunę, a nie walczyć o prawa związkowe, organizować kolonie czy zbierać składki. No i rano wpadają do nas teściowie i krzyczą na mnie, że się doigrałam, że dopięłam swego, wywołałam wojnę, tylko że nie potrafią mi powiedzieć, z kim. Ubieram się więc, wskakuję

w mojego „malucha” i na potwornym kacu gnam na ulicę Mokotowską do siedziby Regionu Mazowsze „Solidarności”

Jest mnóstwo ludzi. Wszyscy ratują, co się da, Ewa dostaje powielacz i adres, na który ma go zawieźć, a kiedy nie ma już nic do uratowania, ktoś wciska jej w rękę plik ulotek nawołujących do strajku generalnego i każe rozrzucić po mieście. Przyłącza się do niej dwóch chłopaków z Liceum imienia Reytana, których imion nie pamięta. Gnają po zawałonych śniegiem ulicach i przez okno rzucają ulotki. Z Marchlewskiego, która teraz jest ulicą Jana Pawła II, skręcają w Świerczewskiego, czyli dzisiejszą aleję „Solidarności”, a już po kilkuset metrach, na wysokości Marcelego Nowotki, obecnie noszącej imię Władysława Andersa, zaczyna ich ścigać milicyjna suka. Ewa zmyka ile sił w dwudziestodwukonnym motorze jej „malucha”, ale z milicyjnym polonezem nie ma szans. Na placu Dzierżyńskiego, który wcześniej był i teraz znowu jest placem Bankowym, milicjanci dopadają ich wreszcie, wywlekają z samochodu, ładują do radiowozu i wiozą do komisariatu na ulicy Wilczej. Po drodze Ewa zjada ukradkiem legitymację partyjną KPN-u.

W komisariacie na korytarzach mnóstwo ludzi w mundurach polowych i po cywilnemu, rwetes, zamieszanie, trudno dociec, kto milicjant, a kogo aresztowali. Jej licealistów ciągle ktoś szarpie, tarmosi, a jeden z mundurowych bierze ulotkę, pluje na nią z rozmachem i trzask!, wali Ewę w głowę, aż kartka przylepia się do czoła. „To taka kurwa, co dla »Solidarności« nago by zatańczyła na stadionie!” – wrzeszczy.

– Jak byłaś ubrana? – pytam Ewę. – Z reguły nosiłaś bardzo krótkie kiecki i cholernie wysokie obcasy.

– Nie wiem, co miałam na nogach, ale na pewno byłam w białej kurtce podbitej futerkiem. Potem wiozą mnie do Pałacu Mostowskich, gdzie do dzisiaj jest Komenda Stołeczna Policji. Jakiś ubek próbuje mnie

werbować, mówi, że ja pracuję w szpitalu, więc on mógłby mi wiele pomóc, a ja, że bardzo chętnie, bo okna cholernie nieszczelne, brakuje ligniny i kaloryfery zupełnie nie grzeją, więc się odczepia. I wieczorem mnie puszczają, wychodzę z komendy, a tam mój Włodek. Czeka przerażony. Zmarznięty, głodny, bezradny. Jakoś się dowiedział, że tam jestem. Bardzo jest kochany. Cały dzień na mrozie, a żadnych wyrzutów do mnie, ani jednego słowa przygany. „Partyzantka z wyciętego lasu”, mówi wzruszony i długo całuje mnie w usta.

A od następnego dnia Ewa zaczyna organizować swoją międzyleską grupę. W jej szpitalu pracuje żona szefa „Solidarności” z Instytutu Badań Jądrowych – to już ich ma, sekretarka z oddziału chirurgii zna brygadzystę ze ZWAR-u, wielkiej fabryki urządzeń wysokiego napięcia – to ich też ma, a przedstawicielem Centrum Zdrowia Dziecka w jej strukturze zostaje Tomek Dangel. Do tego Instytut Łączności, Elektrotechniki, Mera-Pnefal od automatyki przemysłowej... Z takim posagiem, już jako „Celina”, idzie na spotkanie z „Hardym”, czyli Markiem Hołuszką, który ma własną organizację oraz kontakt ze Zbyszkiem Bujakiem, szefem Regionu Mazowsze „Solidarności”, a potem razem idą na spotkanie z Maćkiem Zalewskim, który też ma swoją grupę, a co najważniejsze ma gazetę „Wola”

– Ten czas to jedne z najlepszych chwil w moim życiu – rozmarza się Ewa Choromańska. – Najlepsze lata. Dziesięć, tak?

– Siedem i pół.

– Bardzo dużo za nie zapłaciłam. Bo ciągle nie ma mnie w domu, więc przy dziecku Włodek, do tego ciągle poczucie zagrożenia, strach, że pójdę do pierdła... On bardzo kibicuje, szanuje, podziwia tę naszą partyzantkę, ale kobietą jego życia, okazuje się, nie jestem. To rzną głupa, udaję, że nic nie wiem, nie widzę.

– Że co?

– Że mnie zdradza.

KOMORA. Mnóstwo trefnego badziewia

– Ale na gwałt, na już, na teraz, bo trzeba szybko, bo się wali, to Włodek jest dobry – opowiada Ewa Choromańska. – Tak jest w 1984 roku, po zabójstwie księdza Popiełuszki. Drukarze jeszcze tego samego dnia przygotowują górę ulotek, że oskarżamy, że wiemy, kto zabił, że SB, więc trzeba natychmiast rozkleić je po mieście. Bierzymy tego cały plecak, klej i chodu na Starówkę. Działamy w parze. Jedno sprejuje klejem na sklepową szybę, drugie trzask ulotkę, i dalej.

– Nie było takiego kleju.

– Akutol. Klej chirurgiczny. Bo *cutem* to po łacinie skóra. Rany się tym klajstruje, tkanki.

– A wy oboje chirurdzy – ja na to.

– Tak. Więc pryskamy tym po Starym Mieście, a Włodek czerwony jak burak, spocony, rozdygotany, to na kilometr widać, że popełnia przestępstwo. Nie nadaje się do tego po prostu.

– Ja pewnie też.

– Dlaczego? – pyta Ewka i brwi unosi wysoko, jak się tylko da.

– Boję się jak diabli.

– Ja też!

– Ale ja bardziej – mówię. – Tak mi się wydaje. Boję się, że będzie mnie bolało, że wezmą mnie na tortury...

– Nie brali przecież... A tej sałatki nakładaj, bo jak zabraknie, to dołożę. I nalej.

– Wiem, że nie biorą na męki, ale jakoś się boję, jakoś ci różni chłopcy wpadają i pękają, jakoś tamci ich łamią. Mają swoje sposoby. Przecież

nikt nie leci do nich na ochotnika. Strasznie się tego boję.

Gdzieś w środku wojny mamy wyspę, trzeba wyczyścić mieszkanie „Rudobrodego” Andrzeja na Bielanach, gdzie może wpaść ubecja i gdzie jest powielacz, na którym drukujemy „Tygodnik Mazowsze”, największą i najważniejszą warszawską gazetę podziemną, gdzie jest także wielka góra papieru na zapas, farby i mnóstwo innego trefnego badziewia. „Rudobrody” z Fredem i „Grubym” Markiem rozwożą graty po mieście, a ja siedzę w chałupie i mam to wszystko wydawać, znosić na dół, pakować do samochodu. Całą noc wojujemy, a ja czuwam i dla zabicia czasu biorę książkę z półki. Na chybił trafił. Trafiam na relację członka Sonderkommando, żydowskiej grupy roboczej z Auschwitz obsługującej komorę gazową i krematoria.

Potworność nie do wyobrażenia. Tak mnie sponiewierała, że chcę umierać natychmiast. Książka, opowieść, literatura faktu sprawia, że gdyby wtedy wpadli do mieszkania „Rudobrodego”, to z tej grozy, przerażenia wybiegłbym na balkon i skoczył na dół z trzeciego piętra. Inaczej podpisałbym wszystko, co by mi kazali. Tak wtedy myślę. I dobrze pamiętam.

To zresztą ten sam balkon, z którego skoczył kiedyś ojciec „Rudobrodego”. Jeszcze specjalnie tak to zrobił, żeby jego mały syn wszystko dokładnie widział.

– No, a mój Włodek na sto procent nie nadaje się do tej naszej partyzantki – mówi Ewka i leci po sałatkę jarzynową, bo wyszła, ale nie przestaje gadać, a w zasadzie krzyczeć z kuchni. – To siedzi w domu i zajmuje się dzieckiem! Ktoś przecież musi! A ty, chłopaku, naley!

Ewka jest starsza ode mnie, ale nie wiem, ile ma lat. Podobno urodziła się, kiedy jeszcze trwała wojna światowa, ale jak ją o to pytam, mówi, że bym nie był taki ciekawski. I niech tak zostanie. Ona lubi, żeby było tak jak zawsze, jak dawniej, jak wcześniej. Świat się zmienia z prędkością światła, a u niej w domu nawet obrazy wiszą na ścianach

dokładnie tak samo jak w latach osiemdziesiątych. Te same zgredowskie, toporne i cholernie niewygodne stoły, krzesła i fotele z toczonych wałków stoją dokładnie tak samo jak trzydzieści lat temu. Odsiedziałem na nich wiele godzin przy okazji poniedziałkowych zebrań, to mi się utrwaliło w oczach, że ciasno zawieszzone na ścianach dowody wdzięczności pacjentów, landszafty z podróży i secesyjna scheda po rodzicach wiszą ciągle na tych samych gwoździach.

– Nie malowałaś chałupy od tamtego czasu?! – krzyczę do Ewy, która ciągle krząta się w kuchni.

– Malowałam!

– I nie chciało ci się pozmieniać konfiguracji, układu?

– Taki jest najlepszy. – Ewa wreszcie wraca z sałatką. – A ten obraz kupiłam w latach siedemdziesiątych po ślubie z Włodkiem. On musi czuć się straszliwie niedowartościowany, gorszy, jak tak siedzi przy dziecku, zajmuje się domem, a za oknami wojna, łomotanina, a on nic. Tylko jego żona. To się dopieszcza u różnych panienek. On taki czarujący dla dam, atrakcyjny chłopak, co wygląda na młodziaka. Zachowujesz się jak szczeniak, to od razu jesteś młodszy. A ja udaję, że nic nie wiem, nie widzę. I jest dobrze.

– Chrzanisz...

– Chrzanię twoim zdaniem, że co? – Ewa szuka zaczepki.

– Że jest dobrze.

– Wypijmy. I jedz tę sałatkę! No i myślałam, że jak sobie pobzyka te panienki, a w zasadzie same mężatki oczarowane przez doktora, koleżanki z pracy, moje koleżanki... to się wybzyka i będzie jak zawsze, jak dawniej, jak wcześniej...!

I pierwszy raz słyszę ten Ewczyny skowyt. Cichy skowyt starej suki wywiezionej do lasu i przywiązanej drutem do drzewa. Stara, ale ciągle wytworna, salonowa chuliganka, owczarek szkocki zawsze gotowy do draki, rozróby, tyle że przestała się podobać, no bo stara i gruba,

śmierdzi jej z pyska, oczy mętne, puszcza bąki. To do drzewa, a pan odchodzi. Stara sprawdza ten drut, ale spokojnie, lekkim ruchem ciała, a nie jak łańcuchowa idiotka, co by się od razu szarpała. Lekko sprawdza napięcie drutu. Trzyma. Co to za zabawa? Pan znika w samochodzie, odpala, rusza... Boże wszechmogący! Myślała, że nigdy nie będzie umiała tego zrobić – taki strzał z żywego psa, z żywej kuli, żywego mięsa, prawdziwa włochata petarda, asteroida zatrzymana gwałtownie, jak tylko na kreskówkach się udaje: uwiązany łeb zostaje w miejscu, a reszta wystrzelonego ciała leci dalej, rozciągając grzbiet, szyję, łapy jak dalszy ciąg łańcucha. Tylko wsiowe burki tak potrafią. Ale to jest drut. Stara suka nie czuje bólu, gryzie żelazo zębiskami, co jej jeszcze zostały, rzezi, charcze, skowycze...

Widziałem coś takiego na własne oczy, tyle że chwilę po. Może dzień, a może tylko pół dnia po wszystkim. Podróżowaliśmy z kumplem na rowerach przez pustynię Gobi.

Bardzo nie lubiliśmy psów mongolskich koczowników, bo są groźne jak wściekłe diabły, ale Murzyn, tak go w myślach nazwałem, nie może wyjść mi z głowy, chociaż minęło wiele lat. Znalazłem go w opuszczonym przez pasterzy obozowisku. Wielkie, czarne psisko z wyszczerzonymi kłami. Leżał między kępami pachnącego tymianku i wrotycza krwawnikowatego. Już nie żył, ale sępy jeszcze nie dobrały się do niego. Do tylnych łap miał przywiązany drutem spory kamień. Swoją drogę krzyżową zapisał na piachu. Kilkaset metrów włókł się za odchodzącą karawaną. Czym zasłużył na taką potworną śmierć? Jakie prawo pustyni złamał? Pokazał panu zęby? Ugryzł dzieciaka, a może udusił barana? Czy zestarzał się tylko?

Na pustyni trudno o drzewo.

KOSZARY.

Stan cokolwiek nieostry

Z pomocą Włodka Ewa ratuje Tomka Dangela, młodego lekarza i szefa „Solidarności” w Centrum Zdrowia Dziecka, który na początku stanu wojennego dostaje powołanie do wojska.

– I to od razu do Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego na ulicy Podchorążych w Warszawie, czyli do sił zbrojnych MSW – mówi Tomek.

– Najgorszy przydział z możliwych dla działacza podziemnej „Solidarności”. Ten przydział oznacza, że spodziewają się, że będą mieli rannych.

– Bogu dzięki, nie mają – ja na to.

– A ja jestem młody, zdeterminowany, wychowany na tradycji harcerskiego Batalionu „Parasol” Armii Krajowej.

– Którzy są przecież egzekutorami. Chociaż dzieciakami.

– Żołnierzami. Najlepszy element, jaki jest w Polskim Państwie Podziemnym, który na pewno by nie uległ demoralizacji, chociaż ich głównym zadaniem jest wykonywanie wyroków śmierci na zbrodniarzach hitlerowskich.

– Myśmy tworzyli społeczeństwo, a nie państwo podziemne – mówię. – Niesformalizowany, demokratyczny ruch ludzi wolnych.

– A ja znam i podziwiam tych od „Parasola” i z Szarych Szeregów. Ci z nich, co przeżyli, przychodzą do nas do szkoły, na zbiórki, ogniska harcerskie. Pamiętam Marię Stypułkowską-Chojecką, łączniczkę „Kamę” z zamachu na Kutscherę. Dystansuję się więc wobec MKK, bo dla mnie rozrzucanie ulotek, noszenie gazetek i ściganie się z zomowcami na manifestacjach nie jest zbyt poważne. To ma być kontynuacja dzieła

naszych ojców?! Tekst na ulotce, że „Solidarność” żyje, dla mnie jest śmieszny. Chodzi przecież o odzyskanie przez Polskę niepodległości.

Jest jasne, że Tomek Dangel nie może w 1982 roku trafić w szeregi Ludowego Wojska Polskiego nawet jako lekarz. Na szczęście ma przepuklinę. Kompletnie nic groźnego, chodzi z tym od lat, Ewa z Włodkiem przyjmują go jednak do siebie na oddział chirurgii Szpitala Kolejowego z rozpoznaniem, że stan jest bardzo ostry, poważny, bo przepuklina uwięzła i nie jest już taką sobie zwykłą przepukliną, *hernią*, dziurą w powłokach, ale *hernią incarcerationą*, przepukliną uwięźniętą, co oznacza, że życie pacjenta jest zagrożone, bo jelito się zakleszczyło, może dojść do jego perforacji, zapalenia otrzewnej i śmierci.

Ewa Choromańska nie tylko jest przewodniczącą, lecz także nadworną lekarką w strukturze. Leczy dziewczyny i chłopaków z Firmy, ich rodziny, znajomych, na szpitalnych oddziałach melinuje ludzi, którzy się ukrywają przed bezpieczeństwem. Ale Tomka nie operuje, bo chociaż jest nie lada mistrzynią, to od żylaków.

– Zdecydowanie lepiej dać się jednak zoperować, niż trafić do armii – mówi Tomasz. – Po roku jednak znowu przysyłają mi wezwanie, ale w międzyczasie przy grze w kosza trzaska mi łąkotka i zbiera się płyn w kolanie. Kolejna operacja, ale biegać nie mogę, więc znowu dostaję odroczenie. I tak przez kilka kolejnych lat.

W styczniu 1982 roku Tomek na nowo, w warunkach konspiracyjnych, organizuje „Solidarność” w Centrum Zdrowia Dziecka, buduje siatkę kolportażu, szuka nowych ludzi i tak poznaje przyszłą żonę Joannę, lekarkę z kardiologii dziecięcej, którą wciąga do roznoszenia bibuły, czyli podziemnej prasy.

– Spotykam mądrego księdza, który mówi, jak unieważnić moje pierwsze małżeństwo, i Kościół daje mi drugą szansę. Pobieramy się z Joanną cztery lata później.

I znowu chce się żyć.

Mieszkają w mikroskopijnym, dwudziestosześcioletnim mieszkanku na Osiedlu za Żelazną Bramą w centrum Warszawy, przy ulicy Grzybowskiej, która nie zmieniła nazwy. Stąd konspiracyjny pseudonim Tomka – „Grzybowski”. Oboje zarabiają bardzo marnie, a marzą o dzieciach, więc w połowie lat osiemdziesiątych zaczynają myśleć o emigracji, o wyjeździe z Polski na zawsze. Do Tomka boleśnie dociera, że „Solidarność” absolutnie nie myśli o niepodległości kraju, że steruje w stronę porozumienia z władzą komunistyczną, więc kiedy w 1983 roku w jego ręce wpada „Niepodległość”, radykalne pismo prawicowe wydawane przez Liberalno-Demokratyczną Partię Niepodległość, nawiązuje współpracę. Odsuwa się więc od Firmy, przestaje przychodzić w poniedziałki na cotygodniowe prezydium MKK.

– Nie udaje się nam wyjechać z kraju, na szczęście, a pod koniec lat osiemdziesiątych wycofuję się z partii i w ogóle z polityki. Koniec konspiracji. A kiedy w grudniu 1988 roku dowiaduję się o straszliwym trzęsieniu ziemi w Armenii, zgłaszam się do sowieckiej ambasady i wyjeżdżam jako członek polskiej ekipy ratunkowej do Erywanii. Pracuję w szpitalu dziecięcym, a od prezydenta Gorbaczowa dostaję Order za Osobiste Męstwo.

– Z sierpem i młotem jeszcze?

– Jasne. I w ten symboliczny sposób kończę moje zmagania z komuną. Bogu dzięki, zajmuję się medycyną, nauką, działalnością charytatywną, bo inaczej nie byłoby tego wszystkiego, co potem stworzę.

Czyli Warszawskiego Hospicjum dla Dzieci, w którym w ciągu dwudziestu lat istnienia leczą 610 dzieciaków. 427 z nich umiera. Ale to wszystko już w wolnej Polsce i w trzeciej części książki.

CHEMIA.

Podziemne życie Marka H.

– **Dzisiejsza chemia, Ewko, jest która? Piąta?**

– Tak. Wystarczy, że popatrzę na ten worek i rzygać mi się chce. A jeszcze siedem... Muszę czymś zająć myśli.

Opowiem ci, jak w 1981 roku po wybuchu stanu wojennego buduję organizację. Pierwsze konspiracyjne spotkanie mam już 15 grudnia przy budce z kwiatami na rondzie Starzyńskiego. Z Jadwigą z komitetu strajkowego przy FSO, a budka stoi do dzisiaj. Następnego dnia w mieszkaniu koło huty jest spotkanie z przedstawicielami kilku już zakładów. W sumie siedem osób, w tym ja i Adam Borowski, późniejszy szef konkurencyjnego Międzyzakładowego Robotniczego Komitetu „Solidarności”, w skrócie MRKS. Mówię, że z walki nic nie wyszło, wszystkie zakłady rozbijają, a on, że trzeba atakować. Następne spotkanie tuż przed świętami. Ustalamy, że ja jestem szefem. Umiera Marek Hołuszko, rodzi się „Hardy”. Bo wiesz, pamiętasz, że wtedy jestem jeszcze Markiem. Moją łączniczką jest Marta z Instytutu Meteorologii. Potem wpada i kompletnie w śledztwie się załamuje, i wszystko wyśpiewuje. Wybaczam jej i do dzisiaj bardzo ją lubię, przychodzi do mnie na każde urodziny. Potem zjawia się Ewa Choromańska ze szpitala w Międzylesiu. Świetna baba. Przeprowadza dużo zakładów z prawej strony Wisły, a później organizuje spotkanie na Gocławku przy pętli tramwajowej. Jest ich trzech. Michał Boni, Maciek Zalewski i Andrzej Urbański.

– **Nieźle kombo. Dwóch przyszłych ministrów i przyszły prezes Telewizji Polskiej.**

– Trzej przyjaciele z polonistyki. Już mają nazwę MKK, gazetę „Wola”, to się łączymy. Idealny, można powiedzieć, związek. Z wielkich zakładów mamy MPT, MZK, Polkolor z Piaseczna, ale Ursus odchodzi do MRKS-u, bo stanie z bronią u nogi, unikanie stosowania przemocy i ulicznego łomotania im nie pasuje.

– **A huta i FSO?**

– Są u nas i u nich. A w końcu listopada osiemdziesiątego drugiego wpadam. Esbecy namierzają mój lokal na Genewskiej 12. Dwa dni obserwują go z domu naprzeciwko, ale zwijają mnie na rogu Zwycięzców i Saskiej. Z samochodu wychodzi facet i przykłada mi pistolet do piersi. Chcę pryskać, oglądam się, ale za plecami ogromne wykopy uliczne. Mam fałszywy dowód osobisty z moim zdjęciem na nazwisko Jan Szulim z Mińska Mazowieckiego. Grupy Oporu Solidarni kupują na bazarach kradzione dokumenty i odpowiednio je przerabiają na potrzeby podziemia. Załatwiają mi nawet legitymację milicyjną. Na szczęście nie mam jej przy sobie podczas aresztowania.

– **Bo by ci dali za to straszego łupnia.**

– W areszcie na Rakowieckiej sadzają mnie w trzecim pawilonie. Trafiam do celi na parterze, a w piwnicy pode mną w tym czasie wykonują wyroki śmierci. Szybko do mnie dociera, że robią to w te dni, kiedy nie wyprowadzają nas na spacer, a kolację podają o trzeciej po południu. Dla mnie to straszna tortura. Tuż pod moimi stopami otwiera się zapadnia, zabijają człowieka, a ja dostaję tę cholerną kolację. A wiesz, co najbardziej mnie tam przeraża? Że bezpieka odkryje moją największą tajemnicę. Odkryją, kim jestem, co dla mnie jest jasne już od sześciu lat, to znaczy od dwudziestego szóstego roku życia. Panicznie boję się, że na przesłuchaniach ubecy jakoś poznają moje myśli, marzenia, sny, które obsesyjnie nachodzą mnie od dzieciństwa. Że jestem...

– **Dziewczynką?**

– Nie, nie. Dużą, dorodną, piękną kobietą.

– **Co robisz w tych marzeniach?**

– Przede wszystkim wyglądam. Widzę piękną kobietę, to znaczy siebie, która idzie ulicą w prześlicznym ubraniu i pantofelkach na obcasie. Albo rozebraną. Z atrybutami płciowymi, bo chyba zaraz o to zapytasz. Zewnętrznymi. Ale i wewnętrznymi! Już w dzieciństwie obsesyjnie wertuję wszystkie encyklopedie i wiem, że atrybuty są takie i takie. Biedny był ze mnie dzieciak, bo cała młodość to paniczny strach, że jestem transwestytą. Fajnie było czasem przymierzyć jakiś babski ciuch. Pochodzić w tym po domu, jak nikogo nie było. Ubecy na szczęście męczą mnie tylko, kto to jest „Hardy”. Oczywiście do niczego się nie przyznaję poza imieniem i nazwiskiem. Twardo odmawiam zeznań, a oni nic mi nie udowadniają. No i na koniec śledztwa ubek, który je prowadzi, wyciąga łapę i gratuluje mi niezłomnej postawy. Dla mnie to jest koniec komuny. Oni zaczynają nam kibicować.

– **Długo tam siedzisz?**

– W sumie pół roku, bo jest jakaś amnestia i mnie zwalniają. Nie wracam do Firmy, bo jak ktoś jest spalony, może być dla organizacji cholernie niebezpieczny. MKK to jednak konspira. Nowym szefem jest Maciek Zalewski, a ja pomagam księdzu Jurkowi Popiełuszce, z którym od czasu strajku w szkole strażackiej bardzo się przyjaźnię. Bardzo opiekuje się moją rodziną podczas mojego ukrywania i więzienia. W lecie 1982 roku, kiedy się jeszcze ukrywam, wysyła mi dzieci w góry na wakacje. Mieszkają u sławnej Bigosowej na Głodówce. Odwiedzam je raz nawet i o mało przez to nie wpadam, bo milicja urządza na mnie obławę. Uciekam przez podwórko Bigosowej do lasu, a oni walą do mnie z pistoletów jak na strzelnicy.

– **Bogu dzięki, pudłują, ale z Popiełuszką im się udaje.**

– A ja bez pytania w środku nocy włożę na wieżę Jurkowego kościoła

i zaczynam bić w dzwony. Jestem dowódcą straży robotniczej w kościele Stasia Kostki. Spędzam tam wszystkie noce, a kiedy czerwoni oddają trumnę z ciałem Jurka, opróżniam kościół z ludzi. To bardzo przykre, ale nie chcemy otwierać trumny przy tłumie. Jurek jest strasznie pobity, zmasakrowany. Odchodzę stamtąd po pogrzebie. Jako osoba prawosławna nie pasuję tam.

– **Tylko ty masz problem z tym prawosławiem.**

– Żebyś się nie zdziwił! Nie wiesz nawet, jak koso tam na mnie patrzą. Właśnie dlatego. Potem już nie mogę znaleźć dla siebie miejsca, tym bardziej że rodzina mi się rozwala. Żona zostawia chłopców i wyjeżdża sobie za granicę, a z młodszym synem dzieją się straszliwe dramaty. Słyszałeś, żeby kogoś wyrzucili z przedszkola? Nie, a jego wyrzucają. I z zerówki. Jest nie do opanowania. Obaj chłopcy praktycznie są wychowywani przez moją matkę i siostrę z Anina. To teraz ja muszę. Idę do normalnej pracy na uniwersytecie jako pracownik techniczny. Ostatni mój wyczyn ma miejsce 3 maja 1987 roku. Idę z młodszym synkiem na demonstrację do kościoła Stasia Kostki. Nie bardzo kto ma ją poprowadzić, to łapię transparent i ruszam przodem. Straszna nawalanka, kajdanki, areszt i kolegium.

– **A syn?**

– Zostaje koło plebanii z kościelnymi babkami.

– **Znowu go zostawiasz? Z obcymi babkami, a wkoło wojna, strzały i gaz. Musiał umierać ze strachu.**

DWÓR. Indiańskie dziargi na twarzy

Wielkie zebranie zjednoczeniowe grup Marka Hołuszki, Ewy Choromańskiej i Maćka Zalewskiego, na które przychodzi około trzydziestu–czterdziestu konspiratorów, odbywa się na początku 1982 roku według jednych w Pyrach pod Warszawą w dworku szalonej Ewy Galster, według innych, w tym także Maćka, na ulicy Grochowskiej, po prawej stronie Wisły w Warszawie.

– To pewnie już wiosna, bo Ewka Choromańska w tak krótkich kiecekach, że aż strach patrzeć. – Maciek rozmarza się i zapala fajkę. – Pamiętasz, co to były za nogi?

– Nie da się zapomnieć.

– Szefem organizacji zostaje Marek Hołuszko. Nawet nie wybieramy, tylko samo nam wychodzi tak przez aklamację, bo jest przecież członkiem Zarządu Regionu sprzed stanu wojennego, to jakby minister konstytucyjny. Jak się pojawia gdzieś żywy, wiadomo, że musi być dowódcą. Do tego ma, bardzo ważne dla nas, kontakty ze Zbyszkim Bujakiem i władzami Regionu Mazowsze. Potem w Pyrach bywam już tylko towarzysko, bo najczęściej jestem na twardej, robociarskiej Woli, gdzie jest moje najprawdziwsze życie prywatno-patriotyczne. Do tego Michał Boni i przyjaciele z mojej katedry. Uwielbiam środowiskową różnorodność tej naszej konspiracyjnej inicjatywy. Nawet wciągam do tego paru starych kumpli z mojej podstawówki na Powiślu.

Z kilkunastoosobowego Prezydium MKK pamiętam kilku robotników. Fred pracuje jako taksjarsz, Marysia Trenda jako pomoc dentystyczna, Rysiek Makowski z MZK zwany „Cichym” jest elektrykiem w zajezdni

R-1 przy ulicy Młynarskiej, a Stasio Karasiński narzędziowcem i każe nazywać siebie „Adamem”. „Bo ja jestem Adam, co nikomu nic nie gadam.” Tak sobie wymyślił, choć bardzo lubi zabierać głos na zebraniach. Nie wszystkim się to podoba, bo ponad połowa z nich to ludzie z instytutów, uczelni, redakcji, ale Stasio jest przedstawicielem giganta, Polkoloru z Piaseczna pod Warszawą, gdzie robią telewizory, a nawet delegatem całego Mikroregionu Piaseczno, więc morda w kubeł, słuchać trzeba. Tym bardziej że ma pięć dych – tyle co ojcowie wielu z nich. Jest więc starcem, patriarchą.

MKK przyjmuje strukturę terytorialną, jej mikroregiony to podwarszawskie miejscowości takie jak Piaseczno czy Międzyzlesie albo dzielnice stolicy.

Życie codzienne tej społeczności, bandy, ferajny buzuje gdzieś między fabryką a uniwersytetem. Osobliwe, że przed Sierpniem 1980 roku żadne z nich nie miało do czynienia z działalnością opozycyjną.

– Każdego dnia jestem na uniwersytecie i na jakimś zebraniu konspiracyjnym – opowiada Maciek Zalewski. – Ale najbardziej lubię te, gdzie są ludzie z innego środowiska niż to moje i redakcja naszej gazety. Uwielbiam roboli. Oni sami zresztą o sobie tak mówią.

– Czarni nazywają siebie czarnuchami, ale białasom tak nie wolno.

– Zgadza się. Ale „roboł” nie jest obraźliwy, tym bardziej że na moich oczach robole przemieniają się w myślących robotników, bo czytają. W odróżnieniu od roboli.

Maciek nasiąka tym jak gąbka, przesiąka do samego środka, spodu, nabiera odpowiednich, szorstkich manier, chropowacieje językowo, wykoślawia, a bluzgów w każde zdanie potrafi wpierniczyć więcej niż tych pozostałych słów, nie gubiąc sensu. Jest w tym sporo naiwnego, młodzieńczego zachwyty świeżo upieczonego antropologa, którego posyłają do amazońskiej puszczy, a on robi sobie dziargi, w czuprynę wtyka pióro i uczy się chodzić bez butów. I myśli, że już jest

Indianinem.

Ale Maćkowi to się nawet prawie udaje.

Po wielkiej konspiracyjnej naradzie przed demonstracjami 1 i 3 maja 1982 roku, do których konkurencyjny MRKS prze jak szalony, a MKK jest im przeciwny, w podziemnym świątku wybucha entuzjazm, bo pojawia się oto wspaniały, młody, robociarski lider, który jest jeszcze lepszy niż Zbyszek Bujak, bo tak jak on czyta książki, ale ma niewiarygodny fason, wigor i gadane jak cholera, słów używa nieoczywiście, a jeszcze mięchem potrafi cisnąć finezyjnie jak arcymistrz.

Tak podziemna Warszawa poznaje Maćka Zalewskiego.

– Ja byłem wtedy na strasznym robociarskim gazie – opowiada Maciek. – Jesteśmy przeciwko akcjom ulicznym, ale na rozróby chodzę, tyle że prywatnie. I z pędzlem w garści, malującego napisy na murach też można mnie zobaczyć, a parę razy w miesiącu wpadam na noc podrukować, żeby poczuć partyzanckie klimaty, które uwielbiam, pogadać z drukarzami, nawdychać się smrodu farby.

A potem opowiada o „Grubym”, czyli Marku Latosie, który wcale nie jest gruby, tylko wielki jak szafa gdańska z lustrem. Po zakończeniu części oficjalnej któregoś ze spotkań w mieszkaniu Marka przy Hucie Warszawa rozpoczyna się część artystyczna. Kto musi, ten się wykrusza, wreszcie zostają tylko Maciek z Markiem, więc ruszają w tango za Wisłę, na Bródno, do koleżki Zbyszka z hut, który mieszka na ostatnim piętrze w ogromnym bloku, gdzie pędzi wspaniały bimber z ryżu i gdzie przez całą wojnę jest jeden z najważniejszych punktów kolportażowych Firmy.

– Gromadzi ten bimber w litrowych butelkach po ptysiu – opowiada Maciek.

– Czyli napoju gazowanym z różnych owoców – przypominam sobie. – Zbyszek miał sporo dzieciaków.

– No a my walczymy z tym bimbrem do rana, bo Marek idzie

do roboty dopiero na drugą zmianę, a ja nie mam rano zajęć na uniwersytecie. Budzę się, ubieram, wracam do domu, a moja brzemienna żona...

– To masz już żonę?!

– Tak. Małgosię. Bo jak się oświadczam na tym pierwszym wojennym sylwestrze u Michała Boniego zwanego „Tomkiem”, to już w kwietniu jest ślub, a w następnego sylwestra, który odbywa się u Tomka Domżała zwanego „Michałem”, rodzi się moja pierwsza córka, Marysia. W Szpitalu Kolejowym zresztą, u Ewki Choromańskiej. A następna córka, Krysia, rodzi się w 1985 roku, kiedy siedzę już po raz drugi.

– No i co ta żona? – dociekam.

– Żeby przestał z tymi tekstami o partyzantce, heroicznej walce o wolność ojczyzny i swobody obywatelskie, tylko lepiej żebym popatrzył na siebie, spuścił zawstydzone oczy, to może zobaczę, że na jednej nodze mam swój but, a na drugiej but King Konga albo kogoś o podobnych rozmiarach. W rzeczy samej na lewej nodze mam bucior „Grubego” Marka, który dolną kończynę ma wielką jak Cygan z Podola, a już za godzinę Latos zjawia się u nas osobiście z jednym butem w łapie. Z odwrotem zza rzeki ma znacznie gorzej niż ja.

W latach osiemdziesiątych władze komunistyczne w Polsce, których szefem jest generał znany z dziwactwa polegającego na tym, że jest absolutnym abstynentem, wypowiadają bimbrownikom wojnę totalną. W 1982 roku generał wydaje zakaz sprzedaży alkoholu przed godziną trzynastą, który przetrwa aż do upadku komunizmu, wprowadza także kartki na wódkę, ale po dwóch latach wycofuje się z nich, bo reglamentacja sprawia, że produkcja bimbrowi, z którą tak zaciekle walczy, przybiera monstrualne rozmiary. Uczni szacują, że w latach osiemdziesiątych działa w Polsce ponad sto pięćdziesiąt tysięcy podziemnych bimbrowni, które produkują trzydzieści procent wypijanego wtedy w kraju alkoholu.

PAŁAC. Konspirator prawie doskonały

Są cichymi bohaterami tej wojny. Nie krzyczą, nie wrzeszczą, nie trajlują, nie trzaskają pyskiem po próżnicy. Nie brylują po opozycyjnych salonach, nie czarują panienek magią brodatego katorżnika, podziemnego wycierucha we flanelce i pionierkach. Żaden nie rżnie szefa ani Brudnego Harry'ego, nie pajacuje, nie wygłupia się, nie udaje, nadmiernie nie ryzykuje. Bo do tego wszystkiego nie mają kwalifikacji. Nie potrafiliby. Nie mają gadanego, ale wiedzą, że trzeba zebrać się w sobie i zapieprzać – tak, to bardzo dobre słowo, bo nie są żadnymi bojownikami opozycji, tylko pracownikami... Wyrobnikami raczej, robotami, wołami roboczymi opozycji demokratycznej. Niewidoczni, nieefektowni, niewyględni, niewymowni. Po prostu zaciskają zęby i zasuwają, nigdy się nie poddają, nie wiotczeją, nie rezygnują, a gdy wkoło siada entuzjazm, wszystkim opadają ręce i skrzydła – oni nabierają obrotów, bo czują, że tylko dzięki nim można maszynę utrzymać w ruchu. I tacy poważni w tym, seriozni, stateczni, uziemieni jak ptaki nieloty.

Po prostu konspiratorzy idealni. Doskonali. Ludzie z niezwykłymi zdolnościami kierowniczymi, ale bez żadnych przywódczych. Aparat wykonawczy, bez którego Zalewski, Boni, Choromańska, Hołuszko i inni obdarowani przez naturę talentami przywódczymi, wszystkie mądre prezydia, rady obywatelskie, komitety organizacyjne, prymasowskie i konsultacyjne, niczego by nie działali. Firma nie mogłaby istnieć bez Ryśka Satela, który jest szefem poligrafii, bez Freda R. od transportu, bez „Grubego” Marka Latosa, który jako pierwszy kieruje kolportażem, i bez

Piotrka Stańczaka, który go gdzieś w połowie 1985 roku zastępuje.

– To zwariowany czas, szalony, wojenny. – Marek rozmarza się i miesza whisky z wodą, ale tylko dla mnie. – Dzieje się niezwykle dużo niezwykłych rzeczy. Ewka Choromańska ma nocne dyżury w szpitalu, to mówi, żeby czasem do niej wpaść w gościnę, to wpadamy i siedzimy z dziewczynami od kolportażu, które są u niej pielęgniarzkami. Superdziewuchy, a Ewa ma superbar, bo pacjenci przynoszą luksusowe trunki... Fajne życie. Włodek też miewa dyżury i też ma swój bar. Na ich oddziale na nogach muszą być jeden chirurg i jeden anestezjolog, a reszta może się uwalić. Imprezy w tamtych czasach nie są grzeczne. Jest ostro i do oporu, na umór.

– Niektórzy leczą się z tego do dzisiaj.

– Ja już się wyleczyłem. A na początku wojny jest totalne wariactwo, improwizacja. Bez przerwy coś się sypie, nawala, to sam z Fredem jeżdżę po punktach kolportażu, na tylnym siedzeniu w jego taksówce liczę gazety i noszę po mieszkaniach. Nawet Hołuszko i Rysiek wożą bibułę, choć nie powinni, i Ewa Choromańska w bordowym fiacie mirafiori męża. Bardzo często nie ma ludzi do roboty.

– Masz kiedy wsypę? – pytam „Grubego” Marka, rocznik 1957.

– Nigdy. Raz bezpieka wjeżdża mi na chatę, kiedy jeszcze mieszkam z rodzicami przy hucie.

To wtedy, kiedy Służba Bezpieczeństwa jednocześnie zwija Ryśka Satela. Marek jak wielu konspiratorów, wbrew wszelkim zasadom bezpieczeństwa, ma rozpiskę z podstawowymi nazwiskami, adresami i hasłami siatki kolportażowej Firmy, niemal tę samą, od której rozpocząłem tę książkę. Bo zapamiętać tego wszystkiego nie sposób, zawsze jednak „Gruby” ma ją przy sobie, a na noc wkłada pod poduszkę, żeby zdążyć zjeść karteluszek, kiedy ubecy zaczną łomotać w drzwi, ale kiedy naprawdę się zjawiają, pakuje rozpiskę w majtki.

Potem jest rewizja w mieszkaniu i bezpieka każe Markowi się

ubierać, zabierają go, więc chłopak mówi, że musi do łazienki. Zgoda, ale drzwi mają być otwarte.

– I jeden z nich staje w progu, ja się odwracam, wyciągam fajkę, a kartkę do gęby – opowiada Marek. – On się zorientował, wali mnie w łeb, ale już jest za późno.

Maglują go w Pałacu Mostowskich, czyli Komendzie Stołecznej Milicji na ulicy Nowotki, która dzisiaj nazywa się Andersa. Ryśka przesłuchują w centrali Służby Bezpieczeństwa na ulicy Rakowieckiej, która nie zmieniła nazwy. Mówią mu, że „Gruby” Marek donosi na niego jak najęty, a Markowi, że sypie Rysiek.

– Stary numer. Jeden ubek grzeczny, a drugi cham, jeden straszy, drugi podpuszcza, podjudza, próbuje przekupić, wyjmuję pistolet, bawi się, a ja, żeby uważał, bo sobie, kurwa, krzywdę zrobi, to do mnie celuje.

– Straszny byłeś łobuz.

– Okropny. Trzymają nas jeden dzień i wypuszczają.

– A skąd masz polskie fajki? – pytam Marka znienacka o codzienność.

– Od stałego dostawcy, handlarza, co w tirze przemyca, więc są o połowę tańsze od miejscowych – opowiada.

A potem robi wykład o angielskiej grzeczności, uczy mnie, jak być bardziej brytyjskim, jak podawać pieniądze sprzedawcy i jak nie gapić się w metrze za bardzo na człowieka, nie patrzeć przez ramię w gazetę, bo to narusza cudzą prywatność. Nie wolno też pytać o życie prywatne i dziwić się, nawet jak zobaczy się cudaka z zielonymi włosami albo dziewczynę sto dwadzieścia kilo w miniówce takiej, że tyłek widać.

Rozmawiamy w kuchni jego londyńskiego mieszkania o urodzie taniego hostelu dla młodzieży, z gratami jakby wyciągniętymi z ulicznych wystawek, które stoją w domu gdzie popadnie, jak w kolejce do porąbania i spalania. Każdy fotel, krzesło, szafa z innej parafii, a w przygotowanej dla mnie przez Marka sypialni łóżko dokładnie tak szerokie jak pokój. Typowy dom na wynajem, z rozsądą pomidorów

w oknach, obrazkami z puzzli na ścianach i z niezliczoną ilością instrukcji przyszpilonych na kartkach w kuchni i łazience, jak używać spłuczki, mikrofalówki, zlewu, czajnika... Wykładzina, tapicerka, poduszki i koce śmierdzą starzyzną i myszami. Mieszkanie z przerażającym poczuciem tymczasowości, w którym nie sposób się zadomowić, w którym nigdy nie będziesz u siebie. Dom ze wspólną łazienką, kuchnią, wanną, miską, widelcem, z zasuwką i kłódką w każdych drzwiach do pokoju i łańcuchem od środka.

Wszystko, co Marek ma, mieści się w dwóch kartonach, torbie i plecaku, które stoją niewypakowane w jego sypialni. I jeszcze ogromniasty telewizor plazmowy z włączonym na stałe polskim programem informacyjnym.

Marek mieszka tu niezaczepiony już sześć lat.

– Bo to Richmond, bardzo porządna dzielnica bez Pakistańców – wyjaśnia. – Czarnych też prawie się nie widuje, więc jest bardzo bezpiecznie. Nawet emigrantów z Polski prawie nie ma.

A wcześniej, jeszcze w Polsce, idzie do pracy w Hucie Warszawa, bo tylko tam chcą go przyjąć po tym, gdy drugiego dnia stanu wojennego wylatuje z pracy w Mennicy, gdzie był magazynierem, a potem etatowym działaczem „Solidarności”. Wysoko nad halą produkcyjną wydziału W46 ma oszkloną kabinę pełną pokręteł, dźwigni i przycisków, którymi steruje, żeby stal na drut i blachę dobrze się walcowała na taśmie, ale po trzech latach w hucie orientują się, że przyjęli do pracy solidarucha, w szatni robią mu rewizję w szafce, znajdują ulotki i znowu zostaje wyrzucony. Oddaje sprawę do sądu pracy, dla zasady, i wygrywa, ale nie bardzo mu zależy, bo w Pyrach pod Warszawą u szalonej Ewy, którą też po 13 grudnia wyrzucają z roboty, są już konie, dziewiętnaście wierzchowców, których razem doglądają. I płomienna miłość obojga, gwałtowny związek, wspólna praca przy zwierzakach i w szkółce jeździeckiej.

– Dama z odzysku – mówię, żeby jakoś posterować rozmową w sercową stronę.

– Z dwoma synami, matką, starym wujem kawalerzystą, który pomaga w stajni, a ja na szóstego w tym domu. I nawet moja matka tam zamieszkała jako siódma, żeby pomagać w gospodarstwie. Konie są nasze i kilka obcych. Cholernie ciężka robota. Wrzucanie siana na strych, sprzątanie gówień, a jak która gadzina choruje albo się źrebi, to czuwasz całą noc.

OBÓZ. Najebany jak Polak

– Ale żyć się z tego nie daje za bardzo – wspomina Ewa Galster. – Żreć gadzina musi, bez względu na to, czy pracuje i zarabia, czy nie.

Ewa niemal pięć lat procesuje się z zakładami Warsowin o przywrócenie do pracy. Była tam przewodniczącą związku i szefową produkcji. Jej także nie zależy, żeby wrócić, ale chce wygrać. I wygrywa na wszystkich szczeblach, z Sądem Najwyższym włącznie, wraca i natychmiast w związku z reorganizacją produkcji i likwidacją jej stanowiska pracy zostaje zwolniona z obowiązku jej wykonywania. Jest więc zatrudniona, ale ma się nie pokazywać w swoim zakładzie. Znowu odwołuje się do sądu, a ten przekazuje jej sprawę na najniższy szczebel, więc po pięciu latach, w ciągu których Ewa cały czas dostaje wynagrodzenie, wszystko ma się zacząć od początku.

– A mnie przecież chodzi tylko o godność! – krzyczy Ewa. – Ale po tylu latach nie wyrabiam i się poddaję. Płacić, chuję, kasę i spierdalać! Tak im nawrzeszczałam, oni mi dają kilka pensji do przodu i składam broń. Odchodzę. Zostają mi tylko konie, ale kiepsko to idzie, próbuję więc w stajni hodować barany, kozy, kury, gęsi, indyki, a nawet perliczki i robić uprawy pod folią. I co chwila krótki wypad do Niemiec albo Szwecji do roboty.

A Marek Latos wśród foliowych namiotów z pomidorami i ogórkami kopie szpadlem ogromny dół na podziemny bunkier, w którym planuje umieścić firmową drukarnię, ale nie wymyślił wcześniej, jak, czym i dokąd wywozić zwały ziemi z tego wykopu, i pomysł utyka. W 1985 roku razem z Ewą ostatecznie składają broń w kwestii codzienności.

„Gruby” Marek przekazuje Piotrkowi Stańczakowi obowiązki szefa kolportażu MKK, a w styczniu następnego roku pisze wniosek o wydanie paszportu, ale nie chcą mu dać, więc wykupuje wycieczkę do Kopenhagi i Hamburga.

– Trzy dni chłania na promie, a w Hamburgu daję nogę. Jak większość pasażerów.

– Mówiłeś, że wrócisz, jak zdechnie komuna.

– Takie gadanie tylko. Jadę na zarobek i wcale nie wiem, czy chcę wracać, czy ściągać Ewkę tam. I czy w ogóle nam się ułożą razem, bo nasz związek jest piekielnie burzliwy, szalony.

Tak jak impreza pożegnalna w Pyrach, a w zasadzie dzika libacja, na której do picia jest tylko ruski szampan i polska wódka. Jest piątek, więc tańce odchodzą do muzyki z listy przebojów Programu III Polskiego Radia. Na pierwszym miejscu irlandzka grupa U2, potem brytyjskie Dire Straits, amerykańska banda pod wodzą Michaela Jacksona śpiewająca dla głodującej Afryki *We Are the World* i dopiero na czwartym miejscu przebój *Lipstick on the Glass* polskiej grupy Maanam, który najbardziej im podchodzi do tańca. I do słuchania, biesiadowania, bo matka gospodyni zastawia stół, jakiego w Pyrach nie widziano od czasów odsieczy wiedeńskiej. Pod stołem ganiają Ewczynie barany, kozy i psy, a na koniec przyszły emigrant z narzeczoną wjeżdżają do salonu na koniach.

– Jak oficerowie szwoleżerów do Adrii, tylko że ja jestem synem hutnika – mówi Marek.

Po zejściu ze statku w Hamburgu chłopak rusza do kolegi mieszkającego w tym ogromnym mieście, u którego ma się zatrzymać na dzień lub dwa. W kieszeni trzyma kartkę z jego adresem i numerem telefonu, a także odręczny list Zbyszka Bujaka, szefa podziemnej „Solidarności”, że posiadacz tego dokumentu jest bardzo zasłużonym bojownikiem polskiej konspiracji i że prosi wszystkich o udzielenie mu

wszelkiej pomocy. W drugiej kieszeni Marek ma półtora tysiąca dolarów, które pożyczył od Ewy Choromańskiej na wszelki wypadek. To ogromna jak na owe czasy fortuna, jakieś dziesięcioletnie wynagrodzenie młodego nauczyciela, którym wtedy jestem, ale za dolary nikt nie chce sprzedać Markowi biletu na miejski autobus, kantory zamknięte, bo niedziela, i nawet nie może zadzwonić do kolegi, bo nie ma drobnych na telefon.

– Rozpacz – wspomina „Gruby” Marek. – Głodny i skonany robię siku w parku i zastanawiam się, co wyrzucić z ogromnej torby z dobytkiem na całe życie, którą muszę dźwigać przez miasto. Na jakimś dworcu kolejowym znajduję mapę na ścianie, widzę, ile zostało mi do przejścia, i zaczynam ryczeć jak dzieciak. Ale wiem chociaż, w którą stronę iść. Trzydzieści kilometrów robię tego dnia.

Marek prosi o azyl polityczny i trafia do obozu dla emigrantów w Karlsruhe.

– A to stare koszary ogrodzone drutem kolczastym.

– Pilnowane przez Niemców.

– No. Spoglądam, kurwa, na tę bramę wejściową i myślę, że nie dam rady wejść. A w środku zgroza! Wszystkie narodowości razem. Oczywiście pokłócone. Czarni z białymi, Murzyni z Żydami, i wszyscy tłuką się, kurwa, bez przerwy. Strasznie. Codziennie, żeby nie siedzieć za tymi drutami, biorę jedzenie ze stołówki i idę na cały dzień włóczyć się po mieście. Wychodzić wolno, dają przepustki, bo już mają twoje zdjęcia, odciski palców... Jak to w obozie.

Potem przenoszą go do Heilbronn pod Stuttgartem. To też obóz, ale z barakami. Stu pięćdziesięciu Polaków i jeden Węgier – sami mężczyźni, którzy po całonocnym pijaństwie pojawiają się na powierzchni dopiero późnym popołudniem. Wygrzebują się z barłogów i pędzą do centrum handlowego po następną wódkę.

– Tam, kurwa, miałem wyjebane, bo każda noc to pijacka orgia, policja,

pogotowie, stu pięćdziesięciu szalejących facetów bez bab, wszyscy się napierdalają i chuj – mówi Marek i zanosi się ciężkim, kaszlącym śmiechem, który bulgoce, świszcze mu gdzieś głęboko w piersiach.

Cholernie dużo pali. Sine usta, pod oczami głębokie cienie, ciężki oddech. Za każdym razem, kiedy wypuszcza powietrze, wydyma policzki jak człowiek, który jest chory na serce. I wraca już do naszej męskiej normy, klnie po swojemu jak szewc, bo Asia, jego narzeczona, poszła spać. To jedyna jego dziewczyna, z tych, które znam, której w ten osobliwy sposób okazuje szacunek, miłość. Zawsze mówi do niej bardzo cicho, z masą czułych słówek, pluszowych zdrobnień, pieszcząc się jak niedoświadczony rodzic do swojego malucha, którego odprowadza do przedszkola.

– Z kumplem kombinujemy jakieś rowery na wystawkach – opowiada dalej. – Z trzech robimy dwa, jeździmy po okolicy i szukamy pracy, a kiedy wracamy do obozu, to od bramy do naszego baraku nie daje się jechać, trzeba brać rower na ramię, bo tyle szkła. Bo Polak, jak się najebie, to musi trzasnąć flachą o asfalt. Potem Niemczury zatrudniają nawet jakiegoś Jugola, żeby to sprzątał.

– To wszystko są menelicy?

– Nie. Polacy. Teraz uciekają do Anglii, wtedy do Niemiec. Są zafiksowani na zarobek, ale najpierw muszą się wyżyć, wyszaleć, najebać za wszystkie czasy.

Potem Niemcy przenoszą „Grubego” Marka do Stuttgartu, gdzie w kilku miejscach są tak zwane ściany płaczu. Cudzoziemcy stoją wzdłuż ulic na krawężnikach, a miejscowi podjeżdżają i z samochodów wybierają, kto im z gęby pasuje do roboty. Marek także trafia wreszcie na swojego Niemca i zostaje u niego na stałe. Zakłada instalacje przeciwpożarowe, potem jest nadzorcą, prawą ręką, dostaje nawet dwadzieścia pięć marek na godzinę i występuje o mieszkanie socjalne, za które azylantom płaci miasto. I dostaje.

Jest w Niemczech siedem lat, zatem do końca 1992 roku.

– Fajnie tam było – mówi. – Zajebiście. Miałem dobrze, ale myślałem, że jak komuny nie ma, to i w Polsce tak będzie. Kapitał już mam, to mogę zacząć działać, budować przyszłość u siebie, w swoim kraju.

– Z kim?

– Z Ewą.

– Po siedmiu latach przerwy?! – dziwię się cokolwiek.

– No. A z czasem się okazuje, że chuj z tego. Głupio zrobiłem, że wróciłem do Polski.

GABINET.

Poniżej stanu zerowego

Opowiada Zyta Rywkin:

– Alkoholizm symbolicznie zaczyna się w momencie, kiedy zaczynasz czuć, że jesteś w dole, na minusie, więc musisz doprowadzić się do stanu zerowego. Do normalności. Pijesz więc, żeby mieć spokojną rękę, bo ci drży. Na trzeźwo! Pijesz i ręka się uspokaja, potem pijesz następnego kielicha, jeszcze jednego i ręka robi się czarodziejska, cudowna, magiczna jak różdżka, która bez dotykania przesuwaa przedmioty w przestrzeni. A potem jeszcze jedna lufa i osiągasz stan, że zaczynasz bełkotać. I ta twoja ręka zaczyna bełkotać, co znaczy, że znowu schodzisz poniżej stanu zerowego, znowu jesteś na minusie, w dole.

Niezwykłe w chorobie alkoholowej jest to, że ty to wszystko wiesz, ale jesteś taki biedny, nieszczęśliwy, pokrzywdzony przez los i ludzi, więc potrzebujesz siebie jakoś nagrodzić. I pijesz, chociaż wiesz, że tylko pogarszasz sytuację, że to ci szkodzi, zmienia cię. Degraduje.

Jak bardzo? To zależy, co rozumiesz przez degradację. Ludzie uważają, że jesteś zdegradowany, kiedy leżysz w rynsztoku, w śmietniku, na przystanku autobusowym we własnych wymiocinach, ale to nie musi być prawda. Zdegradowany alkoholik to także jest ktoś, kto przychodzi do biura, zamyka się w swoim gabinecie i musi się napić, żeby wystartować.

Tak jak ja. Albo mój znajomy z kancelarii, który zawsze zaczynał swój pijacki ciąg u siebie w biurze. Jest prawnikiem jak ja. Zamykał się w swoim gabinecie i pił wiele dni bez przerwy. Nigdy w tym czasie nie wychodził. Jak to dlaczego? Wstydził się. Miał tylko jeden problem. Jak

sikać? Na szczęście są butelki, które opróżnił.

Ale alkoholizm nie polega na tym, że pijesz dużo i często, ale na tym, że emocjonalnie jesteś od tego uzależniony. To może być tylko jeden kieliszek, ale jeśli nie możesz go nie wypić, to znaczy, że jesteś bardzo blisko choroby. A ilu ludzi ma teraz ten codzienny, kulturalny rytuał wieczornego winka? A spróbowałbyś kiedy nie wypić, jak masz ochotę, jak coś za tobą chodzi, czegoś ci brakuje... Jeśli sobie poradzisz, jest OK, ale jak zaczną męczyć cię zmory, będziesz się denerwował, pocił, nie będziesz mógł odpocząć, to znaczy, że masz problem. Tym bardziej przestań. Bo rozwalisz sobie rodzinę. A jak już będzie rozbita, to poczujesz się taki skrzywdzony, biedny, nieszczęśliwy misio, że będziesz musiał popić solidnie na otarcie łez, ale to tylko pogorszy sytuację, ręce zaczną drżeć jeszcze bardziej, więc trzeba je uspokoić, pijesz zatem i tak dalej. Taka jest chemia uzależnienia. Łądujesz w rymsztoku, na przystanku, w swoim luksusowym gabinecie i sikasz do butelek po Jacku Danielsie i Chivasie.

Co, dziwi cię paradoks, że ktoś taki jak ja, dziecko alkoholika, które kawał swojego życia cierpi z powodu rodzica, sama wreszcie zaczynam pić? A wiesz, że jest coś takiego jak potencjał choroby alkoholowej, który narasta z pokolenia na pokolenie? Z powodów kulturowo-wzorcowych, ale także chemicznych, a na koniec – genetycznych. Problem Rosjan bierze się właśnie z tego. W wielu regionach Polski masz to samo. Wielki międzypokoleniowy ciąg alkoholowy nie do zatrzymania.

W mojej rodzinie sięga to XIX wieku. Dziadek, stryjek, brat dziadka, ojciec, ja... Straszna powtarzalność. Przerażająca. Nie mam pojęcia, jak można by to przerwać. Mój syn wie, że jest obciążony genetycznie. Dużo o tym rozmawialiśmy, bo to bardzo realne zagrożenie.

Podstawowa wiedza o alkoholizmie jest taka, że to choroba uczuć. U alkoholika nic nie jest prawdziwe. Ani miłość, ani przyjaźń,

współczucie, seks, czułość... Do wszystkiego musisz dodać to coś.

Zawsze myślałam sobie, że nawet nie ma co porównywać mojego dzieciństwa z ojcem alkoholikiem z dzieciństwem mojego syna, który ma matkę alkoholikę. Ale w ostatnich latach nauczył mnie pokory w tej sprawie. Nie ma się co zastanawiać, czy mój ojciec był gorszym pijakiem ode mnie, bo z punktu widzenia dziecka trauma jest taka sama. Trauma nie zależy od tego, czy straszysz nożem i siekierą, tak jak mój ojciec, czy słowami, tak jak ja. Zło wyrządzone mową może być bardziej masakrujące niż każde inne. Ja tego nie wiedziałam, aż mi to syn twardo wygarnął w oczy.

A wiesz, że pierwszy kieliszek w życiu wypijam na zebraniu kolporterów? Bo jestem harcerką, instruktorką i drużynową, taką niedzisiejszą dziewczyną, która przestrzega Przyrzeczenia harcerskiego, nie pije, nie pali, więc aż do połowy studiów nawet nie znam smaku alkoholu. Żeby tylko alkoholu! Moją matkę wychowały zakonnice, więc ja od dziecka sypię kwiatki na procesjach w Boże Ciało, jeżdżę na oazy, działałam w neokatechumenacie, sodalicji mariańskiej, chodzę w grubych rajtuzach, plisowanych spódnicach do kostek, pionierkach, a wreszcie tak mi odbija, że składam śluby czystości. Świeckie, że niby pozostanę dziewicą do kiedyś tam... Aż do śmierci. Ale w połowie lat osiemdziesiątych nie daję rady jednocześnie być studentką prawa, drużynową czterdziestu kilku dziewczyn, aktywistką Klubu Inteligencji Katolickiej, kolporterką MKK i dziewicą na dokładkę. A potem szybko się okazuje, że jeszcze matką Antosia. Z czegoś muszę zrezygnować, i wychodzi na to, że z harcerstwa, bo pierwszy punkt jego prawa mówi, że „harcerz służy Polsce i sumiennie spełnia swoje obowiązki”, to przecież knucia nie mogę zostawić, bo to służba. Maciek Zalewski mnie w to wciąga, kiedy na Uniwersytecie Warszawskim zaczynam chodzić na jego seminarium.

KAWIARNIA.

Pierwsza tajemnica młodzieńcza

Michał Boni poznaje Barbarę na początku sierpnia. Jego małżeństwo z Anną jest już w zupełnej rozsypce, Michał nie mieszka nawet w ich mieszkaniu na warszawskim Ursynowie, ale w rodzinnym domu na Saskiej Kępie razem z matką. Kończy pisać doktorat, ale jest tak zakochany, że nie może się skupić, zebrać myśli, więc w ostatnich dniach miesiąca wsiada w autobus i jedzie na Suwalszczyznę, gdzie Basia ze swoją trzyletnią córką Klarą spędzają wakacje.

Piszę „Basia”, bo dziewczyna, tak jak Zyta Rywkin, jest jeszcze studentką, tyle że psychologii na Uniwersytecie Warszawskim, poza tym nigdy nie słyszałem, żeby Michał nazwał ją inaczej.

Wracają razem do stolicy. Jest 26 sierpnia 1985 roku. O godzinie siódmej dwadzieścia rano, a może była to siódma trzydzieści, do mieszkania Basi na ulicy Puławskiej wkracza Służba Bezpieczeństwa.

– Przychodzą po ciebie? – pytam Michała.

– Nie. Po Basię! Bo współpracuje z podziemnym wydawnictwem NOWA. Nie spodziewają się, że spotkają jakiegoś faceta, na dodatek w domu nie ma żadnych jego rzeczy. Bo to jeszcze nie jest mój dom.

Bezpieka nie ma zielonego pojęcia, że w ich łapy przypadkowo wpada redaktor naczelny ważnej podziemnej gazety, lider wielkiej organizacji. Rewizja w małym mieszkaniu Basi trwa bardzo długo i gdzieś w piątej, szóstej godzinie śmiertelnie znudzona córka Basi przenosi się ze swojego dziecięcego kącika na tapczan. Dopiero to zwraca uwagę ubeków na ten mebel, zagląдают do środka, a tam kilkadziesiąt wydanych w podziemiu książek, po kilkanaście każdego tytułu, zatem

hurtowe ilości.

Dziewczynka więc do domu dziecka, a pani i pan do pudła – zacierają ręce ubecy i od razu do głowy przychodzi im stary numer, klasyczny szantaż, że może coś by się dało załatwić... My zrobimy coś dla pana, pan dla nas. A emocje Basi i Michała pikują, zaczynają się targi, że to przecież małe dziecko, samotna, młodziutka matka... Tajniacy pakują obie do samochodu i odjeżdżają, a z Michałem idą do kawiarni Mozaika, tuż obok na Puławskiej, są zachwyceni, że dopadli pracownika Uniwersytetu Warszawskiego w takiej niezręcznej sytuacji.

– Tam mi mówią wprost, że chcą, żebym im podpisał zgodę na współpracę i że będę przestrzegał jakichś tam pierdół...

– Tajemnicy współpracy – podpowiadam. – Standardowy papierek.

– Inaczej duża pójdzie do kryminału, a mała do domu dziecka. Mają też paskudny element obyczajowy, bo kiedy robią tę długą rewizję u Basi, wpadają też do Ani, mojej żony, u której jeszcze przed chwilą mieszkałem. Myśmy jeszcze nie byli po rozmowie, że jestem związany z kimś innym, że się rozchodzimy, a oni nie mówią Ani, że zwinęli mnie u Basi. Dla mnie ta sytuacja to koszmarna pułapka i oni tym też grają. Że mnie złapali po nocy u obcej kobiety. Żonatego mężczyznę.

Z Mozaiki zabierają Michała do Pałacu Mostowskich.

PAŁAC. Druga tajemnica młodzieńcza

– Jestem taki spięty, sztywny, że spieprzam się tam ze schodów – opowiada Michał. – A potem podpisuję wszystko. A oni mówią, że zwalniają Basię i jej córkę, ale ja muszę odsiedzieć na dołku, żeby dobrze wyglądało.

– Że nie pękłeś?

– Tak. Dwadzieścia cztery godziny. Pamiętam, że jest burza, kiedy trafiam do tego lochu, i że na kolację dają chleb ze smalcem.

– Smalec ze skwarkami?

– Co ty?! Taki gówniany. Gówniany, więzienny smalec.

– Biały, co w kostkach po ćwiartce sprzedawali?

– No – Michał Boni potakuje i oczami puszcza długą serię tików.

– Teraz od lat nie widuję takiego nawet w sklepie. A chleb czarny?

– Nie. Jedna gruba pajda białego.

– Zjadasz?

– Zjadam... Nie wiem, kawałek może... Coś muszę jeść, bo od rana zupełnie nic nie mam w ustach. Przyszli przed ósmą rano, a na dołku znalazłem się o szóstej po południu.

– Dlaczego zależy im na podpisie, współpracy, informacjach od nikogo ważnego? – pytam Michała, a on wzrusza ramionami. I nie odpowiada.

Przez ponad dwadzieścia lat o tym, co wydarzyło się tamtego dnia, Basia i Michał nie zamieniają ze sobą nawet jednego słowa. Nigdy. Przenigdy. Ani razu.

Dokładnie rok później, zatem 26 sierpnia 1986 roku, na świat przychodzi ich wspólna córka Bronka. Jeszcze kilka dni później do ich

mieszkania na Puławską dzwoni Służba Bezpieczeństwa. Michał pierze pieluchy w misce, ale odbiera i słyszy, że bezpieka wzywa Basię na rozmowę, ale dziewczyna przecież w połogu, wyczerpana, karmi, nie zostawi kilkudniowego dziecka, więc mówią, że sami wpadną. Michał kontaktuje się z jednym z legendarnych warszawskich adwokatów związanych z podziemiem, który mówi, że kiedy przyjdą, absolutnie nie powinno być go w domu, więc kończy pranie i wychodzi. A oni pytają jego nową żonę właśnie o niego i jego pracę na uniwersytecie.

– Oni się nie zorientowali, że jestem związany z MKK i z „Wolą”, i nawet później, w 1987 i w 1988 roku, tuż przed upadkiem komuny, kiedy kilka razy przychodzą na uniwersytet i rozmawiam z nimi w uczelnianej kawiarence, pytają tylko o sprawy związkowe na UW, bo jestem w Tajnej Komisji Związkowej i w ogóle się z tym nie ukrywam. To już czasy, kiedy tajne komisje działają prawie jawnie, ale oni niczego się ode mnie nie dowiadują, bo ja zawsze nie chcę, dziękuję, nie jestem zainteresowany.

– Nie mają pojęcia, że jesteś w konspiracji?

– Zielonego! Oczywiście popełniam straszny błąd, że od razu po podpisaniu deklaracji współpracy na pierwszym posiedzeniu Prezydium MKK i zebraniu redakcji „Woli” nie mówię, jak było.

Takie są zasady, proste reguły konspiracyjne. Jak pokonasz lęk przed upokorzeniem, utratą twarzy, zdradzisz przed kolegami swoją tajemnicę, bezpieka nie będzie miała na ciebie haka, nie będą mogli szantażować cię, że zostałeś TW, tajnym współpracownikiem, informatorem, że jako ich agent, kabel, szpicel, donosiciel, wtyka dostałeś od nich pseudonim, że podpisałeś Służbie Bezpieczeństwa jakieś tam zobowiązanie.

Michał nikomu nie przyznaje się do upadki. Chce, ale nie ma odwagi, odkłada to na tydzień, potem na następny, jeszcze jeden i tak dalej. A po miesiącach nie wie już, jak do tego wrócić, wpada w spiralę kłamstw, wiecznie zagłuszanych wyrzutów sumienia, z których nie ma

ucieczki, dusi go paniczny strach, że koledzy albo studenci zorientują się, coś wyczują, poznają któregoś z ubeków, którzy przyłożą za nim na uniwersytet. Gdzie Michał jest gwiazdą największej jasności, gdzie brawurowo broni swojego doktoratu o stereotypach robotnika w stalinowskiej propagandzie, gdzie wygrywa ranking na najpopularniejszego wykładowcę, a na jego wykłady z wiedzy o kulturze wałą tłumy.

Parę razy na hucznych firmowych imprezach po wódce Michałowi jednak rozwiązuje się język i opowiada co nieco przyjaciołom o 26 sierpnia, ale następnego dnia nawet sam o tym nie pamięta.

Sumienia nie uspokaja. Bo nie tak powinno to być załatwione.

Według informacji uzyskanej z Instytutu Pamięci Narodowej Michał Boni zostaje zarejestrowany jako kandydat na TW przez Stołeczny Urząd Spraw Wewnętrznych wydział III-2, czyli tych z ulicy Nowotki, która dzisiaj nazywa się Andersa, dopiero 15 lutego 1988 roku. Numer akt 54946. To dni, kiedy do Warszawy przyjeżdża Lech Wałęsa i w kościele Duszpasterstwa Ludzi Pracy na ulicy Karolkowej odbywa się z jego udziałem bardzo ważne spotkanie, rozmowa środowisk opozycyjnych na temat samorządów pracowniczych, której jednym z prowadzących jest Michał. Bezpieka dopiero teraz orientuje się pewnie, że to nie jest zwykły facet z uniwersytetu, który podpisał papier, ale ktoś odrobinę ważniejszy, więc kierują na niego snop światła. 29 listopada 1988 roku ktoś w SB przekreśla ołówkiem słowo „kandydat” i ponownie rejestruje młodego pracownika Uniwersytetu Warszawskiego, ale tym razem już jako tajnego współpracownika pseudonim „Znak”, a dopiero na początku grudnia tego samego roku w aktach bezpieki pojawia się dokument, z którego wynika, że Służba Bezpieczeństwa skojarzyła Michała Boniego z gazetą „Wola”

To jest czas, kiedy Służba Bezpieczeństwa przekwalifikowuje około stu tysięcy ludzi ze swoich teczek, szykują się do zmian, przygotowują

do czegoś niewiadomego, wiedzą przecież, a może dopiero czują, że są już na kolanach. A za dwa miesiące zaczynają się obrady Okrągłego Stołu.

5 stycznia 1990 roku teczka Michała zostaje spalona, bo nie ma żadnej wartości operacyjnej.

PIWNICA. Ofiary muszą być

Na początku stanu wojennego gazeta „Wola” drukowana jest gościnnie przez podziemne wydawnictwa książkowe, głównie Krąg, bo Firma nie ma swojego sprzętu poligraficznego. Potem wspierają ich inne podziemne struktury, długo drukują na dwóch powielaczach Rex Rotary, które przekazuje im Region Mazowsze, a pierwszą maszynę drukarską z prawdziwego zdarzenia dostają w 1982 roku dzięki znajomości Marka Hołuszki z księdzem Jerzym Popiełuszką. Marek organizuje spotkanie Maćka Zalewskiego z księdzem, który daje mu połówkę przerwanego świętego obrazka. Drugą połówkę Matki Boskiej ma mieć ksiądz dyrektor Muzeum Archidiecezji Warszawskiej na Powiślu, oba kawałki konspiratorzy przykładają do siebie, porównują, a ponieważ pasują, ksiądz wydaje Maćkowi wspaniałą maszynę offsetową, która do kościoła przesmuglowana została zapewne razem z pomocą humanitarną z zagranicy.

Drukarnia staje w podwarszawskiej miejscowości u rodziny Lisów, którzy prowadzą największą w centralnej Polsce fermę tchórzofretek.

Tyle że taka maszyna to bardzo skomplikowane urządzenie pokaźnych rozmiarów, które bardzo łatwo popsuć, potrzebny jest więc instruktor, konieczne szkolenie. Maciek, który w listopadzie 1982 roku po wpadce Marka Hołuszki zostaje wybrany przez Prezydium MKK na nowego przewodniczącego organizacji, załatwia jednego z najznakomitszych i najbardziej zaufanych drukarzy działających w podziemiu, człowieka starszej daty, który na długo przed „Solidarnością” pracuje na potrzeby opozycji demokratycznej. Drukarz nazywa się Piotr Skaza i jest

przyjacielem podziemnej legendy, czyli Teodora Klincewicza „Teosia”, szefa Grup Oporu Solidarni, z którym Maciek kumpluje się na śmierć i życie.

– Sympatyczny, przemiły, łagodny, do tego rubaszny, ale subtelnie – Maciek opowiada o Piotrze. – Ma supernarzeczoną, ale czasami znika na wiele dni i pije bez opamiętania.

Szkolenia odbywają się w piwnicy starej willi na warszawskim Żoliborzu, gdzie gospodynią jest niemłoda przemiła pani, lekarka z posłannictwem w typie przedwojennej inteligentki. Podczas któregoś ze spotkań przynosi im na dół kolację, przysiada się nawet i kiedy chłopaki pochłaniają kanapki i piją herbatę, opowiada, że podczas niemieckiej okupacji ludzie z podziemia zamurowali w tej piwnicy skład broni.

Potem jest wielka wsypa. 22 marca 1983 roku bezpieka aresztuje Maćka Zalewskiego, wpada także cała rodzina Lisów, gdzie stoi drukarnia, a nawet przemiła pani z Żoliborza, gdzie odbywały się szkolenia MKK-owskich drukarzy.

Maćka zwijają na mieście, w mieszkaniu Skazy, a potem jadą na rewizję do jego mieszkania na Mokotów i do jego rodziców na Powiśle. Małgosia traktuje intruzów z wyniosłą rezerwą, ale Chomeini, potężny wilczur Maćka, na co dzień nazywany Chomikiem, jest nie do opanowania, szaleje, dostaje białej gorączki, rzuca się jak wściekły, więc trzeba zamknąć gadzinę w łazience. Siedzi tam wiele godzin i niemal przegryza się z wściekłości przez drzwi.

Psy uważają domowników za członków swojego stada, doskonale wiedzą, co to stado myśli o intruzach, i czują się w obowiązku to pokazać, zażegnać niebezpieczeństwo, bronić sfory. Maciek idealnie pasuje do swojego psa i gdybym miał go do jakiegoś porównać, jest jasne, że to może być tylko owczarek niemiecki. To bardzo stara, szlachetna, dobra rasa. Arystokratyczna. Psy bardzo użyteczne,

umiarkowanie agresywne, temperamentne, rycerskie i z fasonem, chociaż z Niemiec. Ale w moim rodzinnym domu mówiło się zawsze, że to owczarki alzackie, bo też takie mieliśmy, a było nie do pomyślenia, żeby trzymać Niemca w domu.

Nowym szefem Firmy zostaje Ewa Choromańska „Celina”, a naczelnym „Woli” Michał Boni, który do tej pory był w odwodzie jako dubler Maćka, i to on dostaje od jego żony Małgosi wszystkie pieniądze, kontakty, adresy, dyspozycje i w miejsce przyjaciela staje się nieformalnym liderem ich podziemnej organizacji.

Pół roku później władza ogłasza amnestię dla więźniów politycznych i wszyscy aresztowani działacze struktury MKK wychodzą na wolność.

– A koledzy mówią, że Michał zapieprzył mi gazetę – opowiada Maciek i puszcza z fajki ogromną chmurę białego dymu, a z adaptera czarną płytę Boba Dylana. – Spotykamy się z Michałem, a on prosi, żebyśmy z Andrzejem Urbańskim zostawili mu „Wolę”. No dobra. Już nie wracamy do MKK. Razem z Andrzejem idziemy na zawodowych rewolucjonistów i budujemy nową strukturę.

Zakładają Grupy Polityczne Wola, załówek radykalizującej się z czasem partii prawicowej, która jest wyzwaniem rzuconym całej podziemnej „Solidarności” tkwiącej przy formule związkowej. Dochodzi do małego rozłamu w środowisku MKK i „Woli”, z którego wyprowadzają część ludzi. Kruszą jedność ruchu. Maciek wchodzi jednak do tajnej Regionalnej Komisji Wykonawczej, czyli do działających w podziemiu władz Regionu Mazowsze.

Odwiedza ludzi, którzy wpadli razem z nim w czasie wielkiej wsypy.

– Ale ten Lis, gdzie była drukarnia, jest zdruzgotany, nie chce gadać i przegania mnie w diabły – wspomina Maciek. – Nie przyjmuje nawet listu z podziękowaniami i słowami otuchy od Zbyszka Bujaka, który dowodzi podziemną „Solidarnością”. Bezpieka totalnie rozwaliła życie tej rodziny, zrujnowała ich, bo kiedy on idzie siedzieć, jego żona zupełnie

nie radzi sobie z tą ich ogromną fermą i wszystkie tchórzofretki zdychają. A potem jeszcze władza dobija ich domiarami.

– Wszystko tracą?

– No. Ale ja nie samarytanin, żeby ich piastować i się wzruszać, bo wojna jest i chuj. Ofiary muszą być. Potem odwiedzam starszą panią na Żoliborzu, która opowiada, że ubecy zachowywali się jak opętani, że kuli jej ściany w piwnicy. Wtedy sobie przypominam, że kiedyś była u nas w nocy z kolacją, że opowiadała o broni zamurowanej przez chłopaków z AK w ścianach. I zaczyna do mnie docierać, że przecież ta uroczą pani siebie samej nie zakapowała, ja też nie zakapowałem, ani Sławek, ani Elek, bo to moi kumple z Powiśla, z podstawówki... To, kurwa, wykluczone! To tylko Skaza zostaje. Ten, co nas uczył drukować na offsecie. Musiał opowiedzieć bezpiece o magazynie z bronią, bo cudów nie ma! Uświadamiam sobie, że powpadało wszystko, co miało związek z tą cholerną Skazą.

– Ale by ubecji pasowało, gdyby wyciągnęli z nory trochę szwabskich pancerfaustów, schmeisserów i wam je przypisali – zachwycam się na serio. – Nawet dwadzieścia pięć lat można wtedy dostać za terroryzm albo obalenie ustroju z bronią w rękę.

– Ale broni nie było i puścili mnie wcześniej na amnestię, więc idę do „Teosia”, mówię, że ten Skaza to lewus i że trzeba robić lustrację w naszym stylu. Skrzynka wódki, pusty lokal na Amundsena na Ursynowie i nas trzech. I gadamy. I po kilku godzinach sam się przypucowałem. Że donosił.

– Dlaczego to robił?

– Bo był i jest alkoholikiem – mówi Maciek i podchodzi do swojego pięknie zagraconego biurka, wyciąga z pudełka chustkę z ligniny, wysypuje na nią zawartość popielniczki i zwija. – To jeszcze nic nie oznacza, bo ja też jestem alkoholikiem, ale on jest alkoholikiem połamanym.

Maciek jest mistrzem świata w trzymaniu dystansu. Zamknięty, nieufny, ostrożny, przyczajony, skupiony jak szachowy arcymistrz przed finałową rozgrywką. Czoło zmarszczone. Kilka razy podczas każdej rozmowy mówi, a raczej tylko wspomina o swoim alkoholizmie. Ale cały czas siedzi przyczajony w fotelu tuż przy barze wypełnionym jak najpiękniejszy sen polskiego pijusa, polskiego moczymordy, ochlapusa, opoja, oliwy, ale nawet nie spogląda w tamtą stronę. Mnie jęzor ucieka, a on nic. Dziwnie wytrzymały jak na alkoholika. Wstrzemięźliwy.

Gniecie w garści ligninowe zawiniątko z popiołem i wychodzi z gabinetu, a ja podziwiam wielki, jakby okrętowy zegar z literami MBP na cyferblacie, który cyka głośno jak ścienna bomba atomowa. Czasami gada głośniej nawet niż Maciek.

– Jak dopadli Skazę? – pytam go, kiedy wraca.

– Do nas przyszedł już z tym bagażem. Przypuszczam, że uzależnili go wiele lat wcześniej jako drukarza przedsolidarnościowej opozycji. Ale po jakimś czasie znowu zaczynamy z „Teosiem” z niego korzystać. Pomagamy załatwić mu kredyt inwestycyjny w podziemnej „Solidarności”, za który, rzecz jasna pod kontrolą UB, otwiera legalne usługi poligraficzne, drukarnię z dwoma offsetami A3 i bardzo cenną dla nas gilotyną elektryczną do papieru. I pracuje także na nasze potrzeby.

– Zostaje więc podwójnym agentem.

– Tak jakby – potakuje Maciek.

– Wszystko mu odpuszczacie?

– A co mu zrobić?

W 1985 roku Maciek Zalewski znowu trafia do kryminału. Wpada najgłupiej, jak się tylko da – z pędzlem w garści podczas malowania solidarnościowych napisów na murach.

SZKOŁA.

Oficerowie średniego szczebla

Drugą maszynę drukarską chłopaki z Firmy zwyczajnie kradną.

Spotykają się w nocy przed Domem Meblowym „Emilia” na ulicy Emilii Plater w centrum Warszawy. Nie wszyscy się znają, więc przychodzi także Ewa Choromańska, szefowa Firmy, która zna każdego z nich, witają się, Ewka życzy powodzenia i odchodzi. Mężczyźni pakują się w dwie taksówki i odjeżdżają. Za kierownicą jednej jest Fred, przedstawiciel Miejskiego Przedsiębiorstwa Taksówkowego w Firmie i jednocześnie szef transportu w ich organizacji, z tyłu siedzą „Gruby” Marek i Tomek Domżał, członek Prezydium MKK, który jest specjalistą od maszyn z Instytutu Elektrotechniki. Drugą taksówkę prowadzi zaufany kumpel Freda, a towarzyszą mu rezerwowi kierowca, Tomek Dangel i Piotrek Stańczak, prawa ręka „Grubego” w kolportażu, który jest młodą, wschodzącą gwiazdą polskiego alpinizmu, więc bardzo przydadzą się i jego sprzęt, i umiejętności. I wiedza Tomka Dangela, bo może się zdarzyć, że będzie trzeba przyłożyć w łeb, a nikomu nie chcą zrobić krzywdy, więc lepiej, żeby wziął to na siebie fachowiec od usypiania, anesteziolog.

Do zdobycia jest maszyna offsetowa z Liceum Poligraficznego na ulicy Stawki. Pomysł podrzuca do Firmy pracujący w szkole nauczyciel, robi też dla chłopaków plan sytuacyjny i w umówionym dniu nie domyka w szkole jednego z okien, które wystarczy pchnąć i się otworzy. W liceum nie ma alarmów, a w nocy jest tylko jeden stróż, do tego pijący, problem tylko w tym, że pracownia z maszyną drukarską jest na pierwszym piętrze nad kanciapą stróża. To jego może trzeba będzie

uśpić fachowym ciosem, gdyby się obudził.

Dla Piotrka Stańczaka wspinaczka po rynnach na taką wysokość to nie jest wielki wyczyn. Maszyna jest już wcześniej przygotowana do kradzieży, rozebrana na części, ale to ciągle kilkadziesiąt kilogramów żelastwa. Tomek Domżał zbiera wszystko do kupy, przy okazji robi wielki zapas blach do matryc offsetowych, Piotrek montuje z lin i bloczków kolejkę i windują wszystko przez okno do Freda na ulicę.

Maszyna trafia do rodzinnego domu Piotrka w Brwinowie pod Warszawą, gdzie Ryśkowi Satelowi, szefowi firmowej poligrafii, udaje się ją złożyć i uruchomić.

– To moja pierwsza poważna praca na wysokości po odejściu z Instytutu Lotnictwa, gdzie projektuję podwozie do wojskowych samolotów – mówi Piotrek Stańczak, rocznik 1954. – Jestem inżynierem konstruktorem, podporą instytutu, więc kończę mój projekt kinematyki i pokrywy podwozia do Irydy, nad którym pracowałem, i idę na fizycznego do spółdzielni założonej przez alpinistów, bo płacą o jedno zero więcej. Wycinanie drzew, naprawa dachów, wież, dzwonnicy, malowanie kominów, ogromnych tankowców w stocznicach i wszystkiego, co niebotyczne. A potem zostaję burżujem, prezesem, bo zakładam własną firmę i już nie bujam się na kominach, bo od tego mam pracowników. To roboty na państwowych obiektach, świetne pieniądze. W pół roku zarabiam na życie, żonę, dzieci, zagraniczne wyjazdy na wspinaczki i na przyszłość, a resztę wolnego czasu poświęcam na knucie. I tak aż do 1987 roku, kiedy na nartach łamię nogę i muszę przekazać obowiązki szefa kolportażu.

Piotrek, „Gruby” Marek, Fred od transportu, rocznik 1950, i Rysiek Satel od poligrafii, rocznik 1951, to jak oficerowie liniowi średniego szczebla, ludzie najbardziej wystawieni, narażeni, bo muszą dowodzić, do tego nie ze sztabu, ale z okopów, w których siedzą z podoficerami i żołnierzami, z których co chwila muszą wystawiać głowy, bronić

stanowisk, reduct, placówek, podrywać do ataku. Techniczni działacze solidarnościowego podziemia, tak jak oficerowie frontowi, wszędzie muszą być osobiście.

Jest prawdziwym cudem, że w Firmie żaden z nich nie wpada, co wcale nie znaczy, że nie byli zainfekowani, nie złapali smrodu, przypału, nie ciągnęli ogona szpiclów za sobą. Przez tyle lat tak wielkiej aktywności uniknąć tego było nie sposób. To zupełnie jak z internautą – temu mało aktywnemu grozi niewiele, a temu, który każdego dnia odwiedza dziesiątki stron, portali, wpada pod niezliczoną ilość adresów, bardzo łatwo złapać wirusa, zainfekować siebie i innych, ściągnąć kłopot na głowę, zaszkodzić.

– Jeśli mnie pytasz, co zmieniło się w moim życiu przez tę wojnę, to ci odpowiadam, że nic! – oświadcza Ryś Satel. – Moje życie prywatne przed konspiracją, w trakcie i po niej niczym się nie różni. Pracuję z bratem w jego zakładzie fotograficznym, a potem próbuję robić własny biznes, produkcję stelaży do parasolek, ale szybko do mnie dociera, że zdolności manualne nie wystarczą. Rynek siada, wchodzą wyroby chińskie po parę groszy za parasolkę, tyle że jednorazową. Psują się na potęgę, ale są kolorowe i kilka razy tańsze od krajowych. Moja firma upada w 1990 roku, ale to nie jest bolesny upadek, bo nie nabrałem kredytów jak niektórzy.

Bo co jak co, ale rozsądku Rysiowi nigdy nie brakuje. Cichy, spokojny, cierpliwy, pokorny nawet, zawsze zadowolony, mało jednak przy tym wyrazisty, niewidoczny i nierzucający się w oczy jak obywatel Piszczyk, tyle że bez pecha i skłonności do konfabulacji. Nigdy nawet nie słyszę, żeby zaklął, ale u człowieka podziemia taka przezroczystość, życiowy kamuflaż to wielka zaleta. Nie spotkałem w całym solidarnościowym ruchu drugiego tak tytanicznie pracowitego, ofiarnego i uczciwego do bólu działacza, którego życiowo cieszą rzeczy małe – po prostu urodzony konspirator. Brylant prawdziwy. Mądry, niezawodny i solidny

jak wyżeł szorstkowłosy, mocno zbudowany pies do wszystkiego, nie do zdarcia, który padnie na pysk, a wykona zadanie. Zdechnie, zajeździ się na śmierć, a nie przestanie aportować, nie przestanie przynosić patyka. Nie kombinuje, tylko się stara, pomaga, zapieprza ile sił.

Nawet na moim ślubie Rysiek zatrzymuje mnie w przedsionku kościoła i przekazuje mi pieniądze, omawiamy sprawy, robimy szybkie rozliczenie, a to przecież 7 stycznia 1987 roku, zima stulecia i najbardziej siarczysty dzień tej zimy – dwadzieścia siedem stopni mrozu. Ciężarna panna młoda sinieje z zimna, organista kończy trzeci kawałek, ksiądz czeka i wysyła kościelnego z pretensją, a my spiskujemy.

Rysiek jest jedynym szefem w Firmie, który odpękał tę wojnę od pierwszego do ostatniego dnia, wiodąc swoje ciche, spokojne, zacne, a wielu by powiedziało – nudne życie, i nawet przez chwilę nie pomyślał, żeby się wycofać. To życie jego jednak nie jest pozbawione osobistych dramatów, ale nigdy nie słyszałem, żeby narzekał.

– Przyjeżdżam w któryś piątek samochodem po naszego drukarza, bo razem mamy jechać za miasto do roboty – opowiada Rysiek. – Chłopak żegna się z żoną, a ona przy mnie zasypuje go wyrzutami, że przecież miał zreperować pralkę, że od tygodnia go o to prosi, że dzisiaj już musi pracować, bo nie ma w co ubrać dziecka, a on sobie wychodzi na całą noc. To nie jest awantura. Ona skarży się do mnie na swojego męża.

– O czym niby jest ta opowieść? – Kręcę nosem.

– O tym, jak bardzo trudno przetrwać tę wojnę. Potem na jakiś czas wyłączam tego chłopaka z roboty.

Bo ta wojna jest za długa. Siedem i pół roku rutyny, nudy bez oczywistego, obcego, zewnętrznego wroga sprawia, że mnóstwo ludzi zniechęca się z powodu braku dumy z tego, co robią, z tego powodu, że ta konspiracja daje bardzo niewiele profitów emocjonalnych, napięcia, groźnych akcji, zamachów, wzruszeń, uniesień, wysadzania mostów...

Dlatego wielu robi rzeczy głupie, tak jak Maciek, którego temperament wygania z pędzlem i kubełkiem farby na ulice miasta.

– Ale niektórym płaci się za robotę – wracam do Ryśkowej opowieści o pralce.

– Drukarzom na przykład. Bo to regularna, wielogodzinna szychta, kilka dni, a w zasadzie kilka nocy w tygodniu, nie mogą więc pracować zawodowo na pełnych obrotach. To nie najgorsze pieniądze, jakieś dwie–trzy dodatkowe pensje w roku. Mam drukarza, który zbiera wszystko, co mu płacę za nocną robotę, a potem oddaje mi co do grosza jako swoją wpłatę na podziemną działalność. Mówię mu, żeby tego nie robił, żeby przepuścił wszystko, coś sobie kupił, ale on się upiera i ja go rozumiem, bo też nie biorę forsy. Tylko jak Michał Boni jedzie do Francji, to się wygadałem, że marzę o płycie Joaquina Rodriga *Concierto de Aranjuez*, ale w wykonaniu Filharmoników Londyńskich pod batutą Neville'a Marrinera i z Pepo Romero jako solistą na gitarze. Bo dużo słucham muzyki. Jakiś jazz, czasem Vangelis, Led Zeppelin, a potem coś symfonicznego... A o tym koncercie to tak tylko sobie wspominam, o nic nie proszę, ale Michał zapamiętuje i przywozi. I nie chce pieniędzy. A to osiem dolarów.

– Kupa forsy wtedy. Tyle co dzinsy Rifle z Pewexu dla twojej córki.

– Coś koło tego. Tyle zarobiłem w podziemiu. Wychodzi, że jednego dolca za rok.

BUNKIER.

Dostawy broni do Polski

– Twoja żona wiedziała, że knujesz? – pytam Janka Mojkę pseudonim „Klinga”

– Wiedziała. W naszym domu na warszawskim Grochowie jest punkt kolportażu prasy podziemnej, przychodzą różni ludzie, ale ona cały czas ma straszego cykora, sra w gacie na widok ubeka. Nie rozumie tego, co robię, nie szanuje, mówi, że to głupie, więc wychodząc z chałupy, nie chwalebę się, że idę na kolejne spotkanie MKK. Nie dobraliśmy się za bardzo. Szczególnie politycznie. Ona jest z domu, w którym „Solidarności” nienawidzą. Ojciec wojskowy, matka po wojnie poszła do roboty do Urzędu Bezpieczeństwa, ale nie na oprawcę, tylko do papierów, gdzieś do biura podawczego. Mechanizm jednak w jakimś stopniu oliwiła, a mnie miała za ekstremistę i ciągle truła, że „prowadzę działalność antysocjalistyczną”, „podważam sojusze”. Moja teściowa do końca uważała, że w Katyniu naszych mordowali Niemcy. Uwierzysz? A twoja baba jak na tę „Solidarność”?

– Za nią kocha jeszcze bardziej. Chociaż pożera to strasznie dużo czasu.

Rodziny wszystkich ludzi z podziemia, których znam, są wplątane w nielegalną robotę. To nie do uniknięcia. Konspiratorzy na co dzień wysługują się swoimi żonami, mężami, rodzicami, rodzeństwem i dziećmi, splatając powoluteńku swoje podziemne życie z ich naziemną codziennością. Życie zawodowe siłą rzeczy schodzi na plan dalszy.

Przed wyborami parlamentarnymi, które odbywają się 13 października 1985 roku, podziemna „Solidarność” wzywa do bojkotu i organizuje niezależne od władz liczenie frekwencji, więc Rysiek Satel radzi,

by na kilka dni przed tym wydarzeniem już nie pokazywać się u siebie w domu, szczególnie noce spędzać gdzie indziej. Chodzi o to, żeby nie ułatwiać bezpiece zadania, gdyby chciała w tym czasie zatrzymywać ludzi z opozycji, co w PRL-u jest wyborczą rutyną, tym bardziej że w Firmie mamy niewielką wyspę, więc zgodnie z zasadami proszę mojego kumpla, który nie działa w podziemiu, żeby załatwił mi nocleg, jakąś melinę na kilka dni, najlepiej u kogoś, kogo nie znam.

Tak trafiam do jego szwagierki, A-ty, która do dzisiaj jest moją żoną. Najważniejszym człowiekiem w życiu.

– Mnie knucie zabiera średnio dwa dni w tygodniu – mówi Janek. – Przez siedem i pół roku, a tak to siedzę w chałupie, bo nie szlajam się, nie piję, do knajp nie chodzę. Domator jestem, majsterkowicz. Całą wypłatę zgodnie z tradycją do bieliźniarki wkładam i rządź, babo, pieniędzmi, ale ona chce samochodów, w futrach i złotych pierścionkach bujać po kawiarniach i restauracjach.

– Nie chodźcie do kawiarni, restauracji?

– Ani razu. Bo są inne potrzeby, ale te wymarzone pierścionki niech by se ta moja baba kupowała, tyle że sama, bo ja bym wolał wiertarkę. Majsterkowicz jestem.

I znany raptus, bo już w czasach Karnawału, czyli pierwszej „Solidarności”, która kończy się wraz ze stanem wojennym, składa wniosek, by na szczeblu regionu powołać zakonspirowaną strukturę wojskową na wzór ZWZ-AK. Po wkroczeniu do Polski wojsk radzieckich komórka ta ma rozwinąć się w potężny ruch partyzancki. Na jego potrzeby na położonej w lesie działce rodziców buduje podziemny bunkier przewidziany jako magazyn broni, która, jak sądzi, w stosownym czasie znajdzie się na ulicy. Kiedy w latach osiemdziesiątych zostaje jako emisariusz wysłany przez naszą organizację do Paryża, poza spotkaniami z oficjelami polskiej emigracji na własną rękę stara się dotrzeć do przedstawicieli afgańskich

partyzantów, którzy w owym czasie przeciwstawiają się zbrojnie radzieckiej inwazji. Stara się wy badać, czy możliwe są dostawy broni do Polski.

SKRYTKA. Opowiem wam o Mietku

Bo gdyby były możliwe, to jest gdzie schować. W najprawdziwszej relikwii narodowej, skrytce zamontowanej chytrze w schodach domu na ulicy Kasprowicza w Warszawie, w której chłopaki z Batalionu „Zośka” w czasie okupacji przechowują broń, materiały wybuchowe i amunicję. 1 sierpnia 1944 roku Mietek i Wiesiek Kobyleccy pakują wszystko w torby, plecaki i tramwajem ruszają do powstania, ale jak pamiętamy z wcześniejszej opowieści, docierają tylko do placu Wilsona, który później jest placem Komuny Paryskiej, a jeszcze później na powrót placem Wilsona.

Przez więcej niż połowę wojny solidarnościowej w tym domu jest mieszalnik, czyli najważniejszy, główny, pierwszy punkt kolportażowy Firmy, do którego spływają wszystkie gazety, a dopiero stamtąd, po rozdzieleniu na paczki, kolporterzy roznoszą je na dolne punkty. Przez ostatnie lata konspiracji do moich obowiązków należy transport „Woli” i „Tygodnika Mazowsze” z naszej drukarni spod Konstancina na mieszalnik. Za każdym razem, kiedy na poddaszu wyjmuję deskę ze schodów, a potem pakuję ładunek do skrytki, aż ściska mnie w gardle.

Na tym poddaszu mieszka Mietek, a na parterze i piętrze jego brat Wiesiek z żoną Lidką i córką Dorotą, która pod koniec wojny zostaje mleczną matką mojej córki Oleśki. Obie panie Kobyleckie także są wkręczone w podziemną robotę, a konkretnie pomagają przy mozolnym cotygodniowym liczeniu i dzieleniu gazet na paczki.

Mietkowe poddasze to przeciwieństwo ciężkiego ładunku srożącego się

w domu Ewy Choromańskiej, od którego można nabawić się depresji, ale napisać, że panuje tam bałagan, nieład, bajzel, to stanowczo za mało. Syf i brud oczywiście jest, Mietek do końca życia śpi na starym zarwanym tapczanie w pościeli bez białego powleczenia, nigdy nie sprząta, nie odkurza, nie zmienia wody w akwarium, czasami tylko wrzuci tam kilka łyżek żywych dafni, które łowi na pończochę w stawie. Czasami podlewa ogromne palmy i fikusa giganta, który rośnie w wielkim wazonie. Rzecz w tym, że to miejsce nie podlega opisowi, jest czarodziejskie jak tajemniczy ogród dla chłopaka, dla normalnego faceta, który uwielbia skarby, jest czarodziejskie jak wielka piracka skrzynia z niezliczoną ilością zepsutych radylek na baterie, antycznych lodówek, telefonów ebonitowych z kręconymi tarczami, lampowych telewizorów...

Mietek do śmierci używa radzieckiego telewizora Rubin wielkości furgonetki, które ciągle wybuchają, i jeszcze udaje, że coś widzi na ekranie. Najczęściej jest tak, że jakiś znajomy Mietka kupuje nowe urządzenie i pyta, czy ktoś chce zagospodarować stary sprzęt. Mietek zawsze chce, a kiedy jego syn Marcin obiecuje mu na Gwiazdkę nowy telewizor, mówi, że go odda. Bo nie cierpi nowych rzeczy.

Chociaż stać byłoby go na wszystko, wspaniale zarabia przez większość życia. Kiedy rozwodzi się w latach siedemdziesiątych, ma na książeczkę oszczędnościowej prawie pół miliona złotych, niewyobrażalnie bajeczne wtedy pieniądze, połowę największej wygranej w totolotku. Trzypokojowe mieszkanie w bloku, które po rozwodzie kupują dla jego żony, kosztuje sto tysięcy, ale wszystkie oszczędności Mietka przepadają, bo nie wie, czemu wypłaca z banku co do grosza i latami trzyma w szafie pod bielizną. Rodzina błaga go, żeby coś z tym zrobił, zainwestował, kupił coś, zamienił na dolary, a on nic, aż przychodzi hiperinflacja – rok 1989, następny – i wszystko szlag trafia. Z połówki miliona zostaje parę stówek, za które

może kupić sobie porządny telewizor – tyle że nie cierpi nowych rzeczy.

Ponad trzydzieści lat pracuje w Instytucie Elektrotechniki w podwarszawskim Międzylesiu. To jego pierwsze i jedyne miejsce pracy, ale po wprowadzeniu stanu wojennego w 1981 roku dział, w którym jest zatrudniony, zostaje rozwiązany, a wszystkich ludzi zwalniają. Władze instytutu pozbywają się tak hurtem najbardziej bojowych, związanych z „Solidarnością” pracowników, kilkunastu instytutowych dysydentów, ale Mietek to przecież wojenna legenda, żołnierz od „Zośki”, więc proponują mu pracę w innym dziale, ale tylko jemu. Odmawia, bo to by było niekoleżeńskie, niesolidarne. I odchodzi.

Dla niego to ogromny dramat, bo poza tym, że nie cierpi nowych rzeczy, to nie cierpi także zmian. I kocha swój instytut. Dziewięć ostatnich lat do emerytury pracuje fizycznie w prywatnej firmie przy montażu elektrycznych zasilaczy i ładowarek do akumulatorów. I znowu jest w konspiracji.

Uwielbiam przedzierać się przez magiczne kłębowisko na jego poddaszu, zwłaszcza od kiedy nie żyje, bo zawsze trafię na coś, od czego chce mi się płakać. Ostatnio na komodzie znajduję kieszonkową łyżkę do butów ze składaną rączką, którą Mietek przerobił na łopatkę ogrodniczą. I jego zegarek, który nosił w kieszeni, bo pasek zerwał się gdzieś w 1976 roku. A może nawet w siedemdziesiątym piątym. Nakręcę.

Rusza.

TRUMNA.

Trzecia tajemnica młodzieńcza

Pytam Michała Boniego, nazywanego w Firmie „Tomkiem”, czy jest religijny.

– Tak – odpowiada. – Bez manifestacji. Ostatni raz u spowiedzi jestem na pogrzebie mojego ojca w osiemdziesiątym czwartym. W kwietniu. Ale dzieciństwo mam bardzo religijne, jestem ministrantem aż do liceum, całą klasą chodzimy na religię, z której mam maturę. Matka tego pilnuje, bo ojciec jest niewierzący. A potem mam okres odejścia, obojętności, i nagle przyjeżdża papież Polak, pierwsza pielgrzymka w 1979 roku i mój pierwszy ślub kilka miesięcy później, oczywiście kościelny. Potem wybuchają wojny, cztery lata później się rozwodzę, ale silna potrzeba chodzenia do kościoła nie przemija.

– Sam chodzisz?

– Z Basią. Ona też ma wtedy taką potrzebę.

– Myślałem, że jest Żydówką – mówię.

– Nie. Hania, moja trzecia żona, też jest wierząca i zawsze, jak jestem w Brukseli, to razem chodzimy w niedzielę na polską mszę do dominikanów. Ona śpiewa tam w chórze. Poza tym mam nawyk codziennego rozmawiania z Panem Bogiem, wmyślenia się w *Ojciec nasz*... W odmawianiu modlitwy, którą znasz na pamięć, jest pokusa...

– Mantrowania?

– Tak, ale wtedy zatrzymuję się, cofam i zaczynam od nowa. Żeby każde słowo coś znaczyło, bo to jest cholernie skondensowany tekst. Poza tym zawsze mam przy sobie różaniec.

– Ja na stare lata poczułem potrzebę noszenia na szyi Bozi od chrztu,

która kilkadziesiąt lat leżała w pudełku.

– Człowiek potrzebuje duchowości – mówi Michał.

Ale w jego ministerialnym gabinecie na pierwszym piętrze Urzędu Rady Ministrów, w którym prowadzimy tę rozmowę, nie ma na ścianach żadnych krzyży, świętych obrazów, dewocjonałów. Jest kilka nudziarskich pejzaży wypożyczonych przez kancelarię premiera z Muzeum Narodowego, jest godło państwowe i dwa duże zdjęcia Marilyn Monroe, ale jedno się urwało, to zastąpił je Beatlesami.

I to już wszystko, co osobistego tchnął do tego zimnego gabinetu, w którym każdego dnia spędza co najmniej dwanaście godzin. Kiedy dwadzieścia lat wcześniej rozmawialiśmy w jego gabinecie, Marilynce na ścianie towarzyszyła Brigitte Bardot, francuska seksbomba, do tego wisieli Jacek Kuron, Marek Edelman, Dalajlama i wielka kolekcja pluszowych misiaczków na regałach. Michał kieruje wtedy kampanią wyborczą Kuronia, który bez powodzenia ubiega się o urząd prezydenta, więc na ścianie znajduje się także miejsce na list do kandydata od ucznia drugiej klasy z Dębicy z postulatem, żeby nie było szkoły, i plakat „Wszystko zaczęło się pieprzyć” ze słoniatkiem włożącym od tyłu na nosorożca.

– À propos pieprzenia – zaczynam z innej beczki. – Nie umiem, Michale, wytłumaczyć w prostych słowach mojej mamie, dlaczego jej sąsiad przez płot, jakiś emerytowany notabl komunistyczny, średniego zresztą szczebla, do tego z frontu gospodarczego, żyje jak pączek w maśle, co parę lat zmienia auto na nowe, a mama klepie biedę ze swojej nauczycielskiej, minimalnej emerytury, więc do osiemdziesiątego roku życia musi pracować, ciągle dorabiać. Z tym jest coś nie tak. Coś ze sprawiedliwością nawaliło. My nawaliliśmy! Ja jako dziennikarz, a ty jako związkowiec i urzędnik państwowy.

– Taaak... – mruczy Michał przeciągle i milknie na bardzo długo.

– Dlaczego po upadku komunizmu winowajcy nie zapłacili? Dlaczego

nie ponoszą kosztów, nie płacą rachunków? Dlaczego zachowują przywileje?!

– Hurtowe karanie zajeżdża rewolucją francuską.

– Ja nie mówię, żeby stawiać gilotyny, ale ogłosić dekret, że wszyscy byli członkowie partii komunistycznej na najniższe emerytury. Każdy! Nie pierdolić się, bo chodzi o sprawiedliwość, o którą nie zadbałimy. To przez to być może mamy ten straszny podział wśród Polaków, wrogość, to, że co trzeci z nas mówi o swoim kraju jak o cudzym, obcym i wrogim państwie, kwestionuje każde osiągnięcie, a nawet wybory. Bo dla wielu biedaków ono jest obce, niesprawiedliwe, więc może chociaż ten rachunek należałoby wyrównać i każdego partyjniaka zesać na najniższą emeryturę. To wszyscy by zrozumieli.

– W sensie symbolicznym by zrozumieli – mówi Michał Boni i długo się zastanawia. – Problem jednak polega na tym, że w wolnej wreszcie Polsce zaczynamy budować model ustrojowy, który świat uznaje za porządek demokratyczny, co owocuje tym, że komuniści mogą założyć swoją partię i cztery lata po tym, jak ich obaliliśmy, wygrać wybory. Bo w wolnym kraju wolno się zreszać.

– Im bym zabronił przez dziesięć–dwadzieścia lat.

– To masz kłopot z regułami, które obowiązują w świecie i które sam wyznajesz. Poza tym wszyscy decydujemy, że z państwa bezprawnego stajemy się państwem prawa, abstrahując, czy w ludzkich odczuciach jest ono sprawiedliwe, czy nie. No więc pozbawiając komunistów praw, masz problem. Ale to z kolei stworzyło problem, że nie rozliczyliśmy przeszłości, rany się nie zablizniają. Ale kto dwadzieścia lat temu mógł coś takiego przewidzieć?

– Brak rozliczenia zalega i ciągnie nas na głębinę, psuje krew – nie daję się Michałowi. – To nieprzecięty wrzód, uwierający odcisk na duszy, pęcherz... Nasze nieszczęście, grzech założycielski III Rzeczypospolitej, założycielska niesprawiedliwość. W fundamencie

naszego kraju zamurowany jest niewypał, który kiedyś może pierdolnąć. Albo ktoś go odpali. W tej książce opisuję ludzi, naszych kolegów, którzy pewnie chętnie by to zrobili.

– Fred i Andrzej „Rudobrody”?

– Pewnie tak. Dla takich ludzi gruba kreska to zbrodnia. Nie zobaczyli Jaruzelskiego wiszącego na latarni!

– Może trzeba było to zrobić – zastanawia się Michał Boni i tika do mnie nerwowo z obu oczu.

– Jak Rumuni ze swoim Ceaușescu.

– Tyle że on do ostatniej chwili strzelał, a Jaruzelski kazał nakrywać do stołu. Nasi bolszewicy byli inteligentniejsi.

– I przyzwoitsi.

– W jakimś sensie – godzi się Michał. – Ja wiem, że to jest problem, który będzie do nas wracał, więc może masz rację, że trzeba było obwiesić latarnie. Latarnię. Mój ojciec urodził się w 1910 roku w Petersburgu, gdzie rodzina mieszkała i prowadziła interesy. Był dzieckiem, ale aż do śmierci pamiętał rewolucję bolszewicką i ludzi wiszących na każdej latarni ulicznej. Więc kiedy wieje wiatr historii, może być albo właśnie tak, bardzo ostro, albo zupełne wybaczenie. U nas nie było ani jednego, ani drugiego, nie rozliczyliśmy i, jak się teraz okazuje, zupełnie nie wybaczyliśmy. Od razu zrobiliśmy skok w przyszłość.

– Boisz się śmierci?

– Nie. Przez to moje życie, wszystkie doświadczenia, dzieciństwo, ojca, który umiera prawie na moich rękach, podpisanie deklaracji dla bezpieczeństwa, osobiste dramaty... Przez to wszystko mam poczucie, że powinienem być gotowy w każdej chwili. I jakoś jestem. Miałem bardzo bogate życie.

– Historia nam pomaga.

– O, tak! A jak Bóg, los, zdecyduje, że już dość, że już czas, to zgoda,

od kilkunastu lat w ogóle nie piję, jestem czysty i gotowy. Nie będę żałował, umierając, i pokornie dziękuję za to moje życie. Za każdy dzień.

FABRYKA. Świętej pamięci zamęt

Już tyle lat po upadku totalitarnego państwa, a żaden badacz najnowszej historii nie potrafi wiarygodnie zrachować, ilu ludzi było zaangażowanych w solidarnościowe podziemie. W maju 1986 roku, zatem w tym najgorszym dla opozycji, kiedy nastroje w podziemiu upadają, nadzieje na zmiany lecą na pysk i nic nie wskazuje na to, żeby sowiecka Rzesza miała nie przetrwać tysiąca lat, Służba Bezpieczeństwa szacuje, że w solidarnościową działalność konspiracyjną jest zaangażowanych około czternastu tysięcy osób. Wcześniej i później było ich z pewnością więcej, może trzydzieści, może nawet czterdzieści tysięcy, ale to ciągle cholernie mało jak na dziesięciomilionowy przed stanem wojennym związek „Solidarność”, zważywszy że w Armii Krajowej było zaprzysiężonych prawie czterysta tysięcy żołnierzy plus ponad sto tysięcy ludzi aktywnych w życiu Polskiego Państwa Podziemnego. Samych nauczycieli uczestniczących w tajnym nauczaniu było ponad pięć i pół tysiąca.

– Żyjemy wtedy w przeświadczeniu, że naród nas zostawił i się tak, kurwa, przygląda – mówi ponuro Maciek Zalewski.

A kiedy w sierpniu 1988 roku w podwarszawskiej fabryce ciągników Ursus wybucha protest pracowników, Maciek już tam jest. To jedyny działacz podziemnych władz regionalnych „Solidarności”, któremu udaje się przedostać do kilkudziesięciu robotników okupujących budynek zakładowego domu kultury.

– To zaledwie około osiemdziesięciu ludzi, z tego kilkunastu nieźle narąbanych, ale komunę chcą rznąć na śmierć i życie, a ja się boję, że mi

tam zaraz wkroczy reżimowa telewizja i będzie chciała akurat z tymi pijanymi pogadać.

Pierwszy szturm zomowców odpierają dzięki wielkiemu zapasowi wody mineralnej w szklanych butelkach i czekają. Maciek wie, że musi jakoś zająć czas protestującym, wymyśla więc na oczekaniu ankietę składającą się z dziesięciu punktów, jak jego towarzysze wyobrażają sobie przyszłą Polskę. W szafach buntownicy znajdują dyplomy różnych spartakiad, konkursów i współzawodnictw pracy, rwą wszystko na połówki, każdy dostaje ołówek i piszą. I tak udaje im się dotrzeć do nadejścia drugiej zmiany, zatem około półtora tysiąca robotników, którzy po przejściu głównej bramy fabryki muszą wędrować przed ich oknami. Ci ze środka krzyczą do nich, wzywają, żeby się przyłączyć, ale wielu nawet nie patrzy w ich stronę.

– Ale jest tam telefon – opowiada Maciek. – O dziwo, działa, to dzwonię na Żoliborz, na plac Komuny Paryskiej...

– Wtedy mówiło się Wilsona.

– I mówię Jackowi Kuroniowi, że to chuj, nie rewolucja, bo robole nie chcą strajkować, a on, żeby w takim razie zamykał to i spierdalał. No to wychodzimy. Milicja wyprowadza nas w szpalerze, zaczynają rewizje, a ja mam teankiety, szkoda by było je stracić i trafić na czterdzieści osiem godzin na dołek. Więc spierdalam z miejscowym działaczem, gonią nas, wydostajemy się z zakładów na osiedle, jakaś chałupa, łomoczymy w drzwi, otwiera starsza kobiecina, my, że uciekamy ze strajku, musimy się schować, a ona zaprasza ruchem głowy. Przygląda się nam długo, wnikliwie, potem wyciąga dwa kieliszki i nalewa po setce. A my spełniamy natychmiast.

– Naturalny odruch polskiej kobiety – z takim jakby przekąsem mówię.

– Ale po tym było widać, że lud jest po naszej stronie, więc jak zaraz potem władza zaprasza do rozmów, to może warto byłoby poczekać

z tymi ugodami, zgniłym kompromisem z czerwonymi, Okrągłym Stołem?

– Mówisz wtedy o tym głośno?

– Jasne. W Komitecie Obywatelskim „Solidarności” przy Lechu Wałęsie, w którym jestem najmłodszy, ale mam dobre notowania, bo już dwie odsiadki na koncie i byłem w Ursusie, co nie udało się nikomu z wielkich. W komitecie opozycja szykuje się do obrad Okrągłego Stołu, to wygłaszam tyradę, że po naszymu, po robociarsku, to za wcześnie, że jeszcze nie trzeba, nie można. No i tak się składa, że dostaję stypendium na trzy miesiące do Stanów. Wielka pokusa. To jadę i finansowo odkuwam się za te pięć lat partyzantki.

– Siedem i pół.

– A jak wracam, już mogę pozwolić sobie na samochód i pierwszą wpłatę na mieszkanie – opowiada Maciek. – Jest tuż przed Okrągłym Stołem, któremu kibicuję, żeby się nie udał, ale się udaje.

– Czego ty chcesz?

– Władzy. Całej, a nie troszeczkę. Chcę rozwalać komunę, przyspieszać rewolucję, a nie gasić strajki. Chcę rozwalać Związek Radziecki.

Który, jak wiemy z historii, czterdzieści miesięcy później rozwiązuje się sam i bez walki.

Którą Maciej Zalewski zaczyna w 1981 roku w fabryce cyrkli, kątomierzy i temperówek na warszawskiej Woli, a kończy w 1988 roku w fabryce traktorów w Ursusie.

– Uwielbiałem ten nasz świętej pamięci zamęt – mruczy do siebie Maciek.

KOLUMBOWIE.

Czwarta tajemnica młodzieńcza

Zamęt, który w ostatnich miesiącach przed upadkiem dyktatury komunistycznej w Polsce staje się niemal atrakcją turystyczną. W książce Kryśki Zalewskiej, córki Maćka, pod tytułem *Będzie strajk*, w której opisuje wojenne lata ojca i jego towarzyszy, twórca Firmy opowiada, jak pokazuje attaché politycznemu ambasady Stanów Zjednoczonych klimaty warszawskiego podziemia.

Prują przez miasto dziesięcioletnią Maćkową skodą 105S białego koloru, z kaseciaka leci *Chimes of Freedom*, legendarne „Dzwony wolności” Boba Dylana, a facet w płacz.

– Słuchałem tego na Marszu Pokoju w Waszyngtonie w sześćdziesiątym trzecim – łka dyplomata.

– A teraz, Josh, jesteś w CIA, a my Dylanem zwalczamy komunę – Maciek na to.

Przed ostatnią naszą rozmową Maciek Zalewski prosi, żebym nie narobił tą książką za dużo zamieszania, krzywdy, bo już dostatecznie skrzywdziła nas historia. Chyba jego! Bo mnie wyróżniła, umiejscowiła we wspaniałych czasach i najciekawszym kraju, gdzie brałem udział w czymś niezwykłym, doniosłym, ważnym, a potem mogłem jeszcze pięknie budować swoje życie.

Kiedy dwadzieścia jeden lat temu w ramach tego budowania po raz pierwszy biorę się bez powodzenia do opisanie ludzi Firmy, których z redaktorów w mojej gazecie w uwagach do tekstu czerwonym atramentem pisze tak: „Ale czym się ta wasza Firma właściwie

zajmowała, do jasnej cholery?!!!" (Na końcu zdania naprawdę stawia jeden znak zapytania i kilka wykrzykników).

Pytanie proste, a ja nie umiem tego wyjaśnić, a w zasadzie uwzględnić pytania w kolejnej wersji tekstu. No bo niby czym konkretnym poza wydawaniem i puszczaniem w miasto kilkunastu tysięcy zadrukowanych kartek? Przez siedem i pół roku?! Tylko tyle? Wtedy, jako młodemu, świeżo wylazłemu z lasu, niedoświadczonemu reporterowi nie może mi przejść przez gardło, a w zasadzie wyjść spod ręki, że zajmowaliśmy się przede wszystkim trwaniem. Podtrzymywaniem na sztucznym oddychaniu życia organizacji, wolnościowego ruchu.

Przez siedem i pół roku! Niewielu zdzierżyło tę monotonię, nudę, beznadziejną rutynę. Siedem lat w trumnie. To, podobnie jak tytuł pierwszej części książki, odwołanie do powieści Romana Bratnego, który w szczytowym momencie stanu wojennego wydaje *Rok w trumnie*. Ta znakomicie napisana przez byłego żołnierza AK i powstańca warszawskiego książka wali w święty mit „Solidarności”, z którą przecież niemal wszyscy Polacy wiążą wtedy wielkie nadzieje, za którą Hołuszko, Zalewski i inni gniją w kryminałach, a u miłego komunistycznej władzy pisarza babcia klozetowa podsumowuje ten mit słowami, że jak „Solidarność” zwycięży, to ludzie przestaną srać na deskę.

Gdyby Bratny dzisiaj wydał swoją powieść, pewnie by dostał Literacką Nagrodę Nike, wtedy dostał Nagrodę Ministra Obrony Narodowej, Order Sztandaru Pracy I Klasy i niemal powszechną pogardę.

Opowiada Michał Boni:

– A Maciek totalnie chce zmieniać świat. Żadnych układów z czerwonymi, tylko rewolucja i marsz na Moskwę. Ze swoimi kumplami wzywa do całkowitego odrzucenia komunizmu, obalenia

partii, bojkotu czerwcowych wyborów, a potem jeszcze uważa, że należy mu się jakieś eksponowane miejsce, stanowisko w nowej Polsce. A niby dlaczego?! Przecież jest w sporze z głównym nurtem. Jego koncepcja walki do pełnego zwycięstwa przegrywa. Jedyną możliwą do realizacji jest idea Okrągłego Stołu, droga małych kroków, bo uwarunkowania zewnętrzne, globalne nie dają wtedy szans na więcej.

Następuje podział. Gdyby to się stało w osiemdziesiątym pierwszym roku, szanse na osiemdziesiąty dziewiąty rok absolutnie byśmy stracili, bo bez udziału bezpieki nawzajem byśmy się zniszczyli.

To, jaką drogę wybrałeś w tamtym okresie, zaważyło na tym, jak układają się twoje losy po 1989 roku, jak przeżywasz następnych dwadzieścia pięć lat. To niebywałe, unikatowe w historii, że jednemu pokoleniu udaje się przejść tak ogromną drogę, drogę od osiemdziesiątego roku do dzisiaj. Najmłodszy z tego pokolenia, dwudziestokilkulatkiem w osiemdziesiątym roku, tacy jak ty, ja, Maciek Zalewski, kilku naszych premierów, kilku prezydentów, legion ministrów... Całe to twoje pokolenie Kolumbów rocznik 50, które nazywają też pokoleniem Okrągłego Stołu, jest ciągle w pełni sił i na razie sprawuje przywództwo. Jego siła była i jest ogromna.

Tak myślisz? Że być może trafiamy z tą rozmową i książką na pokoleniową zmianę warty?

To trzeba zapamiętać ten moment. Jest październik 2015 roku.

Ale to nie zmienia sytuacji, że to nasze pokolenie, jak żadne w historii Polski, dostaje taki mandat do wypełnienia, by na dwadzieścia pięć-trzydzieści lat sprawować rząd dusz. I do maksimum wykorzystujemy wszystkie szanse. Polska w naszych rękach staje się zupełnie innym krajem.

Po 1989 roku nadchodzi czas naszej generacji.

Jesteśmy bodaj jedynym pokoleniem polskich konspiratorów, czy też szwależerów, któremu po wielkiej wojnie świat dramatycznie się nie

zawalił, o czym tak pięknie w *Końcu świata szwoleżerów* pisał Marian Brandys, opowiadając posępne i tragiczne dzieje wyrzuconych na śmietnik historii żołnierzy elitarnego Pierwszego Lekkonnego Pułku Gwardii Cesarskiej Napoleona Bonapartego. Którzy z bojowników stają się działaczami państwowymi i społecznymi, co kończy się kolejnym powstaniem, rzezią i klęską. A po naszej wojnie nie ma żadnej jatki, żałoby, żadnego końca świata – dopiero na dobre się rozpoczyna.

Wreszcie jesteście sobą, a nie jakimiś tam zarażonymi śmiercią Kolumbami, szwoleżerami, „pańskim wojskiem” – jak się mówiło o gwardzistach z Pierwszego Lekkonnego Pułku, bo służyć w nim mogli wyłącznie prześlicznicy, dobrze urodzeni i sytuowani młodzieńcy, którym rodzice, albo oni sami sobie, musieli zafundować całe wyposażenie wojskowe z koniem, bronią i mundurem włącznie.

Wśród polskich konspiratorów przedostatniej dekady XX wieku panuje bezwstydnie egalitarny duch. Mamy tu arystokratów i chuliganów, takich, którym w żyłach płynie błękitna krew, i takich, u których jest to roztwór pół na pół z bimbrem; takich, którzy mają siedem klas, i takich z doktoratami; ludzi, którzy piszą uczone eseje o rewolucji francuskiej, wolności, równości i braterstwie, i ludzi, którym Komuna Paryska kojarzy się tylko z placem na warszawskim Żoliborzu. Jeden z naszych prowadzi tam stragan z narcyzami, mieczykami i gerberami, które razem z asparagusem, plumosą i wstążką zawija w celofan, na serio nazywany przez niego cefolanem albo cynkfolią.

Plac Komuny Paryskiej nazywa się tak tylko w PRL-u, bo wcześniej i później jest placem Wilsona, i tylko ciemny gabaryt z prowincji ma prawo nie używać tej starej nazwy. A dzisiaj nie rozumieć, jak ortodoksyjni, starsi mieszkańcy tej eleganckiej dzielnicy przez przekorę nazywają to miejsce placem Komuny. Bo to paryska, a więc nie taka paskudna, bo gdyby chodziło o bolszewicką, ruską, moskiewską – ten numer by nie przeszedł.

„Pańskim wojskiem” nie jesteśmy więc ani wtedy, ani tym bardziej teraz, co widać nawet gołym okiem. Obwisłe brzuchy, podbródki, siwe wąsy, mało który ma komplet zębów na froncie, a choćby jaką protezę, implant albo mostek. Słabo wyglądamy w naszych domowych dresach albo sztruksach wypchanych na kolanach, w tureckich swetrach z bazaru, szlafrokach i podomkach ze stylonu, filcowych albo góralskich kapciach z wywczasów w Rabce. Łyse łby, skrzypiące kolana, na dłoniach plamy wątrobowe, a w pachwinach przepukliny. U innych w przełyku żyłaki jak powrozy, do tego ubytek słuchu, refluks żołądkowy, hemoroidy, odrosty, pustki w lodówkach... Płakać się chce.

Jedyna pociecha, że nie ma czegoś takiego jak męska menopauza. Bo mężczyźni do końca życia zachowują podobno swoją funkcję reprodukcyjną. Tylko jak z tego korzystać, skoro z badań uczonych wynika, że z każdym rokiem, poczynając od czterdziestki, każdemu z nas ubywa jeden procent testosteronu, czyli męskiego hormonu płciowego. I kurczą się jądra. Ale to jeszcze nic! Tylko patrzeć, jak zacznie przerastać gruczoł prostaty, co utrudni oddawanie moczu i nasienia. Zacznie też szwankować pamięć, a penis nabrzmiwać będzie coraz gorzej. Jeśli u trzydziestoletniego mężczyzny unosi się w wzwodzie o dwadzieścia stopni powyżej poziomu, to dziesięć lat później uniesie się tylko o jeden stopień, a po pięćdziesiątce o jeden stopień, ale poniżej poziomu. Po upływie następnych dwóch dekad unosił się będzie o kolejne dwadzieścia cztery stopnie niżej. Wprawdzie funkcje operacyjne mózgu mogą poprawiać się nam aż do pięćdziesiątki, ale z ciałem tak nie będzie. Systematycznie zaczyna obniżyć się wzrost, ubędzie nawet do piętnastu procent masy kości i od sześciu do dziesięciu kilogramów mięśni. Ale za to podwoi się ilość tłuszczu.

Na razie nie jest jeszcze tak źle, dopiero 2006 rok, miesiąc kwiecień, biegnę dwudziesty maraton w życiu i robię coś zupełnie nedorzecznego, niepotrzebnego, na co nie mam żadnego pomysłu,

żadnego planu reporterskiego. To głupie, bo z niemałym trudem udaje mi się zdobyć widzenie w więzieniu z bardzo ważnym skazańcem, ale nie mam żadnego pomysłu na tekst do gazety. Jest gorzej! Nie mam nawet pomysłu na rozmowę, na jedno choćby sensowne pytanie.

Chcę po prostu na niego spojrzeć.

– Co ty tutaj, kurwa, robisz?! – chcę zapytać. – Polska, o którą walczyłeś, wpakowała cię do kryminału z powodu jakiejś forsy?! Zostałeś największym, najgłośniejszym, najbardziej prominentnym aferzystą w kraju, który razem budowaliśmy dla naszych dzieci. Dla Kryśki, Klary, Oleśki, a także Joanny, Miśka, Marcina, Anki, Bartka, Doroty... Brachu, kurwa mać! Byłeś naszym wodzem, przywódcą, naczelnikiem naszego plemienia, stada, komendantem naszej reduty, czy też melanżu, jak by dzisiaj gówniarstwo powiedziało... Dlaczego nam to zrobiłeś?!

Chcę zobaczyć zdruzgotanego człowieka, ludzki ochłap, wypluty przez lewiatana strzęp człowieka, cień dawnego wojownika... Pokorę potrzebuję zobaczyć. Albo powiesz mi parę mądrych zdań, wyjaśnisz w kilku żołnierskich słowach, że to zwyczajna pomyłka, że nie masz z tym nic wspólnego, że cię wrobili, padłeś ofiarą zмовы, spisku, jakiegoś draństwa, kurewstwa, albo...

Taki szczeniacki, naiwny i histeryczny skowyt w sercu mam, a więzień udziela mi audiencji, jakby był naczelnikiem, a nie pacjentem w tym zakładzie karnym na warszawskim Bemowie. I nawet nie pokój widzeń, tylko całą świetlicę na to spotkanie dostaje, gdzie przyjmuje mnie szeroko rozparty w fotelu, ciężko obrażony facet. Tak go widzę, tak zapamiętuję.

Zapamiętuję arogancką gębę z cygarem w pysku!

Dacie wiarę? Który polski kryminalista pali cygara?!

CZEŚĆ III

Początek świata szwoleżerów

POCZĄTEK. Strzępy, drobne ochłapy

– Co byś dzisiaj robił, gdybyś w stanie wojennym i potem nie działał w konspiracji? – pytam Michała Boniego i Maćka Zalewskiego, dwóch serdecznych przyjaciół z młodości, kiedy dwadzieścia lat temu rozpocznę pracę nad tekstem o Firmie.

– Gdybym nie knuł – Michał na to – byłbym już pewnie profesorem na Uniwersytecie Warszawskim, bo intelektualnie oceniam się dość wysoko.

– A ja miałbym własną fabrykę i jeździł jeszcze większą bryką niż teraz – rzuca Maciek, który już wtedy jeździ bmw wielkim jak transatlantyk. – Albo też byłbym profesorem i miał swój instytut. Jestem twardy i mam dużo energii.

Ale konspirowali, działali w podziemiu, więc początek świata szwależerów rocznik 50 wygląda zupełnie inaczej.

W czerwcu 1989 roku, po wyborach do Sejmu kontraktowego, które komuniści przegrywają z kretesem, Maciek Zalewski idzie do Tadeusza Mazowieckiego, redaktora naczelnego właśnie reaktywowanego „Tygodnika Solidarność”, przedstawia się, opowiada swoją brawurową wojenno-partyzancką i więzienną historię, mówi, że pracuje na Uniwersytecie Warszawskim, ale musi go rzucić, bo jest rewolucja, w której chce wziąć udział, więc prosi go o przyjęcie do pracy. I zostaje przyjęty, ale niedługo później znowu jedzie na stypendium do Stanów Zjednoczonych Ameryki.

– Szkołą nas wtedy na potęgę – opowiada Maciek. – Pokazują demokrację, gospodarkę, samorząd, jak działają instytucje publiczne...

Od „Newsweeka” i „New York Timesa” dostaję po stronicy, to piszę, że „Solidarność” nieuchronnie musi się podzielić, bo potrzebna jest lewica i prawica, a nie związek zawodowy, który będzie budował kapitalizm i sam siebie będzie zwalniał z pracy. Dla nich to oczywiste, więc wszyscy mnie chwalą i głośno biją brawo. W ramach tego stypendium dostaję pięć tysięcy dolarów, dorabiam drugie tyle i jestem najbogatszy w całej wsi. Dziesięć tysięcy dolarów to wtedy niewyobrażalna kwota.

– Ja w tym czasie jako nauczyciel zarabiam dwanaście dolarów miesięcznie.

Więc w sierpniu tego roku z bratem i dwoma kumplami jedziemy stareńkim volkswagenem „garbusem”, który jest prezentem ślubnym od moich rodziców, do Szwecji na jagody i borówki i w jeden miesiąc z hakiem zarabiam tysiąc dolarów, zatem tyle, co w szkole przez siedem lat. O tym, że Polska ma nowego premiera, pierwszego szefa rządu w całym imperium sowieckim, który nie jest komunistą, mówią nam w punkcie skupu runa leśnego, wszyscy więc klepią nas po plecach, gratulują, cieszą się i już się nie czepiają, że nasze jagody ociekają wodą, chociaż nie padało. Bo my jeszcze prawie z Polski Ludowej przyjechaliśmy, w komunizmie wychowani, to lejemy burżujom wodę do jagód, bo wtedy cięższe.

Maciek siedzi w tym czasie w waszyngtońskim hotelu i przy whisky gada z kumplami o Heideggerze, aż tu dzwoni Jarosław Kaczyński i mówi, że jest nowym naczelnym „Tygodnika Solidarność” po Tadeuszu Mazowieckim, który został premierem, że czytał Maćkowe teksty i widzi, że obaj są z jednej bajki, a na koniec pyta, czy Maciek chce być jego zastępcą. Też pytanie... Jasne, że tak!

– Już wtedy tak ci się podoba? – pytam Maćka.

– No, stary! To jest świeże, męskie uczucie. Mam do czynienia ze wszystkimi arcykapłanami „Solidarności”, tuzami podziemia,

największymi bogami antykomunistycznej opozycji, z Jackiem Kuroniem na czele, ale żaden nie działa tak na mnie jak ten mały człowiek. Jemu jednemu jestem w stanie się podporządkować i dać wszystko, co mam.

– Ile wtedy masz lat?

– Trzydzieści trzy – mówi Maciek Zalewski. – Jarek osiem więcej. Jesteśmy daleko od władzy i blisko „Solidarności”, którą dowodzi Wałęsa, w „Tygodniku” piszemy teksty o uwłaszczaniu, o nomenklaturowych machinacjach, zamianie własności na władzę i władzy na własność, ale jest też twoja „Gazeta Wyborcza”, to się z nią napięrzamy. Wielki spór, który rozwalił „Solidarność”, nabiera rozpędu, ale naprawdę niszczącym uderzeniem jest cios w naszą spółkę Telegraf...

– Opowieść o Telegrafie rozpocznij może od jakiegoś początku – grymaszę, bo to najtrudniejszy temat, który czeka mnie z Maćkiem, a on bierze fajkę, wydłubuje popiół, przedmuchuje cybuch, nabija... Gra na czas, ale przypala, posiał zapalniczkę, więc męczy się zapałkami. To niezwykle, ile ich zużywa. W ciągu trzech godzin rozmowy całe pudełko schodzi, a w pokoju więcej dymu z drewna osikowego niż z liści tytoniu.

– Wszystko potem przestaje być zabawne. – Maciek wraca do opowieści, jak pokolenie Okrągłego Stołu wchodziło do gry. – Odkrywam, że to prawdziwa walka polityczna, nie ma żartów, bombardują wściekle pozycje, na których jestem, więc siłą rzeczy ja też co chwila dostaję jakąś bombą. Nie przychodzi mi nawet do głowy, że wszedłem na pole, które tak strasznie będzie ostrzeliwane, gdzie spadnie tyle pocisków, bomb, tyle rozstawili min, gdzie rozerwie mnie na kawałki! Za co płacę do dzisiaj.

– Mógłbyś mniej metaforycznie?! – protestuję.

– Ci, co mi to zrobili, to przecież moi bracia, ludzie z naszego pokolenia uznawanego w Warszawie za następców Komitetu Obrony

Robotników. Co komu szkodzi, że będą dwa koncerty medialne? Ten twój z „Wyborową” i nasz?

– Podoba mi się ta „Wyborowa”. I jestem wdzięczny, że nie mówisz „Wybiórcza”.

Trzeba być niezwykle skupionym, uważnym, bo to początek piekielnie skomplikowanej, pogmatwanej afery, która wybuchła i rozczmychała się wielkim ogniem w pierwszych latach III Rzeczypospolitej, a z którą polski wymiar sprawiedliwości boryka się później około piętnastu lat.

W końcu marca 1990 roku Sejm uchwała ustawę o likwidacji Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej Prasa-Książka-Ruch, wielkiego koncernu medialno-wydawniczego, który był jedną z podstaw finansowania partii komunistycznej. Z mocy ustawy część majątku RSW trafia do wydawnictw związanych z partiami politycznymi, głównie tytuły prasowe. „Express Wieczorny” razem z budynkami i gruntami dostaje się w ręce Fundacji Prasowej „Solidarność”, powołanej w tym czasie przez środowisko skupione wokół Jarosława Kaczyńskiego. Kilka lat później fundacja sprzedaje „Express Wieczorny” Szwajcarom.

W kwietniu tego samego roku odbywa się II Krajowy Zjazd NSZZ „Solidarność”, na którym są obaj młodzi uniwersyteccy przyjaciele, czyli Maciek, członek Zarządu Regionu Mazowsze, i Michał Boni, przewodniczący tego zarządu.

– I to on na choma blokuje mój wybór do Komisji Krajowej, który mi się należy – wścieka się Maciek. – Nie umie nawet wytłumaczyć, dlaczego to robi! Myślałem, że normalnie go zarżnę, zabiję jak...! Ale byłem już coraz bliżej Jarka, więc zacząłem się z „Solidarności” wycofywać.

I już w maju tego roku powstaje Porozumienie Centrum, partia, do której Maciek wnosi w posagu bardzo silny układ warszawski, czyli swoje Grupy Polityczne Wola, natomiast pieniądze na działalność

w formie pożyczki wnosi między innymi Fundacja Prasowa „Solidarność”, przez co mają poważne kłopoty z prokuratorem, który zarzuca im nielegalne finansowanie PC. Kilka miesięcy później Zalewski wpada na pomysł powołania spółki Telegraf, a potem z innymi czołowymi działaczami Porozumienia Centrum wchodzi do jej rady nadzorczej i zostaje prezesem. To najbardziej kontrowersyjny projekt ówczesnego obozu Lecha Wałęsy. Chcą zakładać wydawnictwo, nową gazetę „Telegraf” i własną telewizję. Nie mija nawet rok, a kapitał założycielski partyjnej spółki rośnie sto pięćdziesiąt razy, bo ich akcje wykupuje wiele firm, przeważnie państwowych, w tym wielki bank, z którego biorą także ogromne pożyczki. Wychodzi więc na to, że prywatna spółka i związana z nią partia żerują na państwowych pieniądzach, rozwijają się kosztem państwowych firm. Jednak najwięcej Telegrafowi daje podobno prywatna spółka Art-B, co znaczy Artyści Biznesu, którzy dorobili się, wykorzystując prawnie zakazany oscylator ekonomiczny, polegający na wielokrotnym, jednoczesnym oprocentowywaniu tych samych pieniędzy w kilku różnych bankach, co kosztowało polski system finansowy około 424 milionów dzisiejszych złotych. Właściciele Art-B twierdzili, że przekazali Telegrafowi 5,7 miliona nowych złotych.

– A to jest nieprawda – opowiada Maciek. – Ale się zgadzam, że jak na dzisiejsze czasy jest nie do pomyślenia, że koncerny państwowe płacą na spółkę prywatną.

– W której na dodatek są sami politycy.

– Tak. Ale przecież nie gromadziliśmy pieniędzy, żeby budować sobie domy i kupować samochody. Teraz jest inaczej, ale wtedy myślenie polityczne było takie, że trzeba mieć swoją prasę. I telewizję.

– Bo razem z Wałęsą szliście do władzy, konkretnie do jego kancelarii, w której ty byłeś sekretarzem Komitetu Obrony Kraju, jakby ministrem obrony w Kancelarii Prezydenta RP.

- Tak. Nigdy bym nie przypuszczał, że efektem naszego wcześniejszego spotkania z notariuszem w redakcji „Tygodnika Solidarność”, na którym powołaliśmy spółkę Telegraf, będzie to, że zostanę skompromitowany, wywalony z polityki i po kilku latach skończę w kryminale.

DRYBLING. Pierwsza tajemnica zgredowska

Proszę osoby niezgadające się z moimi poglądami i chcące dać temu wyraz, by nie korzystały z książki telefonicznej i nie niepokoiły mojej siedemdziesięcioletniej matki, z którą nie mieszkam. Proszę jej nie wymyślać. Michał Boni

To ogłoszenie Michał zamieszcza w gazecie w 1990 roku, trzy lata przed śmiercią swojej matki, której numer telefonu można znaleźć w książce telefonicznej. Trwa prezydencka kampania wyborcza, w której Michał, jako szef Regionu Mazowsze „Solidarności”, wspiera kandydaturę byłego premiera Tadeusza Mazowieckiego, a w jego biurze zjawia się zniechęcony Maciek Zalewski i mówi, że albo Region postępuje politycznie w stronę ich Porozumienia Centrum i wesprze kandydaturę Wałęsy na prezydenta, albo go zniszczy.

– Tak zaczyna się ta nasza nienawiść – mówi Michał. – Potem jeszcze wyprowadza mi ze związku część ludzi, z którymi buduje swoją partię.

A Michał publicznie, na konwencji wyborczej, przypina Mazowieckiemu swój historyczny znaczek związkowy z osiemdziesiątego roku. I wtedy właśnie zaczynają się obraźliwe telefony do jego matki, obelżywe wyzwiska, obcy ludzie zaczepiają Michała na ulicach, w autobusach, tramwajach i wymyślają, grożą, nawet na szlaku podczas górskiej wędrowki z żoną słyszy za plecami wrzaski, że jest skurwysynem. W oczach ludzi widzi nienawiść.

A już niebawem po pierwszych w pełni wolnych wyborach parlamentarnych obaj dawni przyjaciele z podziemia zostają poślami

I kadencji Sejmu III Rzeczypospolitej, tyle że jeden od liberałów, drugi z Porozumienia Centrum, obaj też są ministrami. Boni w Ministerstwie Pracy i Polityki Socjalnej, Zalewski w Kancelarii Prezydenta.

W jeszcze następnym roku, w maju 1992, Sejm przyjmuje ustawę lustracyjną, zgodnie z którą minister spraw wewnętrznych przygotowuje listę sześćdziesięciu czterech nazwisk posłów, senatorów i członków rządu, którzy według zachowanych akt PRL-owskiej bezpieki byli jej agentami. MSW wypełnia swoje zadanie kompletnie wbrew intencjom Sejmu, bo zamiast przedstawić listę agentów, którzy współpracowali, donosili komunistycznej Służbie Bezpieczeństwa, sporządza spis ludzi wciągniętych do ewidencji jako agentów.

To Michał Boni musi tam być. I w Hotelu Sejmowym daje ostro w banię z posłem Alojzym Pietrzykiem, posiadaczem ogromnych wąsisk, który tak jak Michał był związkowcem, tyle że ze Śląska. Ale jego na liście nie ma.

– Teraz Alojz robi poważne biznesy na Śląsku – opowiada Michał. – Na rękach sygnety, rozpięta koszula, złoty łańcuch...

– Na pewno piękny. Już wtedy taki był.

– Miał dobrą, śląską, hulaszczą duszę. Uwielbiał wypić, zabawić się, poflirtować z babami...

Posłowie popijają naprawdę tego, aż Michałowi otwierają się wrzody żołądka, traci półtora litra krwi, niemal się wykrwawia. Trafia na intensywną terapię, potem dwa tygodnie w szpitalu i jakoś do siebie dochodzi, ale bez wątpienia był już po drugiej stronie lustra, umiera nawet jakby troszeczkę.

I milczy. Nie ma odwagi. Boi się. Wstydzi. Wiele osób z Firmy przychodzi do szpitala, inni dzwonią, nie dają wiary autorom listy, wierzą święcie w słowa Michała, który w czasie sejmowej debaty wypiera się publicznie, że był agentem SB. Posła, który zgłosił wniosek o uchwalenie ustawy lustracyjnej, Michał bez pardonu beszta za ten

pomysł w telewizji, nazywa go „oszołomem”, za co ów polityk w sercu ślubuje, że przy najbliższej okazji spierze go za te słowa po pysku.

Ale okazja nie nadarza się latami, dziesiątkami lat.

Ja też w 1992 roku piszę tekst do gazety, że co to z Michała byłby za agent, jak my od pierwszej wpadki Maćka Zalewskiego na początku wojny, czyli od czasu objęcia nieformalnego przywództwa przez Michała, nie mieliśmy żadnej większej wsypy. Najwięksi bohaterowie, przywódcy warszawskiego podziemia, podpisują list w obronie Michała, ale kiedy przychodzą z nim do Maćka, były szef Firmy odmawia, twierdzi, że w obecnej sytuacji politycznej nie może podpisać.

– W 1994 roku rozmawiamy o tym wszystkim do mojego pierwszego tekstu o Firmie – czepiam się dzisiaj Michała. – Nie mówisz mi wtedy prawdy, marnujesz okazję na coming out.

– Zwyczajnie nie mam odwagi. Ale Pietrzykowi chyba mówię! Potrzebuję wyrzucić z siebie wszystkie złe emocje i już do tej sprawy nie wracać, żeby i dla mnie była zamknięta. Ale papier podpisany to jednak papier podpisany, więc w duszy postanawiam, żeby nie pchać się już do funkcji publicznych. Lepiej być ekspertem, doradcą, przedstawicielem, członkiem komitetu.

Jest więc doradcą ministra pracy i Konfederacji Lewiatan, szefem marketingu w firmie ubezpieczeniowej, wicedyrektorem Instytutu Spraw Publicznych wspieranym między innymi przez Fundację Forda i Fundację Batorego, ekspertem Centrum Stosunków Międzynarodowych oraz Instytutu Nauki o Człowieku w Wiedniu. Zasiada także w radzie dyrektorów Funduszu Przedsiębiorczości finansowanego przez Senat Stanów Zjednoczonych i to nawet nie połowa dziwnych fuch Michała, które wypisuję z Wikipedii, bo od samego patrzenia na ten akapit wypadają oczy. Jak cokolwiek można nazwać Naukowym Komitetem Wsparcia Wspólnoty do spraw Oceny NPR i Programów Operacyjnych?! A Michał był tam członkiem

komitetu.

– Mam wtedy wstrzeźliwość w afiszowaniu samego siebie – odzywa się do mnie w dziwnym języku.

– Bo nie wywalasz brutalnie kawy na ławę. Że podpisałeś ubekom ten straszny papier.

– Bo zwyczajnie nie jestem gotowy, żeby to zrobić. Zresztą mało kto się na to odważył. Szczerze mówiąc, nie znam nikogo takiego. I wreszcie przecież tylko ja się do tego przyznaję.

– Piętnaście lat później – krzywię usta. – W 2007 roku, kiedy dostajesz propozycję wejścia do rządu jako nowy minister pracy.

– Ogromna w tym rola premiera, bo przecież ja się nie pcham. On mi to proponuje, więc zaczynamy rozmawiać i ja mu wszystko mówię uczciwie jak na spowiedzi. Dla nas obu jest jasne, że to poważny problem i że trzeba coś z tym zrobić. Najlepiej publicznie powiedzieć całą prawdę. Samemu. Wziąć część winy na siebie, bo tylko tak można się oczyścić. Umawiamy się, że to będzie 31 października w Sejmie, gdzie budowany jest nowy rząd. Dwa tygodnie się do tego przygotowuję, wszystko sobie przypominam, nabieram siły, odwagi. Strasznie się boję. Donald, tak po ludzku, po przyjacielsku, ma wielkie wątpliwości, czy to uniosę, więc nawet rano tego dnia dzwoni do mnie, a potem jeszcze raz, na godzinę przed wyznaczonym czasem, i mówi, że jak się wycofam, to nic się nie stanie. Nie ma sprawy.

– Ale wtedy nie wchodzisz do Rady Ministrów.

– Jasne.

Więc ze łzami w oczach przed telewizyjnymi kamerami i dziesiątkami mikrofonów Michał wygłasza z głowy dramatyczne, mało składne oświadczenie.

Bojąc się i wobec szantażu [SB], podjąłem decyzję podpisania deklaracji współpracy ze Służbą Bezpieczeństwa. [...] Miałem świadomość, że podpisuję, uciekając przed strachem, ale także

z myślą o bliskich, i nie traktowałem tego zobowiązania jako czegoś poważnego. Błąd, jaki popełniłem, polega na tym, że po wypuszczeniu z aresztu nie poinformowałem kolegów ze struktur podziemnych o podpisaniu tej deklaracji. Jest mi wstyd i żałuję. Proszę o wybaczenie.

Pisemną, uładzoną już wersję oświadczenia Michał kończy słowami:

Przez lata nie umiałem pokonać lęku. Bałem się, iż otwarte wyznanie będzie dla mnie upokorzeniem nie do uniesienia. Od pewnego czasu jednak uważam, iż życie pod presją upokorzenia nie pozwalało mi wyzwolić się z lęku i kazało odrzucać, wypierać słabość. To dlatego nie podjąłem trudu procesu lustracyjnego w odpowiednim momencie. Dzisiaj czuję, że ważniejsza od strachu, błędów i wstydu – jest pokora. Bo tylko pokora pozwala zrozumieć własną słabość, ocenić ją twardo i boleśnie i odważnie żyć dalej, patrząc sobie i innym w oczy. Przepraszam.

I po takim publicznym harakiri nagle zostaje z niczym, bo podczas konstruowania rządu wychodzi, że Ministerstwo Pracy musi przypaść komu innemu, czyli jednemu koalicjantowi nowego premiera.

– Zostaję zupełnie sam i nie mam co robić – skarży się.

– To co? Zrobiłeś to tylko dlatego, że wymagała tego kariera polityczna? Nie z potrzeby serca, tylko z kalkulacji, z wyrachowania? Politycznego!?! Zatem to nie był spontan, tylko drybling.

– To, czy podpisałeś jakiś papier, dla historii ludzkości jest gównem – mówi Michał. – Cóż to niby za zło? Gówno, proch, cień zaledwie. Zła. Ale z moralnego, wewnętrznego punktu widzenia trzeba było to zrobić. I dlatego dostałem dużo słów poparcia, ale były też telefony i SMS-y pełne obelg: ty kurwo, ty mendo, szmato... Przez kilka pierwszych dni po tym wszystkim miałem straszny lęk, żeby iść ulicą

z podniesioną głową, a oczu nie mieć wlepionych w chodnik pod nogami. Wydawało mi się, że wszyscy na mnie patrzą.

– Mam to samo, kiedy oskarżają mnie o plagiat. Na złodzieju czapka gore. I nawet nieważne, czy ukradłeś, czy nie, liczy się, że mają cię za złodzieja. A wreszcie nawet nie to jest takie ważne, jeno to, że ty sobie wyobrażasz, że tak cię widzą. Dlatego czapka, a w zasadzie gęba, czoło gore, w piersi gore.

– Straszne uczucie.

CHEMIA.

Naziemne życie Marka H.

– **Która to już chemia, Ewko?**

– Dopiero siódma. Jeszcze pięć.

A ja tak sobie pomyślałam dzisiaj, jak tu leżę z tym workiem, że Ewka Choromańska to wspaniała dziewczyna. Kiedy w listopadzie pokazuje się u mnie krew z dupy, potem zaczynają się niekontrolowane wypróżnienia, a potem już jest jasne, że to nie hemoroidy, i kierują mnie do jej szpitala w Międzyzlesiu, od razu do niej dzwonię. Na tę kamerę, którą wsadzają w człowieka od dołu, nie czekam pół roku jak wszyscy, tylko trzy tygodnie. Potem już jest jasne, że to rak jelita grubego, esicy. Dwa tygodnie później jest po wszystkim, Włodek, mąż Ewy Choromańskiej, mnie operuje. Guz ma dwadzieścia osiem centymetrów średnicy. Parę lat rósł, a ja myślałam, że z wiekiem brzuch musi rosnąć. Dzięki Bogu zostawiają mi odbyty i nie muszę chodzić z plastikowym workiem, ale jest dużo przerzutów. Wczoraj byłam na kebabie, walę sobie tyle najostrzejszego sosu, że temu Turkowi aż szczęka opada, ale ja nic nie czuję. Żadnych smaków. Przez tę chemię, dwa dni po każdej jakbym, za przeproszeniem, gówno w ustach miała. Straszny niesmak. Mówią, że muszę lepiej się odżywiać, bo szpik nie wytrzyma.

Parę lat temu, kiedy los jak zwykle porządnie nakopał mi w tyłek, myślałam sobie, że chciałabym mieć raka, bo wtedy odzyskam rodzinę. Teraz mam raka. I nic się nie zmienia.

– **Kraj się zmienił. Także dzięki tobie.**

– Opowiem ci, jakie są moje początki w nowej Polsce. Bo jeszcze

za komuny wyjeżdżam z synami do Niemiec, a w końcu 1990 roku, w czasie urlopu, przypadkowo spotykam w Warszawie na ulicy znajomego. Pyta mnie, co robię, więc mówię, że od dwóch lat mieszkam i pracuję w Hamburgu, a ten: „Dlaczego się tak marnujesz?“, łapie za telefon i dzwoni do szefa MSW. Mówi, że właśnie spotkał Marka Hołuszkę, bo wtedy byłam jeszcze Markiem, no i za pół godziny stoję przed ministrem, który proponuje mi departament techniczny, bo ja inżynier, a tu po komunistach baza materiałowa się sypie, nie ma sprzętu do daktyloskopii, mundurów, łączności, a na akcje policja pruje nysami. Mówię: zgoda, ale muszę wrócić do Niemiec po synów, poza tym oświadczam, że moja obecna partnerka, z którą mam trzeciego syna, jest obywatelką RFN. Minister mówi, że nie ma problemu, bo to teraz sojusznik. Wyjeżdżam, a rząd Mazowieckiego w tym czasie upada.

– **Wracasz.**

– Mimo wszystko. Mieliśmy wracać wszyscy razem, w piątek, bo urodził mi się trzeci syn, jego matka jest pół Niemką, pół Cyganką, ale 26 czerwca 1991 roku w Mławie jest pogrom Cyganów, więc do kraju wracam tylko ze starszymi chłopcami. Przed wyborami do Senatu wpisują mnie na listę w Białymstoku, bo chcą mieć prawosławnego senatora, ale miejscowi działacze jednak mnie wycinają, skreślają mi część podpisów i troszeczkę mi braknie, a dwa lata później kolejne wybory. Startuję z listy białoruskiej, ale przerznięliśmy, a jeszcze w następnych przerznięła cała partia, która mnie wystawiła w Warszawie. To potem startuję do Rady Warszawy. Znowu nic! W 1995 roku spotykam Zbyszka Bujaka, dziwi się, że się tak marnuję, i od razu dzwoni do ministra spraw zagranicznych i mówi, że ma specjalistę od spraw Wschodu.

– **Na tym się znasz jak nikt.**

– Ale odwołują tego ministra, a jeszcze parę lat później szef sejmowej komisji spraw zagranicznych spotyka mnie i mówi, że jest dla mnie

stanowisko konsula gdzieś na Wschodzie. Ale szef MSZ-u mnie nie chce. Spotykamy się później osobiście na konferencji dawnej opozycji, która się odbywa na Uniwersytecie Warszawskim, w sali, którą ja mam pod swoją opieką. Za sto pięćdziesiąt złotych cały dzień podaję tam kawę i herbatę, a w czasie przerwy zbieram wszystkie siły i podchodzę do tego ministra. Mówię, że mam dla niego gorącą herbatkę, że znamy się z pierwszej „Solidarności” i że proszę go o pomoc. Boże, jakie to upokarzające! Poznał mnie. Powiedział, że to absolutnie nie miejsce dla takich ludzi jak ja.

– **No i co?**

– Jajco... Powiedział, że to nie miejsce dla mnie, i na tym się skończyło. Niefart mnie nie opuszcza. Mnie się nawet emigracja nie udaje. Wróciliśmy od Niemca, chociaż nie było dla mnie tej roboty w MSW. Przez młodszego syna. Idzie tam do pierwszej klasy i od początku są dramaty. Biją go. Dwóch chłopaków ze Śląska urządził temu mojemu piekło. Dyrekcja rozkłada ręce, więc załatwiam sprawę po polsku. Napuszczam starszego syna, żeby obić im mordy. Ale afera! Młodszy się jednak nie podnosi. Pod koniec drugiej klasy przestaje odzywać się po niemiecku. Taki protest sobie wymyśla, więc nauczyciele ustalają, że przenoszą go do szkoły specjalnej. Wiem, że zmarnowałoby mi się to dziecko, gdybyśmy zostali. Ale starszy nie chce jechać. I jest już trzeci syn. Poświęcam więc tych dwóch, żeby ratować jednego. Najmłodszy zostaje z matką, a my trzej wracamy do Warszawy.

– **Widzisz się potem jeszcze z małym?**

– Po siedmiu latach. Po etapie wielkiego picia jadę do Hamburga. Ta moja niemiecka kobieta ciągle jest sama i chce, żebym został. Któregoś dnia idę z synkiem do przedszkola, a on pokazuje mnie wszystkim paniom: *Das ist mein Papa. Das ist mein Papa. Das ist...*

Teraz sobie popłaczę.

CHEMIA.

Podziemne życie Ewy H.

– Bardzo źle zniosłam ostatnią chemię. Dwa dni przeleżałam w łóżku, ale kazałam się wozić kuzynce do pracy, bo z czegoś trzeba żyć. Płacą mi za godziny. Tam też leżałam, ale na biurku, a ona odwalala moją robotę.

– **Dasz radę mówić? Opowiadać?**

– Tak. O niej, dobrze? Jesteśmy razem od 1995 roku. To największa miłość mojego życia. Prawdziwa, wielka, gorąca. To ta kobieta, której zdjęcie widziałeś na ścianie w moim pokoju. Do życia potrzebna jest mi tylko ona i trochę żarcia. Z nikim i nigdy nie przeżyłam takich pięknych chwil. Daje mi tyle szczęścia, ale niestety odkrywa, kim jestem.

– **Jak?**

– W łóżku. Seks mnie zdradza. Którejś nocy ona zwyczajnie mnie pyta, czy nie jestem kobietą. Bo tylko one tak się kochają. Bez pośpiechu, czule... Pieszczoty. Pieszczoty są najważniejsze. Który mężczyzna się tak kocha? A ja... Dwie noce rozmyślałam, co zrobić, i wreszcie mówię, że tak. A to nie jest łatwe. Teraz rozumiesz, jakie koszarne było to moje życie. W duszy mówię: „Poszłam”, a głośno: „Poszedłem”. Cały czas trzeba mieć w głowie włączonego tłumacza. To jest potworne. Nienawidzę tego mojego męskiego opakowania zastępczego. Transwestyta jest kobietą tylko, jak się przebierze. Potem się podnieci, ma orgazm, wytrysk i znowu jest facetem z wąchami. Żałosne. No i po tym odkryciu Ewy dużo się zmienia. Postanawia zrobić ze mnie prawdziwego faceta.

– **Inaczej zaczyna się kochać?**

– Nie tylko. Jestem trochę niechluj. Zawsze w swetrze, flanelce,

dżinsach jak Jacek Kuroń, a ona zaczyna ubierać mnie w garnitur, krawaty, prasuje białe koszule. Garnitur jest odrażający. Potwornie! Dla mnie to przebranie. Nawet mydło i wodę toaletową zmienia mi na typowo męskie, ostre jak brzytwa zajzajery. I ciągle czepia się, jak siadam. Że jak baba zakładam nogi, odgarniam włosy, a nawet brodę przy stole podpieram na rękę. Zależy jej na mnie, kocha mnie, ale im bardziej stara się mnie zmienić, tym bardziej widać, że to bez sensu. Dramat, beznadzieja, skucha. Rok tak walczy i odchodzi. Nie mam już po co żyć. Zaczyna się wódka. Przy życiu trzymała mnie jej miłość, a kiedy odeszła... Tylko śmierć może przynieść ulgę, ale taka, żeby nie obciążyć synów piętnem dziecka samobójcy, więc ma wyglądać na wypadek samochodowy. Także dlatego, żeby kierowca nie ponosił winy i nie dręczyły go wyrzuty sumienia. No, a dusza? Nie chce mi się wierzyć, żeby Bóg skazywał na potępienie takich ludzi jak ja. A może?

– **Skoro urodzili się tacy pokiereszowani...**

– To się ma stać w Święto Niepodległości 11 listopada 1998 roku. Właśnie wychodzę z domu, kiedy straszna siła powala mnie i przygniata do ziemi przed ikoną. Jeśli tak, mówię Mu, jeśli każesz mi żyć, to pod warunkiem, że się zmienię. Nie przeszkadza mi. A przecież by mógł.

– **Czegoś nie rozumiem. Dlaczego nigdy nie zakochujesz się w mężczyźnie?**

– No jak? Z nimi się konspirowało, rozwalało komunę, walczyło, chodziło do knajpy. No to jak?! A jeśli moje ciało miało jakieś skłonności do mężczyzn, to trzeba było zabić je w sobie. Także z powodów religijnych. Potem, po mojej zmianie, te skłonności do mężczyzn się odzywają, ale tylko na chwilę. Pewnie pozostanę samotna.

– **Wiążąc się z kobietą, w pewnym sensie gwałcisz siebie.**

– A wiesz, co to znaczy zdychać z samotności? Każdy chciałby mieć kogoś bliskiego.

– **Jak ma na imię ta twoja największa miłość?**

– Ewa. Po niej biorę nowe imię.

– **Opowiedz jeszcze coś niesamowitego.**

– Myślisz, że to tak łatwo na poczekaniu, z głowy...

Dobra. To najbardziej niezwykła, magiczna historia w moim życiu. W 1997 roku pracuję w liceum na warszawskich Bielanach. Któregoś dnia, tuż przed maturami, z jakiegoś powodu wychodzę z klasy podczas lekcji. Na korytarzu stoi smutny uczeń, którego nie znam, i patrzy na mnie. Ma oczy, których nie zapomnę do końca życia. Ja aż boję się o tym mówić. Stoję dobrą minutę i jak zahipnotyzowana gapię się na niego. A on na mnie. Wracam do domu rozdygotana. Dwa tygodnie później dowiaduję się, że zaraz po maturach bandyci porwali w Lesie Młocińskim, a potem okrutnie zamordowali tego chłopca.

– **Tomek Jaworski. Młodzieniec z bujną czupryną.**

– Tak. Jego oczy wołały: „Pomóż mi! Ratuuj!” To było coś strasznego. Wierzysz w taką historię?

– **Wierzę. Mogliście się spotkać, bo ty także w pewnym sensie już prawie umarłaś. A co to za plamy na twoich rękach?**

– To tylko smoła. Strop maluję w moim bunkrze, bo się leje w czasie deszczu. Nie powinnam tego robić, bo to jest straszny zajzajer, rakotwórcze związki, ale mój organizm zniesie wszystko. Zobacz, ile teraz wlewają we mnie chemii. A ile tego dostałam w dziewięćdziesiątym dziewiątym roku? Wtedy jest terapia hormonalna, pierwszy etap korekcji płci. Łagodnieją rysy twarzy, podwyższa się głos, rzednie zarost... I rosną piersi. Na wiosnę tego roku wybieram się z synem na prawosławną pielgrzymkę do Grecji, ale jeszcze jestem w przebraniu mężczyzny. Na Węgrzech robi się potworny upał. W autobusie jak w piekarniku, po plecach płynie pot, to nim pomyślę, ściągam sweter, a oczy wszystkich ludzi robią się wielkie jak spodki.

– **Facet z piersiami!**

– No! Koszula mokra, klei się i wszystko widać. Ale to nic. Prawdziwy wstyd, upokorzenie jest przede mną. Na tyle już jednak jestem zmieniona, że niedługo później odważam się wreszcie wyjść z domu w damskim ubraniu. Fachowo to się nazywa test realnego życia. Chodzi o to, by na długo przed definitywnym, nieodwracalnym zabiegiem popробować życia zgodnego z płcią psychiczną. Jadę więc któregoś dnia autobusem do śródmieścia, letnia sukienka, pantofelki, fryzur i oko zrobione, w ręku torebka. Wchodzi kanar. Pokazuję miesięczny, a ten, że to nie mój bilet. Rzeczywiście. Jak wół napisane Marek Hołuszko, a na zdjęciu facet z zarostem. Tłumaczę, że to jednak jestem ja, a kanar, że wychodzimy, i draps mnie za rękę. Zaczyna mnie szarpać, ciągnie do drzwi, to dostaje w pysk, aż fika koziołka, ale jest ich dwóch. Sypią się ciosy i obelgi, normalna łomotanina, ale łapami cały czas gmerają mi gdzieś w tych miejscach, więc staram się wyrwać, uciec, wydostać. Nawet pasażerowie im pomagają, a jakiś gówniarz wrzeszczy: „Baba z fiutem! Baba z fiutem!” Autobus zatrzymuje się koło radiwozu, policjanci mnie wyprowadzają i wszystko się wyjaśnia.

– **Że to ta sama osoba.**

– Tak. Niedługo potem moja sprawa trafia do sądu. Rozpatrywany jest pozew nie o „zmianę”, tylko o „ustalenie” mojej płci, bo anatomiczna nie zgadza się z psychiczną, a to ona jest najważniejsza. W następnej kolejności można zmieniać dokumenty. Wszystkie! Nawet metrykę urodzenia i dyplom ukończenia Politechniki Warszawskiej. Dopiero potem można przejść operację. I znowu nie jest to zmiana (prawnie zakazana), tylko korekcja płci. Dostosowanie anatomii do stanu zgodnego z dokumentami. Ale zanim do tego wszystkiego dochodzi, muszę przejść przez niesamowicie gęste sito lekarskie.

– **I udowodnić, że jesteś kobietą? Przecież ty masz to w duszy, w głowie. Tego nie można wyjąć i obejrzeć.**

– Sprawdzają, czy to nie jest choroba psychiczna, czy tylko zaburzenie identyfikacji płciowej, a konkretnie transseksualizm. Kazali rozwiązywać mi dziesiątki testów psychologicznych. Robili analizy i badania. Nawet dna oka. Jeśli jesteś rozdygotany, rozwalony psychicznie, uzależniony od alkoholu albo leków, co przy takim życiu często się zdarza, to cię odrzucą. Nie wystarczy cierpieć w swoim ciele. Transseksualistki to głęboko poranione, pokiereszowane osoby, bo bardzo często przeszły przez ręce gejów, nie będąc homoseksualne.

– **Co to znaczy „cierpieć w ciele”?**

– To straszliwy ból psychiczny, który nie przechodzi, nawet kiedy z wiekiem obniża się popęd płciowy, nawet kiedy człowiek zostanie wykastrowany, wysterylizowany. Transseksualizm nie ma żadnego związku z seksem. To niezgodność między budową ciała a poczuciem tożsamości płciowej. Twoje ciało jest obce, a swojego własnego nie masz.

– **Coś jakby obrzydzenie?**

– Za nic w świecie nie stanęłabym przed lustrem bez majtek. Wtedy, ale na szczęście mnie zoperowali. Anestezjolog usypia magistra inżyniera Marka Cyryla Hołuszkę, legendarnego „Hardego”, twórcę MKK, rozwiedzionego ojca trzech synów, a budzi magister inżynier Ewę Marię Hołuszkę, legendarną „Hardą”, twórczynię MKK, rozwiedzioną... ojczycę? matkę? matczycę? Kurde, dalej nie da się powiedzieć. Wiem, że wszyscy się ode mnie odwrócą. I odwracają się. Przyjaciele, rodzeństwo, synowie. Nie potrafią mnie zaakceptować. Dom siostry sąsiaduje z moim bunkrem. Ona od kilkunastu lat nie wychodzi z domu, kiedy ja jestem w ogródku. Nawet przypadkiem. Jezuuu, jak to boli!

– **Jak synowie do ciebie mówią?**

– Po imieniu. Ale bym chciała, żeby mówili „mamo”

– **Jak?! Ty im ukradłaś ojca! I dałaś nadliczbową matkę, którą mają.**

– W Wiedniu. Co ich zostawiła, kiedy mieli po kilka lat. Ale zawsze kiedy ich zaprosi albo sama się zjawi w Warszawie, ten starszy leci do niej w te pędy, a ja całą Wigilię siedzę sama w bunkrze.

UMIERANIE.

Uliczna szarża pancerna

Umieranie zaczyna się w połowie 1991 roku, kiedy jedna z nieistniejących już dzisiaj gazet informuje, że najwyżsi działacze Porozumienia Centrum, zatem partii, której Maciek Zalewski jest jednym z założycieli, wykorzystując wysokie urzędy państwowe w kancelarii prezydenta Lecha Wałęsy, które sprawują, zbijają ogromne majątki na akcjach ich własnej prywatnej spółki Telegraf. W ten sam sposób zdobywają fundusze na partyjną działalność.

Do założenia gazety „Telegraf”, która miała być organem prasowym obozu Wałęsy, wprawdzie nie dochodzi, nie udaje się także założyć własnej stacji telewizyjnej, co było w planach, ale spółka z wielkim powodzeniem handluje papierosami, napojami gazowanymi, sportowymi butami i innymi chodliwymi na początku polskiej transformacji towarami. Inicjatorzy powołania Telegrafu, którzy obejmują funkcje publiczne, rezygnują ze stanowisk w spółce, a Maciek Zalewski sprzedaje wszystkie swoje akcje, chociaż wtedy nie ma takiego obowiązku. Świeżo upieczony sekretarz stanu mówi w Telewizji Polskiej, że od tego momentu z Telegrafem wiązą go tylko emocje i wspomnienia.

To czas pierwszych w pełni wolnych wyborów parlamentarnych, czas, kiedy Maciek zostaje posłem Porozumienia Centrum. Mandaty zdobywają także bracia Jarosław i Lech Kaczyńscy, którzy po ostrym konflikcie z Lechem Wałęsą odchodzą z Kancelarii Prezydenta.

Piekło wybucha w połowie 1992 roku po publikacji w jednym z tygodników tekstu *Modliszki z PC*. Modliszki to owady ze złożonymi

jak do modlitwy łapkami, które mają ten osobliwy zwyczaj, że zaraz po kopulacji i zapłodnieniu samica lubi pożreć swojego partnera. Nie wiadomo, skąd skojarzenie z tymi stawonogami, bo w tekście nie ma kanibalizmu, tylko zwierzenia właścicieli spółki Art-B, że Maciek Zalewski, prominentny działacz PC i sekretarz stanu w Biurze Bezpieczeństwa Narodowego przy kancelarii prezydenta Rzeczypospolitej Lecha Wałęsy, ostrzegł ich, że Urząd Ochrony Państwa rozpoczął przeciw nim śledztwo i planuje ich nawet aresztować, co sprawia, że obaj zwijają manatki i wyjeżdżają z kraju.

Szefowie Art-B przyznają także, że finansowali Porozumienie Centrum.

Maciek wraca w tym czasie z córkami z tygodniowych wakacji w Legolandzie. Już w Polsce włącza w samochodzie radio.

– I słyszę, że poseł Zalewski uciekł do Izraela z walizą pełną podpierdolonych pieniędzy – śmieje się gorzko Maciek. – Tak z nami walczą! Ja się nie żalę, bo polityka polega na tym, że się walczy, ale dziewczyny nic nie rozumieją, są małe, chodzą do podstawówki. To wtedy wszystko zaczyna się sypać, w tym pierwszym okresie wolnej Polski, kiedy powinno się budować scenę polityczną, wspierać wzajemnie, kształtować oba rodzące się obozy, bo nie jest normalne, kiedy jest tylko jeden. No i na tej wojnie okazuje się, że jestem Czarnym Piotrusiem do zabicia, chociaż to był pomysł na zabicie całej naszej drużyny, bo przecież nie ja wymyśliłem to wszystko, za co nas ścigają, ale bronić się muszę zupełnie jak solista. Okazuje się, że jestem winny korupcji politycznej w partii, która głosi ideę czystości, domaga się badania wszystkich majątków, podejrzanych fortun przejętych przez czerwonych.

Maciek z ulubieńca partii staje się ciężarem, który trzeba wodować, pozbyć się go za wszelką cenę, bo inaczej wszyscy pójną na dno. Młody polityk dobrze to rozumie, bo takie są reguły gry na całym świecie,

więc nie ma nawet żalu i w trakcie kadencji opuszcza klub parlamentarny oraz partię Porozumienie Centrum, której jest przecież jednym z założycieli.

Oskarżenia prasowe okazują się poważne, dziennikarze nie wyszali ich z palca, bo już w końcu tego roku Prokuratura Wojewódzka w Warszawie stawia Maćkowi Zalewskiemu zarzuty, które potwierdzają doniesienia prasowe. Były sekretarz stanu w Kancelarii Prezydenta uprzedził szefów Art-B, przez co utrudnił postępowanie karne, i udzielił im pomocy w uniknięciu odpowiedzialności.

Dużo poważniejsze są dwa następne zarzuty. Po pierwsze, prokuratura jest zdania, że Maciek przywłaszczył sobie 1,7 miliona dolarów, które dostał niby od Art-B na akcje spółki Telegraf. Ale ich jej nie przekazał, więc wziął jakby w ten sposób łapówkę. Po drugie, „wykorzystując pełnioną funkcję publiczną, zażądał i uzyskał od Art-B na rzecz spółki Telegraf korzyść majątkową w postaci nieoprocentowanej pożyczki w kwocie czterech milionów nowych złotych, uzależniając od tego swój wpływ na dalsze losy spółki Art-B oraz toczącego się w tej sprawie śledztwa”

Wobec tych zarzutów prokurator generalny prosi Sejm Rzeczypospolitej o uchylenie Maciejowi Zalewskiemu immunitetu poselskiego, bo inaczej nie będzie można pociągnąć go do odpowiedzialności karnej za popełnione przestępstwa. 3 lutego 1993 roku, podczas wystąpienia przed wysoką izbą, oskarżony poseł sam prosi, aby Sejm uchylił jego immunitet. Głosowanie odbywa się następnego dnia. Za wnioskiem prokuratury jest 271 posłów, 26 jest przeciwko, a 43 wstrzymuje się od głosu. Wśród tych ostatnich jest Michał Boni, który głosuje wbrew całemu swojemu klubowi parlamentarnemu, chociaż nie tak dawno jeszcze, zaledwie dziesięć miesięcy wcześniej, po uchwaleniu ustawy lustracyjnej, kiedy były zbierane podpisy pod listem w obronie godności Michała, Maciek

odmówił podpisania.

Nie mijają dwa miesiące, a uwikłany poseł poza immunitetem traci także sejmowy mandat. Sam go składa po najdziwniejszej z możliwych kolizji drogowych i oskarżeniu prasowym, że prowadził samochód w stanie nietrzeźwym. Z doniesień gazet wynika, że honda accord Maćka uderzyła przed skrzyżowaniem ulic w stojący na światłach samochód. Według relacji naocznego świadka kierowca z uderzonego auta podchodzi do hondy sprawcy, otwiera drzwi z lewej strony pojazdu i widząc, że w środku wszyscy są kompletnie pijani, zaczyna gdzieś dzwonić, a za kilka minut zjawiają się telewizja i wszystkie gazety.

– Byłeś pijany?

– Jasne.

– Palma ci odbija? Sodówka? Ile ty wtedy masz lat?

– Trzydzieści siedem. I wychodzi, że jedyne, co mogę zrobić, to złożyć mandat. Teraz uważam, że jak człowiek zapłaci się w takie historie, to jedynym sensownym wyjściem jest spokojne tłumaczenie, że nie jesteś bez grzechu, ale wszystko, co mówisz, to prawda. No co? Będziesz oszukiwał, że nie byłeś pijany? Jak byłeś! Poza tym jak oszukujesz w takich duperelach, to znaczy, że oszukujesz zawsze. No i tak zostaję na martwym polu. Sam. I umieram.

Maciek jest więc bez immunitetu i bez mandatu, a w październiku 1993 roku przed Sądem Rejonowym Warszawa-Śródmieście zaczyna się jego proces o przywłaszczenie, wyłudzenie i ostrzeżenie przestępców o grożącym im aresztowaniu, co umożliwia im ucieczkę i wymknięcie się organom ścigania. Oskarżony nie przyznaje się do winy.

– Jestem twardy, zdolny, mam dużo energii – mówi mi jakoś wtedy, kiedy dwadzieścia lat temu rozpoczynam pracę nad tą książką. – I jestem przegrany. Ale tylko w jednej dyscyplinie sportu. W polityce.

Po trwającej pięć lat sprawie prokurator żąda dla Maćka czterech i pół roku więzienia, a w maju 1998 roku sąd ogłasza, że Maciej Zalewski jest

niewinny, bo nie udaje się rozwiązać wszystkich wątpliwości związanych z zarzutami prokuratury, opierającymi się głównie na bardzo niewiarygodnych zeznaniach właścicieli Art-B, z których jeden jest przestępcą ściganym listem gończym, a drugi przestępcą odbywającym już karę więzienia. Siedemnaście lat później pierwszy z nich z uśmiechem na ustach przed kamerami telewizji przyznaje wprost, że Maciek ich nie ostrzegął o grożącym im aresztowaniu, zwyczajnie sobie zmyślali, fantazjowali z jakiegoś powodu.

– A „Gazeta Wyborowa” po ogłoszeniu tego wyroku na pierwszej stronie wywala, że *Wątpliwości wygrały proces* – opowiada Maciek.
– Nie ja, kurwa, wygrałem, tylko wątpliwości! I to Bogdan pisze, chłopak od nas.

– Był kolporterem w Firmie – przypominam sobie. – Nosił „Wolę”

Wątpliwości ciągle ma także prokuratura, więc składa apelację.

W styczniu 2003 roku, po drugim procesie, sąd rejonowy skazuje Maćka na trzy i pół roku więzienia za wyłudzenie od Art-B czterech milionów złotych pożyczki dla Telegrafu, której spółka nie oddała w całości. Pozostałe zarzuty upadają, chociaż gazety publikują podpisane przez Maćka pokwitowanie przyjęcia 1,7 miliona dolarów.

– No, kurwa! – Maciek śmieje się dziwnie, nerwowo, a raczej skrzypi przeciągle jak Hermann Brunner ze *Stawki większej niż życie*, kiedy przywalał ciężkim, świńskim kawałem. – To chyba pierwszy w historii przypadek, że facet kwituje łapówkę. Oczywiście papier jest sfałszowany, a wyrok dostaję od dziewczyny, dla której jest to pierwsza sprawa w życiu. Najmłodsza pani asesorka w sądzie.

– Taka siksa? Do takiej grubej afery?!

– Tak zaczyna, ale po mojej sprawie zostaje szefową sądów grodzkich.

Teraz Maciek składa apelację. I w październiku 2003 roku Sąd Apelacyjny w Warszawie zmniejsza jego karę do dwóch i pół roku.

W marcu 2005 roku Maciej Zalewski zaczyna odsiadywać wyrok.

SPADANIE.

Nielot z fabryki namiotów

– Stary jestem – mówi mi Piotrek już dwie dekady temu, kiedy go pytam, czy jeszcze się wspina. – Mam czterdzieści lat i ogromne brzuszysko, bo cały dzień w samochodzie, a jak nie w samochodzie, to piję piwsko, a do tego papierochy. To jak się wspinać?

A teraz już nawet ledwo się rusza, drepcze niezdarnie, kuśtyka w filcowych kapciach, swetrze i szarych dresach, skubie siwe wąsy jak człowiek, który się tłumaczy.

– Bo jak coś oderwie się od ziemi, to potem musi wrócić – opowiada.
– Wszystko zależy od tego, jak szybko. Pierwszego dnia sezonu 2006 roku przy lądowaniu podchodzę za blisko linii drzew, jest rotor, czyli zawirowanie powietrza po zawietrznej stronie, składa mi szmatę i trzask! Na szczęście w trawę i nie tak wysoko. Jakieś dwadzieścia metrów.

– To siedem pięter!

– Ale nie spadasz jak kamień, bo ta szmata jednak nad tobą jest, jakiś opór stawia. Strasznie się połamiałem. Martwica kości udowej, poprzestawiany kręgosłup, zgruchotana miednica, która nie zrosła się do dzisiaj. Po kilku operacjach lekarze się poddają i mówią, że mam tak żyć aż do pogorszenia sytuacji, a jak boli, to wziąć pastylkę na ból i poleżeć.

Pierwszą w życiu paralotnię Piotrek Stańczak, przedostatni szef kolportażu w Firmie, dostaje w prezencie od żony, kiedy po półrocznej podróży do Australii wraca do domu.

Co nie było wcale takie oczywiste.

– Bo miałem panienkę – mówi. – Przedwczesny kryzys czterdziestolatka.

– Młodsza?

– W moim wieku, trzydzieści pięć lat, chcę się rozwodzić, ale jest dwójka małych dzieci, to zaraz po wyborach w 1989 roku biorę dupę w troki i jadę na drugi koniec świata. Żeby ochłonać. Uciec, dać nogę.

– Potrzebujesz się oddalić? Także fizycznie?

– Tak. Tutaj nie dałoby rady. Na odległość łatwiej. A jak wracam, czeka już na mnie cudowna, bardzo kosztowna niespodzianka, czyli powitalna parolotnia od żony, ale to straszne badziewie, jak się okazuje, kompletny nielot z fabryki namiotów w Legionowie pod Warszawą. Przez jakiś czas po powrocie między nami jest lepiej, ale znowu się sypie.

– A tamta?

– Nie żyje.

– Ułożyła sobie życie?

– Nie.

– A ty?

– Ja żyję. Ale też sobie nie ułożyłem. Mieszkam razem z żoną, ale jakby nie jesteśmy razem. Choćby dlatego, że nie mam się dokąd wynieść. To se siedzę, tym bardziej że ten dom to moje rodzinne gniazdo, już piąte pokolenie Stańczaków w nim rośnie. Mam dwoje wnuków i to ja nimi głównie się zajmuję, bo jestem jedynym członkiem rodziny, który nie pracuje. W zeszłym roku miałem robić imprezę stulecia domu, ale więzi rodzinne tak się porozłaziły, że...

– Że co?

– Skłęśło mi – mówi apatycznie i skubie wąsy, a przy okazji zaciąga się głęboko sztucznym papierosem.

Piotrek był w Firmie drugim po „Grubym” Marku szefem kolportażu. Imponuje energią, radosnym animuszem, a dziewczynom postawną, męską urodą, ułańską fantazją, alpinistycznym czarem chłopaka, który

na co dzień obcuje ze śmiercią, co w jego przypadku robi wrażenie nie tylko w tatrzańskich schroniskach, lecz także w konspiracyjnych melinach.

Jest nie do zdarcia, w ciągłym ruchu, biegu, pędzie i, o dziwo, wygląda, jakby sprawiało mu to niewypowiedzianą uciechę, jak himalaiście, maratończykowi, jak pociągowemu psu rasy husky, dla którego praca, cierpienie, ciągnięcie sań ciężkich ponad siły to słodka radość, osobliwa, trudna do zrozumienia przyjemność, nawet wtedy, kiedy sam wykombinował, że musi targać ten majdan, i nawet wtedy, gdyby miał paść przy tym na pysk.

– Masz z czego żyć? – pytam go.

– Z renty. Ponad dwa tysiące, ale dobrze zarabiałem przez lata z prac na wysokościach, a potem przy remontach, to coś uzbierałem, odłożyłem na bezpieczne lokaty.

– O czym marzysz?

– Eee, o niczym już. Skłęsto mi. Po wypadku nie za wiele mogę, nawet na rowerze, ale nie krzywduję sobie... Chociaż czasem krzywduję.

– Na jaki temat?

– Że mnie boli. Dupa, ale głównie kręgosłup, bo miednica, chociaż się nie zrosła, to się otorbiła i jakoś można wytrzymać. Źle mi jest.

TUŁACZKA.

Bydłęcy kamień żółciowy

W poprzedniej, wojennej części tej książki opowieść o „Grubym” Marku Latosie, który w Firmie był poprzednikiem Piotrka Stańczaka, skończyłem na tym, jak w początkach polskiej transformacji wraca do kraju.

– Fajnie było w Niemczech – mówi Marek w ostatnim akapicie. – Zajebiście. Miałem dobrze, ale myślałem, że jak komuny nie ma, to i w Polsce tak będzie. Kapitał już mam, to mogę zacząć działać, budować przyszłość u siebie, w swoim kraju.

– Z kim? – pytam.

– Z Ewą.

– Po siedmiu latach przerwy?! – dziwię się cokolwiek na koniec.

– Jaki kapitał?! – wybucha Ewka Galster na to, ale korespondencyjnie, tylko do mnie, bo z jednym rozmawiam w Londynie, a z drugą w Warszawie, i to w odstępie kilku miesięcy. – Jaki kapitał, jak on tam tylko pije?! U niego wszystko idzie na przelew. Nawet białe bmw, którym tam jeździ, to ja kupiłam za swoje.

Ale po powrocie Marka z Niemiec mieszkają razem w jej rodzinnym dworze w Pyrach. Przez rok chłopak nic nie robi i jak oniemiały przygląda się z uwagą szalejącym przemianom, nie może poznać swojego kraju. Bierze się do remontu domu swojej dziewczyny, która powolutku wyprzedaje ostatnie spłachetki rodzinnego majątku, rozgrzebują budowę, zrywają dach, ale generalnie więcej ubywa, niż przybywa, do Ewki dociera wreszcie, że w rozbiórce, destrukcji Marek jest dużo mocniejszy niż w kreacji, tworzeniu, pomnażaniu, daje mu

jednak pieniądze i z ruskimi robotnikami, którzy pracują przy ich domu, wyprawia na Białoruś po tanie drewno na nowe krokwie i szalunek.

– Ale mi się zeszło dłużej, niż myślałem, wszędzie przyjęcia, goszczenie, picie, bo pan z Polski przyjechał szykownym autem – opowiada Marek. – Milicjanci zatrzymują mnie na drogach tylko dlatego, że chcą samochód obejrzyć, bo takiego na oczy nie widzieli. A to zwykły ford „scorpion”

Niedaleko Homla Marek zakłada firmę Feniks, ze znajomymi podróżują po całym byłym Związku Radzieckim i szukają taniego drewna, które planują przerabiać na deski, belki i wysyłać do Polski, a także do Austrii, bo na Zachodzie lepsze przebicie, zarobek. W poszukiwaniach zapuszczają się nawet na Syberię i do czarnobylskiej zony, odłączonej od reszty świata po awarii w elektrowni atomowej. I żyje jak król, car, tatarski chan, bo wtedy za dziesięć dolarów można tam przeżyć godnie cały miesiąc, a studolarówki na Białorusi nie ma jak rozmienić, bo nikt prawie nie ma takiego majątku. Ale z drzewnego interesu Markowi nic nie wychodzi, po drace z białoruskimi partnerami wraca do Pyr, nie wioząc ze sobą nawet jednej deski na Ewczyny dach. I znowu jedzie na Białoruś, i wiele razy w tę i nazad, bo jakoś go tam ciągnie niemożliwie, coraz to nowe pomysły biznesowe rodzą się w jego głowie, długo na przykład handluje bydłocymi kamieniami żółciowymi, które dobrze się wtedy w Polsce sprzedają.

– Jeżdżę po mięsnych kombinatach, kupuję kamieni, ile się da, i prawie na wegetarianizm przechodzę z tego wszystkiego, żreć zupełnie przestaję, bo warunki, w jakich oni tam robią wędlinę, to... Zgroza! Hałdy kości, racic, łbów, a wszystko aż się rusza od szczurów i robali. I wszystko jak leci do młynów na tę ich mortadelę wałą, a krowa jak klinuje się w przejściu, to przyjeżdża traktor, łańcuchem za rogi i żywą na chama, gruchocząc wszystkie kości... Ja pierdolę! Od razu przechodzi chęć do jedzenia czegokolwiek, tym bardziej że wszystkie sklepy

z żarciem śmierdzą jak nieszczęście. Niby czysto, ale jebie tak, że łeb urywa od smrodu. A wszystkie interesy robią tam z wódą i banią. Bardzo fajni ludzie.

No, życie słodkie po prostu jak miód, a Ewkę krew zalewa. Po którejś z wielu piekielnych drak między partnerami Marek pakuje torbę z ciuchami i rusza z Pyr na Bielany, gdzie mieszkają jego rodzice. Tramwajem linii 17 jedzie na osiedle pod Hutę Warszawa, a chandra dusi go za gardło, wyciska łzy, czterdziestoletni mężczyzna chlipie jak dziecko, kiedy myśli o swoim kawalerskim pokoiku koło sypialni rodziców, gdzie nie chce mu się jechać bardziej niż do piekła. Więc przy Dworcu Centralnym wyskakuje z tramwaju jak szalony.

Idzie na dworzec, po drodze kupuje hot doga, który swoim zwyczajem wysmarkuje mu się keczupem na jasne portki, chłopak próbuje w łazience coś z tym robić, ale tylko pogarsza sytuację, rozmazuje wszystko łapami jak dziecko specjalnej troski. Teraz załamany mężczyzna wygląda jeszcze, jakby miał okres. Na szczęście ma torbę, którą niesie przed sobą, schodzi na peron. Postanawia, że jedzie na wschód albo na zachód, kierunek Poznań, Berlin albo Terespol, Mińsk Białoruski. Wsiądzie w ten pociąg, który pierwszy przyjedzie, do Niemiec albo na Białoruś.

Najpierw przychodzi sypialny do Brześcia Białoruskiego, w którym Marek przesiada się na Homel. Dwa lata ma tam z czego żyć po królewsku. Przywozi stamtąd Tatianę. Białe włosy, białe oczy, brwi, rzęsy, przy tym wiotka i gibka jak białoruska bieriozka. Śliczna po prostu, specjalistka od malowania na porcelanie. Biorą ślub, mieszkają z rodzicami Marka przy hucie.

– Z ojcem jeszcze wtedy trochę gadam, chociaż zupełnie mu już odjechało – opowiada Marek. – Już we wojnę nie dało się z nim wytrzymać, wszystko wynosi do Lasu Bielańskiego koło naszego domu i zakopuje. Całe archiwum tak tracę, gazety, książki, zbiór znaczków,

a nawet zdjęcia z tamtego okresu, bo oczywiście zapomina, gdzie to jest, robi wprawdzie jakieś plany, ale je szyfruje, więc niczego nie daje się odczytać. Wszystkiego boi się jak cholera, a po wojnie to już tylko: „Wróć, komuno”, i na wyborach głosuje na czerwonych. O to też strasznie wojujemy, a on ciągle donosi na mnie do prokuratury, że na przykład demoluję mu chatę, a ja tylko w przedpokoju zrywam stary parkiet i kładę płytki, albo wyrzucam stary regał jugosłowiański z meblościanki, który on w sześćdziesiątym piątym roku wystął w Domu Meblowym „Emilia”. Nie daje się z nim żyć, ze wszystkimi sąsiadami wkoło walczy, pisze donosy, skargi, ściąga komisje, ale Tatiana umie to wykorzystać i tak się z nim skumała, że aż jej chałupę zapisuje. Za dożywotnią opiekę. Wkurwia mnie to nieludzko, bo to ja to mieszkanie wykupiłem, bo było zakładowe, a ojciec wszystko zapisuje na nią. To oznacza koniec! Trzynaście lat jesteśmy razem i się rozwodzimy. A ojciec to nawet nie wiem, czy żyje. I wcale mnie to nie interesuje. I jeszcze ci powiem szczerze, że wcale mnie do Polski nie ciągnie.

Bo rozmawiamy w Londynie, a jak dwadzieścia lat temu rozmawialiśmy w Warszawie, twierdził inaczej.

– Tylko tutaj mogę żyć – mówił wtedy. – Próbowałem w Niemczech, ale do tego trzeba być Niemcem. Pozycja pariasa mi nie odpowiada. U Ruskich nie wytrzymałem, bo za długo byłem u Niemców. Tam, bracie, w piekarni czerstwy chleb sprzedają, bo świeży czeka, aż stary zejdzie. Zupełnie jakbym się cofnął w lata siedemdziesiąte do Polski.

To wtedy koledzy z Firmy pod Halą Mirowską na Jana Pawła, która kiedyś była ulicą Marchlewskiego, spotykają Marka, jak przed świętami Bożego Narodzenia, sztywny z zimna, próbuje sprzedawać ruskie pajacyki, którymi obwiesza się jak choinka.

– Nie najlepszy moment w życiu? – bardziej stwierdzam, niż pytam.

– Najgorszy, jaki miałem.

ROZWÓJ. Sześć strasznych lat

Dla Ewy Galster jest jasne, że „Gruby” Marek to nie był udany eksperyment w jej życiu.

– Zrujnował mnie, a potem pakuje torbę i znowu sobie jedzie na Białoruś – opowiada Ewa. – Ale wcześniej co do grosza rozłazi nam się sto osiemdziesiąt tysięcy dolarów za maneż. Ty wiesz, jakie to były pieniądze na początku lat dziewięćdziesiątych?! A nie mam z tego nawet dachu nad głową. Czujesz to?! Roztrwonić sto osiemdziesiąt tysięcy! Ale za to on ma fajny samochód i wszystkie zabaweczki w nim, radjka... Zwyczajnie oszalał, zwariował, jak zobaczył takie pieniądze, bo z biedy wyszedł, nigdy nic nie miał. Nie do życia był i tyle.

Maneż, na którym w latach osiemdziesiątych Ewa z Markiem ujeżdżają konie ze swojej stajni, to ostatni solidny spłachetek ziemi z rodzinnego majątku Galsterów, trzy tysiące metrów w Pyrach przy samej ulicy, na których dzisiaj pyszni się wyłożony granitami apartamentowiec. Remont domu Ewy udaje się tylko rozpocząć, rozebrać stary dach, wypruć rury, kanalizację, centralne, wszystko, co można oderwać od murów. Zostaje ceglana skorupa, a po Zaduszkach przychodzi zima.

– A my bez ogrzewania, wody i bez grosza – wścieka się Ewka. – A on jeździ do tych swoich białoruskich bab, chuj wie po co. Na początku niby po tańsze artykuły budowlane, których nigdy nie przywozi. Ledwo przeżyłam tu sama z młodszym synem Bartkiem. Bez niczego, nawet bez ogrzewania. Sześć lat! Czujesz to? Sześć strasznych, najgorszych lat mojego życia. Moja mama wtedy umiera. W swoim rodzinnym domu,

którego nie ma, w ruinie bez dachu, na szczęście po drodze gubi świadomość.

– Jak się wylizujecie?

– Bartek daje korepetycje z matematyki, a ja sprzątam u ludzi – mówi Ewka i zaczepia swojego młodszego syna, który przynosi nam luterańską, a więc purytańską w smaku, mało słodką szarlotkę i po lufce wódki. Matka dotyka go z czułością, po matczynemu gładzi po udzie, patrzy w oczy z uwielbieniem, niebotyczną dumą.

– Kłócisz się z Markiem o brak wierności? – pytam.

– Nie tylko. Jemu odpierdala. Po mojemu to wariat, który nam tu wszystko podpala, rozwała, nawet kiedy jest trzeźwy. W życiu nie spotkałam takiego człowieka. Bałam się. Odkąd siedzę w psychologii, dużo więcej rozumiem i teraz widzę, że z jego głową, z jego podświadomością było coś nie tak. Bartek by to lepiej wytłumaczył, bo skończył psychologię i matematykę. Ale matkę Marek miał bardzo w porządku. Ona kilkanaście lat u mnie mieszkała i zawsze mówiła, że to jedyny okres w jej życiu, kiedy jest szczęśliwa, ale nie mogłam jej trzymać, bo on ciągle chciał się z nią widzieć i przyłąził, a ja nie chcę mieć z nim nic wspólnego.

Z tarapatów Ewka się wygrzebuje, kiedy sprzedaje ostatni kawałek ziemi i kiedy zaczyna pracować w firmie, która prowadzi coś w rodzaju telefonu zaufania. Dzwonią znękani ludzie z życiowymi kłopotami, a ona ich mądrze słucha, zawsze ma cierpliwość, czasem coś poradzi, wesprze, opowie o sobie. Dzisiaj nazwaliby to coachingiem, „interaktywnym treningiem nad optymalizacją działania z budowaniem motywacji i potencjału klienta z jednoczesnym podnoszeniem poczucia jego wartości”

– O Jezuuu – krzywi się Ewa. – Ludzie dzwonią, a ja z nimi gadam. Po prostu. O życiu. To się nazywa Linia Psychik, ale później idę na swoje i klientki dzwonią już tylko do mnie, a nie do jakiejś linii czy instytucji.

Dwadzieścia lat w tym siedzę.

– Chociaż nie jesteś psychologiem, tylko technologiemi od konfitury i syropu renklodowego.

– Ale nie muszę się z tego spowiadać. Ważne, że mi płacą za to, że z nimi gadam.

– To musi być w tobie jakaś magiczna siła, moc – mówię całkiem na serio.

– Możliwe. Najważniejsze, że im pomagam.

– To może sobie byś pomogła i znalazła bratnią duszę na resztę życia?

– Nie chcę mieć do czynienia z żadnymi facetami! Za nic w świecie! W życiu! Nie mam do nich farta. Zawsze na mnie wiszą, zawsze trafiam na takiego, którego muszę wspierać. Teraz wspieram siebie, a resztę pierdolę.

– Powiedzieć ci, co teraz u Marka? – pytam.

– W ogóle mnie to nie obchodzi! I nie chcę niczego słyszeć, bo wreszcie jestem szczęśliwa, a mój Bartek mówi, że jakby go teraz dopadł, toby mu... Bo zmarnował sześć lat naszego życia!

– Gdyby go Bartek spotkał, toby zobaczył samotnego człowieka bez swojego miejsca na ziemi, bez swoich gratów, który nie wie nawet, czy jego ojciec żyje. I na dodatek wcale go to nie obchodzi.

– Za to, co zrobił, musi tak mieć – cedzi Ewka przez zaciśnięte zęby. – Musi. Rozumiesz?!

– Kara za grzechy?

– A jak. Do każdego przyjdzie kara jego. Absolutnie! Takie jest prawo karmy. Jak nie tutaj, jak nie teraz cię doścignie, to na pewno dopadnie cię w następnym wcieleniu. W następnym życiu. Nie ma siły, żeby cię to ominęło.

– Gadasz jak kaznodziejka. Jakie następne życie?!

– To, które nastąpi po tym, które masz teraz. To jedyne, co tłumaczy nasz pobyt na ziemi. Rozwój duszy.

WYBACZANIE. Opowiem ci o Marku

– Chcesz pisać o Marku? A z nim rozmawiałeś?

– Jasne.

– Gdzie?!

– W Londynie – mówię i widzę, jak bardzo jej ulżyło. Że nie gdzieś bliżej, że nie wraca, że się nie zbliża, nie jest tuż-tuż. Prawie słyszę ciche „uff”..

Znalazł ją w małym miasteczku Dobrusz, kilkadziesiąt kilometrów od Homla na Białorusi, ale Tatiana jest Rosjanką urodzoną w Incie niedaleko Workuty, na dalekiej północy Rosji, gdzie jej ojciec odsiadywał w łagrze dziesięcioletni wyrok. Po zwolnieniu w 1952 roku jeszcze przez dwadzieścia pięć lat nie było wolno mu wyjeżdżać z Inty, więc na Białoruś jedzie już z żoną i prawie dorosłą córką. Marek pojawia się tam z przytupem swoim *szykarnym*, jak mówią Rosjanie, fordziakiem „scorpionem” w 1993 roku, robi wrażenie, jakby przybył prosto z Wall Street, i z pomocą dziewczyny zakłada firmę obróbki drewna Feniks. Tatiana jest wdową, ma trzydzieści trzy lata, kilkuletnią córkę Julię, trzypokojowe mieszkanie w bloku i świetną pracę w fabryce porcelany, gdzie ręcznie maluje filiżanki, spodki, salaterki.

– A Marek przyjaciela, który w Warszawie prowadzi biznes meblowy, więc chcą to połączyć, tylko nikomu nie mówi, że nie ma pieniędzy. Ale ma Ewę. To ona ma je dać, ma finansować, bo to jej majątek, jej dom, jej wszystko, chociaż Marek mówi, że jego. Zakłada firmę, ale bez grosza. I poznaje się ze mną, i ten przyjaciel jego, który czasem tam do nas przyjeżdża, mówi Ewie, że u nas są stosunki... To pozbawia Marka

możliwości finansowych. Koszmar się robi. Okropny. Mam nieprzyjemności, bo moi znajomi powkładali w to ogromne pieniądze, wszystko jest gotowe, trzeba tylko przelać kapitał od Marka.

– A on nie ma grosza – zgaduję.

– Tak. Oszukiwał mnie od początku, nawet to, jak się nazywa. Biorę kiedyś jego paszport, a tam nie Latos, tylko Galster.

– Ewa tak się nazywa.

– On miał nazwisko Ewy – mówi smutno Tatiana.

– Przecież nie mieli ślubu.

– Mieli! Przed przyjazdem na Białoruś Marek się z nią żeni i bierze jej nazwisko, bo narozrabiał coś w Niemczech i nie może pojawić się tam na swoje, a potrzebuje czasem tam wpaść. A teraz prosi mnie o rękę. To jakie ja będę miała nazwisko?!

– Wychodzi na to, że jego poprzedniej żony.

– Marek mówi, że się rozwiedzie i znowu zmieni – opowiada Tatiana.

– I tak robi. Dlaczego Rosjanie wierzą tak każdemu na słowo?

– Tylko rosyjskie kobiety. Powinnaś, Taniu, wiedzieć, że jesteście znane z tego, że w sprawach sercowych jesteście głupie i naiwne jak dzieci. To nie ja wymyśliłem, to u was mówią przecież, że dla swojego chłopca gotowe jesteście zrobić wszystko, z miłości dacie się porąbać, zabić, poćwiartować, we wszystko uwierzyć, wszystko znieść i na końcu wszystko wybaczyć.

– Mnie do głowy nie mogło przyjść, że on jest żonaty, że ma inne nazwisko, nie ma żadnych pieniędzy, swojego mieszkania, wykształcenia. On mnie oszukuje, że skończył politechnikę na przykład, jest magistrem, a człowiek, jak sam mówi prawdę, to wierzy innym, nie myśli, żeby sprawdzać. Jak mu to kiedyś wygarnęłam wszystko w oczy, to aż zrobił się blady. Przeraziłam się, bo czytałam książkę polskiego psychologa, że jak kłamca robi się blady, to znaczy, że jest też agresywny, a jak robi się czerwony, to że jest łagodny. A Marka

zamurowało i zrobił się biały jak ściana.

Ale dziewczyna daje się przekonać na wyjazd do Polski, sprzedaje swoje trzy pokoje w miasteczku Dobrusz i razem z córką wprowadza się do mieszkania rodziców Marka na osiedlu przy hucie w Warszawie. Ślub biorą w 1995 roku. Rękę na pieniądzech ze sprzedaży mieszkania Tatiany trzyma Marek, ale znikają w oczach, w półtora roku, bo żadne z nich nie pracuje. To za nie Marek wykupuje zakładowe M-3 ojca, za nie zakłada firmę remontowo-budowlaną, która specjalizuje się w układaniu suchych tynków. Jako podwykonawca przerabia Zakłady Kasprzaka na Woli na bank, a w centrum finansowym na ulicy Emilii Plater układa wszystkie ścianki i tynki na dwudziestym czwartym i trzydziestym drugim piętrze, ale boom budowlany się kończy, a razem z nim firma „Grubego” Marka. Wpadają w ogromne tarapaty, nie mają nawet za co kupować jedzenia, więc Tatiana idzie na manikiurzystkę, a potem zostaje zawodową „nianią domowych dzieci”, czyli maluchów, które nie chodzą do przedszkola.

– Ojciec Marka żyje? – pytam.

– Tak. Opiekuję się nim, bo dziadek jest w złej formie, ma alzheimera.

– Pianino jeszcze jest?

– Nie – mówi Tania Latos. – Przyszedł hydraulik, bo coś ciekło, zobaczył pianino, potem z dziadkiem poszeptali, a za dwa dni pianina już nie było. Sprzedane.

GRZANIE. Jeszcze raz o Marku

Opowiada Tatiana Latos:

– Strasznie pił.

Mówisz, że przestał? Zupełnie? Nic a nic? Może udało mu się wreszcie, ale przed wyjazdem z Polski na pewno jeszcze nie, widziałam nawet u niego papiery, że jakby zaczął chodzić na terapię. Ale nie wiem, czy chodził. Dla mnie pijany człowiek w domu to horror, zwłaszcza on, bo mój pierwszy mąż też pił, ale był spokojny i nigdy nie powiedział mi złego słowa, nie obraził, nie nawyzywał... I nigdy nie uderzył. Tamten kładł się spać, a ten był agresywny. Podwójnie to przeżywałam, bo moja córka na to patrzyła, słuchała tych strasznych słów. Zwróciłam się nawet na policję, bo potrafił całą noc stawiać nas na uszach. Marek strasznie się bał policji... Że co? Że z niego był największy gieroj? Jak dziadek wołał policję na pomoc, to uciekał, aż się kurzyło. Biegiem po schodach na dół do samego parteru. Bo awantury robił nam w nocy. Przychodził pijany, a głos donośny, niecenzuralne te... Nie słowa, ale cała mowa, ogromne potoki. Strasznie. Wtedy dziadek po cichutku wychodził i wzywał policję, a Marek uciekał. Tylko jeden raz dał się złapać. Tyle czasu minęło, a dla mnie to najstraszniejsze wspomnienia.

Ja nie powiem, że on jest nic niewartym człowiekiem. Jest bardzo zdolny. Świetny z matematyki, fizyki, do tego język angielski, niemiecki, rosyjskiego nauczył się błyskawicznie. A co za fantazja! Ale matka pcha go na politechnikę, a on wspaniale gotuje, niechby to robił, skończył taką szkołę – może życie inaczej by się ułożyło? Ale idzie do budownictwa, cały czas kręci, kombinuje, potem oszukują i okradają

jego, wszystko w strasznym błocie trwa... Ohydny, do tego pijaństwo. Bo człowiek nie w swoim żywiole był.

Dobrze, że już nie pije, jak mówisz. Ja wiem, że on ma wolę. Jest bardzo słowny, jak coś mówi, to tak jest, jak się umawia na godzinę, to zawsze jest.

Dzieci? Na początku planowaliśmy, ale szybko jest jasne, że ja z nim nie chcę.

Przed swoim wyjazdem z Polski mieszka w małym pokoju. Słyszę kiedyś, jak rozmawia przez telefon z kobietą, z którą szykuje się do wyjazdu. Nie to, że podsłuchuję, bo mnie to wcale nie obchodzi, ale on ma bardzo donośny głos, to słyszę i rozumiem, że ona jemu wyrzuca, że Marek wcale nie chce jechać, bo jakby chciał, toby nie pił tyle. Ale jadą. A my z dziadkiem sprzątamy bałagan, który zostawił. Jego resztki, skarpetki, koszule. W rękawiczkach zbieram, bo wszystko strasznie brudne, i na śmietnik. Wszystko, razem z meblami. Parę dni po jego wyjeździe.

A wiesz, ja też się zastanawiałam, na czym polega ta jego tajemnica, że jest taki atrakcyjny dla kobiet, tak łatwo je czaruje. I niby czym?! Na przykład tym, że umie mówić takim dobrym, niskim głosem, uważnie słuchać, patrzeć z namysłem w oczy i doskonale rozumieć, co jest dobre, a co złe. Doskonale wykląda całą teorię życia. Na początku dobry, życzliwy, a potem wpędza mnie w poczucie winy, kompleksy, a jak proszę, żeby mi dał pieniądze na kurs komputerowy i na egzamin państwowy z języka polskiego, to nie chce. Moja Julka pyta go, dlaczego nie pozwala mi się uczyć, a on, że wtedy na pewno dam mu kopa w de... Bo sam nic nie umie, a mnie... Jak to będzie po polsku? *Periekrył kistarod*. O, tak: odciął tlen.

Jak patrzyłam na remont, który u nas robił, to ja się nie dziwię, że w firmie budowlanej też mu nic nie wychodzi. Zobacz, na jakiej wysokości jest ten blat. A parapet pod oknem trzydzieści centymetrów

wyżej! Mnie to doprowadza do szoku... Jak się mówi? Do szafu? Inny poziom, a tu jest okrągło, a tam kanciasto, a ta dziura zupełnie po nic.

A dlaczego wy to robiliście, w tych sowieckich czasach? W tych politycznych działaniach? Bo jeden pewnie dla idei, a inny dla ryzyka, awanturnictwa, a jeszcze inny z ciekawości, z nudów, dla przygody, żeby był drajw. Bo Marek jest ryzykant, jemu chodzi o przygodę, poza tym, że jak każdy Polak jest przeciwko komunistom i przeciw Rosjanom. On tak mówi, a teraz wiem, że nie każdy był przeciw.

Kiedyś mi mówi, że na jakimś waszym spotkaniu, jakiejś imprezie ktoś powiedział przy piwku, czy przy innym alkoholu, że ty, Marek, będziesz u nas ministrem obrony, czy coś takiego. I on to w sobie nosi, tym bardziej że jego mama miała sen, a może wróżka jej powiedziała, że jej syn będzie ważnym człowiekiem. I Marek ma takie oczekiwania od życia, to w nim siedzi, jakoś go buduje, grzeje.

On wierzy w te wygłupy o ministrze. I to wcale nie trochę. Pamiętam dobrze ten dzień, kiedy zadzwoniłeś dwadzieścia lat temu. Powiedziałaś, że chcesz przyjść, porozmawiać i o nim napisać. A on aż się rozplakał. Że jednak coś znaczy, że kogoś interesuje jego życie...

Ale ja przepraszam, musimy kończyć, bo dziadka, tatę Marka, trzeba karmić, dawać lekarstwa.

TUŁACZKA.

Ważne, żeby szarpało

Nie trzeba wcale ryć na froncie w okopach, kluczyć po kartoflisku pomiędzy minami, unikać kul, odłamków, żeby potrzebować terapii, leczenia ze stresu pourazowego, z syndromu pola walki. Bo nawet po bezkrwawej, mało zabójczej wojnie weterana ogarnia ciężkie uczucie pustki, smutku, jakby wrócił ze wspaniałej, bardzo długiej podróży, jakby dopadła go normalna powakacyjna chandra, jesienny smutek, depresja – tyle że dziesięć tysięcy razy mocniej. Nic więc teraz nie smakuje, a w zasadzie nic prawie nie czujesz, boś swój posiłek, swoje życie rozpoczął od najostrzejszej potrawy, po której wszystko smakuje jak zimne kluski leniwe z cukrem. Rzecz więc w tym, żeby to nowe życie także miało moc, żar, smak, żeby co jakiś czas szarpnęło człowiekiem od środka, żebyś przeżył wielką miłość, zdobył władzę, pieniądze, sławę, cokolwiek, od czego zakręci się w głowie, od czego ciśnienie tętnicze skoczy, a serce rozhušta niebotycznie jak podczas sprintu.

Zupełnie jak z wódką – nieważne jaka, ważne, żeby szarpała.

„Gruby” Marek rozwodzi się z Tatianą, a dwa miesiące później, w kwietniu 2006 roku, szykuje się do wyjazdu do Anglii. Kończy ostatnią robotę, wielki remont w Mińsku Mazowieckim pod Warszawą, rozlicza się z klientem, dzieli pieniądze ze współnikiem, a potem razem wracają jego samochodem do stolicy. Marek wyskakuje na światłach przy Dworcu Centralnym i w kantorze w przejściu podziemnym kupuje funty szterlingi na drogę za wszystko, co ma, za cały majątek. Kupa pieniędzy, prawie dziesięć tysięcy funtów na początek nowego życia

z Elżbietą, więc starannie chowa związany gumką plik do wewnętrznej kieszeni, zapina kurtkę i chociaż głodny jest jak pies, nie zatrzymuje się przy hot dogach, tylko energicznie maszeruje na przystanek tramwajowy. Czujny, uważny, co chwila maca kieszeń na piersi, sprawdza suwak, a w jego siedemnastce na osiedle Wrzeciono przy Hucie Warszawa na szczęście całkiem pusto, że nawet można usiąść. W maleńkim sklepiku przy domu rodziców, który teraz jest już Tatiany, wkłada fantę do koszyka, podchodzi do kasy, ręką sięga do kieszeni, a tam pusto.

– Ani funtów, ani portfela – opowiada Marek. – Na szczęście paszport i bilety są w domu.

– Byłeś na bani?

– Trzeźwy jak świnia. Wtedy już nie piję od trzech lat, od kiedy wyrznęli mi woreczek żółciowy. Jestem więc bez grosza, ale jechać muszę, nie będę się przecież z byłą żoną i z ojcem procesował o mieszkanie. Kiedyś stanie wam kością w gardle! A miałem przecież jechać razem z Tatianą, czekaliśmy tylko do 2004 roku, aż ta Unia Europejska się dla nas stanie, bo nie chcieliśmy pracować nielegalnie, jak małolaty ganiać się z policją po budowach. Chcieliśmy do Niemiec, ale rynek pracy od razu otworzyli Anglicy. Dla mnie po czyściutkiej Holandii, którą znam, i po uładzonych Niemcach Wyspy to cholerny szok, bo syf, bajzel totalny, jeżdżą pod prąd, mają oddzielne krany do zimnej i do ciepłej wody, dziwne gniazdko i sznurki, którymi zapalają światło w łazience.

Marek leci do Londynu z Elżbietą, ale dwa lata po przyjeździe mówi jej *game over* i się rozstają, bo to dziewczyna, która nie znajduje tam swojego miejsca, źle się czuje w Anglii, a Markowi jest dobrze, jest spokojny, pogodny, nie potrafi i nie chce na siłę dopasowywać się do człowieka pełnego pretensji, frustracji, złości, który po prostu nie jest szczęśliwy. Tak mówi. Od trzech lat „Gruby” Marek mieszka z młodszą

od niego o czternaście lat Joanną ze Szczecina, która gotuje w klasztorze dla emerytowanych misjonarek z katolickiego zgromadzenia sióstr zakonnych. To pierwsza jego partnerka w życiu, z którą nigdy nie miał kłótni. Zawsze mówi do niej bardzo wolno, cicho, łagodnie, wprost czule. Jak trzeba, tłumaczy cierpliwie jak dziecku. Marek ma bardzo niski, ciepły głos, wolne na stare lata ruchy i z wiekiem coraz bardziej staje się podobny do spaniela, który, nawet jak jest mu wesoło, mordę ma rozpaczliwie smutną. Tyle że poważne gabaryty i temperament u niego nie taki, do tego ciężki, niezdrowy oddech i bulgoczący w piersiach śmiech podobny do mokrego kaszlu. Jakby mu się tam coś odrywało, jak u tych, którzy walczą z nadmiernym ciśnieniem tętniczym.

Przez które pewnie w 2012 roku Marek umiera. Tak mówi, ale odchodzi bez żadnych dodatkowych atrakcji typu światła w tunelu, nie unosi się nad swoimi zwłokami, nie słyszy lekarzy, którzy przez pół godziny starają się przywrócić u niego pracę serca. Udaje im się, a kilka godzin później Marek sam odłącza się od aparatury i daje nogę ze szpitala. Nie wie nawet dobrze, co mu było, wie, że pogotowie go zabrało z domu, że dwa razy odlatywał i dwa razy musieli go reanimować.

To przez to zbyt wysokie ciśnienie Marek ma kłopot z pracą w miejskich autobusach, o którą się stara. Jest już po egzaminie teoretycznym, a teraz czeka go kurs i egzamin praktyczny. Przez wszystkie lata w Anglii pracuje w firmach remontowo-budowlanych, zarządza też w imieniu właścicielki domem, w którym wynajmuje mieszkanie.

– Ale nie będę tu mieszkał do końca życia – mówi. – Staram się o angielskie obywatelstwo, złożyłem papiery na mieszkanie socjalne i wcześniej albo później dostanę coś w bloku, chociaż tutaj jest mi bardzo dobrze. To ja rządzę w tym domu, ja daję ogłoszenia na polskich

portalach, jak się zwolni jakiś pokój, i ja sam przyjmuję ludzi. Kiedyś dzwoni taki jeden, gada po angielsku, więc myślę, że Anglik, mówię, żeby przychodził, a później się okazuje, że on pastowany. Z Pakistanu, nie ten kolor skóry.

– To strasznie przykre – włącza się do naszej rozmowy Joanna. – Zanim przyjechałam tutaj, myślałam, że jestem bardzo tolerancyjna.

– Żydzi mają powiedzonko, że łatwo być tolerancyjnym, kiedy się nie ma do czynienia z tym, co trzeba tolerować – mądrzę się w kuchni z łokciami na stole.

– Murzyni czują się tutaj, jakby byli u siebie – kończy dyskusję Marek. – Okropnie się zachowują. I jeszcze narzekają, że rasiści ich prześladują. Może być ostatni leń, obibok, a jest nietykalny.

SYNCHRONIZACJA. Córka ryżego czarnoksiężnika

Opowiada Ewa Galster:

– Wiesz, co to jest synchronizacja zdarzeń? No tak... Skąd masz wiedzieć? To jest związane z prawem karmy, czyli prawem przyczyny i skutku. Przede wszystkim musisz zaakceptować, że wcześniej już istniałeś, żyłeś, a wszystko to, co cię teraz spotyka, jest skutkiem tamtego wcześniejszego życia. Wszystko, co na ciebie spada, to jest zapłata za to, coś narobił wtedy. Sam jesteś sobie winien, musisz za to pocierpieć, ale żyjąc w następnym ciele, możesz także otrzymać nagrodę, i też dokładnie tyle, ile ci się należy.

I nic nie zdarza się przypadkowo. Jeśli do mnie przychodzi klientka z problemami, które są dokładnie takie same jak moje, to w tym też nie ma żadnego zrządzenia losu, żadnej przypadkowej zbieżności, tylko synchronizacja, mój problem przyciąga jej problem do siebie i razem go rozwiązujemy. Wiele mam takich opowieści, historii, rodzinnych dramatów. Często jeżdżę do Indii i w klasztorach uczę się wchodzenia w niewidzialny wymiar, bycia w nim, odczuwania, czyli istnienia w eterze. W świecie, którego nie widać, ale jest, w którym przebywają wszystkie dusze nienarodzone i te, co już były. Jeśli miały wystarczającą ilość doświadczeń i wszystko zrozumiały, wędrują stąd gdzieś do następnych, innych światów albo się reinkarnują, wracają do naszego świata, żeby dalej się uczyć, szukać nowych doznań.

Nie mam pojęcia, skąd to wiem. Ale wiem, że zawsze to wiedziałam. Z tego wynika, że wszystkiego zła, które cię spotyka, nie powinieneś przeklinać, bo to kolejne twoje doświadczenie, majątek, kapitał, które

przyspieszają wędrówkę duszy. A reszta chuj warta!

Nie śmieję się. Naprawdę jestem trochę jak szamanka, wiedźma, czarownica, w branży duchowej moja rodzina ma duże tradycje, ojciec był pastorem, a stryjeczny brat nawet biskupem luterańskim w Szczytnie. Ja też pewne rzeczy wiem, chociaż nie wiem dlaczego. Nie wiem na przykład, skąd mam taki świetny kontakt z przyrodą, albo skąd wiem, jak po łacinie nazywa się roślina, na którą w tej chwili patrzę. Przecież nigdy się tego nie uczyłam! Ani łaciny, ani botaniki. Nigdy! Pierwszy raz do Indii pojechałam po to, żeby wyjaśnić tę zagadkę, zapisałam się do liczącej pięć tysięcy lat Biblioteki Liści Palmowych, w której zgromadzone są spisane przez pewnego hinduskiego mędrca losy milionów ludzi, także tych, którzy jeszcze nie przyszli na świat. Tam guru mi wytłumaczył, że w którymś z poprzednich wcieleń byłam plantatorem.

Uwielbiam takie historie, uwielbiam o tym czytać, uczyć się, sto razy wolę pójść na dobry wykład, niż kupić sobie nowe buty. A telefonu komórkowego nie kupię, nawet jakbym miała za dużo pieniędzy. No, kurwa! To jest jasne. W życiu osiągnęłam już prawie wszystko, mam wszystko, czego pragnęłam, wspaniałych synów i wnuki, jeszcze tylko wnuczkę muszę przygotować do życia, popilnować, żeby się nie zmarnowała, bo jest bardzo ładna, trzynaście lat, a numerologicznie jest trójką, do tego prawie taką samą jak ja. Dlatego wspieram ją ze wszystkich sił, pomagam, trzymam rękę na pulsie, jestem tam, gdzie powinnam być. I od cholery mnie to cieszy.

Jestem bardzo szczęśliwym człowiekiem.

SZUKANIE. Spadł, wsiąkł, przepadł

Kiedy w 2009 roku napisałem dla „Gazety” ogromny reportaż o Marku i Ewie Hołuszko, twórcy naszej Firmy, który teraz porznąłem na kawałki i wsadziłem do *Skuchy*, Ewa Choromańska, ostatnia szefowa naszej organizacji nazywana „Celiną”, powiedziała, że chce, żebym o niej też tak napisał.

– Ale Eewko! – Kombinowałem, jak by się tu wykręcić. – To może boleć.

– I tak boli.

Nie dopytałem wtedy, co konkretnie, bo nie miałem musu ani ochoty, żeby o niej pisać, wystarczyło mi, że bolało Ewę Hołuszko, na przykład to, że nie podobał jej się mój tekst, bo był napisany jak dialog dwóch osób, a dopiero później okazywało się, że to jeden człowiek, który rozmawia sam ze sobą.

A teraz jest 2012 rok, maj, konkretnie dziewiątego, Dzień Zwycięstwa. Na wschód od rzeki Bug każdy szanujący się mężczyzna wala się po ulicach, parkach i bufetach pijany w sztok. To najbardziej alkoholowe dla tamtejszych mężczyzn święto obok Dnia Kobiet. 8 marca także każdy normalny, szanujący się facet powinien nawalić się jak traktor.

Z Ewką Choromańską gadamy zatem w Dniu Zwycięstwa od godziny dziesiątej rano. Bardzo gorąco jak na tę porę roku i dnia, i cholernie dynamicznie, bo albo pani Genia od sprzątanía uwija się wokół nas z odkurzaczem, albo córka Ewki ze swoim małym synkiem.

– Ale na szczęście mamy wódeczkę – cieszy się Ewka, która ciągle donosi coś z kuchni na ząb, a potem krzyczy na całe gardło do Geni

w głąb mieszkania: – Jak skończysz, to ci powiem, jak z ciasta francuskiego zrobić papieskie kremówki!!!

Pani Genia jest wdową, ma piątkę dzieci, kupę wnuków, prawnuki i od trzydziestu lat raz w tygodniu przychodzi sprzątać u Ewy w domu. Była salową w jej szpitalu, a teraz jest dla niej jak rodzina, razem spędzają święta kościelne, w święta państwowe razem biegają na prawicowe manifestacje, pomagają sobie przy wnukach.

Ewa rozkazuje mi napełnić kieliszki i przechodzi do opowieści o swoim koledze z pracy, chirurgu, którego wszyscy nazywają Brodą, bo takie ma nazwisko. Często zabiera się z Ewką i jej mężem Włodkiem do pracy, zgarniają go w biegu z narożnika ulic Sobieskiego i Idzikowskiego, ale któregoś razu nie ma go w umówionym miejscu. Leży kilkanaście metrów dalej na chodniku, rozpoczynają reanimację, ale Broda nie wraca, zabiera go karetka, a oni jadą z ciężkimi sercami do swojego szpitala, bo zaplanowane operacje czekają. Ale tego dnia wszyscy są tak zdenerwowani, że podczas zabiegu kolega kaleczy Ewę elektrycznym skalpelem w palec serdeczny lewej ręki, który bardzo szybko puchnie.

Więc po operacji i umyciu rąk swój najważniejszy pierścionek Ewa wkłada na mały palec, bo nie chce go nosić w torebce, w zamknięciu, w ciemnicy, bez dostępu powietrza.

To bardzo skromny, niepozorny na oko pierścionek, ale jest z platyny i z brylancikami, i jest bardzo stary, bo to rodzinna scheda Włodka, którą ofiarował Ewie na zaręczyny. A więc relikwia, a wieczorem tego okropnego dnia się okazuje, że pierścionka nie ma. Spadł, zsunął się, przepadł bez śladu. Bardzo zła wróżba.

Ewa przetrząsa cały dom i szpital w Międzyzlesiu. Ni cholery! Trudno, mówi sobie, ale serce jej krwawi.

Zła wróżba.

GRZEŻNIĘCIE.

Jeden sznaps za drugim

Opowiada Ewa Choromańska:

– Najbardziej popieprzone jest to, że pracujemy w jednym szpitalu. Ja, Włodek i ta jego kochanka. A on pisze doktorat o przydatności badania rezonansem magnetycznym przy diagnostyce raka jelita grubego, rok dziewięćdziesiąty szósty, w Polsce jeszcze nie za bardzo znana metoda, a ona radiolożka i też pisze doktorat. I tak to zaczyna się jej z moim Włodkiem.

Młodsza babka. Grubo. I podobno świetnie... Jak to, skąd wiem?! Bo sam mi powiedział!

Poczekaj, muszę se popłakać...

Dobra. Już lepiej. Wypijmy.

Na początku olewam sprawę, myślę, że to jakiś jego kolejny błąhny związek, w którym szuka ukojenia, bo ciągle go zaniedbuję i zamiast w swoich najlepszych latach rodzić mu dzieci, prowadzę wojnę z komuną, Jaruzelskim, ze Związkiem Radzieckim, do tego nie tak ładna jestem, jak trzeba, nie taka szczupła, błyskotliwa, seksowna, zmysłowa... Mam cholerne poczucie winy i anim się zorientowała, mój mąż się zakochuje. A ta jego radiolożka też nie taka wolna, bo ma męża i dwóch synów w wieku naszej Doroty, bliźniaków. Mąż jest didżejem.

Co roku wielką ekipą, w trzy-cztery samochody, jeździmy do Austrii na narty, ale w dziewięćdziesiątym siódmym roku Włodek jakoś mało na tych nartach jeździ. To jest w Alpendorf. Siedzi na stoku przed knajpą, opala się i wciąga sznapsy jeden za drugim, chociaż bardzo lubi jeździć. Lubił! Do momentu, kiedy zacznę być lepsza od niego. Kolejny błąd.

Jak Boga kocham, błąd! Kobieta nie może lepiej jeździć od faceta, ale ja popełniam błąd za błędem. Bo nie jestem powój. Taki słabiutki, eteryczny, który oplata się wokół mocarnego męskiego torsu... Więc Włodek w tej knajpie, a ja hulam na stoku z ferajną... Polej po jednym. I wybacź, bo jak się napiję, mam straszną biegunkę myślową. No więc Włodek w Alpendorf siedzi na tarasie, ciągnie sznapsy i po pijaku zwierza się naszej córce, że ma tę panią. Dasz wiarę?! A Dorota, jego jedyny dzieciak, ma siedemnaście lat, bo ona rówieśniczka „Solidarności”. Właściwie to ja od niej dowiaduję się wszystkiego, a potem zaczynają się coraz większe schody, coraz bardziej kręte, strome, zaczyna jeździć z nią na urlopy do naszego starego domeczku z pruskiego muru w Sopocie, aż dwa lata później, w dziewięćdziesiątym dziewiątym roku, wszystko się rozsypuje. To jest ten najgorszy czas. Dorota ciągle na mnie krzyczy, że zachowuję się jak te pizdy z telenoweli, że mam wyrzucić ojca z domu, bo nie jest mnie wart, ale on ciągle z nami jest, mieszka jak gdyby nigdy nic, jakby nic się nie działo. Ja też tak udaję, bo to przecież mój facet jest, mężczyzna mojego życia, dla którego dużo gotowa jestem znieść. Żeby go nie stracić.

Ale któregoś dnia puszcza mi nerwy... Nie! Robię to z rozmysłem, z premedytacją, w szpitalu. Idę do zakładu radiologii i z całej siły walę tamtą z piąchy prosto w pysk. Potężny prawy hak, aż spadają jej okulary. Nie wiem, co mnie wtedy opętało. Coś musiało być poza myślami, jakiś powód, ale nie wiem dobrze. No i po tym wszystkim Włodek oznajmia mi, że w takiej sytuacji to on się wyprowadza. I wynosi się do swojej matki, a ja za telefon i dzwonię do jej męża, żeby i on wiedział, a ten, że ja jestem wariatka, niezrównoważona psychicznie intrygantka z manią prześladowczą, o której on już co nieco słyszał, i żeby więcej do niego nie dzwoniła. Tak urobiła swojego męża! Że oto jest gdzieś w świecie stara, głupia szajbuska z urojeniami, do tego brzydka, która podejrzewa ją o romans ze swoim mężem. On nic nie

wie! Nic a nic, chociaż to trwa już ze dwa-trzy lata! Ale oni mają sekretarkę automatyczną w telefonie stacjonarnym, to się przyuczajam i kiedy ich nie ma, spokojnie się nagrywam, wygarniam wszystko, co wiem, wszystkie fakty z datami stempli granicznych w paszporcie Włodka, żeby sobie porównał ze stemplami w paszporcie tej swojej żony. Chcę otworzyć mu oczy.

Tyle że wtedy jeszcze nie wiem, że on jest niepijącym alkoholikiem. Ten didżej. Michał ma na imię. Ona wie i Włodek, ale mnie nikt nie mówi, bo gdybym wiedziała, że się leczy, tobym sobie język odgryzła, a tego wszystkiego nie robiła. Ale nie wiedziałam, na Boga świętego!

A teraz słuchaj dalej. Którejś tam nocy mam dyżur w szpitalu, dzwoni telefon, podnoszę i słyszę: „Michał jestem. Mąż Iwony”. I zaraz potem mówi, że chyba mam rację. Jasne, że mam! I że prosi o spotkanie.

Przychodzi tutaj. Włodka już nie ma, ja rozdygotana, zaczynam gadać, pijemy po lufie... Tak jak teraz. Racją, teraz jesteśmy po szóstej lufie, ale wtedy piję z alkoholikiem. Suchym, trzeźwym, leczącym się, o czym nie mam pojęcia. Przysięgam. Nagadaliśmy się więc i jakoś pojechał do siebie do domu. I się zaczyna. Bo on ją bardzo kocha i ciągle tutaj przyjeżdża, i się wypłakuje. Mnie, a jak mnie nie ma, to Dorocie. M a s a k r a. Psychiczne grzęzawisko... Teraz polej. W sumie fajny chłopak, biedny, nieszczęśliwy, a to dziewięćdziesiąty dziewiąty rok, jesień, akurat idzie reforma, nasz szpital przestaje być kolejowym i przechodzi do publicznej służby zdrowia, a nasz dyrektor wymyśla, że organizujemy też pogotowie ratunkowe, więc i ja jeżdżę tam jakiś czas. I któregoś dnia dostaję wezwanie do przedawkowania relanium po wypiciu alkoholu. Podają adres, imię, nazwisko, a mnie nogi się uginają. Michał! Wsiadam w karetę...

Teraz pijemy! Opowiadam ci takie rzeczy, co zwykle w nocy się opowiada.

A więc w karetę! Jedziemy, wchodzę do mieszkania, a Michał: „Ratuj

mnie?" Silne zatrucie. Zabieram go na OIOM. Ja myślę, że on nie chce się zabić, tylko uspokoić, ale jest napity i tak wychodzi. A jakiś miesiąc później, w końcu października... a może nawet 1 listopada, dostaję wiadomość, że Michał nie żyje.

Pochlał i wziął relanium. Bo zawsze jak był napity i wpadał w dygot, to łykał te prochy. U alkoholika nie powinno być tego w domu.

Od tej pory Włodek jest z nią. Trzydzieści lat już. Nie wiem, czy jest szczęśliwy. Ale wypijmy, bo zaczynam się rozklejać. A jeszcze ci powiem, że już po tym wszystkim Genia do mnie tutaj w salonie podchodzi i: „Oj, doktorowa, ucieszysz się?” Tak mówi, a ja wiem, że nie ma z czego, a ona otwiera dłoń, a tam mój zaręczynowy pierścionek od Włodka. Tyle czasu mieszkał sam w szparze między oparciem a siedzeniem fotela.

Pomyślałam, że może chciał przeczekać najgorszy czas, ale po tym wszystkim jeszcze Dorota mi wpada w narkotyki. Nie jesteś sobie w stanie tego wyobrazić. Klasa maturalna, a ja miotam się sama jak głupia, próbuję ją z tego wyciągać, tygodniami trzymam w domu, żeby nie spotkała znajomych, żeby przed tym uciec, schować się, żeby się nie zachciało... Nawet śpimy razem, żeby dziecku było raźniej.

To temat, którego nie poruszamy już w ogóle. Ale wypijmy, bo dusza boli jak cholera. Od trzynastu lat, i nic nie przechodzi. A wiesz, że przez ten czas nie miałam faceta w ogóle? I nawet na sylwestra nie poszłam ani razu, bo tam zawsze pary chodzą. Nie, myślę, że to, co czuję, to nie jest zazdrość.

Ale jest pewne, że czas nie leczy ran, bo nie zapomniałam. Bo w głowie ciągle, na przemian z koszmarami, przewalają mi się niebiańskie wspomnienia. Prawdziwie bajkowe, wspaniałe, słoneczne. Do tego mam depresję, panie Jacku drogi, rozwaloną chemię w mózgu, dygot. Siedzę w domu i nie wiem, czego się boję. I żadne tam

psychoterapie zasrane, bo na mnie nie działają, więc tylko leki, których się boję odstawić od tylu lat. I nie wiem, czy nie mam jakiej fobii społecznej, bo już nie mogę po prostu patrzeć na ludzi, nawet pacjentów mam dość, starych przyjaciół, z którymi nie mam o czym gadać. Coraz bardziej zamykam się w swoim małym, ciasnym świecie, ciasnej skorupie, że tylko w domu albo w pracy. Dorota przeczytała w internecie, że depresja nie dotyczy ludzi słabych, tylko tych, którzy byli silni zbyt długo. Bo musieli, a ja całe życie, kurwa, zakapior.

Co ty mówisz? Że jakby mi kto umarł ważny, to po trzynastu latach już bym zapomniała? Pewnie tak.

Ale on żyje.

SKUCHA.

Strasznie modne słowo

Andrzeja A., rocznik 1956, nazywaliśmy Andrzejem „Rudobrodym”. Bo był jeszcze Andrzej „Kudłaty”, czyli Andrzej Kamać, z którym ten pierwszy pracował w naszej drukarni, więc żeby ich odróżnić, nadano im przezwiska adekwatne do wyglądu.

– Co porabiasz? – pytam „Rudobrodego”

– Walczę. Teraz ze spółdzielnią mieszkaniową Domhut. Oddałem ich do sądu, bo się okazało, że płacę za duży czynsz. Doliczają do niego podatek gruntowy, a to przecież jest kwaterunek, więc nie powinni. Piszę do gminy, żeby prawidłowo obliczyli czynsz, to odpowiadają, żebym zwrócił się do Ministerstwa Budownictwa. To tam też piszę. Do tego spółdzielnia pobiera od nas za piętnaście metrów sześciennych wody, a powinni za osiem, to piszę do Ministerstwa Finansów, ile powinni pobierać. Odpisuje sam dyrektor departamentu, że osiem, więc zgłaszam do prokuratury o przestępstwie. Prokurator robi uniki, więc stawiam mu ultimatum, że albo robi śledztwo, albo sam oddaję spółdzielnię do sądu. Olewa mnie. Za centralne ogrzewanie też nam za dużo liczą.

Do połowy lat osiemdziesiątych Andrzej jest magazynierem w Hucie Warszawa, a potem z powodu cukrzycy przechodzi na rentę. Mieszka w hutniczych blokach na ulicy Żeromskiego, która po upadku komunizmu nie zmieniła nazwy. W 1992 roku z powodu wadliwego piecyka elektrycznego doszczętnie płonie jego mieszkanie. Zostają gołe ściany. Stres i cukrzyca sprawiają, że chłopak traci wzrok.

– Kiedy idę do mojej spółdzielni mieszkaniowej, to jeden menel

od nich mnie pyta, czy ja taki upierdliwy jestem od urodzenia, czy to wynika z kalectwa – mówi Andrzej. – Bracie, tam wszędzie dawne komuchy siedzą. Pewnie dlatego nie mogę wyegzekwować od Urzędu Kontroli Skarbowej w Ministerstwie Finansów jakiejś kontroli u nich. Chociaż trzy razy piszę.

– Dlaczego jesteś taki nabuzowany?

– Bo mam żal. Kiedy gubię oczy, w Warszawie są trzy lasery. Ten na Lindleya jest zepsuty, a na Wołoskiej i Szaserów cywilów nie przyjmują. Kiedy wreszcie po znajomości dostaję się na Wołoską, jest po wszystkim. Skucha, brachu, jestem ślepy!

Pół roku spędza w szpitalach, głównie w Kolejowym u Ewki Choromańskiej, bo chłopaki z Firmy remontują jego mieszkanie po pożarze. Co tydzień musi też być na dializach, bo cukrzyca kompletnie niszczy nerki.

Na Wołoskiej Andrzej spotyka Agnieszkę. Jest pielęgniarką na jego oddziale, a teraz jego żoną, błogosławieństwem i jedynym szczęściem. Remont kończą razem, a boazerię w całym mieszkaniu Andrzej układa sam.

– Największą sztuką jest malowanie jej lakierem, ale jakoś sobie radzę, przez okno jednak sąsiad widzi mnie, jak balansuję na drabinie, i już jest gadanie, że tylko udaję ślepego, żeby wyłudzić dużą rentę. Ale to wszystko jeszcze nic, bo ja nawet sam na dachu ustawiam antenę telewizyjną.

– Bo po spaleniu w pierwszej kolejności kupujesz telewizor – mówię.

– Lubię słuchać filmów.

Największy udział w remoncie mieszkania Andrzeja „Rudobrodego” ma urodzony w 1950 roku Fred, czyli Ferdynand R. zwany „Tolkiem”, który w Firmie jest szefem transportu i przedstawicielem Miejskiego Przedsiębiorstwa Taksówkowego, do czasu kiedy w 1985 roku pod pretekstem przepału jednego litra oleju wyrzucają go z pracy.

Rozpoczyna się jego długa walka o przywrócenie.

Wygrywa sprawę w sądzie pracy, ale go nie przyjmują. W III Rzeczypospolitej kontynuuje walkę, chodzi do „Gazety Wyborczej”, rządowej komisji zajmującej się niesłusznie zwolnionymi i komisji interwencyjnej „Solidarności”, ale nikt nie potrafi mu pomóc.

W 1993 roku MPT się prywatyzuje, przekształca w spółkę z ograniczoną odpowiedzialnością.

– I przyjmują do roboty nowych ludzi z miasta, więc się zgłaszam. Już mnie nie pamiętają, tylko stara kadrowa pyta, czy aby mój ojciec nie pracował tu kiedyś.

Zatrudniają go, więc bierze kredyt z banku na trzy lata i kupuje fiata tempę. Strasznie dużo pracuje. Zaczyna rano. O szesnastej odbiera żonę z pracy, razem jadą do domu, oglądają kolejny odcinek serialu *I wszyscy razem*, jedzą obiad i Fred znowu jeździ do późnej nocy – jak długo są klienci. Soboty, niedziele, święta. Bez urlopu.

– Przyłożyłem się do tego ustroju, to muszę odpokutować. Wtedy było źlej, nie musiałem tak zapieprzać. Kiedyś wiozę Boniego, jak jest jeszcze ministrem pracy, i całą drogę opierdalam go bez litości za to, że obciął dodatki rodzinne na dzieci, bo jeszcze wtedy brałem, a on, że to nie on, tylko jego poprzednik czy następcą. Normalnie mam chęć go trafić, ale on zaczyna płakać, przepraszać... Zalewskiego też kiedyś wiozę, to chce wyskakiwać w biegu. Ci z „Solidarności”, co dorwali się do władzy, to więksi złodzieje niż komuniści. Nic dla ludzi nie robią, tylko dla siebie. To ja już bardziej szanuję czerwonych i dlatego na nich głosuję. Oni przynajmniej nie zmieniają poglądów.

Jeszcze dzisiaj Fred pamięta, jak na początku stanu wojennego kupuje kiełbasę na kartki, żona zalewa ją smalcem w słoikach, dzieciom każe zebrać w kioskach o papierosy, bo są na kartki, i wozi to wszystko do aresztu na Białołęce, bo koledzy z pracy tam siedzą.

– Jak już wyszli, spotykamy się na wódce, gadam z nimi, pytam, czy

moje orienty z kiosku dotarły, jak smakowała kiełbacha od żony w słoikach, a jeden taki: że kto by to jadł?! Bo nie takie rzeczy tam mieli, amerykańskie marlborasy i frykasy, czekolady, marmolady... To mnie normalnie jakby kto w mordę dał z piąchy. Płakać się chce. A teraz jeszcze takie fajfusy odszkodowania biorą za odsiadkę w pierdlu. I to mają być nasi?

Fred przestaje pojawiać się na cotygodniowych posiedzeniach Prezydium MKK przed końcem jaruzelskiej wojny, oddala się od Firmy, odkleja, odczepia. Mówi, że może by i został, tylko strasznie modnego wtedy słowa „pluralizm” nie umie jakoś wymówić.

Wszystko, co jest w tym rozdziale, co do jednego słowa, piszę przed dwudziestu laty, kiedy pierwszy raz próbuję opowiedzieć o ludziach Firmy i o tym, jak im się żyje w Polsce, którą sobie wywalczyli.

ŻĄDANIE.

Ostra kosa na armaty

Rok 2009.

List otwarty z okazji dwudziestolecia wolnej Polski do byłych członków MKK Wola, Ewy Choromańskiej i Michała Boniego, tajnego współpracownika SB „Znak”

Żądamy wyjaśnienia, ja, Ferdynand R., szef transportu, drukarz, kolporter o pseudonimie „Tolek”, i Andrzej A., drukarz, u którego była drukarnia, kolporter o pseudonimie „Rudobrody”

Dlaczego „Celina” i TW „Znak” nie chcą podpisać dokumentów potwierdzających naszą działalność podziemną na rzecz wolnej Polski w latach 1982–1989? Dokumenty te są dla nas bardzo ważne, ponieważ potwierdzają nasze uprawnienia do składkowych lat pracy w dokumentach składanych do ZUS.

Ja jeszcze pracuję, chociaż jestem inwalidą II grupy, a Andrzej jest inwalidą I grupy (stracił całkowicie wzrok) i nie ma dla niego pracy, cienko przędzie. Dokumenty te mogą podnieść kwotę świadczeń wypłacanych z ZUS w wolnej Polsce.

Uważam za skandaliczne, a wręcz jestem pewien, że takie działanie tajnego współpracownika SB Michała Boniego pseudonim „Znak” jest haniebnie! Michał Boni z tytułu wykonywanej dotychczas pracy w różnych urzędach państwowych (Ministerstwo Pracy) wie doskonale, że takie dokumenty są niezbędne emerytom i rencistom.

Świadczenia ZUS wypłacane przez wolną Polskę są żałośnie niskie.

Zachowanie Boniego pokazuje, że ludziom podziemia nie warto doliczać dodatkowych pieniędzy za ich pracę. Praca ta była nie tyle, co niebezpieczna, ale szkodliwa i w ciężkich warunkach. Widocznie „Znak” uważa, że ludziom podziemia niepotrzebne są pieniądze. Poprzednio była komuna, teraz kryzys, a nam dalej pod wiatr i pod górkę.

Emeryci bezpieki (w szerokim tego słowa znaczeniu) mają się dobrze, żyją w dostatku i śmieją się z naszych żalosnych dochodów, przecież chcieliśmy wolnej Polski. [...]

My, którzy na rzecz wolnej Polski swoją ciężką pracą pomagaliśmy Jej powstać, nie mamy satysfakcji, ponieważ w „naszym kraju” są równi i równiejsi. Orwell w swojej książce *Folwark zwierzęcy* opowiadał o rządach świń, a my mamy swoje święte krowy i...

My [...] nigdy nie pytaliśmy, co za to dostaniemy, uważaliśmy się za patriotów i wypełnialiśmy nasz obowiązek. Oni siedzieli w ciepłych kapciach w jasnych i czystych pokojach i pisali swoje fantazje po to, żebyśmy je dostarczali w formie drukowanej do ludzi. W swoich artykułach snuli wizje o wolnej Polsce, a mamy tak jak za PRL. W rządzie ministrowie przyspawani do foteli, bez wstydu i godności, dla nich HONOR nie znaczy nic ważnego. Oni będą świętować dwudziestolecie wolnej Polski na Wawelu, „Gazeta Wyborcza” z lampką wina na warszawskim deptaku Krakowskie Przedmieście. My zaś zastanawiamy się, czy starczy pieniędzy na przeżycie, czy nie wyrzucą z pracy i nad innymi przyziemnymi problemami. Oni przypisują sobie nasze zasługi i wystawiają siebie po zaszczyty. Taka jest teraz moda, a my nie jesteśmy dla nich godnymi ludźmi, uciekają od nas. Czy oni boją się konfrontacji z nami? Czy boją się wyjaśnienia naszych zasług i czynów, które sobie przypisują?

Rząd opływa w przepychu i przywilejach, Sejm jak za PRL, jak raz

wejdzie na posła, to śmierć lub całkowita kompromitacja przerywa kadencję.

Andrzej A. uważa, że Boni, „Znak”, to hipokryta, o czym świadczą jego zachowania. Kiedy Boni potrzebował poparcia robotników, należał do NSZZ „Solidarność”. Teraz, kiedy jest ministrem konstytucyjnym, uważa, że wszelkie zło jest po stronie robotników i pracowników budżetówki. Najlepiej temu rządowi o poglądzie liberalnym rządziłoby się, gdyby nie było obywateli, tylko niewolnicy. Teraz [rząd] nie stoi po stronie robotników, lecz po stronie biznesu i ludzi bogatych.

W wolnej Polsce tajny współpracownik „Znak” Michał Boni został ministrem konstytucyjnym Rządu Polskiego. To jest hańba dla Polski i nobilitowanie ludzi małych i tchórzliwych^[2].

Ten list można znaleźć w internecie.

Andrzej i Fred to jedyni ludzie z Firmy, którzy odmawiają mi spotkania i rozmowy. Z Fredem widzę się kilka minut w lutym 2015 roku, pyta mnie, ile mogę mu zapłacić za wywiad, bo przecież zarobię na książce kupę forsy, a co on niby będzie z tego miał. Potem przez telefon mówi, że obaj z Andrzejem i jego adwokatem zdecydowali, że nie chcą rozmawiać na żadnych warunkach, a jeśli w tekście pojawi się nazwisko któregoś z nich, to spotkamy się w sądzie.

To jedni z najbardziej ofiarnych, oddanych, pracowitych i dzielnych ludzi podziemia, jakich znałem, prawdziwi kosynierzy opozycji demokratycznej, dużo lepsi niż ci spod Raławic, co z kosami hulnęli na ruskie armaty.

Andrzeja poznaję w drugiej połowie lat siedemdziesiątych w miejscu, które na warszawskich Bielanych nazywają Psim Polem, bo wszyscy okoliczni wyprowadzają tam swoje zwierzaki, a jego Buśka i mój Fofek po prostu się uwielbiają. To on wciąga mnie do konspiracji, ale po wojnie każdy z nas idzie swoją drogą. Ja wreszcie znajduję swoje

miejsce na świecie, wspaniałą, wymarzoną pracę, Andrzej żeni się z Agnieszką, stają się rodziną zastępczą dla siedmioletniego Przemka, dawni bojownicy podziemia zbierają pieniądze, żeby ich wspomóc, przeszczepiają mu nerkę, więc uwalnia się od uciążliwych dializ, ale potem wszystko się rozsypuje. Małżeństwo okazuje się porażką, a w sądzie Agnieszka z Andrzejem tarabanią się jeszcze bardzo wiele lat, ale dziewczyna nie chce ze mną o tym rozmawiać, bo zwyczajnie boi się jego pieniackiej natury, nie chce rozpoczynać wszystkiego od początku, wystarczy jej, że musi płacić byłemu mężowi alimenty, chociaż to ona musiała wynieść się z dzieckiem do wynajętego mieszkania. Jednocześnie trwają sprawy sądowe, które Andrzej toczy ze swoją spółdzielnią mieszkaniową o wysokość czynszu. W 2008 roku pisze do mnie list, że razem z Agnieszką spółdzielnia chciała wyrzucić go z mieszkania, ale po czternastu latach żaźartej walki w sądach ostatecznie odnosi zwycięstwo i to spółdzielnia Domhut musi zapłacić 312 złotych i 80 groszy tytułem kosztów procesu, chociaż do zakończenia są jeszcze cztery sprawy z powództwa spółdzielni.

Andrzej procesuje się także z sąsiadami ze swojej klatki schodowej i z bloku, a nawet z Fundacją „Dzieci Niczyje”, która ratuje z opałów krzywdzone dzieci, i prawie zawsze sam występuje w swoich sprawach, bez prawnika, na którego go nie stać, ale świetnie sobie radzi, bo przez dwadzieścia sześć lat poniewierania się po sądach wszystkie kodeksy ma wyuczone na pamięć.

– Tobie też na pewno założy sprawę, jak napiszesz tę książkę – mówi mi Agnieszka tuż przed swoim wyjazdem do pracy do Norwegii. – On żyje tymi sprawami, procesami, a jakbyś go odciął od tego pieniactwa, to on by umarł. Tylko ta mroczna siła trzyma go przy życiu. I nie tylko wypełnia mu czas, ale napełnia ten czas sensem. A wszystko to zaczęło się w 1989 roku, kiedy jego życie stało się puste.

Ewka Choromańska, czyli nasza wojenna szefowa „Celina”, mówi,

że Andrzej jest jedną z trzech osób z naszej Firmy, dla których razem z Michałem Bonim załatwiła rentę specjalną przyznawaną decyzją prezesa Rady Ministrów ludziom szczególnie zasłużonym dla państwa polskiego. To są świadczenia dla osób ciężko doświadczonych przez los, które nie radzą sobie w życiu codziennym, ciężko chorują, żyją w samotności, niedostatku. Wniosek o taką rentę musi być poparty przez bardzo znaną, zasłużoną postać z opozycji, a obok „Rudobrodego” Andrzeja przyznano ją także Ewce Hołuszko i Hance Kuleszy, o której będzie jeszcze w tym reportażu.

MISTYFIKACJA.

Cholerne prawo cytatu

Andrzej i Fred wiele lat prowadzą kilka różnych blogów. Jedne pojawiają się, inne obumierają i znikają, ale niezmiennie główną problematyką ich wszystkich jest najnowsza historia Polski, a konkretnie dzieje opozycji demokratycznej, ze szczególnym uwzględnieniem konspiracyjnej działalności ludzi związanych z MKK i gazetą „Wola”

Moja działalność z założoną i kontrolowaną przez SB podziemną strukturą Solidarności MKK Wola dała mi wiele do myślenia. [...] Minister Michał Jan Boni, znany jako TW „Znak” Redaktor gazety [...] TW „Staś” Lekarz Ewa Maria „Celina” Choromańska. Minister Biura Bezpieczeństwa Narodowego u „Bolka” Maciej Zalewski. Były wiceprezydent miasta stołecznego Warszawy i były prezes TVP Andrzej Urbański znany jako TW „Kogut”. To tajni współpracownicy Służby Bezpieczeństwa.

Naprawdę majstersztyk SB całe to podziemie (mówię o tych, z którymi współpracowałem) nafaszerowane przygotowanymi wcześniej agentami^[3].

W tym okresie byłem szefem transportu, drukarzem, kolporterem. Od 1989 roku jestem jednym z wielu byłych działaczy podziemia, wyklętych i wymazanych z pamięci, nazwisko moje nie pasuje do nazwisk Boni, Choromańska, Zalewski, Stasiński, Latos^[4].

Maciej Zalewski, były minister BBN u „Bolka”, razem z Kaczyńskimi zakładał Porozumienie Centrum. Po wielu latach przez przypadek

dowiedziałem się, że na co ponieiedziałkowe spotkanie MKK „Wola” u Ewy pijany Zalewski został przywieziony przez esbeków. Na pytanie esbeka, co będzie, jak ktoś zobaczy ich razem – odpowiedział: „Pierdolić robotników, po plecach, byle dorwać się do władzy”^[5].

Kradzież offsetu ze szkoły poligraficznej przy ulicy Stawki miała być wielkim sukcesem, a była to mistyfikacja w uzgodnieniu z SB^[6].

W styczniu 1986 roku [Choromańska] obiecała, że zbada dwoje moich dzieci w szpitalu, w którym wówczas pracowała. Żona pojechała do niej komunikacją miejską (korzystała z trzech linii autobusowych), Choromańskiej nie było, a skutki tego „spaceru” dały jedynie pogorszenie zdrowia dzieci. Kiedy zapytałem, dlaczego nie była w szpitalu, odpowiedź była prozaiczna: zapomniałam. Kiedy R. z A. mieli pilną i pracochłonną robotę dla MKK, Choromańska załatwiła im zwolnienie lekarskie (wystawił jej mąż, pracowali razem) na ten czas. R. zamiast jechać z dziećmi do Choromańskiej na badania, pracował na rzecz MKK, tym bardziej Choromańska powinna być w umówionym miejscu i czasie. Nasuwa się pytanie: jak Choromańska traktuje ludzi? W naszej ocenie ludzi traktuje się jednakowo, albo z dystansem, albo życzliwie. Patrząc na postępowanie Choromańskiej, można odnieść wrażenie, że patrzy na ludzi pod względem ich wykorzystania^[7].

Szanowny Panie Ministrze,

Uprzejmie proszę o zapoznanie się z moim pismem i dołączonymi do niego załącznikami. Do Ministra Sprawiedliwości i Ministerstwa Sprawiedliwości zwracałem się kilka razy w ważnej dla mnie sprawie. Każdorazowo spotykałem się z odpowiedzią, że mojej sprawy nie można załatwić, ponieważ moje wyroki wydał

niezawisły sąd. Po wielu latach spędzonych przed sądami (trzyście) i prawomocnych wyrokach, sprzecznych ze sobą w tym samym przedmiocie rozpoznawanej sprawy, mogę podejrzewać, że niektórzy sędziowie są nie tylko niezawisli, ale także bezkarni. Na skutek takich wyroków mam nadal około czterdziestu tysięcy długu wobec spółdzielni [mieszkaniowej]. Żaden sąd nie napiętnował Spółdzielni „Domhut”, Warszawa, ul. Perzyńskiego 14, że od września 1994 roku nie zawarła ze mną umowy najmu. [...] Złożyłem pozew przeciwko Spółdzielni do Sądu Rejonowego o nakazanie zawarcia ze mną umowy najmu (minęło piętnaście lat mojego czekania), a także zbadanie warunków wymówienia opłat za użytkowanie mieszkania. Kiedy Szanowny Pan zapozna się z treścią wyroków: S.R. III C 318/96 wraz z apelacją tego wyroku oraz S.R. I C 333/06 wraz z apelacją, zauważy Pan, że ustalenia sądów obu instancji wykluczają się wzajemnie i ponadto są prawomocne. To tak, jakbym był na podstawie oceny niezawisłych sędziów jednocześnie wielbłądem i człowiekiem. Proszę Szanownego Pana Ministra o wytłumaczenie tego fenomenu [...]. Proszę uwierzyć, że mam dość ciągłego zebrania o sprawiedliwość. Taka sytuacja narusza moją godność, ponieważ Spółdzielnia rozpowszechnia na mój temat wśród mieszkańców bardzo negatywne opinie. Opinie te opierają się na wyrokach rozpoznawanych przez sąd nierzetelnie, w ten sposób mnie dyskredytują przed mieszkańcami, od których pomocy jestem zależny z powodu mojej niepełnosprawności. Ten kraj, w którym muszę żyć, nie ma nic wspólnego z państwem prawa. Jak obserwuję, prawo jest dla bogatych i silnych, jak też dla kłamców. Moje słowa są gorzkie, ponieważ jestem rozżalony na wymiar sprawiedliwości oraz władzę ustawodawczą, którą Pan reprezentuje. Z powodu lekkomyślności niektórych sędziów nie mogą mnie pomóc organa ścigania, wskazując na czynności

na drodze cywilnej.

Mogę spokojnie stwierdzić, że w wolnej Polsce żyje mnie się gorzej niż za komuny, wtedy nie miałem spraw sądowych i nikt nie chciał mnie wyrzucić z mieszkania. Przez lata pracy w podziemiu, naprawdę w trudnych warunkach, zaniedbałem swoje zdrowie, ale nie po to, żeby mnie wciąż poniewierano w wolnej Polsce.

Oceniając wszystko z perspektywy czasu, żałuję, że nie dałem się zamknąć przez bezpiekę. Teraz miałbym znane nazwisko i bym mógł żyć w większym komforcie. [...] Proszę wybaczyć moje wywody, ale moje pismo kierowane do Szanownego Pana jest moim ostatnim pismem kierowanym do władzy wykonawczej i sądowniczej. Następnym moim pismem będzie skarga do Międzynarodowego Trybunału Praw Człowieka. W podpisanej przez Polskę Konwencji Praw Człowieka odnajdę wiele naruszeń prawa wobec mnie, jestem zdesperowany moją sytuacją. To nie jest groźba lub szantaż, ale wykorzystam wszystkie dostępne dla mnie kroki prawne. Żyję na pograniczu ubóstwa, a muszę mieć trochę komfortu w życiu. Państwu Polskiemu powinno być wstyd za warunki, w jakich żyją osoby głęboko niepełnosprawne. Proszę zauważyć, że dodatek pielęgnacyjny w Polsce wynosi około 150 złotych, zaś w krajach UE około 530 euro.

Przywołam słowa Lecha Wałęsy: „Nie o take Polskę walczyłem”. [...]

Moje pismo kieruję do Szanownego Pana po Pańskiej wypowiedzi medialnej. W telewizji przekazał Pan informację, że listy kierowane do Pana czyta Pan osobiście. Mam nadzieję, że tak jest.

Zawsze pozostaję z wyrazami szacunku i poważania,
A. Andrzej^[8]

Z dużą przykrością zauważyłem tak zwane Święto 4 czerwca, z okazji „wolnych” wyborów. Nikt się ze mną nie skontaktował,

widocznie uznając, że już jestem niepotrzebny; bo i po co? Straciłem wzrok w 1993 roku, jestem bardzo chory, żyję w ubóstwie, mam niepełnosprawność ruchową; po co taka ruina jest potrzebna w jakimś ważnym miejscu? Jak widać, zwycięstwo ma dużo ojców; do przegranej nikt się nie przyzna. Teraz jestem na rencie i chyba muszę zastosować się do parafrazy hasła z PRL: uczcij wspaniały rząd dziś CZYNEM, UMRZYJ, rencisto, przed terminem.

Całkowitą odpowiedzialność za powyższy tekst ponosi niżej podpisany.

A. Andrzej, Warszawa-Bielany^[9]

Autorem pierwszych pięciu urywków najpewniej jest Fred, dwóch pozostałych, w tym listu do ministra sprawiedliwości – Andrzej. To fragmenty najczęściej dużych tekstów, które zawiesili na swoich blogach. Korzystam z nich na zasadzie prawa cytatu i zmieniam tylko na tyle, żeby dało się zrozumieć po koniecznym skrócie i wyrwaniu z całości. Na którymś z blogów znajduję także trzy rozmowy z marca 2012 roku, które z Fredem zostały przeprowadzone dla nieistniejącej już Niezależnej Telewizji Społeczności Blogerów Nowy Ekran.

– SB wszystko wiedziała o MKK, kto, co, gdzie i jak, zanim jeszcze do nich trafiłem – opowiada Fred. – Znała wszystkie nazwiska ludzi, kolporterów, adresy mieszkań, gdzie były spotkania, i wszystkich ludzi związanych ze strukturą.

– A Boni? – pyta prowadzący. – Doktor polonistyki, a dzisiaj minister...

– To najgorsza świnia, jaką kiedykolwiek w życiu poznałem. Nie chciałbym tutaj ubliżać, ale trafię go w taksówce, to powiem mu... [...] Teraz po latach wiem na sto procent, że to nie byli ludzie, którzy założyli sami z siebie strukturę podziemną. Oni byli przygotowani do tego przez służby, żeby poszukać w podziemiu Tajnych Komisji Zakładowych i ludzi, którzy mogą im zaszkodzić. Chodziło o to, żeby

ich zebrać razem, do jednej struktury, żeby mieć nad nimi pełną kontrolę.

– Co się stało z wami, z ludźmi „Solidarności”? – pyta w drugiej rozmowie prowadzący.

– Ci, co nie byli Żydami, tak jak ja, nie mieli bliskich kontaktów. Ja jedyny tam byłem trefny. W osiemdziesiątym siódmym, ósmym, jak co roku na spotkaniu wielkanocnym na Gocławiu, była drobna popijawa. Ja wziąłem ze sobą wino białe, bo następnego dnia musiałem być w pracy, wchodzę, Boni mnie wita, już taki wesolutki, pijaniutki, dobija się do łazienki, bo zamknęła się tam jakaś pijana dupa, za przeproszeniem, i zarzygała całą tę łazienkę, a Boni mi mówi, że „Celina” trochę wypita, ale pojechała po Kuronia, bo on chce ze mną porozmawiać. No to jak przyjechał, przeszliśmy do małego pokoju, ale zanim się odezwał, to zadałem mu trzy proste pytania, na przykład dlaczego, jak był w PZPR-ze, to nie chciał od środka rozwalić tej komuny, tylko musiał przyjść do „Solidarności” jak ta chorągiewka na wietrze, raz tu, raz tam. Wybałuszył tylko oczy i nic nie odpowiedział. On chciał sprawdzić, czy ja będę pasował do towarzystwa, ale okazało się, że nie pasowałem. [...] Ja tam byłem jeden, a na samej górze byli Choromańska, Boni, Zalewski, który po roku, dwóch poszedł do więzienia, a ja to nazywam, że poszedł na szkolenie. [...] Nie spotkałem tam dużo ludzi uczciwych, którzy walczyli po to, żeby ten kraj był naszym krajem, żeby to była nasza Polska, a nie sowiecka, nie niemiecka i nie żydowska przede wszystkim. Okazało się, że cała elita jest żydowska i obrażają nas, Polaków, wyzywają nas od bydła... A to my powinniśmy ich nazywać, że to jest bydło. I ja Boniego mogę nazwać bydlakiem. Ci ludzie pod kontrolą Służby Bezpieczeństwa przejęli całe podziemie i potrzebowali jeleni takich jak ja do niebezpiecznej pracy, do drukowania, wożenia, takich tam...

ŻEGLOWANIE.

Wszystko o moim ojcu

Więcej jak sto razy od jego śmierci tamtędy przejeżdżam. Zawsze kiedy jadę do swoich na Wólkę, na groby moich bliskich, wtedy inaczej jak obok cmentarza na Wawrzyszewie, gdzie leży Mietek, się nie da. Parę razy pomyślałem nawet, że zatrzymam się, zaparkuję gdzieś, wpadnę pogadać, wytłumaczyć, dlaczego nie byłem na pogrzebie, ale jakoś nie potrzebuję, mija siedem lat, odkąd umarł, a ja nie muszę. Mam go przecież niemal na co dzień, jest moim ulubionym, ukochanym bohaterem – teraz na przykład, kiedy piszę te słowa, siedzi na moim ramieniu.

Nie byliśmy przyjaciółmi, za rzadko na to się widywaliśmy, rzecz w tym, że Mietek Kobylecki był człowiekiem, który powiedział mi i pozwolił zrozumieć jedną z najważniejszych rzeczy, mądrości, prawd, które w życiu usłyszałem. I próbuję sprawić, żeby była moja.

Mietek do końca życia, na ile mógł, opiekował się, pomagał w codziennym życiu Andrzejowi „Rudobrodemu”, wypełniał mu czas, odwiedzał, rozmawiał, wychodził z nim połączyć, robił zakupy...

Jakieś dziewięć, może dziesięć lat temu jestem na czarodziejskim poddaszu u Mietka, pijemy kawę, wspominamy starych znajomych i w ramach plotek mówię, że wielu kumpli z Firmy straciło do Andrzeja serce, za to wszystko choćby, co pisze w internecie o kolegach z konspiracji, a Mietek, że guzik go to obchodzi. Bo cokolwiek by było, cokolwiek by nagadał, cokolwiek by nawywijał, narobił złego, straszego, potwornego, to rannego kolegi nie wolno zostawić samego.

Na polu walki, na pastwę losu i wroga. Za nic na świecie.

To najświętsza zasada, obowiązek dziewczyn i chłopaków z Szarych Szeregów, żołnierzy Grup Szturmowych z harcerskich batalionów „Zośka” i „Parasol”. Mietek był jednym z nich.

A jego syn Marcin odziedziczył po ojcu pasję, niepohamowaną namiętność do wody, łódek i żagli, ma nawet własną akademię, w której dzieciaki zdobywają patenty żeglarskie.

– Rozwód moich rodziców to było najlepsze, co mogli zrobić. Paradoksalnie dopiero wtedy zacząłem mieć ojca, bo wcześniej każda poważna rozmowa kończyła się tym, że ojciec zamykał się w pokoju i nie odzywał do nas. Przez miesiąc na przykład. Bo był obrażony. I dopiero kiedy się rozwiedli, zaczęły się nasze wspólne weekendy z dłubaniem przy łódkach i wakacyjne wypady pod żagle na Mazury.

– Chociaż nie przepadał za dziećmi – przypominam.

– Tak. Psów i dzieci nie znosił zdecydowanie. I związków, które polegają na tym, żeby dzielić z kimś czas każdego dnia. Był przeciwnikiem wspólnej codzienności. Traktował kobiety trochę jak zło konieczne, chociaż bardzo je lubił, był nawet kobieciarzem, ale wcale się nie starał, nie zabiegał o nie, a one lgnęły do niego jak muchy, nawet te bardzo młode, czasem nawet więcej niż o połowę. O trzydzieści, czterdzieści lat!

– Miał to coś.

– Miał jak diabli – wspomina Marcin. – Ale lubił oddzielać świat męski od kobiecego. To jestem ja i mój świat, a wam, babkom, nie wolno tam wchodzić. I Jola to akceptowała, była wpatrzona w niego jak w obraz.

Marcin mówi o koleżance Mietka z pracy, dla której rozstał się z żoną, którą nauczył żeglować i której nigdy nie ślubował wierności. Nigdy nawet razem nie zamieszkali. Przez czterdzieści prawie lat jeździł do niej na soboty i niedziele, a w poniedziałki wracał do siebie, a w zasadzie do matki, do domu rodziców, gdzie był Wiesiek, jego brat. Nawet

Wigilie i Wielkanocę spędzali oddzielnie, bo Mietek musiał być z bratem.

– Pytałem ojca, dlaczego nie zamieszka z Jolą – mówi Marcin Kobylecki. – A on, że nie chce zostawić Wieśka samego. Opiekował się nim, bardzo wspierał psychicznie, bo on pistolet, a jego brat cichy, zamknięty, spokojny.

– Nie chce mi się wierzyć, żeby Jola nie naciskała Mietka na „normalne” życie.

– Ale na ojca nie można było naciskać! To niewykonalne, była bez szans. Nawet głupiego telewizora nie mogłem mu kupić. Był kosmicznie, chorobliwie uparty, do tego minimalista. Minimalizm i altruizm to cały mój ojciec. Dla kobiet nie do przyjęcia, szczególnie dla mojej mamy, która była zaprzeczeniem tych cech.

Mietek umiera nawet przez ten swój ośli upór, bo robi się żółty na całym ciele, ale przez dobry tydzień nie można go zmusić, żeby poszedł do lekarza, bo nie znosi, nie cierpi, nienawidzi i nigdy wcześniej nie choruje. Jola w akcie rozpaczony dzwoni więc do Marcina, on zawozi gwałtem ojca do szpitala, ale już nic nie daje się zrobić i kilka dni później Mietek umiera. Dziewięć miesięcy po swoim bracie. Rak trzustki.

I tak jak Mietek przez połowę swojego życia jeździ do Joli w każdą sobotę i niedzielę, tak ona teraz w każdy weekend przyjeżdża do niego na cmentarz.

– Absolutnie w każdy, zawsze z kwiatami i bez względu na pogodę – opowiada Marcin. – A jest przecież starszą panią. Mieszka w Aninie, a ojciec pochowany na Wawrzyszewie, więc przez całą Warszawę musi jechać na ukos, a to jak nic dwie godziny w jedną stronę. I tak przez trzy lata w każdy weekend aż do swojej śmierci. Niezwykła miłość.

– Gdzie jest pochowana?

– Na cmentarzu Bródnowskim – mówi syn Mietka.

- Nie dało się położyć ich razem?
- Nie. Bo oni mają tam grób rodzinny, a ojciec z bratem muszą być przecież razem.

KOLPORTAŻ. Żelazna klamra opowieści

Teraz cofnijcie się na sam początek tej książki, do pierwszego rozdziałiku zatytułowanego *Rozbieg*, gdzie była mowa o wykopaliskach w ogródku Piotrka Stańczaka w Brwinowie, jak odnajdujemy wek z bezcennym karteluszkim, na którym zapisany jest ze wszystkimi nazwiskami i adresami schemat siatki kolportażowej Firmy, którą od tej chwili mam kierować.

Mam tę rozpiskę do dzisiaj.

Więc ruszam z nią przez moje miasto, a w nim już nowe ulice, zamiast Nowotki Andersa, zamiast Marchlewskiego Jana Pawła II, pozniwały domy, wyrosły nowe, zmieniła się numeracja, starzy właściciele mieszkań poumierali albo wynieśli się gdzieś w diabły, a starą chałupę sprzedali. Nawet adresu nie zostawili. Od cholery dużo mieszkań wynajmują obcym, zostawiam więc wizytówki, opowiadam, kogo i dlaczego szukam, ale nie oddzwaniają, a jak nikogo nie zastaję i w drzwi wtykam kartkę z prośbą o kontakt, najczęściej dostaję ochrzan, że nie wolno tego robić, bo to informacja dla złodziei, że nikogo nie ma w domu. Tego muszę wysłuchiwać bez przerwy. Strasznie bojaźliwi Polacy się zrobili. Kiedyś tak nie było.

W lokalu w ogromnym bloku na ulicy Burgaskiej 6 po staremu mieszkają Bogna i Józek Piorunowie. Trafiały do nich paczki z gazetami oznaczone jako K31 i K33, w sumie po dwieście dwadzieścia egzemplarzy „Woli” i „Tygodnika.” Gazety od nich szły między innymi do przedsiębiorstwa geodezyjnego, w którym pracował Józek. Oboje są już na emeryturze i proszą, żebym napisał, że nie narzekają i że w ich

życiu zapanował prawdziwy socjalizm, bo swoje potrzeby dopasowali do możliwości.

Adresy z wielką literą i dwiema cyframi, o których tutaj piszę, to są tak zwane dolne punkty kolportażowe naszej siatki. Co tydzień kolporterzy przynosili do nich paczki z gazetami, które brali na górnych, dzielnicowych punktach kolportażowych. Górny punkt dla Mokotowa na przykład był na ulicy Pułku Baszty, dla Pragi na Turmonckiej, dla Grochowa na Mińskiej... Na te adresy podziemną prasę dostarczali zupełnie inni kolporterzy, którzy w każdy wtorek brali swój ładunek z mieszalnika, najwyższego punktu kolportażowego, który w ostatnich latach, jak pamiętamy, był zorganizowany u Mietka Kobyleckiego od „Zośki”, na ulicy Kasprowicza na Bielanach. Tam gazety trafiały prosto z drukarni z podwarszawskiego Konstancina, mieszczącej się w domu naszego głównego drukarza Andrzeja „Kudłatego” Kamacia, obok którego stała przydrożna kapliczka z Matką Boską. W aureoli Przenajświętszej Paniienki było kilka żarówek, jeśli się świeciły – można wchodzić, jeśli nie, znaczyło, że coś jest nie tak.

Z dolnych punktów gazety trafiały prosto do zakładów pracy. Najczęściej zanosili je tam właściciele lokali, którzy pracowali w tych fabrykach, instytucjach, szkołach, warsztatach, szpitalach, redakcjach... Zasada była bardzo prosta – Tajna Komisja Zakładowa „Solidarności”, która chciała dostawać prasę, musiała dostarczyć nam adres na punkt kolportażu.

Pieniądze za gazety wracały dokładnie tą samą drogą, tylko że nie dochodziły do mieszalnika, bo on był święty i ruch wokół niego powinien być jak najmniejszy. Odbierałem je z górnych punktów i przekazywałem Michałowi Boniemu, który był naczelnym naszej gazety „Wola”

W mojej rozpisce z adresami sprzed lat jest także rubryka REZERWA W LUDZIACH. To ci, do których w razie potrzeby, na przykład w razie

jakiej wsypy, mogłem się zwrócić o pomoc. W rezerwowym lokalu na ulicy Lanciego mieszka Anka Hebdzińska z matką.

Anka urodziła się w 1962 roku i od ukończenia szkoły pielęgniarskiej pracuje w Publicznym Szpitalu Klinicznym imienia profesora Witolda Orłowskiego na ulicy Czerniakowskiej w Warszawie. Razem z Jolą, Małgosią, drugą Anką i ze swoją rodzoną siostrą Grażyną, które są pielęgniarkami bądź pracownicami laboratorium w Szpitalu Kolejowym naszej szefowej Ewy Choromańskiej, aż do końca wojny noszą gazety z mieszalnika na górne punkty. Ojciec Anki i Grażyny też działa w podziemiu, a ich matka nie ma zielonego pojęcia, że wszyscy domownicy są w głębokiej, solidarnościowej konspiracji. Chodzi o to, żeby jej niepotrzebnie nie niepokoić.

– Co się dzieje u ciebie przez te dwadzieścia sześć lat? – pytam Ankę Hebdzińską.

– Eee, nic. Tatuś umarł. Doczekał jeszcze pierwszych wyborów prezydenckich, ale był już w szpitalu, więc kazał się przenieść na wózek i zawieźć do punktu wyborczego, żeby oddać głos na Wałęsę, a potem umarł. A osiem lat temu umarła Grażynka. Też na raka. Chcieliśmy, żeby w Polsce było lepiej, a potem jak to już się stało, to każdy ciach i w swoją stronę. A jeszcze potem czegoś zaczyna brakować.

Jola z ulicy Człuchowskiej też była rezerwą w ludziach. Pamiętam, że byłem u niej po coś kilka razy w tamtych czasach, ale teraz zupełnie nie mogę trafić. W ogóle nie ma takiego numeru na tej ulicy, na której w pierwszych miesiącach polskich przemian spędziłem mnóstwo czasu.

Zaczyna się od tego, że w końcu 1990 roku po raz kolejny tracę robotę, tym razem w sklepie spożywczym u pani Steni na placu Szembeka na warszawskim Grochowie, która na koniec oszwabiła mnie i nie zapłaciła mi tyle, ile się umawialiśmy, więc jak każdy Polak w owym czasie postanawiam zainwestować w łóżko polowe i spróbować swoich sił jako biznesmen. Idę w dresy. Chińskie, bawełniane, żółte, zielone

i niebieskie, które, jak widzę, wszystkim idą jak woda. Rozstawiam swoją polówkę wśród tysięcy innych łóżek, stolików turystycznych i straganów typu szczeka na ulicy Marszałkowskiej pod Domami Towarowymi Centrum albo na ogromnym bazarze pod Pałacem Kultury i Nauki. Po początkowym mikroskopijskim sukcesie wszystko raptownie siada, ludzie przestają nawet patrzeć na moje dresy, przenoszę się więc z centrum miasta pod Halę Wola na ulicy Człuchowskiej, którą w tamtej sypialnianej okolicy miasta nazywają Halą Człuchowską właśnie.

Ale warszawiacy mają już po dziurki w nosie chińskich dresów z bawełny i wszelkiego dobra z Państwa Środka, są dni, w których przez kilkanaście godzin stania na mrozie nie sprzedaję żadnej szmaty. Żadnej! Ani jednej, nikt nawet nie zanurza łap w mojej bawełnie. Młodziutka żona oblepiona maleństwami wita mnie każdego dnia wieczorem w drzwiach i niezmiennie pyta przerażona, ile sprzedałem. Nic kompletnie – mogę tylko jęknąć, bo jestem sztywny z zimna, głodny, śmiertelnie zmęczony i też przerażony, a ona któregoś razu daje mi ogłoszenie wyrwane z drugiej strony gazety.

Dział informacji krajowej „Gazety Wyborczej” poszukuje współpracowników: energicznych, młodych, wykształcenie dziennikarskie raczej niewskazane, najlepiej świeżo po studiach, dobrze, jeśli znają jakiś język obcy.

Prosimy, aby chętni zgłaszali się do działu politycznego osobiście od poniedziałku 18 lutego do środy w godzinach 12–13.00, ul. Iwicka 19.

Ten karteluszek też mam do dzisiaj.

Podobno przychodzi siedemset osób. Nabór prowadzi Romek Kurkiewicz, który jest jednym z szefów działu politycznego, daje mi jedną kartkę i każe napisać, co widzę w pokoju, w którym rozmawiamy. Piszę więc, potem sam mu czytam, bo strasznie bazgrzę, a on mówi,

żebym przyszedł następnego dnia, to jestem, a on tym razem chce, żebym znalazł sobie temat i napisał artykuł. Piszę, a on go drukuje i jestem jednym z siedmiu przyjętych. Nazywają nas Kurkiewiczowym naborem, ale kilka miesięcy później Romek nie wytrzymuje i wyrzuca mnie do działu reportaży, bo wszystkie teksty, które mu oddaję, są za długie. Jestem tam do dzisiaj.

Dwa lata później Romek jest już szefem „Magazynu”, reporterskiego dodatku do gazety, i proponuje, żebym napisał dla niego reportaż o kałasnikowie. Ma na myśli karabinek automatyczny, sławnego kałacha, ja się godzę, bo temat bardzo mi się podoba, biorę się do roboty i odkrywam, że twórca tej broni żyje, i tak pierwszy raz w życiu trafiam do Rosji, która staje się moją reporterską specjalnością. A jeszcze dwa lata później, ale już bez udziału Romka, zabieram się do pisania tekstu o Firmie.

Chcę uczcić piątą rocznicę wolnej Polski, ale zupełnie mi się to nie udaje. Siódmą wersję tekstu rwę w złości na drobne kawałki i pożeram. Wtedy jeszcze w naszej redakcji artykuły oddawało się przełożonym wydrukowane na papierze, ale życiorysy moich bohaterów wychodziły mi ciągle byle jakie, mało brawurowe, niefotogeniczne. Jeśli tak będzie i tym razem, to wybaczcie – może jednak warto wiedzieć, kto robił tę naszą rewolucję. Musicie to wiedzieć.

To najdłużej więc pisany tekst w moim życiu. I pewnie nigdy bym się do niego nie zabrał, bo boję się tego tematu jak ognia, jak niespodziewanej albo przewlekłej śmierci, gdyby nie to, że mieliśmy dwudziestą piątą rocznicę powstania III RP.

Rezolutny czytelnik połapał się pewnie, że siedem zdań, które są powyżej, niemal dosłownie kopiuję ze wstępu do pierwszej części książki. To sztuczka pisarska nazywana kłamrą, którą reporterzy uwielbiają spiąć tak, żeby na koniec wrócić do tego, co było na początku, żeby zamknąć tym, czym rozpoczynaliśmy. Tyle że jesteśmy

dopiero w trzech czwartych objętości książki, i jeśli czytacie te słowa w tym miejscu, to znaczy, że nie udało mi się przenieść tych kilku zdań na koniec, gdzie rasowa kłamra powinna się znaleźć, albo skonstruowałem zupełnie inną kłamrę, zupełnie inne zakończenie.

KOLPORTAŻ. Nadlatuje eskadra heinkli

Żeby się dostać do lokalu MI w starej kamienicy na ulicy Szaserów 89 na warszawskim Grochowie, trzeba zapytać: „Czy pani wykonuje rysunki techniczne?” Nie wiem, dlaczego ten punkt jako jedyny w naszej siatce kolportażowej po wielkiej literze zamiast dwóch arabskich cyfr miał rzymską jedynkę. Brali osiemset trzydzieści egzemplarzy „Woli” i dwieście pięćdziesiąt „Tygodnika Mazowsze”, zatem bardzo dużo jak na dolny punkt.

Nikogo nie ma w domu, więc zostawiam kartkę z prośbą o telefon. Kilka dni później dzwoni mężczyzna, który mówi, że ma na imię Edward i że wynajmuje to mieszkanie, bo starsi państwo umarli. Opowiadam mu, o co chodzi, a on, że w takim razie byliśmy po przeciwnych stronach barykady, bo w tamtym czasie był żołnierzem zawodowym na północy kraju.

– A sam rodem jestem z Suwalszczyzny – mówi. – Rodzice i dziadowie walczyli za Polskę, to rozumiem tematy. Bandy, UPA, te rzeczy, to sam pan widzi, że mnie w tym temacie nie ma. Nie chcę nigdzie występować. I żonie pan nic nie mówi, bo też może dzwonić, bo to ona kartkę znalazła. Pan jej mówi, że pomyłka.

Pan Edward opowiada, że w piwnicy czy na pawlaczu znalazł niewielki karton pełen pamiątek po poprzednich mieszkańcach. Szkolne świadectwa, fotografie, licencja pilota i osobisty dziennik jego lotów, świadectwa urodzenia i chrztu, dyplom inżynierski, pamiątka pierwszej komunii, patent oficerski, różne odznaczenia, legitymacje służbowe i rozmaitych organizacji, w tym Towarzystwa Przyjaźni Polsko-

Radzieckiej numer 498898, ale składki płacone są tylko dwa lata, w 1950 i 1951 roku. Pan Edward znalazł też odręcznie spisany życiorys i kilka kartek, na których ktoś spisał na maszynie swoje wspomnienia, a także spory zbiór etykiet napojów wyskokowych.

– Są nawet legitymacje „Solidarności” starszych państwa i legitymacja Krzyża Kawalerskiego Orderu Odrodzenia Polski, którą podpisał Lech Wałęsa – mówi pan Edward. – Spadkobiercy właścicieli tych pamiątek mieszkają w Szwecji, pytałem, co z nimi zrobić, to mi powiedzieli, żebym wyrzucił. Jakże tak?! I wpakowałem z powrotem wszystko na pawlacz.

– Wspaniale pan zrobił! – Cieszę się i umawiamy się na oglądanie pamiątek.

Ale wyjeżdżam na wyprawę w góry Karakorum, potem piszę o tym książkę, więc na Szaserów 89 wracam półtora roku później. Pan Edward już tam nie mieszka, rozmawiam więc z panią Teresą, sąsiadką gospodarzy lokalu MI, którzy nazywali się Stefania i Stanisław Liszewscy. Ona pracowała w Państwowym Wydawnictwie Naukowym jako redaktor, on w Polskich Liniach Lotniczych LOT, a potem w Instytucie Kolejnictwa. W pierwszej połowie lat dziewięćdziesiątych umiera pani Stenia, dwa lata później pan Stanisław, leżą na cmentarzu Bródnowskim. Nie mieli dzieci. Ich mieszkanie wynajmuje teraz kiluosobowa grupa studentów. Oni także znajdują karton z pamiątkami po państwie Liszewskich, także pytają, co z nimi zrobić, także dostają odpowiedź, żeby wyrzucić, i także nie mają serca, żeby to zrobić.

Ja wiem, że to nie jest na temat, ale jak tak bardzo chcą zatrzeć o kimś wspomnienie, zniszczyć o nim pamięć, to może przez przekorę albo z szacunku dla nieznanego bohatera warto choćby na jednej, dwóch stroniczkach, skrótowo (bez zgody i wiedzy spadkobierców), utrwalić jego istnienie, tym bardziej że ich imiona cudem udało się ocalić, wydobyć z niepamięci.

Wspomnienie porucznika Stanisława Liszewskiego

Jestem ostatnim pilotem żyjącym w kraju z 211 Eskadry Bombowej „Łosi”

31 sierpnia 1939 roku przebazowaliśmy się na lotnisko Ułęż koło Dęblińska. 1 września na rannej odprawie dowódca dywizjonu zlecił nam na podstawie rozkazu naczelnego dowództwa, aby w miarę możliwości wykonać rozeznanie lotnicze w głąb terenu nieprzyjaciela. Wypełniając rozkaz, dolecieliśmy aż nad Wrocław. Dla Niemców był to szok, kiedy rozpoznali samolot polski. Zaczęli do nas strzelać, z czego tylko się dało. Do samolotu leciały stróżki ognia, momentalnie więc zacząłem wykonywać lot zakosami, aby celowniczym utrudnić namierzenie samolotu.

W drodze powrotnej zbombardowaliśmy stację kolejową w Kluczborku. Niemieckie myśliwce wnet popędziły za nami, ale doskonałe „Łosie” nie dały się złapać.

Ranek 3 września był cudowny. Lecąc w rejonie Częstochowa–Radom–Wieluń, rozpoznaliśmy zgrupowanie niemieckich wojsk pancernych, dowodzonych przez generała Reichenau. Już następnego dnia siedemnaście „Łosi” zbombardowało tę kolumnę, a tym samym opóźniło hitlerowcom marsz na Warszawę. Zrzuciliśmy wpierw po sześć bomb i w drugim nalocie również po sześć bomb. Bomby dobrze trafiały w cel, o czym sygnalizowały palące się czołgi. Cała droga zasłana palącymi się czołgami. Widzę dokładnie Niemców machających do nas białymi flagami do poddania się. Ale jak z samolotu można brać ich do niewoli?

W następnym nalocie, po zrzuceniu bomb, na prośbę strzelców obniżyłem lot, aby mogli celniej strzelać z karabinów maszynowych. Strzelanina była wspaniała, aż trząśnięto samolot. I tu nastąpiła tragedia. Z czołgu, który stał przed nami, zauważyłem błysk. Został

uszkodzony lewy silnik, a ja zostałem ranny w głowę. Ponadto odłamki złamały mi lewą rękę, która zwisała bezwładnie, lewe oko zalewała krew spływająca z czoła. Postanowiłem zawalczyć ze śmiercią. Złapałem stery między kolana i prawą ręką dodałem gazu, lecz silnik nie pracował. Zdecydowałem o skoku mych kolegów na spadochronach. Nie chciałem być zimnym mordercą, gdy stracę przytomność. Miałem duży upływ krwi, ale nie chcieli mnie opuścić, pragnąc w ten sposób ubezpieczyć samolot od niemieckich myśliwców. Natychmiast po wylądowaniu straciłem przytomność. Po krótkiej chwili koledzy wyciągnęli mnie z samolotu. Z rękawa i czoła spływają strugi krwi. Jak przez sen słyszę alarm. Nadlatuje eskadra bombowych Heinkli. Słysząc świst spadających bomb. Koledzy przeciągają mnie do rowu i w tym momencie dostałem trzecią ranę w lewy bark. W lesie zaczęły wybuchać nasze bomby, zamaskowane tam przed okiem lotników wroga. Jeżeli istnieje piekło, to ja takowe wówczas przeżyłem. Dowódca dywizjonu widząc, w jakim jestem stanie, zapowiedział, że za ten bohaterski wyczyn uratowania czterech lotników i samolotu wystąpi z wnioskiem o odznaczenie mnie Krzyżem Orderu Virtuti Militari.

Szpitala wojskowe w Łodzi były do tego stopnia przepełnione, że oczekując na pomoc, broczyliśmy silnie krwią, więc pojechaliśmy do szpitala położniczego, dostałem zastrzyk i niezwłocznie zostałem ułożony na stole operacyjnym. Wyjęto odłamki z lewego barku. Aparat Rentgena był uszkodzony, a ponadto brakowało gipsu do złożenia złamanej ręki. W atmosferze takiej tragedii ustrojono mój pokój kwiatami, a dla nowo narodzonego dziecka zostałem ojcem chrzestnym. Następnie etapami odwieziono mnie do szpitala w Łucku. Wkroczenie Armii Czerwonej w dniu 17 września 1939 roku, a następnie wywózka w głąb Rosji Sowieckiej uniemożliwiły mi łączność z krajem aż do 1946 roku.

SKUCHA.

Tkliwość cokolwiek palpacyjna

– Obrazowo działa to tak – tłumaczy. – Na stację wjeżdża pociąg i ci najbardziej rezolutni do niego wskakują, a reszta zostaje. Pociąg odjeżdża, wtedy ci, co są w środku, wychylają się w biegu z okien i krzyczą: „Pierdolcie się, zdychajcie na tym peronie!” Skucha, brachu. Ta władza, co jest teraz, jest gorsza od komunistów.

Nazywa się Janek Mojka. Wymyślił, że w konspiracji będzie „Klingą”, ale z takim nazwiskiem jest bez szans, bo w warszawskiej i więziennej gwarze mojka to żyletka albo bandyckie ustrojstwo z żyletki, które służy do cięcia facjaty, więc w Firmie wszyscy mówią do niego Janek albo po nazwisku, tym bardziej że narwany, zadziorny i zawzięty jak terier szorstkowłosy. To zwierzę, co da się zarznąć, a nie odpuści, chociaż nie jest głupie. Bardzo pożyteczny pies o mądrych, wesołych oczach, z którym nawet da się pogadać, jak się nagania, potem napije zimnej wody i uspokoi.

– Na czym ci zeszło dwadzieścia sześć ostatnich lat? – pytam go od czapy.

– Sprawa IIIc 1624/91 – recytuje sygnaturę sądową z pamięci. – Rozwodziłem się.

– Przez dwadzieścia sześć lat?!

– Tak jakby. Wszystko przez „Solidarność” i stan wojenny. W domu zaczynają nachodzić mnie ubeki, a moja była baba słaba psychicznie, nie wytrzymuje tego, choruje ze strachu i kładzie lachę na małżeństwie. Bracie, ja na taką rurę sędzinę trafiam, że głowa boli. Posłuchaj, co pisze w wyroku rozwodowym: „Pozwany ciągle wychodził z domu i nigdy

nie mówił dokąd, a na pytanie powódki, dokąd się wybiera, arogancko odpowiadał, że nie jest u prokuratora.”

Kiedy rozmawiam z Jankiem dwadzieścia lat wcześniej, opowiada tylko o tym. Jest świeżo po sprawie rozwodowej, która ciągnie się kilka lat i kończy orzeczoną przez Sąd Wojewódzki w Warszawie rozwodem, chociaż Janek przynosi sędzi usprawiedliwienie, że w latach 1982–1989 nie chodził do kochanki, tylko na zebrania konspiracyjne. Dokument podpisuje minister Michał Boni, który wtedy jest szefem resortu pracy i polityki socjalnej, a w czasach konspiracji jednym z naszych liderów i drugim z kolei redaktorem naczelnym wydawanej przez nas gazety „Wola”

Janek jest jedynym z naszej grupy, który przychodzi w wolnej Polsce do Michała i o coś prosi ministra. Właśnie o ten papierek.

– A wiesz, co to jest tkliwość palpacyjna? – pyta mnie Janek.

– Pierwsze słyszę.

– Jak cię ktoś dotknie, to musisz zajęczeć, bo cię boli. Do tego siniec w dwóch miejscach, podbiegnięcie i to jest dowód, że cię pobito. Z taką obdukcją moja baba idzie do sądu i bierze jeszcze koleżankę z pracy, bo nie chcę się zgodzić na ten rozwód. Tę drugą babę pierwszy raz w życiu na oczy widzę, a ona ma świadczyć o stosunkach w domu panujących. Opowiada, jaką tę moją babę widziała pobitą. Dotkliwie. A sędzina chłonie te bajki jak gąbka. Ona traktuje naszą sprawę jak misję odwetową na wszystkich chłopach. No to mam te zeznania, obdukcję i francę sędziny...

– Ożeż ty!

– Autentyczna kurwa. – Janek pęka ze śmiechu. – Normalnie drze na mnie mordę na sali sądowej. Dostaję od niej propozycję, że jak się przyznam, to mogę liczyć na przychylność sądu, złagodzenie kary. A więc kara już z góry jest ustalona i tylko jest problem, czy złagodzić, czy może przyostrzyć. Mówię, że w życiu się nie przyznam,

i wygarniam, że sąd mnie namawia do składania fałszywych zeznań, co jeszcze bardziej ją rozwściecza i orzeka rozwód z wyłącznej winy pozwanego, czyli mojej. Od razu piszę list do ministra sprawiedliwości, że postępowanie przypomina mi hitlerowski Sondergericht albo sowiecką czerezwyczajkę, więc wzywają mnie do ministerstwa, pogadali, ale nic z tego nie wychodzi.

– A czy tyś jej, Janek, przypieprzył? – pytam kolegę.

– Mojej byłej babie? Nie. Myśmy to przerobili w początkach małżeństwa, kiedy jeszcze się dotykaliśmy, że wystarczy ją mocniej ścisnąć za rękę, a jej sińce wyłażą. Nie musi się nawet uderzyć. Ona jest gruba, z tak zwanych puszystych.

– I dlatego ma taką wrażliwą skórę?

– Pewnie tak. A od rozwodu moja była nie chce płacić za czynsz, a nawet za telewizor, telefon, światło i łazienkę, bo ciągle mieszkamy pod jednym dachem w moim mieszkaniu – opowiada Janek, kiedy widzimy się ostatni raz. – Sobie oczywiście zabiera większy pokój, ten z telewizorem i wyjściem na balkon. To wszystko byłoby jeszcze pół biedy, ale postanawia mnie skubnąć na całego. Wyłudza w Spółdzielni Mieszkaniowej „Imielin” kwit CR 173/93, że chałupa jest jej jako wspólnota dorobkowa uzyskana w trakcie małżeństwa, bo wносиła na konto spółdzielni różne opłaty, a mnie oświadcza: „Idź, kurwa, pod most i szukaj kartonów, póki nie jest zimno”

– Bo jest jesień?

– No. A to przecież moje mieszkanie, majątek odrębny, do którego po ślubie niczego nie wniosła poza maturą z liceum, biurkiem z lat pięćdziesiątych, komodą i zabytkowym zegarem z powojennego szabru. Była bierze śmiecia adwokata, który figuruje na liście agentów UB, sporządzają pozew o podział wspólnoty majątkowej i z tym fałszywym dowodem CR 173/93 zanoszą do sądu. Chcą całego mieszkania, albo chociaż połowy, i szesnaście innych roszczeń mają, o telewizor, wersalkę,

fotel, takie tam... Pytam ją, dlaczego tak kłamie, a ona, że to przecież nie ona, tylko jej adwokat.

Ta sprawa toczy się w wielu różnych sądach ponad jedenaście lat. Janek nie ustępuje ani na milimetr, walczy, twardo trzyma się swoich racji.

– Ten nasz proces z sygnaturą II NS 546/93 o mieszkanie prowadzi młodziutka asesorka z Sądu Rejonowego Warszawa-Mokotów – Janek wspomina początki kolejnej batalii. – Więc na sali rządzi adwokat mojej byłej baby, a to taka stara, wyszczekana papuga, wypasiony TW z listy agentów, kurde...

– Przestań z tą listą, bo tam jest paru naszych kolegów z partyzantki.

– No, jest, jest... A u mnie co chwila policja z pałami, którą wzywa moja baba do awanturującego się po pijaku byłego męża. To znaczy do mnie. Kolekcjonuje dowody, a ja przecież niepijący jestem. Trzy składy orzekają. Ta mała, potem jej starsza koleżanka, która w tej chwili jest prezesem sądu w Pruszkowie, i na koniec jeszcze inna baba. Ta ostatnia coś kombinuje, to składam wnioski o wyłączenie jej ze składu, ale się nie udaje, więc na ostatnie posiedzenie w ogóle mnie nie wzywa. Wszystko rozgrywa się 24 stycznia 2005 roku. Przy pustej sali. I baba fałszuje jeszcze protokół, bo pisze, że nikt się nie stawił, chociaż strony powiadomione prawidłowo. Ale nie powiadomiła. A po paru miesiącach dostaję postanowienie, że wprawdzie mieszkanie jest moje, ale mam mojej byłej babie zapłacić pięć tysięcy złotych jako ekwiwalent pieniężny za ruchome składniki majątku i sto dziewięćnaście złotych kosztów rozprawy. Nooo, w życiu!

– Co robisz?

– Piszę apelację. Odrzucają. Bo można tylko do siedmiu dni od ogłoszenia wyroku. Więc żądam uzasadnienia. Odrzucają. To wnoszę o przywrócenie terminu na wnoszenie apelacji. Znowu odrzucają. To piszę do sądu okręgowego...

– Zlituj się...

– Więc mówiąc w skrócie: sprawa z moją byłą babą wisi do tej pory. Sąd każe mi jej zapłacić, ale ona już tego nie wyegzekwuje. Zgromadziłem osiemnaście różnych dowodów o przestępstwie sądowym na moją niekorzyść i, mówiąc skrótowo, ciągle piszę, piszę i piszę nowe odwołania, aż komornik nie wyrabia i wreszcie odstępuje od egzekucji. Ta sprawa jest tak zagmatwana, że nawet ja, który z tej sprawy żyję już ponad dwadzieścia lat, gubię się w papierach.

– A twoja żona? Była.

– Wyprowadza się w 1996 roku. Do swojej matki, która ma siedemdziesiąt metrów na Mokotowie. Bierze tylko to, co przyniosła: biurko, komodę i ten piękny zegar ze złocistym cyferblatem, ciężarami, rzeźbionymi balasami i wahadłem. Biurko też bardzo ładne, ogromne, cyzelowane, że można by do ministerstwa wstawić i by nie szpeciło.

NARASTANIE. Dwadzieścia dziewięć nazwisk

Od orzeczenia wyroku nakazującego Janowi Mojce wypłacenie byłej żonie pięciu tysięcy złotych i pokrycia kosztów sądowych Janek prowadzi wojnę, której opis rozpoczyna się tak: „Padłem ofiarą zaplanowanego przestępstwa zrealizowanego przy aktywnym udziale sędziów i asesorów Sądu Rejonowego dla Warszawy-Mokotowa”. To pierwsze słowa pisma, które Janek wysyła do prokuratora generalnego, ten przekazuje je do prokuratury apelacyjnej, apelacyjna do okręgowej, a okręgowa do rejonowej na warszawskiej Woli.

– Tam szefową jest baba, a zastępuje ją facet. – Janek za każdym razem sypie z pamięci nazwiskami sędziów i asesorów. – Ci już nie mają jak się wymigać, bo niżej nie ma nikogo. Po trwających cztery lata czterech postępowaniach wyjaśniających we wrześniu 2012 roku odmawiają wszczęcia śledztwa, za to niszczą wszystkie dowody przestępstwa sądowego, które zgromadziłem.

Janek wręcza mi kopię trzykartkowego listu wystukanego na maszynie do pisania.

Pan Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej

Wnioskodawca:

Jan Mojka

ul. Szałamowa 13 m. 33

02-264 Warszawa

Dotyczy: Odpowiedź na pismo Kancelarii Prezydenta RP

Ogólnikowy charakter odpowiedzi pozwala sądzić, że moje zarzuty i wnioski dotyczące postępującego rozkładu władzy państwowej zostały przez Pana Prezydenta zakwalifikowane jako materiały do kosza na śmieci.

Przypominam: ujawniłem i dowodowo udokumentowałem fakt, że w Sądzie Rejonowym dla Warszawy-Mokotowa działa bezkarnie zorganizowana grupa przestępcza złożona z sędziów tego Sądu, pozorując dla celów przestępczych funkcjonowanie wymiaru sprawiedliwości [...].

Udokumentowałem fakt, że prokuratorzy z Prokuratur: Generalnej, Apelacyjnej, Okręgowej i Rejonowej, a wcześniej Prokuratury Krajowej, poczynając od maja 2009 roku, skutecznie blokują ustawowo zagwarantowaną możliwość rozpatrzenia i procesowej oceny dowodów sądowego przestępstwa. W sensie formalnym jest to pomocnictwo w przestępstwie. [...]

– Jednak ani prezydent, ani prokurator generalny, ani żaden sąd nie chcą się tym zająć – mówi pogodnie Janek. – Parlamentarzyści, do których piszę, nawet nie odpowiadają, to w zeszłym roku rzucam sprawę za granicę.

Pismo do warszawskiego Biura Instytucji Demokratycznych i Praw Człowieka Organizacji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie zatytułowane *Rzeczpospolita Polska – państwo zdemoralizowanej władzy, bezprawia i pozorowanej demokracji* ma dziesięć stron, dwie pełne teczki z załączonymi dokumentami i dwadzieścia dziewięć nazwisk polityków, sędziów i prokuratorów, na których Janek się skarży. Mój kolega z podziemia pęka ze śmiechu, kiedy opowiada, z jakimi przygodami wiąże się oddawanie tego pisma adresatowi, bo wszyscy pracownicy biura, poczynając od portiera, stają na głowie, żeby tego uniknąć, zniechęcić go.

– Ja już przekroczyłem ten etap, kiedy się wkurwiałem – mówi Janek.
– Teraz się tylko śmieję.

– Wyjeżdżałeś kiedy nad morze, w góry? – pytam byłego konspiratora.

– Tylko jeden raz w życiu – on na to. – Bo wiesz, trzeba było zapierdalać, forsa była potrzebna, kurczę, potem „Solidarność”, безпеka w chałupie... Jeszcze w małżeństwie, za komuny, nad morze z dzieckiem do Rewala pojechaliśmy.

– To ty masz dziecko?!

– Córkę. Jagodę. Widzę ją ciągle, jak stoi i płacze, bo na jej oczach rozpierdala się rodzina. Córka nie chce zeznawać w sądzie przeciw żadnemu z nas. Ma czternaście lat, jak wreszcie dostajemy rozwód, a potem każde z nas, cała trójka, żyje oddzielnie w swoich pokojach, ale pod jednym dachem. Taki stan trwa bardzo długo. Jagoda wyprowadza się w 1998 roku, dwa lata po swojej matce. Nie widzę jej już z pięć lat.

Janek nie wie nawet, gdzie mieszka ani gdzie pracuje. Raz albo dwa razy do roku dzwonią do siebie na święta i czasami wysyłają SMS-y z życzeniami.

Janek pięć lat temu idzie na emeryturę. To znaczy osiąga wiek emerytalny i odchodzi z pracy, ale nie załatwia żadnych formalności i nie pobiera pieniędzy, które, jak na polskie warunki, nie byłyby takie małe – pewnie ze dwa i pół tysiąca na rękę. Nie występuje o emeryturę, bo gdyby na jego koncie pojawiły się pieniądze, natychmiast zostałyby zajęte przez komornika. Chodzi o pięć tysięcy, które według sądu powinien zapłacić byłej żonie z tytułu podziału ich majątku, i sto dziewiętnaście złotych kosztów rozprawy.

– Janek! – chyba trochę się unoszę. – Jakbyś został emerytem, od pięciu lat, lekko biorąc, dostawałbyś trzydzieści tysiąków rocznie, a to by było razem sto pięćdziesiąt tysięcy. Oddajesz komornikowi tę piątkę plus sto dziewiętnaście złotych dla sądu i jesteś sto czterdzieści

pięć tysięcy do przodu! Wreszcie byś nie biedował.

– Zgadza się, ale nie dam tej piątki. Ani stu dziewiętnastu złotych. W jednym z pism do sądu na Mokotowie piszę, że nawet gdyby moje koszty wycenili na jeden grosz i on zostanie rozłożony na raty, to ja i tak nie zapłacę.

– Nie szkoda ci życia?

– Dlaczego ma być szkoda? – dziwi się Janek. – Gdyby nie problem z córką, to wcale nie uważałbym mojego życia za przegrane... Choć z upływem lat narasta we mnie poczucie wstydu, że przyłożyłem rękę do budowy tego, co powstało na gruzach PRL-u.

WAROWANIE.

Wszystko o moim ojcu

Rudy to rozczochrany, tłusty brzydal na krótkich łapach i z mordą Wielkiego Mistrza Yody z *Gwiezdných wojen*. Oczywiście nie jest zielony jak Yoda, tylko rudy, stary i podługowaty, co by znaczyło, że w bardzo dalekiej rodzinie miał jamniora. I łagodny jest jak jego właściciel.

– Był niczyj, pewnie uciekinier z worka przeznaczonego do utopienia – opowiada Anka Satel, córka Ryśka, szefa poligrafii w Firmie. – Błąkał się po wsiach i znany był z tego, że był pies na baby, a jak gdzieś która ciekła, Rudy wiedział o tym pierwszy i pierwszy zawsze tam był, warował. Do tej pory tak mu zostało, bo jeszcze nie wie, że od roku jest wykastrowany.

Rudy najczęściej rezyduje w Starych Lipkach za Łochowem, na wschód od Warszawy, gdzie Rysiek z żoną Majką wynajmują działkę z małym domkiem, w którym spędzają weekendy i wakacje, ale któregoś razu przyjeżdżają, a ich zaprzyjaźnionego psa nie ma. To bardzo dziwne. Rysiek pyta sąsiadów, co się stało, i dowiaduje się, że ktoś z miejscowych zapakował Rudego do worka i wywiózł precz gdzieś daleko. Bo taki brzydki, rudy, śmierdzi i bez pytania włazi na podwórka. Ryś wsiada w samochód, jeździ po okolicy i szuka. Krąży po wsiach, lasach, polach tak długo, aż znajduje.

– Potem razem wracają na działkę. – Anka wyciera oczy. – Wzruszyłam się, bo mój ojciec jest bardzo silnym, odpowiedzialnym facetem, a jak znalazł Rudego, to po prostu siedzi przed domem i płacze. Ze szczęścia, że mu się udało. A że akurat wyjątkowo jest sam, może sobie milczeć,

płakać i nie musi udawać, że jest silny.

Tak Rudy dziesięć lat temu trafia do ich domu, dziwnego, maleńkiego mieszkanka w bloku na warszawskiej Ochocie, w którym kuchnia jest w korytarzu, a w kuchni do dzisiaj dziecięcy pokój.

Teraz Anka jest dziennikarką, a jej Mania kolejną przybłądą uratowaną przez Ryśka. To jedyny chyba przypadek na świecie, kiedy dziecko się opiera, a matka i ojciec wrabiają je w psa.

– Ja nie mam dzieci – mówi dziewczyna. – Rodzice nie mają więc wnuków, to całą miłość przelewają na Rudego i Manię, kupują im chrupki, sweterki, chodzą do lekarzy, w weekendy wożą na powietrze, w lecie na wakacje... A każdą niedzielę Rudy lubi rozpocząć z rodzicami od kawy i ciastka. Taka ich cotygodniowa sielanka.

– Zalewasz!

– Nic podobnego. On naprawdę uwielbia posiedzieć przy kawie i wciągnąć pączka. Jak literat. Mama karmi psy wszystkim, co jedzą ludzie. Pączki, naleśniki, pasztet, jajka sadzone, parówki, ale chude. Nawet Rudego, który był sprężyną, tak udało jej się utuczyć, że trzeba go wnosić po schodach.

A na wsi jest już trzeci pies, kundel Bandzior, ale z właścicielem, gospodarski, podwórzowy, tyle że go nie karmią, więc Rysiek w swojej drewnitni wije mu posłanie i troszczy się o jego jedzenie. W końcu zeszłych wakacji zaskoczony Bandzior odruchowo lekko gryzie dwunastoletniego chłopaka z miasta, który go przestraszył. A pies wsiowy, nieszczepiony, więc okolica ustala, że Rysiek ma go uśpić.

– I ten mój ojciec, bojownik i rewolucjonista, wymyśla, że dla Bandziora tak będzie lepiej – opowiada jego córka Anka. – Bo jak rodzice wyjadą, to ci ich zakochani w zwierzakach sąsiedzi z pinczerkami, kulturalni wczasowicze z Warszawy, zarąbią Bandziora drągami. Ja jestem wtedy daleko, więc piszę SMS, że pierwszy raz w życiu zawiodłam się na ojcu. Tak ulec?! Tak się poddać?! Zrezygnować? Przecież

powinien coś wymyślić, a nie rozłożyć ręce. Wcześniej nigdy by tak nie zrobił.

Anka pisze ojcu, że nie chce go znać i że już nigdy na wieś do nich nie przyjedzie, więc Rysiek nie wraca z urlopu, urywa się z pracy na czternaście dni, żeby w czasie obserwacji pilnować Bandziora, który żyje szczęśliwie do dzisiaj. I nikogo nie gryzie.

Jednoosobową firmę Ryśka specjalizującą się w montażu stelaży do parasolek wykańcza w 1990 roku reforma gospodarcza. Zakładają z żoną barek przy trasie katowickiej: kawa, herbata, parówki, ciastka. Bez alkoholu. Ale obroty spadają, więc wspólnik się upiera, żeby wprowadzić piwo – i robi się wiejska mordownia. Ryśkowi to nie pasuje, bo chciał mieć kawiarenkę z cichą muzyczką, bawić się w robienie deserów z owocami i bitą śmietaną. Wycofuje się i pracuje w hurtowni z częściami motoryzacyjnymi, a przez ostatnie dwadzieścia lat pracują sobie cichutko we dwoje z żoną (tak mówi) w sklepie z łożyskami. Zarabia średnią krajową i jak to on – nigdy nie narzeka. On nawet nigdy nie przeklina, a kiedy kończy się wojna, czuje, że musi znaleźć sobie miejsce, żeby robić coś sensownego. Sensowna jest współpraca z kościelną Wspólnotą Chleb Życia, która opiekuje się maltretowanymi kobietami z dziećmi. Potem przez dziesięć kolejnych lat poświęca swój urlop i jeździ z żoną na kolonie dla dzieci byłych działaczy podziemia, dzieci ludzi, którzy za politykę wylatywali z pracy albo siedzieli w więzieniach, dla tych, którym nie idzie w życiu, wszystkich, którzy nie mogą wysłać swoich dzieci na kolonie z zakładu pracy i którym zakład do tego dopłaca. Zabierają też dzieciaki, które wygarniają z różnych noclegowni, i podopiecznych Wspólnoty Chleb Życia.

Wynajmują opuszczoną chałupę w Beskidzie Sądeckim koło Piwnicznej, w której na siennikach rozłożonych na strychu może mieszkać pokotem nawet trzydziestu kolonistów. Ryśkowie są ich

społecznymi opiekunami, rodzicami, kucharzami, lekarzami, psychologami i powiernikami. Są takie dzieciaki, które nie wiedzą, że jest coś takiego jak drugie śniadanie i że obiad może mieć dwa dania.

– Ale wiemy, że łączy nas to, że jesteśmy dziećmi szczególnych ludzi – mówi Anka Satel, która jeździ na te kolonie od połowy lat osiemdziesiątych. – Że nasi rodzice są inni. Jednoczy nas mała konspiracja i poczucie ulgi, że wreszcie nie musimy się pilnować, bo zawsze nas uczą, że o tym, co dzieje się w domu, nigdy, nikomu i za żadne pieniądze nie wolno mówić. Jesteśmy dzieciakami, które znają piosenki o ułanach, Pałacykach Michla, *Deszcz, jesienny deszcz*, nie mówiąc o Kaczmarским. Myśmy, idąc przez wieś, śpiewali *Pierwszą Brygadę*, a to dzieciaki dziesięć–dwanaście lat, a ja, wychowawczyni, lat piętnaście. Dziesięć lat później, po pierwszym roku resocjalizacji, zaliczam na tych koloniach studenckie praktyki wakacyjne.

– A więc nie żałuję w życiu ani jednego dnia – mówi jej ojciec i wrywa Rudemu wielkiego, opitego kleszcza spod pachy. – Co mogłem zrobić, zrobiłem najlepiej, jak się da.

– A ja bym chciała powiedzieć politykom: spieprzyliście, dranie, wszystko, o co walczyli moi rodzice. Nieważne, skąd przyszliście i kim jesteście. Spieprzyliście! Wszyscy!

BRANIE. Przepuklina kresy białej

Długo nie było jakoś Maryśki Kołnierzak, od pierwszej części książki, w której pisałem o jej ojcu kolejarzu, któremu bezpieka złamała kręgosłup, i jej dzieciństwie na legendarnej w Warszawie, szemranej ulicy Brzeskiej. I że we wojnę kradła u siebie w robocie papier, farby i matryce na potrzeby Firmy.

Ale nie jest typem konspiracyjnej, sprężynowej gwiazdy, szalonej, wyrwanej szajbuski jak Ewki Choromańska z Galsterówką. To domowa rasa, psisko, któremu dobrze patrzy z oczu, łagodne i towarzyskie, z uśmiechniętym pyskiem ciamajdy, żywego pluszaka, więc idealnie nadającym się do dzieci. Wierne, serdeczne, powolne w ruchach, łakome i ze skłonnością do tycia, które polize cię, jak wpadniesz w gości, będzie się cieszyć, merdać ogonem, uślini nawet portki i nie da spokoju, dopóki nie dasz ciasteczka. Wtedy labrador usiądzie, popatrzy mądrze w oczy i pogada.

Maryśka pracuje w wielkiej państwowej drukarni, ale po 1989 roku koledzy z podziemia załatwiają jej amerykańską wizę, pracę i Maryśka wyjeżdża dorobić za oceanem parę groszy.

– A twój syn, Marcin? – pytam.

– Zostaje sam. Błagam go, żeby do matury, co jest za rok, dociągnął jakoś, a potem już będzie wolny. I żadnych rozrób, bo nawet jak księdzem zostaniesz, to ludzie zapamiętają, że to jest ten ksiądz, co kiedyś ukradł. Zła opinia ciągnie się jak welon za wdową.

Maryśka prawie dwa lata pracuje na Dwudziestej Trzeciej Ulicy na nowojorskim Manhattanie w polsko-amerykańskiej knajpie Papa

Bear. Jest orderową, wydaje klientom hamburgery, frytki, a także barszcz, bigos, prawdziwe flaki, więc teraz już stać ją na opłacenie dziennikarskich studiów syna w prywatnej szkole wyższej, tym bardziej że z Siódmej Ulicy w East Village, gdzie mieszka, do roboty na Dwudziestą Trzecią Ulicę codziennie w tę i z powrotem dla oszczędności chodzi na piechotę.

Wraca do Polski, kiedy Jacek Kuroń jest ministrem pracy i polityki socjalnej, a Michał Boni jego zastępcą. Maryśka wpada do nich na pogaduchy i przy kawie przypomina imprezę z nadmiarem sałatki kartoflanej i ten wigilijny czy też sylwestrowy ubaw, kiedy w pijanym widzie rozdzielali resorty, a Jacek protestował, bo przecież Związek Radziecki jest wieczny i nigdy nie dopuści. Ale sam runął i chłopaki przyjmują Maryskę do pracy w sekretariacie, ale potem upada rząd i nowy minister wyrzuca wszystkich solidaruchów na pysk.

– Ale tuż przed tym Michał załatwia mi mianowanie na urzędnika państwowego, więc mam sześć miesięcy wypowiedzenia i jeszcze trzy miesiące czegoś tam, to wychodzi, że jeszcze dziewięć miesięcy dostaję pensję.

– Pracujesz gdzieś? – pytam Maryskę.

– Jadę do Szwecji. Robotę załatwia mi babka, co jest wtedy burmistrzem warszawskiego Żoliborza. W miasteczku pod Sztokholmem wyprowadzam starszą panią na wózku na spacer, gotuję, karmię, ale nie sprzątam. Do tego jest ekipa raz w tygodniu. Angielskiego w Stanach liznęłam, to możemy rozmawiać, tym bardziej że ona troszeczkę rozumie po naszemu, bo była kiedyś w Polsce. To jakaś dziesiąta woda po kisielu królewskiej rodziny. Mają stare matowe lustro, podobno Karola któregoś ich, i próg w drzwiach wejściowych wyżarty przez korniki, którego nie wolno szorować, bo on też deptany przez jakiegoś ich Gustawa. Dla mnie to obciachowy, spróchniały kawał belki, ale dom dość ładny, wiekowy, w środku zapach starości i same antyki. Biblioteka

taka, że drabina się nie odrywa, tylko jeździ po ścianach. Uwierzysz?

Maryśka wraca do kraju, bo Michał Boni ma zostać prezydentem Warszawy, przepada jednak w wyborach, ale dziewczyna załatwia sobie jakoś pracę w ratuszu i aż do emerytury w 2007 roku prowadzi sekretariat doradców prezydenta stolicy.

Teraz jest przewodniczącą wspólnoty mieszkańców w swoim bloku na ulicy Broniewskiego i wymieniła już w tym roku dwie windy.

– Ale żal mam troszeczkę. – Maryśka ucieka z oczami w podłogę. – Złożyłam pismo do premiera o podwyższenie emerytury, no bo jest ustawa z 1998 roku, że działacze opozycji mogą się o to starać. Jeśli mają dwóch świadków swojej działalności. Są ludzie, co pobrali duże pieniądze za to, co robili, po czterdzieści czy czterysta tysięcy...

– To za odsiadkę. Ciebie nie zgarnęli.

– Ale byłam zaangażowana, straciłam dziesięć lat życia, od poniedziałku do piątku w podziemiu. Przez całe dziesięć lat.

– Siedem i pół.

– Siedem i pół, siedem i pół... Ulotki, gazety, spotkania, meliny, ja się nie skarżę, ale widzę, że inni dostają, to i ja pięć lat temu piszę do premiera, co robiłam, od kiedy do kiedy, kogo znałam, opinię pisze Michał, że wszystko się zgadza, że dostałam odznaczenie i jakiś... Jakiś zastępca dyrektora, jakiś Stempelowski odpisuje mi, że ja za mało robiłam! To co ja miałam, kurza twarz?! Komitety podpalać?! Mordować ubeków?! Nooo, przepraszam najmocniej...

– Ile masz emerytury? – pytam kumpelkę.

– Trochę mam.

– Mów!

– Dwa pięćset. Nie jest tragicznie, ale dlaczego ja też mam nie dostać więcej?! Kiedy spłacam kredyt? Dla syna wzięłam, bo mieszkanie na Woli kupili. Piękne! Sto metrów, czterdzieści dwa metry tarasu! I wykupiłam też to swoje mieszkanie, i spłacam, bo było lokatorskie.

I jestem splukana, to gdybyś jaką pracę miał na oku, to ja cię błagam, biorę cokolwiek, nawet sprzątanie.

– Wiem, pamiętam. Już mówiłaś. Ile wzięłaś tego kredytu?

– Trochę wzięłam.

– Mów!

– Sześćdziesiąt tysięcy – mówi, jakby była zawstydzona, z kieszeni szlafroka wyciąga papierosy, ale nie zapala. – Rodzice dają dzieciom, po to są. Nawet dorosłym. Do końca 2015 roku będę spłacać po tysiąc złotych miesięcznie, ale ciągle podnoszą, to weź przeżyj! No dobra! Nie jestem wybitna, nie jestem jakaś, tego... Ale jak ja patrzę, kto teraz, kurwa mać, bierze szmal, to mnie też się należy! Krzyż mi się należy, i dali. A reszta?! Ja wiem, że to jest populistyczne, ale jak patrzę na te premie, te tysiące, a ja bym chciała ze dwieście, trzysta złotych do emerytury dołożyć. Znowu by tak ubyło? Zapalę przy tobie, bo się wkurzyłam. Nawet do premiera pisałam.

– Mnie wkurza, że ci nasi działacze, bojownicy podliczają każdy dzień internowania i odsiadki i wystawiają Polsce faktury.

– To dlaczego ja mam nie mieć z tego czegoś? Moja strata, że nie siedziałam. A jak mnie wezwali i pokazywali zdjęcia, a ja: „Nie znam, nie znam”, nawet jak fotkę Michała Boniego pokazali. Serce biło jak szalone, a ja: „Nie znam tego człowieka”. „Jak nie?!, oni na to z mordą, jak was widzieliśmy razem na Umschlagplatzu w rocznicę getta”

– Nie powinniście być razem – mówię, bo takie były zasady bhp.

– Nie byliśmy. Spotkaliśmy się przypadkowo i przywitaliśmy. Ja wiem, że nie mam studiów, że tylko średnią szkołę i dwuletnią pomaturalną, ale gorsi idą na posłów. A nas to chociaż Michał edukował, ile mógł. Ja czułam, że stawałam się przy nim mądrzejsza.

– O czym marzysz, Maryś?

– Samotna trochę jestem. Miałam kiedyś spanielkę, ale taka głupia, że mogła być cztery godziny na spacerze i nic, a potem przychodzimy

do domu i na środku pokoju... Patrzy w oczy i wali. To oddałam ją koleżance do Ząbek pod Warszawę. Ale teraz najważniejsze, żeby wyjść z choroby. Muszę zadzwonić do Ewy Choromańskiej, bo rozpoznanie już mam. Przepuklina kresy białej.

WAŻENIE.

Efekt okrętu podwodnego

Wychodzę od Marychy i na skos walę przez trawnik do ulicy, bo to moje podwórko, na którym spędziłem kawał dzieciństwa, ale ktoś dzwoni, staję, szukam po kieszeniach telefonu i zaplątuję się w ubraniach, więc stawiam torbę z komputerem między nogami – prosto w wielkiej psiej kupie.

Wiecie, że psy w Warszawie codziennie robią pięć ton kupy?

A gdyby to tak zebrać, za przeproszeniem, do kupy? Wyobrażacie sobie? Pięć ton gówna! Wielka, cuchnąca, pięciotonowa kupa. Pięciotonowy psi stolec. A ile to będzie tygodniowo? A w miesiącu? Rocznie?! Rocznie jakieś tysiąc osiemset dwadzieścia pięć ton – jeden milion osiemset dwadzieścia pięć tysięcy kilogramów gówna. I to tylko te legalne psy, zarejestrowane, policzone. A te inne, bezpańskie?

A ile by to było w całej trzydziestoośmiomilionowej Polsce, zakładając, że wszyscy mają tyle samo psów co mieszkańcy dwumilionowej stolicy? Pewnie jakieś trzydzieści cztery tysiące sześćset siedemdziesiąt pięć ton rocznie. Napiszę jeszcze raz, ale w przeliczeniu na kilogramy, bo tak robi większe wrażenie – trzydzieści cztery miliony sześćset siedemdziesiąt pięć tysięcy kilogramów kupy, gówna, stolców, łajna, gnoju, odchodów, ekskrementów. Kału – jakie obrzydliwe słowo!

Jaką by to miało objętość?

Trzeba by, kurczę, znać ciężar właściwy.

Mogę oczywiście przynieść ze spaceru z psami, ale łatwiej i przyjemniej pogrzebać w internecie, skąd się dowiaduję, że kupa w siedemdziesięciu pięciu procentach składa się z wody. To prawie tak

samo jak ciało człowieka. Kobieta, jak wiadomo, ma wody mniej, facet trochę więcej, a kupa jeszcze odrobinę więcej.

Ludzie zanurzeni w wodzie czasami toną, a czasami utrzymują się na powierzchni – tak samo jak gówno, co znaczy, że ich ciężar właściwy musi być zbliżony, wahać się między minimalnie mniejszym a minimalnie większym od ciężaru wody. To efekt, który wykorzystują okręty podwodne do przemieszczania się w głębinach w górę i w dół.

Przyjmijmy zatem dla ułatwienia, że ciężar kupy jest równy ciężarowi wody, zatem jeden kilogram tej materii to jeden litr, dziesięć na dziesięć na dziesięć centymetrów, a jedna tona to jeden metr na jeden metr na jeden metr tego budulca. To już robi wrażenie, bo jak wychodzi z rachunków, polskie psy co roku mogą nawalić nawet trzydzieści cztery tysiące sześćset siedemdziesiąt pięć metrów sześciennych kubatury – to jakby wydaleły cztery i pół pięciokondygnacyjnych budynków o podstawie dziesięć na pięćdziesiąt metrów, a więc prawie takich samych, w jakim spędziłem dzieciństwo i młodość na warszawskich Bielanych.

A gdyby doliczyć jeszcze koty... Nie, kotami nie będziemy się zajmować. Koty trzyma się po nic, są do niczego, do bani, do kitu, nie potrafią biec za człowiekiem, nie potrafią przynosić patyka i, co najważniejsze, cieszyć się, jak wracasz do domu. Są do niczego.

A ile jest psów na świecie? Albo chociaż w naszej Unii Europejskiej? Jeśli na głowę mieszkańca mniej więcej tyle co u nas, to w naszej półmiliardowej wspólnocie pieski defekują rocznie sześćdziesiąt gównianych bloków takich jak mój.

To już jest całkiem spore osiedle, małe, zasrane europejskie miasteczko. W sześćdziesięciu takich blokach może wygodnie żyć nawet z dziesięć tysięcy ludzi. Zasrane by mieli życie. Ciekawy jestem, ile by mieli psów? A kotów, chomików, kanarków, rybek, świnek morskich? I ile razem mogłyby zrobić kupy te zwierzaki z zasranych domów? To

by już było gównem do potęgi drugiej.

Tylko po co ja to piszę? Bez sensu. Głowę dam, że wydawca będzie wiercił mi dziurę w brzuchu, żebym to wywalił precz, bo to wcale nie jest fajne ani dowcipne. Chyba że jak przeczyta ten akapit, to pomyśli, żeby nie dawać mi satysfakcji, że jestem taki przebiegły i potrafię czytać w jego myślach.

UMIERANIE.

Modlitwa świętego Franciszka

A życie Tomka Dangela, jego zdaniem, prawdziwie nabiera sensu dopiero w wolnej Polsce, po przemianach 1989 roku, kiedy zaczyna się rodzić społeczeństwo obywatelskie, kiedy ludzie dostają wreszcie prawo swobodnego zrzeszania się, zakładania organizacji pozarządowych, podejmowania samodzielnej działalności.

Tomek nie rewolucjonizuje istniejącego porządku, niczego nie burzy, nie naprawia nawet, nie zmienia mentalności ludzi i organizacji tradycyjnych szpitali. Nie chce trwonić energii na przebudowy, jałowe działanie, tylko stworzyć coś zupełnie nowego, swojego, co nie znaczy, że własnego, prywatnego. Zakłada stowarzyszenie, a potem fundację, która od 1994 roku prowadzi Warszawskie Hospicjum dla Dzieci. W ciągu dwudziestu lat działalności leczą 610 dzieciaków. 427 z nich umiera. To pierwsze domowe hospicjum pediatryczne w Europie Środkowej i Wschodniej.

Tomek jest anestezjologiem, ma doktorat i habilitację z medycyny paliatywnej, a główna idea wymyślonego przez niego hospicjum opiera się na tym, by nieuleczalnie chore dzieci i ich rodzice mogli wybierać, czy leczyć się dalej w szpitalu, czy też najszybciej jak się da wyjść ze szpitala i wracać do domu, gdzie dostają najlepszą opiekę z możliwych. Choćby na ostatnie tylko tygodnie, miesiące, a może nawet lata życia. Bo ten powrót do domu jest największym marzeniem każdego dziecka. Tomek dobrze o tym wie, bo długo pracował w Centrum Zdrowia Dziecka, wie, że każdy mały pacjent chce wrócić do swojego domu, do rodziców, rodzeństwa, dziadków, do własnego

pokoju, łóżka, ścian, gdzie otoczą go miłością i czułą, fachową opieką.

Najważniejsze, żeby nieuleczalnie chorych dzieci nie dręczyć w szpitalach niepotrzebnymi uporczywymi terapiami. Najważniejsze, żeby sobie były w domu i spokojnie umierały, a jeśli rodzice nie potrafią tego zapewnić, pracownicy fundacji ich nauczą, bezpłatnie pożyczą sprzęt do sprawowania opieki, ssaki, aparaty tlenowe, materace przeciwodrażynowe. A jeśli rodzice nie mają także czasu, któreś z nich musi odejść z pracy, a fundacja da im pieniądze na życie. Jeśli w domu nie ma warunków – trzeba je stworzyć, przygotować mieszkanie na powrót dziecka ze szpitala i godne odchodzenie. Opieka i umieranie stacjonarne, szpitalne powinno być rozwiązaniem tylko dla osób samotnych, dzieci, których nikt nie kocha, z rodzin, które się rozsypały.

Na koniec hospicjum, w którym pracuje około czterdziestu lekarzy, pielęgniarek, pracowników socjalnych i psycholog, rodzinę każdego swojego pacjenta wesprze w żałobie. Co roku na to wszystko z jednego procentu od podatków dochodowych dostają od ofiarodawców około trzech milionów złotych.

Od 1998 roku wspólnie z żoną Joanną Tomek uruchamia w Warszawskim Hospicjum dla Dzieci także pomoc perinatalną, udzielającą wsparcia rodzicom dzieci, u których jeszcze przed urodzeniem rozpoznano wadę letalną, czyli śmiertelną wadę wrodzoną. Fundacja zajmuje się także diagnostyką prenatalną i stomatologią dzieci upośledzonych umysłowo.

– A więc samymi trudnymi tematami – mówi Tomek. – Nie jedziemy z żoną na emigrację, o czym bardzo poważnie myślimy w 1985 roku, bo pojawia się szansa, by wykorzystać naszą wiedzę i umiejętności w Polsce. Ale to wszystko się udaje poza systemem oficjalnej medycyny.

Zainteresowanie medycyną paliatywną bierze się, jak to u Tomka zwykle bywa, z buntu. Jeszcze z czasów, kiedy pracuje w Centrum

Zdrowia Dziecka i jako anestezjolog jest wzywany do umierających małych pacjentów.

– Bo dlaczego mam reanimować dziecko, jak ono ma nieoperacyjnego raka mózgu? To bez sensu!

Hospicjum obejmuje opieką dzieci mieszkające w promieniu stu kilometrów od Warszawy, na taką odległość wyprawiają się jego pracownicy, i praktycznie nie ma przeszkody, która byłaby dla nich nie do pokonania. Na odprawie pracowników, w której biorę udział, dla chłopca z Warszawy marzącego, żeby zobaczyć morze, załatwiają pobyt w nadmorskim kurorcie. Jeśli dom, w którym ma przebywać ich mały pacjent, nie nadaje się do zamieszkania, bo w ścianach jest grzyb, fachowcy skuwają tynki, jeśli nie ma toalety, łazienki, porządnej instalacji elektrycznej, gazowej, to zakładają. Bywa, że dom jest kompletną ruiną i nie nadaje się nawet do remontu, to stawiają dla tej rodziny kontener mieszkalny. Za wszystko płaci fundacja i nie jest to tylko wydatek na umieranie, ale inwestycja w przyszłość rodziny, jednak tylko taka, żeby nie uzależnić jej trwale od tej pomocy. Taki remont może kosztować kilka, a może nawet kilkanaście tysięcy, a jedna doba dziecka na intensywnej terapii albo na onkologii to mogą być nawet dwa tysiące złotych, więc jest to także wielka oszczędność.

– Co najlepiej pamiętasz z dwudziestu lat pracy w hospicjum? – pytam.

– Dziecko, do którego jadę dzisiaj o drugiej w nocy, bo mam dyżur. Umiera nad ranem – mówi Tomek pogodnie i pociąga nosem. – Bo jeszcze ci nie powiedziałem, że jestem katolikiem i wierzę, że życie nie kończy się śmiercią. Dużo się modlę, codziennie o siódmej rano jestem na mszy, a potem jadę rowerem do hospicjum. Poranną odprawę zespołu rozpoczynamy modlitwą świętego Franciszka.

Daj im dziś przez nasze
ręce chleb powszedni,

a przez naszą miłość
pokój i radość.

– A jak umiera nasz pacjent – ciągnie Tomek – odmawiamy w jego intencji *Wieczny odpoczynek*, żegnamy się z nim, bierzemy udział w pogrzebie. Hospicjum bez duchowości byłoby niepełne, bez sensu. Mamy kapelana i własną kaplicę. Dla mnie to, że pacjent umiera, nie jest frustrujące, wypisałem więcej kart zgonu, niż jest miejsc w dużym kinie, i żyję, nadal pracuję, nie wypaliłem się jak lekarz, który nie potrafi pogodzić się ze śmiercią.

– Bo śmierć to normalny element życia.

– Tak. To zupełnie tak, jakby ktoś powiedział, że jest piłkarzem, ale nie godzi się na to, żeby przegrać mecz albo tracić bramki.

W XIX wieku trzeba było urodzić czworo dzieci, żeby mieć dwoje. To było normalne. Statystycznie połowa dzieci odchodziła wtedy w pierwszym roku życia. Umierały najczęściej na łatwe dzisiaj do leczenia choroby: anginę, odrę, dur brzuszny... Dzisiaj dzieci giną, bo przewracają się na rowerach, rolkach, nartach, ulegają wypadkom samochodowym. Na raka umiera w Polsce dwieście dzieciaków rocznie.

Ale budzi to irracjonalny sprzeciw, jakby wszystkie rodziły się z gwarancją długiego życia – mówi Tomek. – Czasami trafiają do nas dzieci, które potem żyją bardzo długo. Przedłużamy im życie, chociaż wcale nie jest to naszym celem.

– A co jest?

– Żeby dziecko nie cierpiało. A rodzina dalej funkcjonowała. Mogę leczyć ból, robić tylko to, na czym się znam i na co mam wpływ. Nigdy nie wchodzę w kompetencje Pana Boga, nie przedłużam ani nie skracam życia, a po wszystkim mówię: „Ojczy, zrobiłem to, co do mnie należało, a reszta jest w Twoich rękach, bo to jest Twoje, a nie moje dziecko”

– Kurde, Tomek! Przecież to jest hospicjum, mała fabryka od umierania, ciągle musisz tak z Nim gadać! Jak to znosisz?

– Mówiłem już. Dużo się modłę. Dużo też rozmyślam i uprawiam sport. Najbardziej lubię treningi pływackie na basenie, od których jestem uzależniony. Dużo czasu spędzam na Suwalszczyźnie. Tam też pływam. Czytam i piszę. W zeszłym roku skończyłem sześćdziesiąt lat, z tego dwadzieścia w hospicjum, i przy tej okazji uświadomiłem sobie, że nie mam tu już niczego nowego i odkrywczego do powiedzenia.

SZAFOWANIE.

Piąta kość śródreńcza

Kilka lat temu Tomek Dangel, szef Warszawskiego Hospicjum dla Dzieci, łamie rękę.

Kąpie swojego psa w wannie, ale nijak nie daje się gadziny tam utrzymać, bez przerwy wyrywa się, próbuje uciekać, wyskakiwać albo otrząsa się kudłami pełnymi mydlin. A ma z czego, bo to wielki, kołtuniasty wodołaz brązowego koloru, pięćdziesiąt pięć kilogramów spanikowanego mięsa, które za wodą przepada, uwielbia ją jak hipopotam, byle nie w wannie, nie pod prysznicem. Więc przy którejś próbie ucieczki obrywa na odlew po łbie od swojego pana i jest po kąpieli.

Tomek łamie rękę. Tę ważniejszą, prawą, konkretnie piątą kość śródreńcza przy małym palcu. W sumie nic strasznego, to tylko mały palec, ale Tomek opowiada mi tę historię ze śmiertelną powagą, a przecież kąpanie psów w wannie to zabawa, wygłup, wielki zgryw, bo najpierw wytarzały się w padlinie, a teraz histeryzują jak disnejowska słonica Dolores na widok myszy. Ale Tomek we wszystkim jest bardzo poważny i konkretny, a od czasu kiedy zgolił wąsy, nosi w sobie coś w rodzaju wyniosłego majestatu charta afgańskiego, przy którym nie wszyscy czują się pewnie.

Potem jest operacja, gips na wiele tygodni, kłopot z pisaniem, jedzeniem, prowadzeniem samochodu, znieczulaniem, zapinaniem guzików, startami w zawodach pływakich i udzielaniem komunii świętej. Bo Tomek poza tym, że jest doktorem habilitowanym od anestezjologii i reanimacji, jest także lektorem, który czyta wiernym

kościelne teksty podczas nabożeństw, i nadzwyczajnym szafarzem Eucharystii. Ma uprawnienia do udzielania komunii świętej.

Jest niemożliwy ścisk w kościele, tłum ludzi ustawia się w kolejce po Najświętszy Sakrament, a jest tylko jeden ksiądz, więc podchodzi do Tomka i mówi, że wyznacza go na szafarza, ma razem z nim udzielać komunii, więc kiedy później jego pomocnik łamie tę ważniejszą rękę, zaczyna się zastanawiać, czy aby dobry Bóg nie daje mu tak do zrozumienia, że nie nadaje się do tego, nie jest godzien.

– Myślisz, że w ten sposób objawia swoją wolę? – pytam. – Wtrąca się w nasze sprawy?

– Tak. Kieruje moim życiem, niekiedy w bardzo bolesny dla mnie sposób – odpowiada Tomek. – Ale ja się na to godzę, nawet Go o to proszę w modlitwach, więc nie można tego nazwać „wtrącaniem”

– Myślisz, że zależy Mu na naszych modlitwach?

– Miła Bogu modlitwa powinna wyrażać miłość, a nie sugestię, co powinien nam załatwić. On zresztą lepiej wie, czego potrzebujemy.

– Jak się modlisz? – pytam.

– Albo typowymi modlitwami, które znam z dzieciństwa, albo wchodzę w dialog. Modlę się do Ducha Świętego o światło, bo jest bardzo potrzebne w pracy lekarza, pracy naukowej, przy podejmowaniu decyzji. Innym razem jest to modlitwa dziękczynna, jednak aby była szczerą, trzeba być szczęśliwym. Moim patronem jest święty Tomasz z Akwinu, to do niego także często się modlę.

– Bo on też doktor, tak jak ty, tyle że Kościoła. Od filozofii i teologii.

– Więc na etyce na pewno lepiej się zna ode mnie. Lubię go, bo miał poczucie humoru i duży dystans do swojego dorobku.

W Warszawskim Hospicjum dla Dzieci powstała grupa modlitewna, bo z doświadczeń ruchów pro-life w Stanach Zjednoczonych wynika, że ich działania stały się skuteczne dopiero wtedy, kiedy zaczęli się modlić. Wszystko zaczyna się po rozmowie psychologa z rodzicami

nienarodzonego jeszcze dziecka ze śmiertelną wadą wrodzoną, która zgodnie z ustawą umożliwia rodzicom przerwanie ciąży.

Wtedy rozchodzą się SMS-y i grupa zaczyna się modlić o światło dla tej rodziny, żeby podjęła dobrą decyzję w sprawie dziecka, żeby zgodzili się na naturalny przebieg, który jest taki, że to dziecko może umrzeć samo, zanim się urodzi, albo w czasie porodu, chwilę po, a jak przetrwa, może być przyjęte do ich hospicjum.

– Ale najlepszą modlitwą jest działanie, a w tym nigdy nie jesteś sam – opowiada Tomek. – Ja wykonuję tylko rzemieślniczą część roboty, mogę ułożyć dietę, zająć się łagodzeniem bólu, ale czy to zadziała, zależy od Niego.

– A co z twoim psem? – pytam.

– Oddałem w dobre ręce. Od tamtej pory nikogo nie uderzyłem. I po dłuższej przerwie wracam do funkcji szafarza. I pomimo upływu lat ciągle jestem radykalny. Radykalny w hospicjum i wobec siebie. Uprawiam ascezę, a po grecku *askezis* znaczy tyle, co trening, ćwiczenie.

A w zasadzie triathlon i pływanie. Tomek trenuje bardzo intensywnie sześć razy w tygodniu, a przed zawodami nawet dwa razy dziennie. Wyjeżdża nad jezioro, rozstawia namiot i pływa. W dniu, w którym rozmawiamy, miał na basenie sprawdzian trzydziestu minut. Pokonał w tym czasie 1750 metrów. Od siedmiu lat startuje z powodzeniem w pływackich zawodach lekarskich, a wszystko po to, żeby wiedzieć, czy jest zdrowy. To najlepszy i konieczny sprawdzian, bo jak sam mówi, nie interesuje go medycyna polegająca na wypisywaniu recept.

– Staram się łączyć grecką tradycję kształtowania charakteru przez sport z chrześcijańską koncepcją ascezy, a więc z dyscypliną, wyrzeczeniem i rozwojem duchowym – referuje Tomasz Dangel. – Ale dodaję do tego jeszcze wiedzę na temat fizjologii, biochemii i żywienia. Sport nie jest dla mnie celem, tylko metodą weryfikacji przyjętych założeń. Wolę ciężki trening niż udział w zawodach.

KOCHANIE.

Cios prosto w ślepie

Ludzi, których opisuję w dwóch kolejnych rozdziałach, poznaję na cotygodniowych zebraniach Prezydium MKK, czyli kierownictwa naszej organizacji. Tekst jest kombinacją tego, co mi o sobie powiedzieli dwadzieścia jeden lat temu i teraz.

Stasio Karasiński zwany „Adamem” jest obok Hanki najstarszy z nas. Ma osiemdziesiąt jeden lat i pięćdziesiąt lat pracy, z tego dwadzieścia dwa w ślusarni w Polkolorze w podwarszawskim Piasecznie.

W 1988 roku kandyduje w wyborach na szefa „Solidarności” w swoim zakładzie.

– Ale mój przeciwnik jest magistrem inżynierem i znowu klasa robotnicza przegrywa – mówi Stasio.

I jest rozgoryczony, do tego parę lat później sprął po pysku swojego majstra, w zakładzie robi się wielka afera, a jego ukochany związek zawodowy nie staje po jego stronie, więc Stasio wypisuje się z „Solidarności”

Teraz już nawet sam nie chodzi, dzień spędza w fotelu przed telewizorem albo w łóżku, bardzo często nie poznaje nawet swojej córki.

– Naszykowałem sobie takiego niezbędnika! – ożywia się, kiedy mu przypominam, że jesteśmy kumplami z partyzantki, a potem spod poduszki wyciąga żelazną łychę do wyrywania gwoździ. – To w sprawie sprawiedliwości, bo skurwysyn przyszedł i światło wyłączył. Na Wszystkich Świętych. Normalnie bym go rąbnął prosto w ślepie! W same ślepie! Co to jest, do cholery? Wolny kraj czy jakaś niewola? Cholerne szczury!

– Nie zapłaciłeś rachunku za prąd?

– No, nie.

Stasio pada ofiarą oszustów, którzy starym ludziom podtykają do podpisania niekorzystne umowy na dostawę energii elektrycznej.

– A energia przecież jest społeczna! – krzyczy i wygraża żelazem w stronę drzwi wejściowych. – A ja nie miałem siły skurwysyna w ślepią bić!

Stasio umiera 10 marca 2016 roku w szpitalu w Piasecznie. Odchodzi zupełnie inaczej, niż wyglądało całe jego życie – spokojnie. We śnie.

Tomek Domżał zwany „Michałem” do połowy lat osiemdziesiątych jest informatykiem w Instytucie Elektrotechniki w Międzyzlesiu. Pisze doktorat z teorii pola, ale nie kończy, rzuca instytut i zatrudnia się w prywatnej firmie komputerowej.

A w 1989 roku czuje nagle straszliwą pustkę.

– Bo zostaję zupełnie sam, bez osłony grupy. Wcześniej czuję asekurację, wiedziałem, że jak coś się przytrafi, to wszyscy staniecie za mną murem. A ta samotność jest straszna.

Ale już w następnym roku Tomka odszukuje Maciek Zalewski, sekretarz stanu w kancelarii prezydenta Wałęsy, wcześniej szef Firmy, i proponuje mu pracę przy tworzeniu systemu komputerowego w Biurze Bezpieczeństwa Narodowego i Kancelarii Prezydenta. Tomek godzi się bez wahania, chociaż płacą znacznie mniej niż w dotychczasowej pracy. Potem Maciek odchodzi z kancelarii, ale Tomek jeszcze długo jest głównym specjalistą całego systemu bezpieczeństwa informatycznego państwa.

Później jest specjalistą od bezpieczeństwa informatycznego na Giełdzie Papierów Wartościowych, w Polskiej Agencji Prasowej i w Polskiej Wytwórni Papierów Wartościowych. Teraz jest na emeryturze, mieszka z żoną Baską na warszawskim Wilanowie w ogromnym mieszkaniu córki, która ma rodzinę i pracę na zachodzie

Europy.

– A my smakujemy życie – mówi Tomek. – Jeździmy po świecie i nie interesujemy się polityką, nawet nie oglądamy wiadomości w telewizji.

Romek Sałaciński zwany „Waldkiem” jest w Firmie od początku do końca.

Pracuje w Instytucie Łączności. Tam właśnie konstruuje kilkadziesiąt nadajników radiowych dużej mocy dla Radia MKK i Radia „Solidarność”. Robi też próby zakłócania programu telewizyjnego. W czasie reżimowego *Dziennika telewizyjnego* wchodzi na wizję z planszami „Solidarności”, a ich gadanie zastępuje naszymi audycjami.

Po 1989 roku jest twórcą i szefem technicznym kilku rodzących się komercyjnych stacji radiowych, a ostatnio naczelnym inżynierem w publicznym Polskim Radiu. Zostaje jednak zwolniony z powodu trudnej sytuacji finansowej nadawcy i dlatego, że osiągnął wiek emerytalny, Romek idzie jednak do kancelarii, która się specjalizuje w procesach z Polskim Radiem, bo chce wyrwać chociaż kilkadziesiąt tysięcy odprawy.

Przegrywa. Kupuje sobie kota i osiada na emeryturze. Dostaje cztery tysiące złotych.

Iza Gocman zwana „Białą” Izą pracuje razem z Tomkiem Domżałem w Instytucie Elektrotechniki, a w Firmie jest skarbniczką. Mieszka w Śródmieściu w ogromnym bloku na niebotycznej wysokości, więc konstruowane przez Romka Sałacińskiego nadajniki Radia „Solidarność” kilka razy ustawiane są w jej mieszkaniu i stąd nadają nasze audycje.

– Kłopot się robi, kiedy mój mąż idzie na emeryturę – mówi mi dwadzieścia jeden lat temu. – Bo jak była wojna, to cierpliwie na mnie czekał, a teraz truje. Jest nieszczęśliwy, kiedy nie przychodzę na obiad.

Ale już nie żyje od dziesięciu lat, a dwa lata później Iza idzie na emeryturę i wszystko w jej życiu jakby samo zaczyna się pięknie

układać. Po wielu latach mordęgi udaje jej się z rodzeństwem odzyskać od gminy stary młyn i cegielnię w Podhorcach koło Hrubieszowa z majątku po matce. Od ręki sprzedają wszystko i dostają po kilkadziesiąt tysięcy złotych, więc Iza zaczyna jeździć po świecie jak szalona, jakby chciała nadrobić zaległości. RPA, Chiny, Sri Lanka, Europę zjeździła jako instruktorka tai-chi, którym zajmuje się od początków nowego tysiąclecia.

– To nie jest pasja, tylko sposób na życie – mówi pogodnie dziewczyna o białych włosach, która potrafi śmiać się oczami. – Należę do Stowarzyszenia Taoistycznego Tai-Chi nauczyciela Moy Lin-shin z Kanady. W Warszawie mamy czterystu członków, a ja prowadzę dwie grupy dla seniorów, jeżdżę po świecie na warsztaty, uczę się ciągów mających po sto osiem ruchów i jeszcze angielskiego przy okazji. Jestem bardzo szczęśliwa i zadowolona ze swojego życia, bo mam cel. Kocham to, co robię.

Rysiek Makowski, rocznik 1951, zwany „Cichym” jest robotnikiem w Miejskich Zakładach Komunikacyjnych. Pracuje w bazie T-3 na Młynarskiej jako elektryk.

– Ale pozbywacie się mnie z Firmy, kiedy Maciek poszedł siedzieć – mówi mi dwadzieścia jeden lat temu. – Nie pasuję, bo mam narodowe poglądy. Unikacie mnie, izolujecie, nie informujecie o zebraniach.

Odchodzi też wtedy z pracy i zakłada firmę Instalatorstwo Elektryczne Makowski Ryszard, a potem sklep z częściami do instalacji gazowych.

– Mam też hotel turystyczny dla ruskich handlarzy na bazie hotelu robotniczego – mówi. – Marriott to nie jest, bo tylko dzierżawię budynek, ale chcę go kupić i wtedy podniosę standard.

Ale nie podnosi. I nie kupuje, bo umiera w 2004 roku.

– Ojciec miał niesamowity łeb do interesów, ale głównie zajmował się polityką, działał w samorządach – mówi jego syn Marcin. – Był

jednym z założycieli partii Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe, jej skarbnikiem i członkiem zarządu. Miał legitymację numer 10, a największy jego feler był taki, że nadmiernie ufał ludziom. Ufał wspólnikom, urzędnikom, pracownikom, księgowemu dawał pieniądze na wpłaty do urzędu skarbowego, on je kradł bezczelnie przez rok, a ojciec go nie sprawdzał.

– Był naiwny?

– Nie. Lubił ludzi. I chciał, żeby było tak jak w waszej konspiracji, gdzie wszyscy sobie ufali. Ojciec chciał przenieść te zasady do biznesu. Innych nie znał. Chciał, żeby kapitalizm był właśnie taki. I sporo za te eksperymenty płaciliśmy. Bywało tak, że nie było za co kupić mi butów. A jak już mieliśmy dużo pieniędzy, ojciec nigdy nimi nie szastał. Cholernie był oszczędny, lubił odkładać, wolał stare marynarki dawać do krawca, żeby na łokcie przyszył łaty, niż kupować nowe. Takim burżujem był mój tato. Niesamowicie też gnał nas z bratem do nauki i ciągle powtarzał, że ministrem nie jest tylko dlatego, że nie ma wykształcenia.

ANGLEZOWANIE.

Cios prosto w kolano

Marysia Trenda jest pomocą dentystyczną na chirurgii szczękowej w kolejowej przychodni zdrowia, a do Prezydium MKK trafia przez to, że w początkowym okresie wojny nasze zebrania bardzo często odbywały się w jej mieszkaniu. Urodziła się 6 września 1939 roku, w czasie największego bombardowania Lublina tamtej wojny. Dwadzieścia lat temu przechodzi na emeryturę.

– I dopiero wtedy zaczynam zarabiać. Z musu, bo nie mam z czego żyć. To nie akwizycja, tylko sieć użytkowników, rozumiesz, sprzedaż poza sklepem, multimarketing.. Materiały proekologiczne, proszki, mydła, cała chemia gospodarcza, wszystko bez trucizn.. Jakiego szamponu używasz?

– Takiego białego z butelki.

– Jest do bani. Mój nie niszczy środowiska.

Andrzej Firląg jest technikiem mechanikiem. W Firmie reprezentuje Zakłady Wytwórcze Aparatury Radiowej, w których jest mistrzem na wydziale narzędziowym. Wycofuje się z konspiracji w 1986 roku. Potem zostaje dystrybutorem niemieckiej firmy odzieżowej.

– Zgrzeszyłbym, gdybym narzekał – mówi mi dwadzieścia jeden lat temu. – Odniosłem sukces w biznesie, ale on mnie nie cieszy. Jestem jakiś przygnębiony od czasu, kiedy dwa lata temu wpadłem w straszne tarapaty. Zgłosiłem się do kolegi Tadzia z podziemia i prosiłem o pomoc. On był wiceburmistrzem na Pradze. Nic nie pomógł, a jeszcze mnie wykorzystał, oskubał, oszukał...

Andrzej do dzisiaj pamięta, że zaniósł koledze wielką flachę, cztery i pół litra whisky w prezencie, a ten palcem w bucie nie kiwnął w jego sprawie. A dzisiaj Andrzej przybity jest jeszcze bardziej niż wtedy.

– Psychicznie kompletnie się rozsypuję – mówi. – W ogóle nie śpię po nocach, bo oszuści nie płacą mi za towar, a niemiecki partner upomina się o pieniądze. Jestem do tyłu na sto pięćdziesiąt tysięcy i nikt nie potrafi mi pomóc, chociaż wygrywam w sądach. Złodziej ma willę, samochody, ale komornik mówi, że dług nieściągalny. Skucha, bracie, wyszła, bo w tym kraju byle złodziej jest bezkarny, a ja muszę iść na emeryturę, bo czuję się stłamszony. Tego się dorobiłem w wolnej Polsce.

Hanka Kulesza ma dwanaście lat, kiedy 17 września 1939 roku dociera wiadomość, że sowiecka Rosja także napadła na Polskę, trzeba więc opuścić wołyński majątek Ostrożec i uciekać na zachód.

– Stary wuj rezydent uspokaja, że nie ma tragedii, bez paniki, bo to na pewno są zupełnie inni bolszewicy niż w dwudziestym roku – opowiada Hanka. – I zostaje, a my wszyscy o szóstej rano ruszamy na furmance w drogę. Wują, co nie bał się bolszewików, zabierają o dwunastej w południe i już nikt go więcej nie widzi. Oczywiście, biorą go ci inni bolszewicy. To jedyny mężczyzna wśród domowników, bo pozostali są na wojnie, a nasz fornal ucieka, kiedy docieramy nad Bug.

Hania mówi z przepięknym, bardzo zabawnym, wschodnioziemiańskim zacięciem, jakbyś bohaterów Sienkiewicza puszczał z audiobooka na żywo. Uwielbia stroić władcze miny, ale nikogo nie oszuka, bo jest normalną, ciepłą babą, która kocha trajlować, śmiać się, wygłupiać i gadać o ludziach. Na milę widać, słysząc i czując, że tylko co przyjechała z Dzikich Pól.

– Więc mi nie przerywaj i słuchaj dalej – strofuje mnie starsza koleżanka z partyzantki. – No i nad tym Bugiem po ucieczce naszego

fornala okazuje się, że jedyną osobą w towarzystwie, która umie obchodzić się z końmi, jestem ja. Dwunastoletnia panienska w koronkowej sukienuni. Bo moja mama nie ma zielonego pojęcia, co można z nimi robić oprócz anglezowania. Do końca życia niczego nie umiała poza parzeniem herbaty, a pozostali podróżni są podobnego autoramentu. Więc powożę, a przy przekraczaniu rzeki napadają na nas Ukraińcy. Tam wtedy strzela każdy do każdego, a Ukraińcy przede wszystkim, i rabują. Postrzelili mnie w nogę, ale do Warszawy jakoś docieramy.

Mieszkają na Żoliborzu, skąd Hanka codziennie jeździ tramwajem na ulicę Wierzbową do szkoły. Na ulicy Bonifraterskiej, na odcinku między Konwiktorską a placem Krasińskich, kiedy tramwaj jedzie wzdłuż murów getta, do środka bardzo często wchodzi niemieccy żandarmi, którzy kontrolują podróżnym dokumenty i bagaże. I któregoś razu młody podoficer sprawdza, co Hanka wiezie w szkolnym tornistrze, a potem otwiera jej blok rysunkowy.

– *Was ist der Plan?* – warczy spod ogromnego hełmu.

– *Das ist ein Buntglasfenster* – odpowiada dziewczyna i dostaje potężne uderzenie kolbą karabinu w kolano.

Hanka mówi, że nie jest szczególnie uzdolniona rysunkowo, więc Niemiec mógł nie uwierzyć jej, że to nie żaden plan ani mapa, tylko projekt witrażu, i dlatego strzaskał jej nogę, na dodatek tę, którą kilka lat wcześniej nad Bugiem przeszyła kula bandytów. Dziewczyna na miesiąc trafia do szpitala i do dzisiaj kuleje.

– Nie wyglądało mu na witraż, to sobie walnął. Co się tak dziwisz? – Hanka szuka ze mną zaczepki. – Dziwne jest to, że jak idę ze szkoły do tramwaju, to na placu Teatralnym rozstrzelują ludzi. Ja w to nie mogę uwierzyć do dzisiaj! A potem w to, co widzę w powstaniu warszawskim i po wygnaniu miasta. Więc jeśli idzie o zagrożenie, to tę naszą ostatnią wojnę z komuną zaliczyłabym do kategorii harcerskich

zawodów sportowych.

Hanka jest zootechnikiem, ale nie od koni, tylko od pszczół, bo ukończyła liceum pszczelarskie w Pszczelej Woli pod Lublinem. Pracuje w Państwowym Wydawnictwach Rolnych i Leśnych, a do Firmy trafia jako delegatka „Solidarności” Międzywydawniczej. W jej mieszkaniu na ulicy Podchorążych na Czerniakowie jest punkt kolportażu oznaczony jako L21, do którego w końcu wojny wysyłam czterysta pięćdziesiąt egzemplarzy „Woli” i dwieście osiemdziesiąt „Tygodnika Mazowsze”. Ostatnie hasło: „Do pani Aldy”. Hanka jest na emeryturze od połowy lat osiemdziesiątych, a jej jedyna córka wyszła za Niemca i mieszka w Szwajcarii.

– I ja ci, Jacek, jako zootechnik powiem, że te Szwajcary to jest zupełnie inny gatunek niż my – mówi Hanka i oplata mnie swoim chuligańskim spojrzeniem. – Zupełnie inne zwierzęta. Czy u nich byłoby możliwe, żeby od ponad dwudziestu lat kłócić się, czy ogrodzić nasze podwórko parkanem? Bo chodzi o to, żeby pijaki nie pili wódki pod naszymi oknami. A gdzie niby mają pić, jak to jest ich podwórko?!

CHEMIA.

Naziemne życie Ewy H.

– **Jak bardzo, Ewko, się zmieniałaś? Pytam o twoje ciało.**

– Zarost na twarzy prawie zniknął, ale tu i ówdzie czasem coś wyskoczy. Dziewięć lat wyrywania.

– **Depilujesz twarz?!**

– Jasne. I nogi, jak każda kobieta. Na lasery mnie nie stać. Całe ciało się zmieniło. Zmalałam nawet o kilka centymetrów, a noga się zmniejszyła o jeden numer.

– **To znaczy na który?**

– Czterdziesty drugi. Ale głos ciągle mam bardzo niski. Nienawidzę go. I ręka za duża. Muszę pamiętać, żeby nie ścisnąć tak mocno przy powitaniu.

– **Dużo jest takich ludzi jak ty?**

– Kilkuset w całej Polsce. Jeden człowiek na sto tysięcy. Przypadek odwrotny, mężczyzny, który wygląda na kobietę, jest trzy razy częstszy.

– **Próbuję zapytać cię o operowane organy.**

– Jestem pierwszą w Polsce osobą, której wszystko robią za jednym zamachem. Wówczas, w 2001 roku, kosztuje to pięć tysięcy złotych. Wcześniej to co najmniej dwa bardzo skomplikowane zabiegi z otwarciem otrzewnej. Na stole operacyjnym leżę dwanaście godzin. Chirurg w tym czasie musi wykonać serię skomplikowanych zabiegów. Wymienię ci z głowy, bo to niesamowicie śmieszne słowa: orchidektomia, penektomia, waginoplastyka, clitoroplastyka, labioplastyka. Chirurg normalnie buduje, tworzy żeńskie atrybuty płciowe. Pochwę, łechtaczkę... Oczywiście, zoperowana pacjentka

nieodwracalnie traci zdolność rozrodczą. Kiedy pierwszy raz widzę swoje ciało kobiety, jestem przerażona. Wyglądam, jakbym weszła na minę, bo patrzę na siebie i widzę tylko świeże rany, cięcia, szwy i blizny.

– **Zabiegi operacyjne w drugą stronę też się przeprowadza?**

– Tak. Z kobiety na mężczyznę. Ten zabieg jest jeszcze bardziej skomplikowany i wiele razy droższy. Niewielu transseksualistów stać na niego. I efekt końcowy jest dużo gorszy. Każda partnerka takiego mężczyzny od razu pozna, że to nie jest dzieło Boga, tylko człowieka. Materiał pobiera się z uda albo brzucha i tworzy zupełnie nowy organ.

– **I jest sprawny?**

– Jeśli go napompujesz. Jest do tego specjalna pompka, ale doznania partnerki mogą być pełne. Jego zresztą też, bo konstrukcja nowego organu oparta jest na byłej łechtaczce.

– **A twoje...?**

– Tylko próbuję. To jest pełnowartościowy seks, ale szybko porzucam te eksperymenty. Nie mogę ścierpieć tego nieokiełznanego dążenia mężczyzn do seksu. W pewnym wieku kompletnie zapominają, że można pójść do kina, do parku, zjeść kolację przy świecach. To przerażające.

– **Bo ty chcesz się zakochać.**

– Każdy chce, ale siedemdziesiąt procent transseksualistek to osoby samotne. Czwarty mój fakultet to psychologia na Uniwersytecie Warszawskim, gdzie robię badania takich ludzi jak ja. Dziewięćdziesiąt procent osób transseksualnych myśli o samobójstwie, a pięćdziesiąt pięć procent podejmuje próby, bo nie wytrzymuje tego wszystkiego.

Ty wiesz, jaki ja niesamowity wycisk dostaję w Kącie, szkole dla trudnej młodzieży? Idę tam do pracy na nauczycielkę fizyki, ale dzieciaki widzą dziwną babę z dość niskim głosem i dają wycisk. W każdej szkole są trudne jednostki, ale tam są tylko takie. Z domów opiekuńczych,

po odwykach, poprawczakach. Dyżury w czasie przerw na korytarzach są straszne. Bywa, że za plecami słyszę: „Ty taka, nie taka”, „Stara kurwo”, „Zrób to a tamto”..

– **Znaczą laskę.**

– Tak. Nie reaguję. Na pierwszej lekcji w trzeciej klasie gimnazjum wzywam dziewczynę do tablicy, a ta: „Ewka, kurwa, to jest jakieś pojebane równanie”. I poprawnie dowodzi, że równanie się nie zgadza. Dostaje piątkę. Dziewczyna po odwykównce alkoholowej. Ona po prostu nie zna innego języka.

– **Jesteście po imieniu?**

– Tylko z licealistami. Ale ona ma pozwolenie. Ubóstwiam ją.

To jedna z niewielu jasnych chwil w tej szkole. Zawsze kiedy wchodzę do gimnazjalnej klasy, podnosi się straszliwy huk. Krzyki, wrzaski, obelgi. Próbuję prowadzić lekcję, ale wtedy zaczynają się ataki na słabsze dzieciaki. Każda klasa ma kozła ofiarnego i zawsze jakoś tak wychodzi, że w mojej obecności dostają wycisk. Nie mogę tego znieść. Wyrzucam z klasy, ale przecież wszystkich nie mogę. No to normalnie obelgi w oczy. Czasem nie daję rady i sama wychodzę.

– **Kurde! Ewka, bezpieka cię nie złamała, a pękasz przed gówniarzami!**

– Tam są dyżury specjalnych wychowawców, którzy mają pacyfikować takie dramatyczne sytuacje, ale na moje wezwania już nie przychodzą, bo jako jedyna nadużywam tego narzędzia. Kiedyś prowadzę lekcję, w klasie zaledwie kilkoro uczniów, a jedna z dziewczyn wchodzi pod ławkę i jawnie robi koledze laskę. Piętnastolatka z rocznym stażem na ulicy. Wyciągam ją za łeb, a ta: „Jaki fajny chuj”, i dawaj kłócić się, który punkt regulaminu szkolnego zabrania obciążać kolegom. Albo prowadzę zajęcia, a z wyższego piętra spuszcza się na nitce zakrwawioną podpaszkę.

– **Wszystkie numery, które ci robią, mają seksualny podtekst?**

– Jakoś tak wychodzi. W klasie natychmiast robi się piekło, wciągają

mi ten tampon do środka, sensacja, Sodoma i Gomora. Kondom wypełniony dziwną cieczą na moim biurku albo krześle to jest norma.

– **Rozlewa się?**

– A jak! Tak to robią, że czasem na nim siadam. Mam nadzieję, że to jest tylko szare mydło. Gwoździem do mojej trumny jest chłopak z trzeciej gimnazjum. Jeśli chodzi o inteligencję, to Einstein, ale skrajnie zdemoralizowany. Rozbija mi każdą lekcję. Wrzeszczy, jawnie wyzywa, w oczy i publicznie, a dyrekcja i rodzice robią wszystko, żeby utrzymać go w szkole. Nie mogę na sekundę odwrócić się do tablicy, bo przykleja mi do pleców kartki z wyzwiskami. Próbuje mnie obmacywać. Przy uczniach! W gimnazjum! Mam poczucie, że uczę fizyki potwora, szefa mafii. Bo z jego ilorazem inteligencji i poziomem agresji na sto procent kiedyś nim będzie. Całą klasę potrafi poprowadzić do ataku na mnie. Urodzony przywódca. Do tego zasługuje, żeby postawić mu trójkę.

– **Chociaż go nienawidzisz.**

– Ucznia nie można nienawidzić.

Ale dla mnie przekroczenie progu tej klasy jest sto razy gorsze niż przesłuchanie przez bezpiekę na Rakowieckiej. Nie wytrzymuję i po trzech latach odchodzę. Kilka lat nie mam pracy, żyję w okropnej nędzy.

– **Jak synom tłumaczysz swoją zmianę? Są młodzieńcami, dwadzieścia trzy i osiemnaście lat.**

– Mówię, że to niewiarygodne cierpienie nie mieć swojego ciała, więc musiałam to zrobić, bo byłam chora, nieszczęśliwa, ale nie potrafią zrozumieć. Jak jadę z synem autobusem, ja zawsze jestem z przodu, a on z tyłu i udajemy, że się nie znamy. Wstydzi się mnie. A jak starszy wpada do mnie ze swoją partnerką, to ona za nic w świecie niczego u mnie nie dotknie. Są ludzie, moi byli przyjaciele, po których widzę, że normalnie się mnie brzydzą.

– **Popieprzone to życie...**

– Najbardziej od śmierci matki. Dwa lata po mojej przemianie umiera na raka w domu siostry, który jest obok mojego bunkra. Jakies trzy miesiące przed śmiercią wpadam do niej w środku dnia, ale śpi, więc siedzę przy łóżku i patrzę. Rozmyślam. Nagle z piętra schodzi szwagier i mówi, że siostra powiedziała, że mam się wynosić. Z jakiej racji?! To mnie wyrzuca. Nawet nie mogę włożyć butów. Potem krzyki, przepychanki przed domem, aż przyjeżdża policja, a za ścianą, w łóżku, umiera moja matka. Musi nas przecież słyszeć. Ostatni raz jestem wtedy w moim rodzinnym domu. Domu mojego paskudnego dzieciństwa.

– **A była żona, matka twoich synów?**

– Poznajemy się na studiach. Skończyła politechnikę, ale postanawia zostać śpiewaczką, więc z tych naszych nędznych pensji zawsze trzeba wykroić pieniądze na lekcje śpiewu u wielkich sław. Lata płyną, a ona ciągle się uczy. Potem mówi, że to ja jestem powodem upadku jej kariery. Jest cholernie niedojrzała. Fajnie mieć w domu takie duże i piękne dziecko do zabawy, ale nie na dłuższą metę.

– **Ja pytam o seks. Czy było dobrze?**

– Dwoje dzieci jakoś się urodziło. To jest moja pierwsza kobieta, ale na pewno nasze pożycie nie wygląda jak normalny seks faceta z kobietą. Taki zwyczajny. Takie osoby jak ja krzywdzą kobiety. One po rozstaniach z tymi swoimi innymi partnerami nie potrafią potem znaleźć sobie nikogo. Tak jest z moją niemiecką partnerką i tak jest z Ewą, po której mam imię. Wszystkie żyją samotnie. Im po prostu z nikim potem nie jest dobrze, szukają tego, czego mężczyźni nie mają, elementu kobiecości. Szukają kogoś takiego jak ja. Kto kocha się jak lesbijka...

Zobacz! Worek jest pusty! To ostatnia chemia.

– **Bogu dzięki.**

– Nie ma za co dziękować. Okrutnie sobie ze mnie zażartował. Ciekawa jestem dlaczego. Kiedy przed Nim stanę, wygarnę Mu prosto w oczy: „Teraz się wytłumacz”

Opowieść o Ewce Hołuszko zamontowana w tej książce to mój tekst o niej z 2009 roku, który dzielę na części i przerabiam na zwykłą rozmowę, bo wcześniej był skonstruowany jak wewnętrzny dialog między facetem i babką w jednej osobie, jak rozmowa między Ewą i Markiem. To nie był dobry pomysł, że gadali sami ze sobą jak psychole albo jakby było ich dwoje. Przecież zawsze była tylko jedna Ewka, wziąłem się więc do jej historii jeszcze raz od początku, żeby napisać o niej tak jak o pozostałych bohaterach, ale ten pomysł nie podobał się Ewie, i zaproponowała, że napisze o sobie sama. Ale ten pomysł z kolei mnie nie przypadł do gustu, więc opowieść o Ewie jest reportażem z recyklingu.

Ewa ciągle mieszka w swoim podziemnym bunkrze, a razem z nią trzy stare psy rasy mieszanej ze schroniska i pięć podobnych z urody kotów. Mają już wreszcie upragnioną kanalizację, ale Ewa straciła pracę w firmie ubezpieczeniowej. Żyje z renty specjalnej przyznanej jej przez premiera jako zasłużonej działaczce opozycji demokratycznej z czasów sprzed transformacji ustrojowej. W 2014 roku bez powodzenia kandyduje do Parlamentu Europejskiego. Nie ma nawrotów choroby nowotworowej.

ĆPANIE.

Wszystko o mojej matce

Opowiada Dorota, córka Ewy Choromańskiej:

– Ja zawsze byłam gruba. Mam pięć lat i ważę pięćdziesiąt kilogramów. Pamiętasz, nie? A mama czasem zabiera mnie na zadymy, żebym zobaczyła, jak naród się buntuje przeciwko władzy, i któregoś razu, w połowie lat osiemdziesiątych, na Starym Mieście robi się straszne zamieszanie, milicja z armatkami wodnymi rusza do szturm na demonstrantów, wszyscy uciekają, ale ja, gruba, ledwo nadążam, a potem się okazuje, że przez te sto czy dwieście metrów biegu uda w kroku zacierać sobie do krwi. Taka byłam gruba! A jak to strasznie bolało... Więc jak później odkrywam, że po amfetaminie się chudnie, bo nie jesz, masz totalny brak apetytu, to dla mnie po prostu rewelacja. Co z tego, że gęba ohydna jak maska, że od tej chemii cała wysyfiona jak przy ospie, kiedy wreszcie jestem chuda! Lepiej być zasyfioną niż grubą, na miły Bóg.

Wpadam w to przed maturą, kiedy ojciec odchodzi. Oszukuję siebie, że biorę, żeby móc się więcej uczyć, bo po tym narkotyku w ogóle nie śpisz. Nie musisz, a nawet nie możesz, no i przy okazji w tym towarzystwie poznaję mojego Łukasza. On bierze heroinę, ale już z tego wychodzi, a ja akurat w najgorszym stanie. Cholernie się uzależniam, na wiele lat, a rodzice niczego nawet się nie domyślają. Ja oczy ogromne jak spodki, a oni nic nie widzą. Jak lekarze mogli się nie zorientować, że ich dziecko bierze prochy?! Skoncentrowani po prostu na sobie, na swoich sercowych sprawach, problemach. Do tego kariera zawodowa, cholernie intensywna praca, nocne dyżury... I nie znają się

na tym zupełnie, bladego pojęcia nie mają, chociaż mogliby coś wiedzieć, bo mieliśmy w rodzinie kuzyna, który od trzynastego roku życia ćpał kompot i umarł na AIDS. Rodziców bardzo łatwo oszukać, a jak już się wszystko wydaje, to wciskam im, że to w celach naukowych, żeby nauka lepiej do głowy wchodziła, a potem jeszcze na krzyż przysięgam, że nie jestem zaćpana, a byłam. Straszny czas. Dla nas. Ty wiesz, ile ja tego biorę?! Zaczynam jak wszyscy od stu miligramów, a na koniec cały gram muszę wziąć, żeby szarpnęło, żeby poczuć, żeby się naćpać. Ja tego nie wążam, żeby nie zniszczyć sobie nosa. Robię zawiniątka z ligniny i łykam. Kilka lat tak.

Forsę oczywiście dają rodzice. Rozeszli się, to pieniądze wciska jedno i drugie, żeby być tym fajniejszym, lepszym rodzicem. Dopiero jak się wydaje, to przestają, ale z domu nie kradnę, nie sprzedaję. Tylko jeden sygnet dziadka, ale samo złoto, bo kamień wydłubuję i zostawiam w szkatułce.

Sama nie wiem, jak mając jedno dziecko, można nie móc go we dwoje dopilnować? Ty mi powiedz, jak lekarze mogli pozwolić, że byłam taka gruba? Dopiero na wakacjach w Sopocie po pierwszej klasie podstawówki trochę mnie odchudzają, bo w szkole ktoś im powiedział, że zrobili z dziecka potwora. Tak mnie zaczynają głodzić, że jak po obiedzie odnoszę naczynia do kuchni, to ukradkiem wylizuję ich talerze z tłuszczów. Jakie to było pyszne... A jaka ja wtedy byłam głodna! Tylko raz w tygodniu mogę dostać jedną kulkę lodów albo zapiekankę. Do wyboru. Ale później i tak zawsze mi się wydaje, że jestem gruba. Nawet jak nie jestem, stąd ta amfa niby na odchudzanie, bo w głowie, psychicznie, ciągle jestem gruba.

Ale w końcu się uspokajam, kończę studia, Łukasz bierze mnie w ryzy i razem pięknie wychodzimy z tego, na dodatek bez żadnych terapii, odwyków, odtruwania. Nasza miłość zwycięża, bo mama ją pielęgnuje, bo kocha Łukasza tak samo jak ja. Gdyby nie ona, już dawno bym się

z nim rozstała, bo nasz związek jest bardzo burzliwy. Ona łagodzi, uspokaja, zawsze go broni, mówi, że on ma dobre serce, że mnie kocha i że to wielkie szczęście, że te dwie samotne kobitki mają swojego mężczyznę w domu. Bo Łukasz mieszka z nami. On jest kierowcą na tirach, ale teraz jeździ po Warszawie na betoniarce, bo mamy dwóch maleńkich synków i chce uczestniczyć, widzieć, jak dorastają. Piętnaście lat jesteśmy razem, a pięć lat temu bierzemy ślub. Nam nie zależy, ale mama bardzo chce, wszystko sama organizuje, za wszystko płaci, kupuje mi białą suknię, urządza wesele w pałacyku w Oborach. I życie by było piękne, gdyby nie to, że przychodzą dni, kiedy widzę lęk w jej oczach. Zасыwa się gdzieś w kącie i płacze bez powodu. A przecież ona osiągnęła wszystko. Miała niesamowite, ciekawe życie, z którego może być dumna. Ma dom, kochaną pracę, córkę, wnuki, kabriolet, ludzie ją uwielbiają, a do tego jest bohaterką, cudowną matką, która uratowała i przygarnęła całą rodzinę swojego dziecka, i tylko ten mój tata jej się nie udał. I przez taką jedną, małą rzecz mama wpada w depresję. A przecież nie ma w tym niczego nadzwyczajnego, tylu ludzi jest w takiej sytuacji i wychodzą jakoś z porzucenia. Mama mówi, że już nie kocha ojca, ale... Ja nie mogę zrozumieć, jak można trzymać w domu faceta, który zdradza?! Tyle lat! Dla mnie to niepojęte. Sama ojcu powiedziałam, żeby się wyprowadził, i cieszyłam się, kiedy sobie poszedł.

Ja też moimi szaleństwami na pewno bardzo przyłożyłam się do jej choroby. Nie dość, że mąż, to jeszcze córka. Mama sama się leczy, sama przepisuje sobie lekarstwa, ale doły miewa mimo wszystko. Pewnie też przez to, że szurnęli ją z chirurgii na izbę przyjęć, a przecież nikt nie robił tak dobrze żyłaków jak ona. Niby nie taka wielka operacja, ale rękę trzeba mieć. To pewnie degradacja, ale nie pytam jej o to, bo się boję, że mogłoby ją zabołec. Izba to najgorsza praca w szpitalu, najwięcej nerwów, stresu, największy zapieprz, pierwsza linia pomocy, gdzie

pogotowie zwozi ofiary wypadków, policja ofiary gwałtów, porzniętych bandziorów, meneli... Nawet ja, kiedy jestem w ciąży, ma się urodzić Stefan, i wpadam do mamy, a jakiś cham robi awanturę, to nie wytrzymuję i jadę po nim, żeby wypierdalał, a on leci na skargę aż do ordynatora. Myślę, że przenieśli ją, bo przyłożyła tej... A może chodzi o to, żeby nie byli z ojcem na jednym oddziale? Bo on tam ciągle jest.

Mama ucieka w tę robotę i totalnie się tam zajeżdża. W pracy torpeda, a w domu potem ochłap. Specjalnie tak. Zarzyna się, wykańcza, zabija, żeby nie myśleć, że oprócz pracy i pomocy przy wnukach nic jej nie zostało. Pamiętasz, jaka zawsze była szczupła? Masz rację, mała, ale foremna, piękna po prostu, a popatrz, jak przez tę cholerną depresję utyła. Opycha się słodyczami, bo poprawiają nastrój.

Nie wystarcza jej, że jest moją bohaterką.

DUMA.

Sztuka pięknego wstawania

– Dorota jest dokładnie taka jak ja, bo jej nawet czołgiem nie przejedziesz – mówi Ewka Choromańska. – Absolutnie nie wstydzę się swojej córki ani tego, jakie były koleje jej losu. Jestem z niej dumna, bo sztuką nie jest nie upaść, tylko upaść i się podnieść. Pięknie się podnieść.

Dorota jest rówieśniczką „Solidarności”, dziewczyną o konsystencji pocisku przeciwpancerneho, która po wykaraskaniu się z narkomanii zaczyna nałogowo ćwiczyć, trenować, umęczać swoje ciało nawet wtedy, gdy jest w ciąży, i tę namiętność zamienia na pracę. Jest zawodową trenerką gimnastyki rekreacyjnej, instruktorką fitness. Razem z mężem i dwoma synkami mieszka w wielkim domu swojej matki na warszawskim Mokotowie.

– Pamiętam, że w latach osiemdziesiątych mieliście psa, wielkiego długowłosego owczarka niemieckiego – przypominam Ewce Choromańskiej.

– Raf się nazywał – ona na to. – A trzy lata temu jeszcze były dwa koty. Jeden się obraził, kiedy urodził się Stefan, i dał nogę, drugi zdechł, a ten znicz, co się pali w ogródku, jest tam, gdzie go pochowaliśmy. A ja zaraz zacznę ryczeć.

– Je też pamiętam. Dwa wielkie, antyczne, wypasione kolosy o diabelskich oczach. Ale psy mnie interesują.

– Wyszłam za Włodka z wielkiej miłości...

– Miały być psy, kobieto! – grymaszę. – A nie koty albo Włodek.

– Do tego właśnie zmierzam. U nas zawsze były psy, ale Raf był

najważniejszy.

Bo to prezent od Ewki dla męża na pierwszą rocznicę ślubu, musiał więc nastać u nich w 1977 roku. Sypia tylko u nich w łóżku i nigdy z niego nie wychodzi, dopóki Włodek tam jest. Raf uwielbia swojego pana, bardzo go pilnuje, a kiedy przychodzimy do Ewy na poniedziałkowe zebrania naszej podziemnej struktury, wszyscy bardzo uważamy, żeby przy Włodku nie wykonywać gwałtownych ruchów, bo to Rafowi może się nie spodobać. Nie za bardzo też podoba mu się, kiedy do Włodków wpadają Marek Hołuszko z żoną, która zawsze bardzo lubi wystąpić przed domownikami z małym recitalem operowym. Wtedy Raf staje koło śpiewaczki i wyje z nią a cappella jak na pogrzebie. Jest bardzo pięknym, czarnym, niezwykle mądrym wilczurem, któremu nie udaje się przeżyć komuny. Ale niewiele brakuje. On też pochowany jest w ogródku kwiatowym przy domu.

Po długiej żałobie Ewa kupuje Włodkowi następnego szczeniaka w wiklinowym koszyku z kokardą. To też owczarek, tyle że suka, Rafa, ale już nie jest tak bez pamięci rozkochana w swoim panu, bo babska solidarność każe jej być bardziej za panią.

– O czym jeszcze marzysz, Ewko? – pytam z grubej rury i wiem, że długo będę musiał czekać na odpowiedź, więc słodzę kawę, dolewam mleko, biorę kilka łyków.

– Chcesz coś słodkiego?

– A co masz? – ożywiam się.

– Wafle z nutellą.

– A jakiej bomboniery od pacjentów nie znajdziesz?

– Co ty? Teraz nie przynoszą. To zrobię wafle, a w sprawie marzeń, to chciałabym jeszcze zatańczyć tango, bo bardzo lubię, a od lat nie mam okazji. I nie mam z kim. I chciałabym pojeździć na nartach, bo też jakoś przestałam, i jeszcze... Bo ja wiem? Może zakochać się na starość?

– Bo już nie jesteś?

– Nie wiem. – Ewa wzrusza ramionami. – Wiem, że mimo depresji uważam, że moje życie jest spełnione, że dokonałam dobrego wyboru, bo po osiemdziesiątym dziewiątym roku stoję przed dylematem, czy pójść w politykę, czy zostać przy medycynie, i wybieram to drugie. Teraz wiem, że dobrze zrobiłam.

– Kiedy ostatnio rozmawialiśmy, byłaś zakochana. Coś się zmieniło przez te dwa lata?

– Tak. Nasz Łukasz, mąż Doroty, któremu okropnie wypada dysk. Człowiek nie do życia po prostu, totalnie powalony, unieruchomiony w łóżku, więc jedyne rozwiązanie to cholernie niebezpieczna operacja kręgosłupa.

Trzeba załatwić. I pomaga Iwona, partnerka Włodka, która zna pierwszego neurochirurga Rzeczypospolitej, największą sławę profesorską od kręgosłupów. W kilka dni załatwia operację w ramach Narodowego Funduszu Zdrowia, a więc za darmo, która znakomicie się udaje, więc chłopak staje na nogi jak nowo narodzony, a Ewa dzwoni do Iwony i mówi, że jest jej głęboko wdzięczna i że zawsze może na nią liczyć.

Od tej pory panie składają sobie rutynowe życzenia na urodziny, imieniny, święta, bardzo są dla siebie miłe, życzliwe, serdeczne.

– Włodek by chciał, żebyśmy byli wszyscy razem, żebyśmy się spotykali, kochali i wspólnie obchodzili święta ze wszystkimi naszymi dziećmi, ale jak parę lat temu w wakacje Dorota z mężem i synem jadą do Sopotu w czasie, kiedy są tam Włodek z Iwoną, to mnie jakby kto widły w serce wbił, że będą się tam wszyscy kolegować. Z Iwoną. A to przecież nasz domek, moje łóżko, moje garnki, moje firanki w oknach i moja córka z moim wnukiem. Moje najpiękniejsze wspomnienia... Aż mnie skręca z zazdrości, z bezinteresownej, dzikiej zazdrości. Jakby Włodek był w potrzebie, w biedzie, zrobiłabym dla niego wszystko, krew, życie bym oddała, on dla mnie na pewno też, ale tego już

za wiele. A jeszcze w maju 2014 roku, tuż po urodzeniu Gustawa, dzwoni Włodek i pyta, czy może przyjechać z Iwoną obejrzeć wnuka. Ścisza mnie w sercu, ale mówię: „Dobra”. Zjeżdżają. Piękna pogoda, to siedzimy w ogródku i pijemy wino, gadamy o dzieciach, o pracy i o dupie Maryni.

– No i co?

– Skucha – rzuca krótko Ewka Choromańska nazywana w konspiracji „Celiną” – Dla mnie eksperyment się nie udaje. Nie mogę się doczekać, żeby sobie poszli.

WSTYD. Stos suchych badyli

W 2005 roku Maciej Zalewski, były sekretarz stanu w kancelarii prezydenta Lecha Wałęsy, zaczyna odsiadywać wyrok dwóch i pół roku więzienia za wyłudzenie od Art-B czterech milionów złotych pożyczki dla spółki Telegraf, której był prezesem. Spółka ta została wymyślona jako zaplecze finansowe partii Porozumienie Centrum braci Kaczyńskich, której Maciek jest jednym z założycieli i jej posłem, i jedną z najważniejszych postaci.

A Maciek nie prosi prezydenta o akt łaski, a najpewniej by go dostał. I trafia do zakładu karnego na warszawskim Bemowie o bardzo łagodnym reżimie.

– Więzienie to chujowe doświadczenie – mówi ponuro Maciek. – Wchodzę ze swoim majdanem pod celę, a z telewizora Jarek Kaczyński przemawia, że sprawy Zalewskiego tak po prostu nie zostawimy, będziemy wyjaśniać. Gównu zresztą z tego wyjaśniania wychodzi, bo z ulgą sobie o wszystkim, i o mnie, zapominają. To czas, kiedy partia braci Kaczyńskich wygrywa wybory, a na moim więziennym oddziale dostają najwięcej głosów, bo skoro jeden od nich siedzi w naszym kryminale, to znaczy, że to są fajne chłopaki. A ja przez pół roku muszę walczyć z ksywą „Minister”, którą dostaję.

I jeszcze się dziwi, minister jeden! Jest prawdopodobnie jedynym więźniem w byłym Układzie Warszawskim, który pali cygara i chce, żeby go nie nazywali „Ministrem”. Siła przywierania spontanicznie nadanych w kryminale, oczywistych ksywek ma moc kleju Kropelka, którym można przykleić faceta do sufitu. Próba zmiany takich

przyzwyczajęń to walka z wiatrakami i kolejny powód do wybuchu agresji, którą w męskim kryminale podszyte jest absolutnie wszystko, każdy element życia, bo nuda, bezczynność, brak kobiet, bliskich, ruchu, a wszystko na małej, zamkniętej przestrzeni wśród kilkunastu rozdygotanych, doświadczonych przez życie, nieszczęśliwych mężczyzn.

– Mnie ratuje to, że jestem z chuligańskiego Powiśla, więc więzienną subkulturę znam lepiej niż współczesne garusy – opowiada Maciek. – A wszystko jeszcze utrwała mi się podczas obu odsiadek za komuny.

W celi Maćka wśród dziesięciu współwięźniów jest siedmiu zabójców, którzy w jego lekkim kryminale dosiadają końcówki swoich ogromnych, przeważnie dwudziestopięcioletnich wyroków. Jest wśród nich na przykład zabójca Jana Strzeleckiego, wybitnego polskiego socjologa i eseisty, z którym rodzina Zalewskich była zaprzyjaźniona. Na uniwersyteckich zajęciach prowadzonych przez Maćka teksty Strzeleckiego są lekturą obowiązkową.

– A ja z mordercą, który go zatłukł, prowadzę wielką, półtoraroczną rozmowę, nagrywam ogromny wywiad, bo dostaję zgodę na posiadanie dyktafonu. To wspaniały, wstrząsający materiał, z którym ciągle nie wiem, co zrobić. Nie palę się zresztą, żeby się do tego wziąć, bo razem z tymi opowieściami wracają najgorsze wspomnienia. Nie muszę cię chyba przekonywać, że więzienie nie jest dla starych ludzi? Wspomnienia o nim także. To, że nie jestem ze szczętem pogruchotany, zawdzięczam moim dziewczynom.

– Żonie i córkom.

– Tak. Małgosi, Marysi i Krysi.

To jakoś wtedy, na wiosnę 2006 roku, przychodzę do Maćka na widzenie, od którego zaczynam pisać ostatnią część *Skuchy*. Przychodzę po nic, bez reporterskiego pomysłu, planu, bez żadnych mądrych pytań, więc chyba tylko po to, żeby na niego spojrzeć i coś usłyszeć, ale sam nie wiem, co by to miało być. Na pewno nie

przychodzę do Maćka z ciekawości. Raczej z nadzieją. Reporter poświęca niekiedy mnóstwo czasu i energii, kiedy czuje albo widzi, że w czymś, w kimś jest załączek opowieści, wystarczy więc tylko się spotkać, podmuchać, a historia sama rozczmycha się jak ogień na wielkim stosie suchych patyków. Wystarczy tylko nie przeszkadzać, dobrze słuchać, a poleci samo.

Ale wtedy nie może się to udać, bo jak kompletny amator nie potrafię okiełznać emocji, i kiedy widzę Maćka z cygarem w zębach, jedyne pytanie, jakie przychodzi mi do głowy, to czego w życiu wstydzi się najbardziej. On więc pyta, jakie jest następne pytanie, ja mówię, że takie samo jak to pierwsze, i Maciek wygania mnie w cholerę. Koniec widzenia.

Tak na dziewięć długich lat zamykam dla siebie jego opowieść.

A już w lipcu 2006 roku, po odbyciu połowy kary, był szef Telegrafu wychodzi na wolność. Chociaż o nic nie prosi. Wyręcza go dyrektor zakładu karnego na warszawskim Bemowie, który pisze za niego wniosek czy też prośbę do sądu penitencjarnego o warunkowe przedterminowe zwolnienie.

Niektórzy znajomi Maćka do dzisiaj wątpią w jego winę. Wiele osób sądzi, że nie bronił się ze wszystkich sił, nie mówił wszystkiego, co wie, wyraźnie kogoś krył ze swoją szkodą, oszczędzał, jak mógł, chciał ochronić. Wiele razy podczas naszych rozmów Maciek nazywa siebie białym oficerem, zatem kimś wiernym do końca, bez względu na okoliczności, który nigdy nie sprzeda, nie ulegnie, nie przejdzie do czerwonych, na drugą, zwycięską stronę.

– Co obaj bracia dobrze rozumieli – tłumaczy Maciek. – Więc nie przypominam sobie, żeby kruszyli o mnie kopie.

– Dlaczego? – pytam i zapadam się w sobie, bo wiem, że szybko nie odpowie.

Mogę posłuchać następnej piosenki Boba Dylana, który cały czas leci

ze staroświeckiego adaptera, albo tykania wielkiego zegara z trzema strasznymi literami na cyferblacie oznaczającymi zlikwidowane w 1954 roku Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego. Zegar jest Maćkową zdobyczą z remanentu w jakimś powiatowym komisariacie milicji.

– Nie walczyli o mnie, bo to najbardziej makiaweliczne, a więc bezwzględne i fascynujące postaci naszego dwudziestopięciolecia, jakie znam – kończy myśl Maciek. – To genialni ludzie, którzy świetnie grają, fenomenalnie wszystko pamiętają, są cudownymi analitykami, a prywatnie wspaniałymi rozmówcami. Fascynujące postaci przesiąknięte inteligencko-szlacheckim etosem budowania szklanych domów, potrzebą pomagania ludziom, kotom i wszystkim, którzy sobie nie radzą.

Dzisiaj nie widzę już w Maćku Zalewskim nawet krztyny tego wszystkiego, co zobaczyłem na więziennym widzeniu. Albo wydawało mi się, że widzę. Ani odrobiny wyniosłej buty, żadnej arogancji, raczej smutną nostalgię za czymś, co nie wróci na pewno. Nawet cygar nie pali. Teraz fajka ciągle między nami. Gmera przy niej i majstruje, dłubie, przeczyszcza, przedmuchuje, dziesiątki razy przypala zapalniczką, której klikanie można sobie wyobrazić jako miły dla męskiego ucha chrobot zamka od pistoletu. Ucieka w tę fajkę, gdy padają trudne pytania, nabija, ciągnie, głośno pyka, zajmuje rozbiegane myśli i ręce, a mnie oczy, co przeszkadza bardziej, niż gdyby naprawdę wyjął pistolet i się nim bawił albo wyciągnął gilotynę i obcinał paznokcie.

Zawsze, skubaniec, musi mieć ten ratunkowy rekwizyt, barykadkę, którą odgradza się od ludzi. Ode mnie właściwie.

DYMANIE.

Syn czarnego miasta

Maciek jest polonistą, antropologiem kultury, filmoznawcą i miłośnikiem hollywoodzkiego kina, więc bardziej dla przyjemności niż dla zarobku pisze scenariusz serialu szpiegowskiego w amerykańskim stylu pod tytułem *Syn miasta*, ale chociaż jest organizacyjnym geniuszem, nie udaje mu się skierować go do produkcji. W jednej z komercyjnych stacji telewizyjnych powstaje nawet pilot, pierwszy odcinek, ale wszyscy decydenci grymaszą, że nie wiadomo, kto zabił rezydenta polskiego wywiadu w Hongkongu, więc Maciek musi tłumaczyć, że kino szpiegowskie na tym właśnie polega, że w pierwszym odcinku nie wie się wszystkiego. Najgorsze, że do głównej roli dostaje celebrytkę, a nie aktorkę, która nie uczy się tekstów, wszystko myli, zmyśla, psuje i mówi, że może grać nawet sceny rozbierane, pod warunkiem że będzie ubrana. A tekst, dialogi, każde słowo jest bardzo ważne, bo nad każdym z nich razem z Maćkiem pracuje jego kumpel z więzienia, wybitny specjalista od szorstkiego języka, w kryminale prowadzący teatrzyk dla osadzonych, w którym Maciek dla zabicia nudy także grywał.

Producentem pilota jest firma, która specjalizuje się w kręceniu reklam, ale faceci od nich tak jak Maciek marzą o robieniu dobrego, komercyjnego kina, więc dawny konspirator zatrudnia się u nich na zasadzie wolontariusza, a kiedy jeszcze jego córka Marysia skończy w Kalifornii studia w szkole filmowej, ruszą pełną parą z niezależną produkcją. Taki jest plan i marzenie Maćka.

– No dobra, ale ja chcę wiedzieć, z czego żyjesz. – A on draps za fajkę,

bo może zapomnę, o co pytam, i powie mi coś od czapy, o czym on będzie miał ochotę pogadać.

– Więc po trzydziestu latach wracam do swojego stanu wyjściowego i zajmuję się kinem, ale teraz jako producent kreatywny.

– A jak zarabiasz?

– Mam etat doradcy zarządu firmy, która buduje III RP. Infrastruktura. Drogi, stadiony, mosty...

– Jak wygląda twoja praca?

– To wysiadywanie na naradach zarządu, jak na posiedzeniu dawnej Rady Ministrów w dziwnym składzie, bo minister spraw wewnętrznych jest od nas, minister finansów od czerwonych, minister transportów od was... Pełen ekumenizm, a do tego ja na etacie, i tak powstają nasze autostrady. A do mistrzostw Europy w piłce nożnej dopłacamy czterdzieści milionów złotych, bo nas dymają przy budowie stadionu. To idę do prezydenta Wrocławia i mówię: „Rafał, lepiej zapłać”, ale on nie może, bo już zapłacił wykonawcom, a my jesteśmy tylko podwykonawcą jakiegoś ogromnego koncernu światowego. Robimy dla nich elektronikę, ale też rękoma podwykonawców, bo nie mamy tysięcy ludzi, robotników, setek koparek, sychaczy. Kluczem wszystkiego jest finansowanie tego bałaganu, stąd tylu finansistów w zarządzie firmy, a ja mam przecierać szlaki, załatwiać, przekonywać, zachęcać, czyli seks oralny.

– I nic nie robisz, tylko omawiasz?

– Tak. Gadanie zamiast dymania, człowieku.

SZCZĘKANIE. Kiedyś byłem psem

Tak do mnie zagadał Maciek dla gorzkiego żartu jak syn wielkiego miasta, najbardziej czarny biały Czarnuch III Rzeczypospolitej.

Nazwał mnie człowiekiem, chociaż do końca nie jest to takie pewne, bom podejrzanie wszytkożerny. Wszytkożerny padlinożerca do tego, który każdy przedmiot węża, przeczuciu ufa bardziej niż wzrokowi, a z instynktów najbardziej rozwinięty ma instynkt ucieczki.

A jeśli gdzieś mam być szybko, to biegnę. W rytmie jeden oddech na cztery kroki mogę biec nieskończenie długo, godzinami. Bez zatrzymywania się potrafię jeść i pić. Do windy za nic w świecie nie wsiądę, jeśli mam być niżej niż na piątym piętrze. W dół nigdy nie zjeżdżam. I nigdy się nie gubię. Z natury mam zamontowaną w głowie nawigację.

Nie mam wątpliwości, że kiedyś byłem psem. Nawet teraz umiem z nimi gadać, chociaż nie ze wszystkimi mam ochotę, bo jak wszystkie zwierzaki w moim domu mam uprzedzenia rasowe. Wszyscy nie cierpimy na przykład pitbuli, a także bulterierów, cholernych psych mięśniaków, czworonożnych drecholi, przygłupów z mózgami wielkości orzecha laskowego.

A z tym padlinożercą to reporterska metafora. Kiedy jadę w teren, w Polskę, w świat na zbieranie materiału do nowego tekstu – schylam się po każdy paproch, szczegół, informację, opowieść. Do każdej padliny, śmiecia, gówna. Mogę później nie wykorzystać, nie pożreć, ale na pewno podniosę, schowam, zabiorę.

To wszystko sprawia, że jestem naturalnie wyposażony

do podróżowania. Uwielbiam je zresztą. Chociaż prawie nigdy tak nie mówię. Mówię, że uwielbiam być w drodze.

To nic nadzwyczajnego zważywszy na fakt, że w poprzednim życiu byłem wałęsającym się psem. Proszę zwrócić uwagę, że nie piszę „bezańskim”, tylko wałęsającym się. Bo cóż to za przyjemność być psem pańskim? Mieć pana?

Nie byłem więc nawet psem bezańskim ani bezdomnym, tylko wolnym, swobodnym, włóczącym się. Wprawdzie wiecznie głodnym, parszywym, zapchlonym i oblażłym egzema, do tego z rakiem jąder, które w końcu krótkiego życia niemal wlokły się za mną po ziemi, ale za to radosnym, ba!, szczęśliwym psem. Paskudnym kundlem z zaropiałymi ślepiami i uszami, z których cuchnęło jak z kibla, ale dumnym ze swoich potężnych i żywotnych jak karpie plemników, które w milionach egzemplarzy rozesłałem po całym znanym mi wtedy świecie.

Byłem kulawy na tylną łapę, więc pewnie z tamtego życia pamiętam chuligańską rymowanekę, której w obecnym życiu nigdy nie słyszałem. Moja mama mówi, że jakoś tak w jej dzieciństwie sochaczewska (skąd jesteśmy) łobuzeria darła się, goniąc i ciskając w bezańskie psy kamieniami.

Kulawy kundel biegł sobie drogą.

Kurwa go mać, kurwa go mać, kurwa go mać.

Jakiś skurwysyn kopnął go nogą.

Kurwa go mać, kurwa go mać, kurwa go mać.

Och, ty skurwielu w dupę kopany.

Kurwa go mać, kurwa go mać, kurwa go mać.

Ja się poskarżę u twojej mamy.

Kurwa go mać, kurwa go mać, kurwa go mać.

Mam tylko jedną rysę na swoim szmatławym wizerunku parszywego

kundla – uwielbiam, jak mi Pani obcina pazury. Bo ona się jednak przydaje, kiedy potrzebujesz zwalić łeb. Najlepiej, rzecz jasna, na kolana, kufę wtulić w dołek, gdzie największy gorąc.

Kufa to psi pysk.

To pewnie z powodu poprzedniej tożsamości taką niewypowiedzianą przyjemność sprawia mi pisanie reportaży o bezdomnych. Ludziach! – bo pies wprawdzie także może być bezdomny, ale jako domowy przestaje już być psem. Tak myślałem w poprzednim życiu.

Te trzy moje teksty o bezdomnych to reportaże wcieleniowe. Dwa powstają w Warszawie, jeden – w Moskwie. Wbijam się w łachmany włóczęgi i zamieszkuję na ulicy. Cudowne uczucie! Nie mam najmniejszych wątpliwości, że to jest moje, czy też kiedyś było moje, życie. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że nie zmieniam, tylko że powracam do starej tożsamości, do starego życia, starych sposobów zdobywania żarcia, picia, posłania, towarzystwa. Jak za przestawieniem wajchy ze zmianą ubrania pozbywasz się tożsamości dziennikarza, męża, ojca, właściciela, obywatela – jednym słowem normalsa, mugola – i stajesz się włóczęgą, nie wstydzisz się żebrać, sikać w parku, spać na trawniku pod pomnikiem Mickiewicza Adama.

Kolegom reporterom, którzy nie cenią tego gatunku reportażu, czy raczej metodologii zbierania materiału, i mówią, że to jest robione tylko dla hecy, odpowiadam, że są w błędzie. Świat bezdomnych można opisać tylko z pozycji śmiecia leżącego na ulicy czy też z perspektywy wałęsającego się psa. Nigdy się nie dowiesz, jak ludzie (normalsi) patrzą na poniewierające się na ulicy śmieci, jeśli nim nie będziesz.

Byłem zatem w poprzednim życiu wałęsającym się psem. Słowo „wałęsać” uwielbiam podwójnie na cześć Lecha Wałęsy. Pojmuję to w Karnawale, czy też za czasów tak zwanej pierwszej „Solidarności”, zatem między sierpniem osiemdziesiątego a grudniem osiemdziesiątego pierwszego roku, gdy w narodzie mawia się dla żartu,

że rząd się wałęsa, a Wałęsa się rządzi.

ŚLUBOWANIE.

Druga tajemnica zgredowska

Michał przeżywa ze swoją żoną Basią kawał pięknego życia, ćwierć wieku z hakiem niezwyklej i nieoczywistej urody. Tak uważa, ale kością niezgody małżonków jest zawsze jego aktywność, czy też nadaktywność, niezwykła ruchliwość, wszędobylstwo, konspirowanie, to jego pojawianie się i znikanie, czmychanie, ciągłe wychodzenie z domu na dzień i na noc, więc rok 1989 wydaje się Basi wybawieniem. Marzy, że w wolnej Polsce Michał zakotwiczy, stanie się bardziej stacjonarny, zadowolony się etatem na Uniwersytecie Warszawskim, gdzie będzie robił błyskotliwą karierę akademicką i naukową, tak jak jej ojciec, sławny profesor od matematyki, i tak jak ona.

Ale Michał wybiera politykę, działalność publiczną i pracę w administracji państwowej.

– Dopiero kiedy miałem czterdzieści siedem lat, zrozumiałem, że nie mogę oczekiwać od kobiet, żeby były moimi matkami – opowiada Michał. – Miałem bardzo dramatyczne, nieuporządkowane, niezwykle życie pełne żon i romansów, ale wszystkie te kobiety w jakimś sensie muszą się mną opiekować, współczuć mi, dostarczać ciepła. Tak jakoś wychodzi. Od kobiet potrzebuję przede wszystkim wsparcia, silnego partnerstwa i namiętności jako źródła energii. Namiętność jest najważniejsza, jest moim paliwem, na którym chodzi mój silnik i komputer pokładowy zamontowany w mojej głowie, a ponieważ pracuję niesłychanie intensywnie i niekonwencjonalnie, to potrzebuję tę namiętność ustawicznie odnawiać. Bez tego nie mógłbym żyć.

W 2001 roku Michał rozstaje się z Basią, wyprowadza się z domu

i przenosi do Renaty, w której zakochuje się na zabój kilka miesięcy wcześniej.

– Wracasz jednak?

– Po paru miesiącach dojrzewam do tego, żeby wrócić, ale postanawiamy z Basią, że do całkiem nowej przestrzeni. Sprzedajemy mieszkanie, bierzemy kredyt i kupujemy nowe i duże na Starym Mokotowie, bo u nas w domu wszyscy mieli swoje pokoje albo kąty do pracy, a ja nie miałem własnego miejsca. Dociera do mnie, że to ja miałem służyć innym, myśleć i zabiegać o to, żeby wszystkim w domu było dobrze, wygodnie, troszczyć się o wszystko i wszystkich, włącznie z organizacją przestrzeni w domu.

W 2010 roku Michał poznaje Hanię. Dziewczyna ma o dziewiętnaście lat mniej od niego, pracuje w Komisji Europejskiej w Brukseli. Michał mówi Basi, że w swoim życiu będzie zmieniał wszystko.

Rok później rozstają się definitywnie.

A Hania przywraca Michałowi poczucie szczęścia, ładuje go energetycznie, sprawia, że Michał wreszcie się uspokaja, łagodnieje, zwalnia, traci napięcie. Mój wojenny kolega jest zdania, że staje się lepszy.

Tak jak nasz kraj, w którego narodziny bohaterowie tej książki są zamieszani, w którym jest prawie jeden milion alkoholików, a cztery miliony osób pije szkodliwie, bardzo ryzykownie. W którym według Głównego Urzędu Statystycznego ponad siedemset tysięcy dzieci, a więc co dziesiąte, nie dojada, żyje w skrajnym ubóstwie, a prawie co drugi obywatel nie czyta w ciągu roku ani jednej książki. Dwie trzecie z nas uważa, że demokracja nie jest najlepszym ustrojem, bo to źródło chaosu, niepewności i politycznych awantur, a po wstąpieniu Polski do Unii Europejskiej z kraju wyjechało dwa miliony trzysta tysięcy obywateli. Jednak z opublikowanej przez uczonych Diagnozy Społecznej, która jest największym badaniem jakości życia Polaków,

wynika, że dwadzieścia sześć lat po odzyskaniu wolności osiemdziesiąt jeden procent Polaków uważa swoje życie za wspaniałe, dobre i udane. Jesteśmy tak szczęśliwi jak przeciętni mieszkańcy Unii Europejskiej.

Ślub Michała i Hani przed panią kierownik Urzędu Stanu Cywilnego na warszawskiej Pradze odbywa się w sierpniu 2012 roku. To już trzecia taka ceremonia w życiu pana młodego. Z Firmy wśród gości tylko Maciek Zalewski z żoną Małgosią i ja. Po podpisaniu aktu małżeńskiego mistrz ceremonii zaprasza na szampana.

ŚPIEWANIE.

Trzecia tajemnica zgredowska

Opowiada Michał Boni:

– Mam swój udział w tym, jaki jest ten kraj. A to kraj sukcesu, więc po dwudziestu sześciu latach nie mam już misji, że trzeba go odbudowywać, ratować. Bywa, że mam dość. Ale idę do pracy i mi to wraca, rzucam się w wir zajęć, wypruwam z siebie flaki, chociaż ja naprawdę nie muszę sprawować żadnej funkcji publicznej, mogę się przenieść do Hani do Brukseli i robić różne ciekawe rzeczy. Bo cokolwiek bym robił, to potrzebuję, żeby satysfakcja, jaką z tej pracy mam, równoważyła się z nakładem pracy, entuzjazmu, poświęcenia i zainwestowanej fascynacji. Bo bez satysfakcji i uznania można harować w podziemiu, bo działaliśmy dla idei, i na dodatek nam za to nie płacili, ale jak robimy dobre rzeczy w wolnej Polsce i inni tego nie widzą, to jest nam źle. Chcielibyśmy chociaż, żeby nas szanowali, bo coś umiemy, robimy rzeczy unikatowe, jakich nie robią ministrowie w żadnym kraju. Ja zajmuję się cyfryzacją, futurologią, ochroną prywatności danych osobowych, jestem jednym z lepszych ministrów pracy, ekspertem, i to międzynarodowym, od ubezpieczeń i rynku pracy, negocjatorem. Ile ja rzeczy wynegocjowałem, ile problemów rozwiązałem? Do tego jestem bardzo dobrym administratorem na kryzysy, świetnym szefem grupy strategicznej, najlepszym w regionie ministrem od cyfryzacji. To brzmi jak chwalenie, ale to jest prawda!

Chociaż masz rację, że „dobry administrator” brzmi mało brawurowo, ale to bardzo ważne sprawy, a dzisiaj w twojej gazecie na pierwszej stronie czołowa dziennikarka wywała artykuł, w którym wzywa

internautów, żeby zaprotestowali. Ja rozumiem, że ona ma swoją wizję świata, ale z punktu widzenia dobra publicznego robi krzywdę! Moi ludzie tłumaczą jej coś dwa miesiące, i że mogłaby chociaż nie szkodzić, bo po jej nawoływaniach skończy się tak, że internauci wyjdą na ulicę. To wtedy publicznie powiem, że chrzanię was, wszyscy internauci, i chrzanię was, dziennikarze! I tyle! I pójdę se do domu! No pewnie, że się wkurzam, bo przecież nie chodzi o to, żeby ktoś bił mi brawo za to, co robię w dziedzinie cyfryzacji, komputeryzacji kraju, ale żeby szanował kompetencje, wiedzę i umiejętności. Bo ja w wolnej Polsce wykorzystuję swoje szanse i to przynosi dobre efekty dla mnie i dla kraju, a wielu naszych kolegów, także tych z Firmy, czegoś chce, ale przegrywają, i to nie ja mam zrobić coś dla nich – oni sami nie umieją dla siebie!

Po dwudziestu sześciu latach sprawowania władzy przez nasze pokolenie mam jednak wrażenie, że wypaliliśmy się jako władza, nikt z nas nie potrafi powiedzieć, dokąd Polska zmierza, w oczach ludzi znowu widzę nienawiść tylko dlatego, że jestem z rządu, dokładnie tak jak na początku transformacji dwadzieścia parę lat temu, kiedy obcy ludzie dzwonią i wymyślają mojej matce od najgorszych. Ale wtedy mówię sobie, że inaczej być nie może, tak musi być, to musi kosztować.

A jednak mimo tych dzikich oczu ostatniej niedzieli robimy z Hanią eksperyment. Jedziemy na plac Trzech Krzyży, przechodzimy przez jakiś sklep, Hania kupuje sobie buty, potem na ulicy Mokotowskiej idziemy na kawę do Gorzko-Słodkiej i dalej ruszamy Koszykową do starej hali na Koszykach, gdzie jest rozbiórka, ale ciągle działa targowisko, sprzedają polskie sery i inne nasze fantastyczne produkty.

Potem dalej spacer. I Hania namawia mnie, nie uwierzysz, żeby przejechać się tramwajem! Do domu wracamy więc tramwajem! Jestem bardzo zdenerwowany, bo się przyglądają... Ale bardzo się cieszę, że robię ten test, a po południu czuję się już... normalnie. Hania

wieczorem leci do Brukseli, a mnie jakoś w duszy śpiewa.

Takie dni sprawiają, że odzyskuję równowagę. Muzyka, spacer z żoną, świeże truskawki i przejażdżka tramwajem... To ci jeszcze powiem na koniec, że nie piję od wielu lat. Zero alkoholu. I nie jem mięsa.

Michał nie jest już ministrem. Jest posłem do Parlamentu Europejskiego, tak samo jak polityk, który dwadzieścia dwa lata wcześniej, podczas uchwalania ustawy lustracyjnej, ślubował sobie, że wytrzaska go po pysku. Obaj świeżo upieczeni deputowani spotykają się w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, gdzie mają omawiać strategię działania polskiej grupy posłów, ale nim jeszcze przystąpiono do rozmów, Michał Boni przy ludziach, ale bez obecności kamer telewizyjnych, dostaje potężnie w twarz. I zamiast przysłać sekundantów – dziwi się potem jego adwersarz – Michał „leci na skargę do mediów” i sam od razu chwali się tym na jednym z portali społecznościowych.

LECZENIE. Postać cokolwiek fikcyjna

Otwierasz oczy i jedyne, co przychodzi ci do głowy, to żeby je zamknąć. Żeby ciągle spać albo umrzeć troszeczkę, a nawet zupełnie. Na zawsze. No, że jesteś w dole – jest jasne, bo nic się nie udaje, nikt cię nie kocha, nie lubi nawet, ale i ty nikogo nie lubisz, więc wszystko do dupy, że tylko żyletkę wziąć i się porznąć, pochlastać, pokroić w talarki.

Trzeba się ratować! Ale nie chcesz, ociągasz się, walczysz... I wreszcie pijesz. Od razu lepiej!

Normalny poranek alkoholika, codzienne myśli, doświadczenie milionów polskich kobiet i mężczyzn. I najtrudniejszy moment choroby, od którego nie sposób zawrócić, od którego alkohol już nie jest boskim nektarem, jak dawniej, już nie przenosi w lepszy, weselszy, wspanialszy świat, ale zwyczajnie rano pomaga wystartować, rozjaśnia codzienność, staje się lekarstwem ratującym w normalnych, podstawowych czynnościach, w zwyczajnym życiu, działaniu. Staje się niezbędnym atrybutem każdego dnia, staje się mlekiem. Mlekiem dnia codziennego.

– Już na początku lat pięćdziesiątych mam fazę, że przychodzę na ósmą do kancelarii, w notesie mnóstwo zajęć, długa na kilometr lista ważnych spotkań, ale nie mogę wystartować – zaczyna opowieść Zyta Rywkin, rocznik 1959. – Muszę się napić, żeby jakoś wystrzelić. Otwieram więc biurko, wyciągam coś babskiego, na przykład nalewkę ze smorodiny od mojego byłego teścia albo pigwóweczkę, nalewam szklaneczkę... Tę wąską...

– Angielkę.

– Właśnie. I wypijam na dzień dobry. Potem chwilę odczekuję, żeby zaczęło działać, bywa, że jeszcze dopijam łyczek, i mogę brać się do najbardziej karkołomnych spraw, uczestniczyć w przesłuchaniach, rozmawiać z klientami.

– Kim wtedy jesteś? – pytam.

– Ostrą jak brzytwa młodą prawniczką od prawa karnego skarbowego i bankowego. Bardzo dobrą adwokatką z wielką przyszłością. W czasie kampanii prezydenckiej Jacka Kuronia pracowałam w jego biurze wyborczym, a on, wiadomo, nie wylewał za kołnierz. Pamiętam dramatyczne... Bo jest coś takiego jak wspólnota alkoholowa, a my wracamy z jakiegoś spotkania wyborczego, zmęczony Jacek zwała się ciężko w fotelu i po chwili bąka, że może trzeba by coś... teges, jakies whisky, wódeczkę, to my z Danusią, jego żoną, i z Michałem Bonim, który był szefem kampanii, uznajemy, że też musimy, bo jutro ważny dzień, trudne wystąpienie. Pijemy na siłę, żeby dla niego było mniej! Pamiętam ważne spotkania, które wtedy prowadzę na regularnej, tęgiej bani.

– A chuch?

– A kto się tym wtedy przejmuje? Poza tym można zjeść czekoladkę, dropsa, pożuć gumę... A o pierwszej, drugiej po południu pijemy z kolegą po kusztyczku. Mamy taki gabinetowy rytualik, więc o godzinie piątej kończę już rozumienie dnia, albo o siódmej, ósmej wieczorem. Różnie.

– Codziennie?

– Mogły być dni, że nie, ciągów nie miałam. To były jeszcze czasy, kiedy w pracy dużo się piło, lata dziewięćdziesiąte były odlotowe, hulaszce, to wtedy zaczął się mój alkoholizm, gdzieś w dziewięćdziesiątym piątym roku, ale oczywiście nie miałam tego świadomości. Piłam tylko na zewnątrz. W domu smakowałam. Jak mi powiesz Cinzano, Jack Daniel's, Fernet Branca czy zwykła nasza

żubrówka z sokiem jabłkowym, którą nazywają tatanką, to ja natychmiast bardzo wyraźnie czuję smak tych trunków w ustach, chociaż nie próbowałam ich od lat.

I, rzecz jasna, każdy dzień Żyty już wtedy zaczyna się tak jak ten rozdział. To jej opowieść, więc mówi sobie wreszcie, że chyba powinna ograniczyć picie alkoholu, i nawet na dwa-trzy tygodnie się udaje, ale potem Żyta znowu rusza z impetem, bo jej robota niesie niezliczoną ilość okazji do oblewania, niezliczoną ilość katastrof i pretekstów do picia. Ma kilkanaście takich zrywów w swoim życiu.

Następne lata są jeszcze gorsze. Pije coraz więcej i częściej, coraz trudniej zwlec się rano z łóżka – jej choroba rośnie i niszczy wszystko po drodze jak fala tsunami. Rozpada się życie domowe, w pracy mówią, że nawala, że dalej tak być nie może, że nie zjawia się na umówionych spotkaniach. Bo zwyczajnie nie może odczytać, co dzień wcześniej nagryzmoliła w notesie. Osiąga dno, ale ciągle jest czysta, porządnie ubrana, w odprasowanym kostiumie, z torebką i laptopem, bo każdy ma dno na swoją miarę.

– Nie musisz leżeć w śmietniku i walać się w swoich wymiocinach – mówi Żyta. – Ale nie panujesz nad swoimi emocjami. Dla mnie dnem było to, że po alkoholu jeździłam z wnukiem samochodem i o mało nie spowodowałam strasznego wypadku. Dociera do mnie, że mogę zabić dziecko swojego syna, i to sprawia, że 13 grudnia 2010 roku, mając pięćdziesiąt jeden lat, postanawiam się leczyć.

– 13 grudnia. Data coś nie wygląda mi przypadkowo.

– Jasne! – ona na to. – Wymyślam ją parę dni wcześniej. Przychodzi mi do głowy, że dwudziesta dziewiąta rocznica wybuchu stanu wojennego w Polsce jest świetna. To całkiem dobra okazja. Ale musisz osiągnąć dno, żeby rozpocząć terapię, bo jeśli przyjdiesz za wcześnie, to ci powiedzą, że jesteś niegotowy.

– I odeślą?

– Tak. I każą przyjść później. Ja dopiero w ostatnich kilku latach uświadomiłam sobie, jakiego spustoszenia narobiłam w życiu moich bliskich, chociaż nie byłam pijaczką, która wraca do domu i urządza męskie piekło. Nic takiego! Mnie się wydawało, że przychodziłam do domu i byłam wesoła, dowcipna, na miłym rauszu. Czasami tylko się wydarłam, a jak parę lat temu w jakiejś niewinnej domowej sytuacji podniosłam głos, to Antek aż zbladł. Pytam, co się dzieje, a on, że jak podnoszę głos, to w nim budzi się lęk, drżenie z tamtego czasu. To do jakich ja musiałam spustoszeń w emocjach swojego dziecka doprowadzić, jeśli to trwa do tej pory?! Dzieci alkoholika są bezradne, przerażone, zahukane i to ciągnie się latami. Syn dopiero w tym roku mi powiedział, że jako dziecko strasznie się mnie wstydził.

– Dlaczego wtedy ci nie powiedział? Dzieci są brutalne dla rodziców.

– Dzieci alkoholików nie są – mówi ponuro Zyta i szuka chustki po kieszeniach. – Ja to wiem, bo też jestem takim dzieckiem. Właśnie miałam piątą rocznicę abstynencji, mój alkoholowy diabeł pojawia się więc znowu i próbuje wyrzucić mnie na lewą stronę, przeciągnąć na swoją ciemną stronę...

– Niemocy.

– Właśnie. Na nowo chce wkręcić mnie w to biadolenie nad sobą. Napij się, Zyta, mówi, tylko jeden raz, a na pewno będzie lepiej, a w pracy wybucha kolejna afera, wielka, niezwykle ważna i trudna do przeprowadzenia sprawa wkracza w kluczowe stadium, a ja czuję, że przegrywam, że wszystkimi zaczynam się kłócić, emocje szaleją, nerwy puszczają... Jest kiepsko, źle, niedobrze, mam rocznicę i pewnie jestem w nawrocie, marzę o kielichu. Nawroty są okropne, dopadają cię w najgorszych, najtrudniejszych momentach.

Czasem są to prawdziwe koła młyńskie nawrotów. A ty wiesz, że już nigdy ci nie będzie wolno. Nic, kompletnie, przez całe życie. To jest istota terapii, więc ani kropli, ani jednego łyka, nawet deseru, tortu

nasączonego ponczem, łyżki tiramisu, czekoladki z likierem, suchej wisienki z nalewki. Bo po niej spróbujesz odrobinę samej nalewki, umocysz tylko dzioba, pysk, a wreszcie dopijesz ten napoczęty kieliszek, a to oznacza, że wypijesz następny, potem jeszcze jeden, i jeszcze, świat zaczyna wirować, język się plątać, a twoja ręka robi się czarodziejska, cudowna, magiczna jak różdżka, która bez dotykania przesuwaa przedmioty w przestrzeni... Tempo nawrotu choroby alkoholowej jest niebywałe. W tydzień niweczysz gigantyczną pracę, heroiczną mordęgę, która zmitrężyła ci kilka, kilkanaście lat, wracasz do punktu wyjścia i rozpędzasz się z niebywałą prędkością, nabierasz gigantycznego przyspieszenia jak w spirali śmierci. Zupełnie nad tym nie panujesz. Znowu nie władasz swoim ciałem, rozumem, emocjami, dopada cię poczucie przegranej, świadomość klęski, straty czasu, okazji, i znowu rozsypuje się twój cały, odbudowany z takim trudem świat. A za tym czają się coraz większe doły i depresja.

Przy nawrotach właśnie alkoholicy bardzo często zalewają się w pijackich spiralach na śmierć, to też najczęstsza przyczyna alkoholowych samobójstw.

– Przez dużą część terapii walczyłam z przekonaniem, że z tą trzeźwością to zwracanie głowy, bo Hemingway pił całe życie i tworzył wielkie dzieła, tak samo Chandler, Stephen King...

– Truman Capote, Edgar Allan Poe, Jerofiejew – podpowiadam. – Nie mówiąc o naszych.

– Więc o co tu chodzi? Dlaczego ktoś wpiernicza się w moje życie?! Przecież można pić i tworzyć.

– I jeszcze Nobla dostać.

– Właśnie. Ale teraz wiem, że gdybym po tych dwudziestu latach wreszcie nie przestała pić, to już by mnie nie było, trup, nieboszczyk, kapota...

– Alkohol niszczy miłość?

– Redukuje – mówi Zyta Rywkin i wypija duszkiem kolejną szklanę wody.

– Do seksu?

– Do relacji kat – ofiara. Więc partner często chce się dopasować, coraz częściej także on sięga po alkohol, uzależnia się, wpada, a wszystko powinno polegać na tym, że jak zaczynam pić, to trzeba mnie wypieprzyć z domu. Mój były mąż i ten, który go potem na chwilę zastąpił, dobrze to wiedzieli, takie dostali instrukcje. Ode mnie. Żadnego zmiłuj! Wystawić graty za drzwi i won z chałupy, żebyś spadła na samo dno, żebyś poczuła, że wszystko tracę, ale kończy się tak, że obaj sami się wynoszą. A mój Antek, jedyny człowiek, jakiego mam, aż za oceany, najdalej jak się da, do Nowej Zelandii, żebyś nie mogła wpadać z odwiedzinami. Przede mną ucieka.

ZLEPIANIE. Wszystko o mojej matce

– A o Fifce, o naszym psie, ci opowiadała? – pyta Antek łamiącym się głosem i milknie na bardzo długo.

Chłopak ma piętnaście lat, wraca z wakacji, z rowerowego obozu wędrownego wzdłuż południowej granicy Polski, ale matka nie odbiera go z dworca kolejowego, jak było umówione. Nawet nie bardzo się dziwi, bo już na trasie podejrzewał, że może być źle, przecież nawet przez telefon umie rozpoznać, że matka jest wypita, Antek to słyszy i od małego jest pewien, że potrafi nawet wyczuć nosem. Przez telefon. Składa więc pod dworcem rower i sam jedzie do domu.

Do dzisiaj wydaje mu się, że smród dopada go już, jak tylko wjeżdża na ich ulicę. Naprawdę jednak zwała się na niego dopiero po otwarciu drzwi. Dziwna, nieznaną chłopakowi słodka duchota, która przeraża, ale nie są to rozrzucone w przedpokoju wyschnięte na wiór psie kupy. Matka Antka śpi na kanapie w salonie, a on szuka źródła smrodu. Fifki szuka, która powinna przecież wybiec do niego do drzwi.

Znajduje ją na swoim łóżku, jak zwykle po ludzku z głową ułożoną na poduszce. Umarła z pragnienia i głodu. Żyła przeżyła na resztkach suchego makaronu, wodzie z kranu i zapasach z baru, a o swojej suce zupełnie zapomniała albo wstydziła się pokazywać w takim stanie na swojej ulicy. Nie wyprowadziła jej na dwór przez cały lipiec.

– A to ciele pokorne, a nie pies – wspomina Antek Rywkin. – Ona nie będzie wyła, darła się wniebogłosy, jak czego potrzebuje, tylko usiądzie przed człowiekiem i się gapi. Taka wylękniona, mało rezolutna i niby rasowa ciapa, chiński grzywacz z maślanymi oczami i nóżkami sarenki,

którą kupiliśmy w poprzednie wakacje na bazarze pod Gubałówką w Zakopanem.

Nie pasowała do nich. I sporo za to zapłaciła.

Na początku tej książki, w spisie osób dramatu, piszę, że Zyta Rywkin jest najdziwniejsza z moich bohaterów, trzygłowa jakby, tajemnicza, nieoczywista.

Bo nie ma kogoś takiego, nie znam nikogo o imieniu Zyta ani żadnej Rywkin. Wymyślam ją sobie, a w zasadzie lepiej z trzech prawdziwych postaci, z trzech dziewczyn, konspiracyjnych koleżanek, które nie mają odwagi opowiedzieć o sobie zupełnie otwarcie, pod własnym nazwiskiem, które nie chcą się ujawnić, dać się rozpoznać, zdradzić wszystkich tajemnic. Czy też ran, bo ciągle świeże, bolą jak diabli, więc nie kombinuj, nie szukaj klucza do tej opowieści, nie baw się w archeologa, nie odsłaniaj tego, co ukryte. A ja ci w zamian obiecuję, że chociaż historia Zyty przez ten zabieg przestaje być reportażem, literaturą faktu, to nie jest fikcją, jest literaturą opartą na faktach, bo wszystkie opowieści, a nawet słowa bohaterki są prawdziwe.

Na przykład te o jej matce, która także, jak prawie wszystkie nasze matki, była pokiereszowanym dzieckiem wojny. Przygarnęły ją i wychowały siostry zakonne, które wiedziały o niej tylko tyle, że nazywa się Rywkin, bo tak było napisane na kartce przypiętej agrafką do jej letniego czerwonego płaszczyka – Miriam Rywkin, czyli Maria, jak później siostry napisały w lewym akcie chrztu świętego i oprawionej w ramki pamiątce z pierwszej komunii. I Bronisława dodały jej na drugie, żeby było jeszcze bardziej aryjsko, i Jadwiga przy bierzmowaniu, na cześć świętej patronki całej Polski.

Nieprawdziwe jest także imię i nazwisko Janka Mojki, o którym skończyłem opowiadać nieco wcześniej. Bo reporter tym się różni od autora powieści, że nie wymyśla ani nie zmyśla, ale kombinuje zaobserwowane, a najczęściej usłyszane historie, fakty i postaci, bo nie

wszystko przecież można znać z autopsji. Wielki Melchior Wańkowicz, król polskich reporterów, nazywał to prawdą zmyśloną.

Więc nie ma nawet co gadać o obiektywnym reportażu. Jeśli potrzebujesz czegoś takiego, zabierz się do lektury książki telefonicznej. Tam żaden z tysięcy bohaterów nie powie czegoś takiego, od czego nawet twardym facetom chce się ryczeć.

– A o tym, jak po pijaku roztrzaskuje auto, matka ci opowiadała? – pyta Antek Rywkin łamiącym się głosem i milknie na bardzo długo. – Jakaś oferma długo nie rusza spod świąteł, to zwyczajnie swoim potężnym merolem spycha go po czołgowemu taranem w krzaki. Bo ona bez walki nie potrafi żyć. Walczy z komuną, potem z ojcem, z przełożonymi, w robocie ma opinię bogini wojny, killerki, cyborga w spódnicy, której zresztą nigdy nie nosi, bo zawsze jest w portkach. Jest więc raczej buldogiem do poskramiania byków, a nie prawnikiem z sercem pełnym empatii, ciągle wymyśla sobie, otwiera nowe fronty walki, swoje nowe wojny. Od kilku lat wojuje ze spiskiem wielkich koncernów farmaceutycznych. Twierdzi, że cholesterolu nie wolno obniżać! I nie ma sensu go badać, bo jego poziom zmienia się kilka razy w ciągu dnia.

Zyta uważa, że wojna światowa z cholesterolem to nie jest działanie w interesie pacjentów, tylko wielkich firm farmaceutycznych, które najwięcej zarabiają na produkcji statyn, leków obniżających cholesterol, i na lekach przeciwdepresyjnych, takich jak prozac. To są niesamowite pieniądze, miliardy, a zadaniem lekarza w tym wszystkim jest zlecenie badania krwi i wypisywanie recepty na lek obniżający poziom cholesterolu. A to, że pacjent za chwilę umrze na raka, bo ma za niski cholesterol, bo jest taka zależność, to już nie ich zmartwienie.

– Ale on powoduje zawały, udary! – wygłaszam obiegową teorię.

– Matka i jej lekarze twierdzą, że nie ma takiej zależności – mówi syn Zyty. – Badania, które to potwierdzają, zostały sfałszowane. Wielkie

koncerny farmaceutyczne skorumpowały współczesną medycynę i wszystko wokół, matce grozi, że któregoś dnia odbiorą jej prawo wykonywania zawodu, bo koncerny bez litości poniewierają ją po sądach. A ona je.

– Dlaczego to wszystko robi? – pytam Antka Rywkina.

– Bo nie potrafi żyć bez wojny! – woła cichutko chłopak i oplata mnie jedwabnymi rzemykami przydymionych swoich spojrzeń. – Myślałem, że się opamięta, kiedy przestanie pić, ale ona jakby amoku dostaje z tym cholesterolem. Prawdziwego amoku, kurde! Wścieka się, zamienia dom w piekło, to jak od niej nie uciekać? Odwiedzam ją nie częściej niż raz na dwa-trzy lata, w jakieś święta. Z dzieciństwa pamiętam tylko ciągłe draki, awantury, tłuczenie po nocach talerzy, policję, ale zupełnie nie pamiętam, żebym włożył kiedyś do rodziców pod kołdrę, żeby mnie kto miział, kitłasił, całował po brzuchu... Albo wziął na ręce. Kiedyś jak byłem mały, jakieś siedem, może osiem lat, i miałem straszną anginę, gorączkę z majakami, i któregoś wieczora proszę matkę, żeby mnie wzięła na kolana, to wiesz, co odpowiedziała? Ty wiesz, co ona mi odpowiedziała?! Odpowiedziała: „Ja nie mam kolan”. Cholerna zimna Żydówka... Myślę, że jak skończyło się to wszystko, ta cała wasza konspiracja, ta wasza pieprzona wojna, to matka wymyśliła sobie całkiem nową grę. I znowu tylko to się liczyło. Nowe podchody wykombinowała.

– Ciąg dalszy partyzantki...

– Wymyśliła sobie nową wojnę.

ZAKOŃCZENIE 2015

– To jest środowisko, w którym mnóstwo wartościowych ludzi oddało najpiękniejsze lata życia dla wielkiej sprawy, a teraz się okazuje, że na czele byli, kurwa, transseksualistka, współpracownik bezpieczeństwa i złodziej.

Ten gorzki rachunek ma tylko trzy, a nie cztery składniki, bo „kurwa” jest ozdobnikiem zdania, więc od razu jest jasne, że to słowa Maćka Zalewskiego.

– A jeszcze dołożyć paru i wychodzi, że na dodatek sami alkoholicy – brnie w sarkazmie Maciek. – Ale to wszystko chuj, bo pęknięcie jest tak głębokie i krwawe, że nawet te nasze śledzie i jajka świąteczne w starym składzie partyzanckim od Sasa do Lasa, od ministra do robola, nie mogą się odbywać. Bo jest wojna między braćmi. Tadek, z którym za komuny siedziałem w jednej celi, robi się taki radykalny, że gadać nie możemy. Jakby wzięli Freda na szofera do Pałacu Prezydenckiego albo na szyldwacha, żeby pilnował Urzędu Rady Ministrów z karabinem, byłby najwierniejszym żołnierzem III Rzeczypospolitej. To by była także jego Polska. Ale jego wykiszkowali, taksówki sprywatyzował działacz partyjny, reżimowy siepacz, chuj złamany, który wywalił go z pracy. To jaka to jest sprawiedliwość?! W wielkich rachunkach wyszło Polsce na plus, ale dla Freda nie wyszło. Dla niego i jemu podobnych Polska oznacza odrzucenie, zgorzknienie, przegrane życie po prostu.

– Przesrane – bąkam pod nosem.

– Bo ci, z którymi walczyli o wolną Polskę, dużo lepiej sobie w niej poradzili.

19 lipca 2015 roku

ZAKOŃCZENIE 2016

– Nie podoba mi się twoje zakończenie – odpowiedziałem na to Maćkowi.

– To wymyśl swoje – odburknął w swoim stylu.

Ale nic nie przychodziło mi do głowy. A czas płynie, *Skucha* trafiła na półkę, bo dwaj bardzo ważni bohaterowie blokują wydanie, nie chcą autoryzować tekstu, a ich prawnicy i pełnomocnicy wydawnictwa miotają w siebie ostrymi jak sztylety pismami o ochronie dóbr osobistych, prywatności, godności, dobrego imienia i wizerunku. Czas więc płynie i swoje robi, Fred zwany „Tolkiem” dostaje udaru, Maryśka Kołnierzak, która wychowywała się na najgorszej warszawskiej ulicy, walczy z nowotworem nerki, umiera ojciec „Grubego” Marka, wiecznego tułacza, którego to kompletnie nie obchodzi, który nawet nie ma od kogo się tego dowiedzieć, a wreszcie trzy tygodnie przed dniem, kiedy piszę te słowa, odchodzi na głupią, powikłaną grypę wiecznie zbuntowany i schorowany Andrzej „Rudobrody”. On też, tak jak Fred, nie chciał ze mną gadać. Aż do śmierci. Leży gdzieś teraz w szpitalnym lochu, bo żeby nie było kłopotów z pogrzebem, oddał swoje ciało do celów badawczych, do nauki dla studentów medycyny, żeby się podszkolili na tym najbardziej poharatanym przez cukrzycę, cierpiącym organizmie, jaki znam. Ze Szpitalem Klinicznym Dzieciątka Jezus, w którym oddał ducha i któremu oddał swoje ciało, rzecz jasna, także się procesował o to, że pięć lat wcześniej źle go potraktowali. O tym, że wyznaczyli mu termin wszczęcia endoprotezy stawu biodrowego, powiadomili go listownie – a on przecież nic nie widzi. Ślepy po prostu.

Teraz też dociera do mnie kolejna, niezwykła opowieść o Mietku

Kobyleckim, który przez wiele lat zajmował się Andrzejem. Wreszcie mam swoje wojenno-zawadiackie, mięsne zakończenie, którego tak szukałem! Bo Mietek to jeden z nas, z Firmy, żołnierz Batalionu „Zośka”, cudowny łącznik między pokoleniami polskich Kolumbów, którego dom, ze skrytką na broń i podziemne gazety, rodzina wystawia na sprzedaż, a w instytucie, gdzie pracował całe życie, sprzątają dopiero w wolnej Polsce. Cały ogromny dorobek naukowy i badawczy, sterty dokumentów, zdjęć, fachowych tekstów ładują na wózek i w punkcie skupu makulatury wymieniają na papier toaletowy.

I opowieść o moich kolegach z partyzantki, ludziach, którzy wywalczyli ten kraj, ma się kończyć ze srajtaśmą w garści, w kiblu, sraczu, na szpitalnym wyrze, w kostnicy, w takim podłym miejscu? Tak jak Maćka Chełmickiego? Na śmietniku?

Za nic w świecie. To już lepiej, żeby kończyła się tak, jak się zaczęła – takim głupim, mało poetyckim słoikiem. Żeby to jeszcze jaki światowy, zakręcany twist był, ale gdzie tam – zwyczajny, archaiczny wek litrowy z gumą i sprężyną na szklanym wieczku. Babki myślą, że słoiki służą do przechowywania konfitury z czarnego bzu na zimę i do kompotu z mirabelek, ale faceci wolą trzymać w nich luzem resztki śrub, nakrętek, podkładek, pordzewiałych gwoździ... Każdy ma kilka takich w piwnicy, garażu albo w komórce na węgiel. Janek Mojka, ten, który w dzieciństwie miał swój oddział partyzancki, a przez ostatnie dwadzieścia sześć lat mocował się z polskim wymiarem sprawiedliwości, w jednym z takich słoik z odrobiną papiaków chowa na półce radziecki granat zaczepny RG-42 z czasów wojny, a w innym zapalnik do tej zabawki.

– To ostatni eksponat z mojego arsenału – opowiada Janek. – Lubiłem na niego popatrzeć, kiedy schodziłem do piwnicy po kartofle, cebulę czy co tam było, ale kilka lat temu odprowadzam do domu przyjaciółkę, która bardzo wpadła mi w oko, a potem zabieram ten granat, idę

w nocy na teren nieczynnej żwirowni, wkręcam zapalnik i rozstajemy się na zawsze. Taki symboliczny początek mojej starości.

– Gdzie tam... Zamieniasz po prostu broń na babkę, którą wreszcie pokochasz – mówię, jakby trochę wzruszony.

– Na karłowatej sosence wieszam kółko z zawleczką i idę do domu. Koniec partyzanckiego życia.

– Pożegnanie z bronią.

31 marca 2016 roku

PRZYPISY

- [1] Izaak Babel, *Moje pierwsze honorarium*, tłum. Jerzy Pomianowski
- [2] http://www.mkkwola.dbv.pl/readarticle.php?article_id=136 [dostęp: 22.10.2015].
- [3] <http://3obieg.pl/dziennikarze-pytaja-i-nic-z-tego-nie-wynika-bo-natychmiast-zapominaja-o-co-pytali-kiedy-daje-im-odpowiedz> [dostęp: 22.10.2015].
- [4] <http://3obieg.pl/17-andrzej-urbanski-jeden-z-bohaterow-podziemnej-struktury-mkkwola> [dostęp: 22.10.2015].
- [5] <http://3obieg.pl/19-boni-klamie-jak-maryska-kolnierzak-i-jacek-hugo-bader>.
- [6] <http://3obieg.pl/zaloga-z-czerskiej-i-w-sam-srodek-tego-stadka-owieczek-dziennikarskich-wrzucono-piotra-stasinskiego-polemicznego-terroryste-czlonka-zalogi-z-czeskiej-telewizji-slyszac-jak-z-kazda-minuta-programu-glos> [dostęp: 22.10.2015].
- [7] <http://mkkwola.neon24.pl/post/102997,cyborg-pyta-jak-ci-sie-zylo-ze-swiadomoscia-ze-wystarczy-popatrzec-na-rece-lub-wciagnac-donosa-zapach-farby-drukarskiej-by-rozpoznać-czym-sie-zajmujesz-czym-likwidowaliscie-zapach-co-z-halasem> [dostęp: 22.10.2015].
- [8] http://www.mkkwola.dbv.pl/readarticle.php?article_id=66 [dostęp: 22.10.2015].
- [9] http://www.mkkwola.dbv.pl/readarticle.php?article_id=121 [dostęp: 22.10.2015].
- [10] <http://3obieg.pl/25-stasinski-oskarzamy-system-zlajdaczonogo-i>

rozpanoszonego-prawa-bedacego-w-rekach-kanalii-knutem-palka-
kastetem-i-naganem-prawo-ktore-sluzysytosci-kanalii-wladzy-kanalii-
totalnej-deprawacji-w [dostęp: 22.10.2015].

<http://3obieg.pl/26-to-juz-historia-z-listu-prof-edwarda-lipinskiego-do-czlowieka-honoru-wojciecha-jaruzelskiego-chcemy-wierzyc-ze-to-nie-pan-panie-generale-nakazal-zamordowac-ks-popieluszke-ale-to-pan-ponosi-odpowied> [dostęp: 22.10.2015].